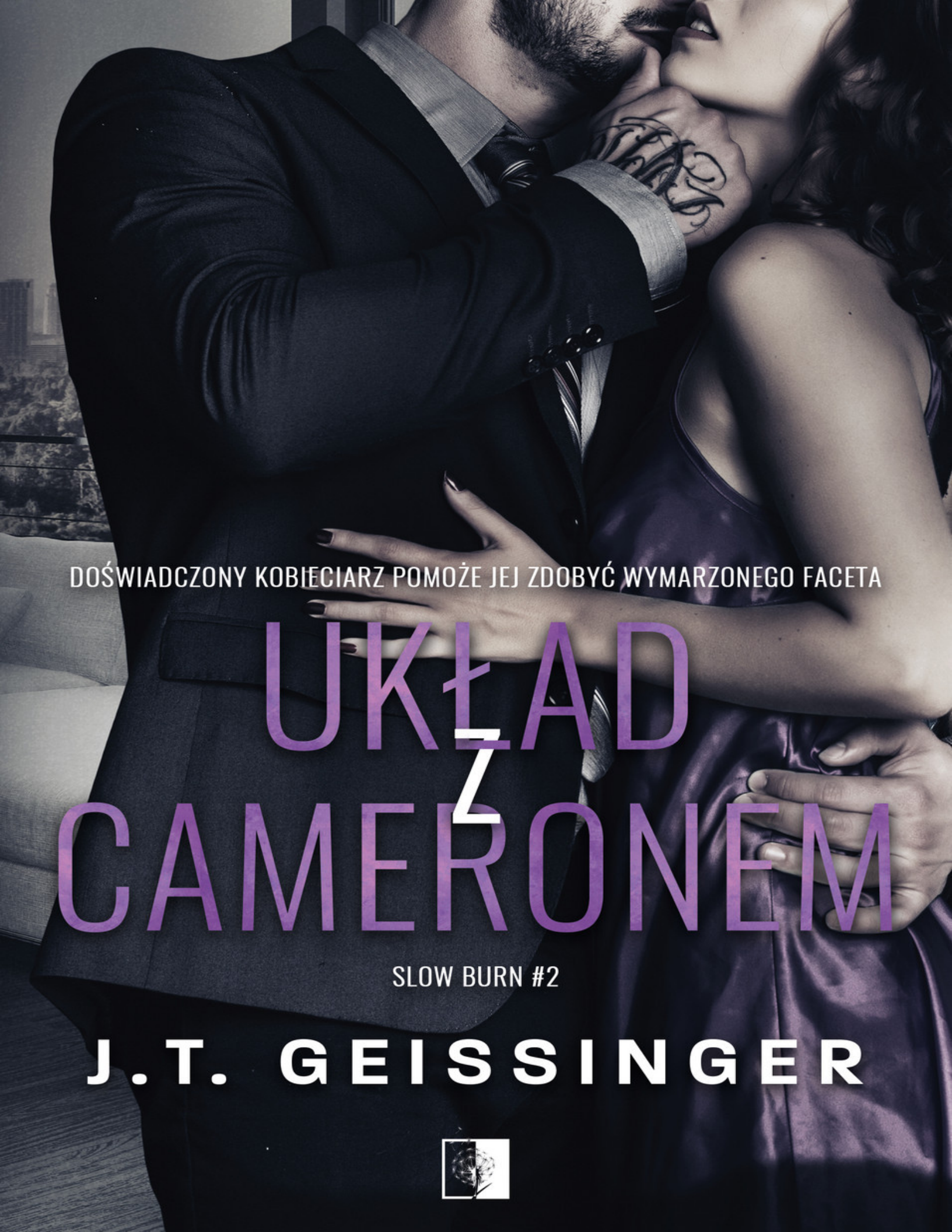
DOŚWIADCZONY KOBIECIARZ POMOŻE JEJ ZDOBYĆ WYMARZONEGO FACETA
UKŁAD Z CAMERONEM
SLOW BURN #2
J.T. GEISSINGER

J. T. GEISSINGER

UKŁAD Z CAMERONEM

SLOW BURN #2

TŁUMACZENIE
MALWINA STOPYRA

OŚWIĘCIM 2021

Copyright ©
J. T. Geissinger
Tytuł oryginału:
Melf for You
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2021
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:
Joanna Tykarska
Korekta:
Agnieszka Nikczyńska-Wojciechowska
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-662-1

SPIS TREŚCI

JEDEN
DWA
TRZY
CZTERY
PIĘĆ
SZEŚĆ
SIEDEM
OSIEM
DZIEWIĘĆ
DZIESIĘĆ
JEDENAŚCIE
DWANAŚCIE
TRZYNAŚCIE
CZTERNAŚCIE
PIĘTNAŚCIE
SZESNAŚCIE
SIEDEMNAŚCIE
OSIEMNAŚCIE
DZIEWIĘTNAŚCIE
DWADZIEŚCIA
DWADZIEŚCIA JEDEN
DWADZIEŚCIA DWA
DWADZIEŚCIA TRZY
DWADZIEŚCIA CZTERY

DWADZIEŚCIA PIĘĆ
DWADZIEŚCIA SZEŚĆ
DWADZIEŚCIA SIEDEM
DWADZIEŚCIA OSIEM
DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ
TRZYDZIEŚCI
TRZYDZIEŚCI JEDEN
TRZYDZIEŚCI DWA
TRZYDZIEŚCI TRZY
TRZYDZIEŚCI CZTERY
TRZYDZIEŚCI PIĘĆ
EPILOG
PODZIĘKOWANIA
O AUTORCE
Przypisy

Dla Jaya, za to, że nauczył mnie, jaki jest,
i nie jest, prawdziwy mężczyzna.

JEDEN

DZIESIĘĆ POWODÓW, DLA KTÓRYCH ŚWIĘTA SĄ DO KITU

1. Jestem gruba. Mimo że nienawidzę tego przyznawać, zostało mi to wyłożone z brutalną precyzją przez babunię Gums, kiedy zobaczyła mnie podczas Święta Dziękczynienia i powiedziała, rechocząc: „Wygląda na to, że ktoś już zjadł indyka!". Złożyłabym to na karb jej demencji, ale zdjęcia, które mama przysłała mi tego ranka, dają niezbity dowód na to, że w którymś momencie, w ciągu ostatnich kilku lat, zaczęłam alarmująco przypominać zwierzę gospodarskie.
2. Śnieg. Na Manhattanie śnieg nie jest biały. Jest byle jaki i buro brązowy, jak moje włosy. (Do zapamiętania: zadzwonić do fryzjera. Rude???)
3. Świąteczne filmy. Dlaczego *Kevin sam w domu* jest uznawany za dobre świąteczne kino? Kevin McCallister i jego rodzeństwo powinni zostać adoptowani przez jakichś bardziej zaangażowanych krewnych. A *To wspaniałe życie*? Przykro mi, ale ktoś musi to powiedzieć: George Bailey to fiut. W całym filmie istnieje mnóstwo przykładów jego fiutowatości, mogłabym stworzyć całą listę. Jeden z moich ulubionych cytatów: „Nazywasz to szczęśliwą rodziną? Po co nam te wszystkie dzieci?" Miłość czuć z daleka, Supertatusiu.
4. Świąteczne zakupy. Znane także jako „Stoisz w kolejkach, aż zdechniesz", świąteczne zakupy zawierają w sobie trzy moje ulubione elementy: wrzeszczące dzieci, wściekłe mamuśki i ja, bez celu krążąca po zatłoczonej, publicznej przestrzeni aż zacznę ociekać potem. Grudzień w centrum handlowym to jakby połączenie *Igrzysk śmierci* z *Władcą much*, a wszystko to uzupełnione rekonstrukcją *Wyścigu śmierci* na parkingu, kiedy w

końcu próbujesz wyjechać po dwunastu godzinach wydawania pieniędzy, których nie masz. Ubaw po pachy.
5. Biurowe imprezy świąteczne. Och, świetnie! Niezręczne, wymuszone konwersacje ze współpracownikami, których chciałabym wyrzucić z grona znajomych na Facebooku.
6. Świąteczne piosenki. Są okropne i przygnębiające. Jako idealny przykład przedstawię tu tekst piosenki *Do They Know It's Christmas?* zespołu Band Aid: „Za oknem jest świat/ I to świat pełen lęku i strachu/ Gdzie jedyną płynącą wodą są kłujące łzy żalu/ A świąteczne dzwony, które tam biją/ To dźwięczące kuranty zguby". Przepraszam, ale idę skoczyć z gzymsu.
7. Święty Mikołaj to kłamstwo.
8. Pocałunek o północy w sylwestrową noc? Mam większe szanse, że uderzy we mnie zbłąkana asteroida.
9. Michael nadal mnie nie kocha.
10. Patrz punkt pierwszy.

– Jocelyn!

Słysząc ten głos, wystraszona podnoszę głowę znad mojej listy. To Portia – chuda jak szprycha, elegancka, blond dyrektor wydawnicza. Portia pochyla się nad moim biurkiem, uśmiechając się w sposób, który sprawia, że czuję się skrępowana i zakłopotana, atakowana przez jej fizyczną perfekcję i poczucie, że jestem w porównaniu z nią ohydna.

Ta kobieta wygląda jak po retuszu. Ja mam boczki, pory, w które mogłoby wpaść małe dziecko, i kocią sierść na swetrze. Normalnie nie pozwoliłabym jej tak się zbliżyć, ale wiedźma podkradła się.

– Cześć, Portia. – Zerkam na nią, po czym nerwowo poprawiam okulary. To okropne, jak ona potrafi materializować się znikąd, jak Drakula. A do tego zirytowała mnie, używając niewłaściwego imienia. Znowu.

– Mogłabyś rzucić okiem na ten rękopis? Maria dzwoniła, że jest chora, a my już przekroczyliśmy deadline. – Nie czekając na odpowiedź, upuszcza grubą, spiętą stertę papieru na moje biurko, dokładnie na sporządzaną przeze mnie w żółtym notatniku listę. – Potrzebujemy to na poniedziałek.

– Poniedziałek? – Wpatruję się przerażona w niebotycznych rozmiarów stertę.

– Dzięki! Jesteś świetna! – Portia odwraca się, by odejść.

Wstaję gwałtownie, przewracając przy tym krzesło. No oczywiście, że tak. Upada na podłogę, a wszystkie głowy zwracają się w moim kierunku. Siedzę w samym środku pomieszczenia pełnego boksów, na trzydziestym trzecim piętrze budynku Maddox Publishing, w którym pracuję od dziesięciu lat. Jest czwarta, piątkowe popołudnie, a ja zaraz zrobię z siebie idiotkę.

Czyli to zupełnie normalna sytuacja w świecie Joellen Bixby.

– Czekaj! – wypalam.

Portia zatrzymuje się, odwraca powoli na swoich czerwonych szpilkach, które prawdopodobnie kosztują więcej niż kwota na moim czeku z wypłatą, potem kładzie dłoń na kościstym biodrze i wpatruje się we mnie z uniesioną brwią.

Mając świadomość ciszy, która nagle zapadła, oraz wpatrujących się we mnie oczu współpracowników, odchrząkuję.

– Mm, ja, yyy, nie sądzę, żebym zdołała skończyć to do poniedziałku.

Wszystkie spojrzenia ochoczo przenoszą się na Portię, która właśnie wpatruje się we mnie wzrokiem o temperaturze góry lodowej.

– Nie sądzisz?

Mówi to tak, jakby moje umiejętności poznawcze były czymś wątpliwym. Ktoś w boksie obok kaszle w rękę, żeby zamaskować śmiech.

– Ja… to znaczy, mam już mnóstwo pracy z innymi projektami, a ten wydaje się dość pokaźny… musiałabym pracować cały weekend.

Portia obrzuca mnie spojrzeniem, które mogłoby sprawić, że łany zbóż na polach zwiędną.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie jesteś w stanie sprostać swojej pracy? Zgadza się?

Wszędzie wokół mnie narastają szepty. Kropla zimnego potu przesuwa się pomiędzy moimi łopatkami, a na policzki występuje żar.

– Nie, ja… z pewnością uda mi się to zrobić. Do poniedziałku.

– Z samego rana – oznajmia Portia takim samym tonem jak ktoś, kto właśnie celuje bronią w kasjera i mówi: „ Dawaj kasę”.

Przełykam ślinę. A właściwie biorę haust powietrza jak złota rybka. Potem przytakuję, ale Portia już tego nie widzi, bo odwróciła się i wyszła.

Rzucam się na swoje krzesło, by uniknąć wszystkich tych spojrzeń i uśmieszków skierowanych w moją stronę, a potem garbię się żałośnie przy biurku jak Quasimodo. Pozostaję w tej pozycji przez kilka minut, w ciszy nakazując dłoniom, żeby przestały drżeć, a żołądkowi by się uspokoił, jednocześnie wpatrując się w przypięty do szarej ściany mojego boksu kalendarz przedstawiający Grumpy Cat w dwunastu wydaniach. W grudniu kot ma na sobie strój Mikołaja wraz z małą, czerwoną czapeczką i czarnymi butami.

Kalendarz to prezent od mojej matki. Musiałam zrobić coś naprawdę okropnego w poprzednim wcieleniu.

– Dlaczego po prostu nie odmówiłaś, Joellen?

Sue Wong, niedawna absolwentka uniwersytetu i najmłodsza osoba awansowana na stanowisko redaktora do spraw przejęć w osiemdziesięcioletniej historii Maddox Publishing, stoi w wejściu do mojego boksu. Sue ma błyszczące czarne włosy, które spływają jej na ramiona i tak równiutką grzywkę, jakby została przycięta ostrzem X–ACTO, oraz urocze dołeczki sprawiające, że wygląda o wiele młodziej niż na swoje dwadzieścia trzy lata.

Jestem obłędnie zazdrosna o te dołeczki. I o to, że może pochłonąć jakieś pięć tysięcy kalorii dziennie i nie przytyć ani grama. A także o to, że ani trochę nie boi się Portii, Królowej Smoków Upper East Side, jak również każdego innego miejsca, przynajmniej jak dla mnie.

– Bo stąd wylecę, jeśli odmówię! A mam na głowie takie małe drobiazgi zwane rachunkami? Czynsz? Słyszałaś o tym?

Sue w ogóle nie przyjmuje do siebie mojego rozumowania i macha ręką lekceważąco.

– Pff. Nigdy cię nie zwolnią. Harujesz jak wół.

Przez jedną nieprzyjemną chwilę wyobrażam sobie siebie jako wielkiego woła: z parą buchającą z nozdrzy, błotem lecącym mi spod kopyt, kiedy z mozołem ciągnę wóz załadowany skrzynkami Budweisera.

– I jesteś tutaj od zawsze – ciągnie Sue. – Poza tym, jesteś w chronionej grupie. Portia nie chciałaby ryzykować pozwu sądowego.

Wpatruję się w nią szczerze zdumiona.

– A w jakiej to chronionej grupie jestem?

– Ze względu na wiek – odpowiada, jakby to było oczywiste.

– Wiek?

– No tak. Przecież jesteś totalnie stara.

– Mam trzydzieści sześć lat!

– Och. Naprawdę? – Ogląda mnie z góry do dołu. – Hmm.

– Dzięki. Skończyłaś już tę motywującą przemowę? Bo mam sporo pracy – mówię oschle.

– Chciałam tylko zapytać, czy masz ochotę po pracy pójść do tego nowego baru z tapasami. Kilka osób idzie na *happy hours*.

Jest dla mnie miła, bo jestem taka żałosna, a przez to czuję się jeszcze gorzej.

– To urocze, że zawsze o mnie myślisz, ale… – Wskazuję bezradnie na stos papierów, które Portia zostawiła na moim biurku.

– Dobra. Może następnym razem. – Sue odchodzi, wzruszając ramionami i uśmiechając się.

Kilka kolejnych godzin spędzam przy biurku z nosem utkwionym w kartkach. Ślęczę nad tym jeszcze długo po wyjściu pozostałych. Dłużej niż każda normalna osoba, która spakowałaby wszystko i zabrała do domu. Możliwe, że swoją normalność pochłonęłam razem z kubłem lodów podczas wczorajszej kolacji.

***

Kiedy docieram wreszcie do swojego mieszkania, odczuwam taki ból głowy, jakby seryjny morderca wiercił dziurę w czubku mojej czaszki zardzewiałym wiertłem polanym pikantnym sosem. Planuję zjeść coś, przespać się kilka godzin i skoro świt wrócić do biura, żeby kontynuować pracę nad manuskryptem. Zwykle mogę pracować nad swoimi projektami z domu na komputerze, ale z przyczyn bezpieczeństwa wersji papierowych nie wolno wynosić z budynku, więc zostałam uziemiona przy swoim biurku.

Dziękuję ci, Portia.

Kiedy tylko wychodzę z windy, słyszę muzykę. Jest niesłychanie głośna i huczy od basów – jakiś rock. A może rap. Nie jestem pewna. Wiem tylko, że tekst zawiera słownictwo, które sprawiłoby, że mojej matce włosy stanęłyby dęba.

Idąc korytarzem, z przerażeniem stwierdzam, że muzyka wydobywa się z mieszkania dokładnie naprzeciwko mojego. Zważywszy na głosy i ochrypły śmiech, mój sąsiad nie jest sam.

Kellen nigdy nie robi imprez.

Zirytowana podwijam rękaw płaszcza, po czym zerkam na zegarek. Rozważam, czy powinnam zapukać do jego drzwi, ale mój brzuch wydaje z siebie jakiś agresywny odgłos, który przebija się nawet przez grzmiący bas. Stwierdzam więc, że najpierw coś zjem, a z Kellenem rozprawię się z pełnym żołądkiem.

Nawet w obliczu wojny nuklearnej moją pierwszą czynnością byłoby jedzenie. Nie potrafię radzić sobie z życiem na głodnego.

Kiedy tylko otwieram drzwi, Pan Bingley atakuje.

– Rrau! – Staje na tylnych łapkach, wbijając pazury w moją spódnicę.

– Wiem, skarbie, przepraszam za spóźnienie. Mamusia od razu cię nakarmi, dobrze?

Kolejny ryk mówi mi, żebym lepiej właśnie to zrobiła, bo rozpęta się piekło.

Drapię Pana Bingleya za uszami, mówiąc do niego jak do dziecka, bo to właśnie lubi, a on z rozkoszą zatapia pazury jeszcze głębiej w mojej spódnicy, na co krzywię się z bólu, i w ten sposób balans odwiecznej kocio-ludzkiej relacji zostaje zachowany. Ma szczęście, że jest taki uroczy, bo mogłabym… nic. Nie ma, o czym mówić.

Jeśli chodzi o Pana Bingleya, oboje wiemy, że to on rządzi.

Zamykam drzwi wejściowe, rzucam torebkę na stolik w przedpokoju, unikając swojego odbicia w lustrze, po czym wieszam płaszcz w szafie. Następnie zmierzam w stronę kuchni, a Pan Bingley depcze mi po piętach.

Jest despotycznym, pulchnym, rudym, pręgowanym kotem z bursztynowymi oczami i ogonem przypominającym pióropusz. Jest też kompletnie głuchy – nieszczęśliwy efekt uboczny antybiotyku, który przepisano mu na infekcję ucha. Jednak wydaje się, że mu to

nie przeszkadza, chyba nawet nie zdaje sobie sprawy ze swojej ułomności. Myślę, że nauczył się czytać z ruchu warg.

Jedyny problem polega na tym, że nie mogę podkradać się do niego od tyłu. Raz kiedyś go wystraszyłam, to skoczył na zasłony, wczepił się w nie pazurami, a potem, zwisając, toczył dzikim spojrzeniem dookoła i syczał.

– Masz szczęście, że nie słyszysz tej muzyki – mówię do niego, wyjmując z szafki puszkę kociego żarcia. – Ktoś tu brzmi, jakby miał problemy z radzeniem sobie z gniewem.

Pan Bingley wije się wokół moich kostek, mrucząc i ocierając głową o moje nogi. Nakładam karmę do jego specjalnej porcelanowej miseczki, stawiam na podłodze, po czym z uśmiechem patrzę, jak zabiera się do jedzenia.

A potem podskakuję na dźwięk kobiecego krzyku.

– Co u diabła? – Biegnę do wyjścia. Moje serce łomocze, kiedy przywieram do drzwi i patrzę przez wizjer. Korytarz jest pusty. Otwieram drzwi, po czym ostrożnie wystawiam głowę. Wtedy słyszę kolejny krzyk, tym razem przy akompaniamencie kobiecego śmiechu i chóru męskich drwin.

Odgłosy pochodzą z mieszkania po przeciwnej stronie korytarza.

Doznaję ulgi, że nie mam do czynienia z morderstwem, tylko z imprezą, która wymknęła się spod kontroli, po czym zaczynam kipieć ze złości. Wyobrażam sobie dmuchany basen dziecięcy wypełniony kisielem na samym środku salonu Kellena, w środku mocują się dwie nagie dziewczyny, a wokół grupa kolesi oblewa je szampanem i obrzuca banknotami.

Zanim zdążę się powstrzymać, przechodzę przez korytarz, a następnie energicznie stukam w drzwi Kellena.

Muzyka nie cichnie, ale po chwili słyszę zbliżające się ciężkie kroki. Potem drzwi się otwierają, a ja stoję oniemiała.

W wejściu stoi mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Jest wysoki, szeroki i mocny jak góra. Ma potargane brązowe włosy, piwne oczy, mnóstwo tatuaży i olśniewający uśmiech, co mój mózg zauważa w tym samym czasie, kiedy stara się przetrawić, że mężczyzna ma na sobie niezasznurowane wojskowe buty, kilt i nic więcej.

W tych kanionach między jego mięśniami brzucha można by się zgubić. Jeśli ma jakikolwiek tłuszcz, to musi być ukryty pod kiltem, bo jego mięśnie są tak wyraźne, że wyglądają jak na rysunku anatomicznym.

Wpatrując się z otwartymi ustami w jego brzuch, wyduszam:

– Yyy…

– W czym mogę ci pomóc, dziołcha? – pyta Góra.

W czym mogę ci pomóc, dziołcha?

Dobry Boże, to Szkot. Wielki, półnagi Szkot w kilcie. Uśmiecha się, jakby znał wszystkie moje sekrety, wiedział, jaki mam kolor majtek i że jestem ciekawa, jak by to było, gdyby mężczyzna ciągnął mnie za włosy podczas seksu.

– Yyy…

– A wybacz, chodzi o muzykę, ta? Mamy tu taką maleńką imprezkę. Załatwię to. – Odwraca się, po czym ryczy przez ramię: – Ściszcie tę cholerną muzykę, durne sieroty, przeszkadzacie sąsiadom!

W mieszkaniu znajdują się osoby obu płci, w różnych stadiach negliżu. Piją i śmieją się. Leżą na kanapie albo siedzą na podłodze ze skrzyżowanymi nogami wokół stolika kawowego, na którym blondynka z niewiarygodnie ogromnym gołym biustem rozdaje karty.

Zaczynam mrugać, jakbym próbowała przekazać coś alfabetem Morse’a.

Muzyka cichnie o jeden decybel, a Góra odwraca się do mnie z triumfalnym uśmiechem. Lekko kołysze się na piętach. O ile nie spryskał się wodą kolońską o zapachu słodu z jęczmienia, to wypił okropnie dużo piwa.

Zanim zdołam odzyskać zdolność mówienia, Góra głośno beka, salutuje, a następnie zatrzaskuje mi drzwi tuż przed nosem.

DWA

Kiedy następnego ranka o piątej dzwoni budzik, zostaję wyrwana z niepokojącego snu o Melu Gibsonie prowadzącym do boju grupę tęgich wojowników w kiltach. Jest tam mnóstwo włóczni, wrzasków i niebieskiej farby na twarzach oraz ohydnego bekania.

Sięgam po iPhone'a, który leży na stoliku nocnym, przy okazji zrzucając go na podłogę.

– Panie Bingley. – Lekko szturcham futrzaną kulę drzemiącą na mojej piersi. – Panie Bingley, obudź się.

Unosi pyszczek nad łapkami i mruga, a potem ziewa szeroko, kładąc uszy po sobie i ukazując kły. Następnie z powrotem kładzie głowę i spokojnie wraca do snu.

– Panie Bingley – nalegam, głaszcząc go po policzku. – Muszę wstać. – W odpowiedzi słyszę lekkie chrapnięcie.

– No dalej, koteczku, mamusia musi iść do pracy i zarobić na twoją karmę. Chyba nie chcesz głodować, co?

Czasami, jak teraz, zastanawiam się, czy jego słuch nie jest lepszy, niż to pokazuje, bo w odpowiedzi na moje pytanie zostaję uderzona ogonem w twarz.

– Nie zostawiasz mi wyboru. – Przekręcam się na bok i zrzucam kota. Zeskakuje bez problemu, obdarzając mnie lekkim oburzonym burknięciem spowodowanym moimi złymi manierami.

Podnoszę telefon z podłogi, po czym przysuwam go pod sam nos, szukając przycisku, żeby wyłączyć budzik. Biorę okulary ze stolika nocnego i nakładam je, by móc zobaczyć pokój.

Pan Bingley siedzi na końcu łóżka, patrząc na mnie tak, jakbym uraziła jego wspaniałych przodków.

– Wiem, nieposłuszna ze mnie niewolnica. Chodźmy na śniadanie.

Drepczę do kuchni z kotem przy nodze. Karmię Pana Bingleya, potem robię sobie kawę i czekam, aż resztki z wczorajszej kolacji zagrzeją się w mikrofalówce. Zrobiłam klopsy – przepis mojej babci,

najlepsze jedzenie na pocieszenie na świecie – i wsłuchiwałam się w odgłosy imprezy po drugiej stronie korytarza. Kusiło mnie, żeby zadzwonić na policję, ale poczułam się jak zrzęda, więc przez kolejne godziny cierpiałam z powodu krzyków i śmiechów, aż wreszcie wszystko ucichło około pierwszej w nocy, bo, jak przypuszczam, wszyscy odlecieli.

Albo cokolwiek ludzie robią po ekscytującej partyjce rozbieranego pokera.

Wpycham sobie do ust kawałek klopsa, kiedy dobiega mnie odgłos trzaśnięcia drzwiami w korytarzu. Ciekawa, by zobaczyć, kto odbywa spacer hańby kwadrans po piątej w sobotę rano, zmierzam do drzwi z talerzem, po czym zerkam przez wizjer.

Po drugiej stronie korytarza stoi Góra. Ma na sobie szarą koszulkę i pasujące do niej spodnie dresowe. W uszach ma słuchawki i wstukuje coś na telefonie. Przesuwa palcem po ekranie, jakby czegoś szukał. Muzyki?

Czy on zamierza biegać?

Nie. To niedorzeczne. Słońce nawet jeszcze nie wstało. Jest grudzień, zdziwiłabym się, gdyby temperatura na zewnątrz sięgała powyżej zera. Nie zapominajmy też o tych cyckach i piwach z ubiegłej nocy. Prawdopodobnie ma teraz okropnego kaca, nie wspominając już o nieznośnym pieczeniu w okolicy krocza. I na pewno nie spał dłużej niż cztery godziny. Zapewne tylko wybrał się do Starbucksa.

Odnajduje to, czego szukał w telefonie, wkłada go do kieszonki na biodrach, a następnie zaczyna ćwiczenia rozciągające.

Nie trzeba się rozciągać, żeby iść po kawę.

Ten facet rozciąga się na korytarzu o piątej piętnaście rano w sobotę po nocnej balandze, przygotowując się do biegania przed świtem na mrozie.

Ewidentnie nie jest człowiekiem. I jest szalony. To obłąkany kosmita w kilcie, który lubi brudne gierki w karty, wielkie piersi, alkohol oraz wczesnoporanne przebieżki po niebezpiecznych miejskich okolicach.

Zafascynowana patrzę, jak wykonuje całą serię skłonów i rozciągnięć, rozgrzewając mięśnie. Kiedy kończy, już czuję się

zmęczona. Kończę również swojego klopsa. Potem Góra biegnie korytarzem, kierując się w przeciwną stronę od windy, a to znaczy, że zapewne skorzysta ze schodów.

Jesteśmy na dziewiętnastym piętrze.

Żałuję, że nie mam numeru do Kellena, bo dowiedziałabym się, kim jest ten psychopata. Ale Kellen i ja jesteśmy tylko sąsiadami pozostającymi w przyjaznych relacjach, a nie przyjaciółmi, którzy robią razem różne rzeczy, więc nie mam szczęścia.

Biorę prysznic, ubieram się, daję Panu Bingleyowi buziaka na pożegnanie, po czym ruszam do pracy. Poranne powietrze uderza mnie w twarz. Od stacji metra dzieli mnie pół przecznicy pieszo, ale mógłby to być równie dobrze półmaraton, zważywszy na to, jak się pocę i rzężę po dotarciu na miejsce, pomimo zimna. W sypialni mam bieżnię i ciągle obiecuję sobie, że zacznę jej używać, ale obecnie służy głównie jako wieszak na ubrania.

Do biura muszę przejść kolejne pół przecznicy. Wjeżdżam windą na trzydzieste trzecie piętro z Dennym, głównym konserwatorem budynku, który przez ostatnie dziesięć lat opowiadał mi najgorsze dowcipy, jakie kiedykolwiek wymyślono.

Wszystkie bez wyjątku dotyczą puszczania bąków.

– Starsza kobieta idzie do lekarza – zaczyna jak zwykle bez żadnego wstępu. – Mówi do niego: Mam bardzo wstydliwy problem. Widzi pan, ciągle puszczam bąki. Ale one nie śmierdzą i nie wydają żadnego dźwięku, więc nie przeszkadzało mi to przez te wszystkie lata. Puściłam już trzy bąki, odkąd weszłam do pana gabinetu.

Denny zerka na mnie, żeby upewnić się, że słucham, a ja kiwam głową, zastanawiając się, czy czasem nie umarłam wiele lat temu w jakimś okropnym wypadku i od tego czasu żyję pomiędzy światami. Serio, to by wiele wyjaśniało.

Denny kontynuuje:

– Rozumiem, mówi lekarz i przepisuje jej jakieś tabletki. Proszę je brać trzy razy dziennie i za tydzień wrócić na kontrolę. Tydzień później kobieta wpada jak burza do gabinetu. Doktorze, co pan zrobił? Odkąd zaczęłam brać te tabletki, moje bąki stały się okropnie śmierdzące. Jeszcze pan wszystko pogorszył! Doktor odpowiada

spokojnie: Skoro już wyleczyliśmy pani zatoki, zajmijmy się słuchem.

Mój uśmiech jest naprawdę słaby.

– Dobre.

– Tak sądzisz? Dzisiaj przy śniadaniu opowiedziałem ten dowcip żonie i uznała, że nie jest śmieszny.

Denny jest żonaty od jakichś stu lat z Phyllis. Nigdy nie poznałam tej kobiety, ale szczerze jej współczuję.

– To moje piętro. Miłego dnia, Denny.

– Do zobaczenia, dzieciaku – woła, kiedy drzwi się otwierają, a ja wychodzę z windy.

Recepcja jest pusta, boksy również. Zdejmuję płaszcz i szalik, usadawiam się na krześle i właśnie ściągam gumowe zaczepy, którymi Portia spięła manuskrypt, kiedy w holu prowadzącym do biur zarządu pojawia się mężczyzna i z wielką pewnością siebie przemierza korytarz, trzymając w ręku kubek. Ma na sobie granatowe spodnie oraz śnieżnobiałą koszulę z odpiętym kołnierzykiem i rękawami podwiniętymi do połowy silnych ramion.

Serce zamiera mi w piersi.

To Michael Maddox, dyrektor generalny Maddox Publishing, najbardziej idealny z żyjących mężczyzn. Kocham się w nim od dekady. Na moje nieszczęście, jest żonaty. To bardzo dziwne, ale niezależnie od prędkości, z jaką się porusza, Michael zawsze wydaje mi się chodzić w zwolnionym tempie, a delikatna bryza rozwiewa mu włosy, niczym złocistą poświatę wokół jego głowy. Nazwać go pięknym to dla niego uchybienie. Ten facet jest wspaniały. Bóstwo. Jest jak ożywiona rzeźba Michała Anioła. Czarne włosy, szerokie ramiona, błękitne oczy, które mogłyby topić stal, ale głównie roztapiają majtki. W zasadzie jest uderzająco podobny do Supermena.

I zmierza prosto w moją stronę!

W pierwszym odruchu chcę się schować. Ale już mnie widział, więc mój plan, żeby wskoczyć pod biurko i zostać tam, aż przejdzie, idzie się paść.

– No witam. – Zatrzymuje się kilka kroków ode mnie, uśmiechając się, a ja mogłabym przysiąc, że słyszę anielski śpiew. – Widzę, że nie

jestem jedynym nieszczęśnikiem pracującym w weekend. Jak się masz, Joellen?

Michael pochodzi z Londynu, więc ma ten niesamowicie czarujący brytyjski akcent, który staje się jeszcze bardziej niesamowity, kiedy pieści samogłoski w moim imieniu. Fakt, że on w ogóle je pamięta, sprawia, że cała drżę.

– Dzień dobry, panie Maddox.

Dzięki ci Boże za to, że brzmię jak istota ludzka, a nie plac zabaw pełen wrzeszczących dzieciaków, którym jestem w środku.

Wykrzywia usta.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś mówiła do mnie Michael?

Prawie mdleję. Nie tylko pamięta moje imię, ale pamięta, że już ze mną rozmawiał. Słodki Jezu, Gwiazdka przyszła wcześniej w tym roku.

– Michael. – Wypowiadam jego imię z namaszczeniem. Aż dziwię się, że z ust nie posypało mi się konfetti w kształcie serduszek. *Nie bądź dziwna! Przestań się na niego gapić! Zamknij usta!*

Spuszczam wzrok, moje policzki płoną. Uświadamiam sobie, że ściskam manuskrypt tak mocno, że pobielały mi knykcie. Zmuszam się do oddychania, co jest prawdopodobnie najtrudniejszą rzeczą, jaką zrobiłam od lat.

– Mam nadzieję, że nie pracujesz zbyt ciężko. – Michael marszczy brwi, patrząc na mój śmiertelny uścisk na manuskrypcie.

Odklejam język od podniebienia.

– To tylko kilka drobiazgów. Chcę nadgonić robotę na przyszły tydzień. – *Kłamstwa, kłamstwa, wszystko to kłamstwa. Jesteś wielką, tłustą kłamczuchą. Ciekawe, czy jego włosy są tak miękkie, jak wyglądają.*

– Cudownie! Uwielbiam ludzi z inicjatywą.

Jego oczy – błękit letniego nieba albo nieodkryty tropikalny raj – śmieją się wraz z resztą jego twarzy. Ma przy nich małe kreseczki, które w jakiś sposób dodają mu urody. W przeciwieństwie do moich, które tylko sprawiają, że wyglądam jak zabiedzona.

– Cóż, a ja uwielbiam przejmować inicjatywę.

Kiedy tylko wypowiadam te słowa, mam ochotę wepchnąć pięść do swoich ust, żebym już nic więcej nie mogła powiedzieć. Jakimś

sposobem sprawiłam, że niewinne zdanie zabrzmiało jak propozycja seksualna, a fakt, że idealne brwi Michaela unoszą się, bez wątpienia to potwierdza.

– Czyżby? – mruczy. Brzmi na rozbawionego.

Dlaczego taka jestem? W myślach zwracam się do wszechświata. *Dlaczego nie mogę być normalna? Kiedy zamierzasz spuścić na moją głowę pianino i uwolnić mnie od mojego nieszczęścia?*

Po okropnej chwili, podczas której Michael patrzy, jak moja twarz płonie, a dłonie zachowują się jak wielkie, blade ćmy szamoczące się po manuskrypcie, robi mu się mnie żal.

– W takim razie pozwolę ci wrócić do pracy. Może przynieść ci kawę? Właśnie idę do kuchni po dolewkę?

Potrząsam głową, zbyt zażenowana, żeby się odezwać czy choćby na niego spojrzeć.

– W porządku. Na zdrowie. – Unosi kubek na pożegnanie, po czym kieruje się w stronę kuchni. Kiedy tylko znika mi z oczu, padam twarzą na biurko i jęczę.

Nie powinno się mnie wpuszczać do miejsc publicznych.

***

Nie widzę Michaela przez resztę dnia. Możliwe, że wyskoczył z okna, żeby uniknąć ponownej rozmowy ze mną. Nie żebym go winiła. Jestem takim nieudacznikiem, że komuś takiemu jak on zapewne ciężko oddycha się tym samym powietrzem.

Kiedy wychodzę z biura, jest ciemno i zimno, zupełnie jak we wnętrzu mojego serca. I kilku innych miejscach na moim ciele. Jestem tak bardzo zatracona w samooskarżaniu się, że wysiadam z windy na moim piętrze, mijając panią Dinwiddle, która stoi w otwartych drzwiach swojego mieszkania.

– Kaczuszko! Kaczuszko! – woła podekscytowanym głosem.

Odwracam się i patrzę na nią, mrugając.

– Dzień dobry pani Dinwiddle. Przepraszam, nie zauważyłam pani. Jestem dzisiaj trochę rozkojarzona.

Macha ręką, w której trzyma kieliszek martini, a drink wylewa się, ochlapując drewnianą podłogę.

– Mam nowinki!

Penelope Dinwiddle jest emerytowaną aktorką teatralną z Yorkshire w Anglii, która odnalazła sławę i pieniądze w szekspirowskiej trupie przemierzającej Europę w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Teraz, już sporo na północ od osiemdziesiątki, nie straciła nic ze swojej aktorskiej natury. Stoi w drzwiach, z czerwoną pomadką na ustach i sztucznymi rzęsami, ubrana w powłóczystą, lawendową szatę i pasujący peniuar, na szyi ma białe boa z piór. Założyła też całą swoją biżuterię, w tym diamentową tiarę, którą podarował jej jakiś pomniejszy saudyjski książę.

Osiem razy była mężatką. Kellen i ja nazywamy ją Elizabeth Taylor z SoHo.

Cała podekscytowana przywołuje mnie gestem. Gdzieś w głębi mieszkania jej filipińska opiekunka, Blessica, ucisza trzy wrzeszczące szpice miniaturowe, które zwą się Fee, Fi i Fo.

– Wiesz, że *Kellen* poleciał do *Szkocji* na święta? – Pani Dinwiddle akcentuje co któreś słowo, bo nic jej tak nie mierzi jak nudne przekazywanie wiadomości.

– Nie, nie wiedziałam o tym. Nie rozmawiałam z nim od kilku…

– A jego *kuzyn*, gracz w *rugby*, zatrzymał się w jego *mieszkaniu*! Zamienili *się*, rozumiesz? – Próbuje zaklaskać, ale udaje jej się tylko wylać więcej martini.

Przetwarzam informację. Więc Góra jest graczem rugby. A on i Kellen zamienili się mieszkaniami na święta.

Cudownie. Zważywszy na przedstawienie z ostatniej nocy, czekają mnie tygodnie piekła.

– Blessica wpadła *na* niego dzisiaj *rano*, kiedy szła wyprowadzić *psy*, a on opowiedział jej *całą* historię! Wiesz, jak ona potrafi skłonić *każdego* do mówienia. Powiedziała mi, że to wielki, *przystojny* gość, ale jej wzrok nie jest już taki jak *kiedyś*, niech ją Bóg błogosławi. I właśnie widziałam go *chwilę* temu, no niech mnie! On nie jest po prostu wielki – jest *gigantyczny*!

Z kieszeni szaty wydobywa chiński jedwabny wachlarz. Otwiera go z trzaskiem i zaczyna wachlować twarz, wywracając oczami w

ekstazie na myśl o wielkim, dobrze wyglądającym atlecie mieszkającym na naszym piętrze.

– Tak, jest ogromny. I hałaśliwy. Ledwo zdołałam usnąć przez cały ten harmider ubiegłej nocy – mówię.

Przestaje się wachlować. Zerka na mnie, zaskoczona.

– Harmider?

Właśnie wtedy przypominam sobie, że pani Dinwiddle zaczyna pić codziennie o pierwszej po południu, bo to pora na drinka w Londynie. Całe jej życie nadal podporządkowane jest czasowi londyńskiemu. Do dziewiątej wieczorem jest już nieprzytomna i leży razem z Fee, Fi i Fo na swoim różowym, satynowym łóżku.

– Nieważne. Tak czy inaczej, chciałam zrobić dzisiaj na kolację lazanię.

Pani Dinwiddle kręci nosem.

– Włoskie?

Powstrzymuję się od westchnięcia. Ponieważ jestem żałosna i nie mam życia prywatnego, zawsze w soboty gotuję kolację dla pani Dinwiddle, ale niestety kilka moich pierwszych sugestii zawsze spotyka się z brakiem entuzjazmu. Diwy zwykle są wybredne.

– A może zapiekanka pasterska?

– Och, *cudnie*! – Rozpromienia się i lekko szturcha mnie wachlarzem. – Nie jadłam jej od *wieków*. Przypomina mi o czasie, kiedy grałam Lady Macbeth w Piccadilly i poznałam tego *postawnego* maszynistę, który uczył się na *kucharza*…

– Do zobaczenia za godzinę – przerywam, zanim rozkręci się z opowieścią o swoim kolejnym chłopaku.

– W porządku, Kaczuszko! Pa!

– Pa – mamroczę, idąc korytarzem, irracjonalnie wściekła, że ta osiemdziesięciolatka ma ciekawsze wspomnienia niż wszystko, co zdołałabym wymyślić nawet w najśmielszych fantazjach.

Moja posucha seksualna trwa tak długo, że to już nawet nie zwykła susza, ale biblijna plaga.

Otwieram drzwi i dostrzegam kota rozciągniętego na środku salonu, jakby zastrzelił go myśliwy.

– Cześć, Panie Bingley.

Nie podnosi głowy, dopóki drzwi nie zatrzaskują się za mną. Wtedy skacze na równe nogi, jakby ktoś dotknął go rozgrzanym żelazkiem i patrzy dziko wokół siebie. Dostrzega mnie, udaje, że nic się nie stało, po czym zaczyna wylizywać sobie ogon.

– Nie nabierzesz mnie, kotku. Wcale nie jesteś takim luzakiem. Chodź, pomożesz mi przy kolacji.

Podąża za mną do kuchni, ale niezbyt szybko. Upewnia się, że wiem, że to był jego pomysł, nie mój.

Karmię go, otwieram paczkę solonych chipsów, żeby przegryźć coś przy gotowaniu, a potem przygotowuję wszystkie składniki na zapiekankę. Rozgrzewam piekarnik, kroję warzywa i nastawiam w garnku osoloną wodę na ziemniaki. Jestem w trakcie podsmażania jagnięciny, czosnku, marchewek i cebuli, kiedy z drugiej strony korytarza dobiega muzyka.

Zaczyna się nagle i z pełną mocą, jakby ktoś słuchał wcześniej na słuchawkach i nagle wyjął wtyczkę. Wszystkie te ciężkie brzmienia gitar i dudnienie bębnów są tak głośne, że aż drżą szyby w oknach. A potem dobiega mnie głos mężczyzny, który wydaje się należeć do osoby hobbystycznie palącej crack i połykającej żyletki.

Mam cię znowu, sukinsynu
Będę z tobą, sukinsynu
Jesteśmy gangsterami, kurwa, do śmierci!

– Chyba sobie jaja robi – mówię do kota, który mruga wolno w odpowiedzi, jakby mówił: „Najwidoczniej nie”.

Wyłączam palnik, odkładam drewnianą łyżkę i po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin ciągnę swój tyłek przez korytarz, żeby zapukać do drzwi sąsiada.

TRZY

Tym razem, kiedy drzwi się otwierają, jestem przygotowana. Albo byłabym, gdyby Góra miał na sobie swój kilt albo dresy i bluzę z kapturem, albo cokolwiek innego, oprócz tego, co ma.

Maluteńki, biały ręcznik kąpielowy przytrzymywany tylko jedną krzepką dłonią, nic więcej.

Jego włosy są mokre. Szeroka, wytatuowana klatka piersiowa błyszczy od kropel wody. Ręcznik jest tak mały, że rozchyla się na jednej nodze jak rozporek spódnicy, ukazując gołe, muskularne udo tak prowokujące, że w niektórych krajach pewnie uznano by to za nielegalne.

Wpatrując się szeroko otwartymi oczami w jego nogę, wyduszam z siebie:

– Yyy…

Góra uśmiecha się do mnie szeroko.

– To już drugi raz, kiedy odebrało ci przeze mnie mowę, dziołcha. Wyobraź sobie, co by się stało, gdybym puścił ten ręcznik. Musiałbym dzwonić po karetkę.

Dobra, muszę mu to oddać: akcent ma seksowny. To zaokrąglone R – fiu! Moje jajniki zaczynają się wachlować. Ale widać, że jest bardzo pewny siebie. I kto otwiera drzwi półnagi? *Drugi raz!*

Narcyz z okropnym gustem muzycznym, oto kto.

Prostuję się i zmuszam, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Czy mógłbyś ściszyć muzykę? Jest naprawdę głośna, a ja musiałam jej słuchać całą ubiegłą noc…

Przykłada dłoń do ucha, a następnie potrząsa głową, jakby mnie nie słyszał.

Grr. Krzyczę:

– Czy mógłbyś ściszyć muzykę?

Ale on już stracił zainteresowanie tym, co mówię i zaczyna węszyć w powietrzu, pochyla się do przodu ze zmarszczonymi brwiami i

uniesionym nosem jak ogar.

– Co to za zapach?

W pośpiechu zostawiłam otwarte drzwi do mieszkania. Woń gotującej się jagnięciny wypełnił korytarz.

– Zapiekanka! – Przekrzykuję hałas. – Czy mógłbyś…

Wymija mnie, przechodzi przez korytarz, po czym wkracza do mojego mieszkania jak do siebie.

– Hej! – Ruszam za nim, ale postanawiam najpierw wbiec do mieszkania Kellena i wyłączyć muzykę. Byłam tam kilka razy, więc wiem, gdzie znajduje się odtwarzacz i szybko wciskam wyłącznik. Nagle nastaje upragniona cisza. Potem w panice pędzę do mojego mieszkania, gorączkowo rzucając koc na czyste pranie, którego nie zdążyłam jeszcze poskładać i teraz leży rozrzucone na kanapie.

Oczywiście to sterta skarpetek i bielizny.

Znajduję Górę stojącego przy mojej kuchence, wyjadającego jagnięcinę i warzywa prosto z patelni palcami.

– Hej. Co, do diaska, jest z tobą nie tak? – Skaczę wokół niego jak żaba wokół lwa, klepiąc go lekko w rękę. – Zabieraj łapy od mojej kolacji!

– Są czyste – mówi niewinnie, oblizując palce. – Jakbyś nie zauważyła, przed chwilą brałem prysznic. – I puszcza mi oczko.

Puszcza oczko. Ten facet najwyraźniej miał zdecydowanie zbyt wiele kontuzji.

Porywam patelnię z kuchenki, po czym staję na środku kuchni i piorunuję go wzrokiem.

– Mógłbyś już wyjść? I nie słuchać zbyt głośno muzyki? Poza tobą w tym budynku mieszkają też inni ludzie.

Oblizuje wargi, potem przeczesuje palcami mokre włosy, a przy tym geście napinają się wszystkie mięśnie jego ramienia. Zastanawiam się, jak często ćwiczył ten ruch przed lustrem. Napuszony paw.

– Nie zaprosisz mnie na kolację? Mógłbym pomóc ci poskładać pranie.

Mógłbym pomóc ci poskładać pranie.

Mówi to z błyskiem w oku, a ja napawam się krótką, choć satysfakcjonującą fantazją, w której rozbijam patelnię na jego

grubej, zarozumiałej czaszce. Żaden z niego Jamie Fraser z *Outlandera*.

– Tak przy okazji, jestem Cameron. Zatrzymałem się u mojego kuzyna, Kellena, na…

– Wiem – przerywam mu. *Dlaczego sobie nie pójdzie?*

– A ty jesteś…

– Joellen. Miło mi. Do widzenia.

Rozgląda się po moim mieszkaniu.

– Co, nie chcesz przedstawić mnie swojemu chłopakowi?

– Chcę tylko nie mieć w mieszkaniu mokrego, półnagiego nieznajomego z większą ilością mięśni niż manier.

Uśmiech Camerona przechodzi w pełny, olśniewający tryb „Nie można mi się oprzeć".

– Czyli zauważyłaś moje mięśnie. I nie masz chłopaka.

Przez chwilę jestem oszołomiona. *Czy on ze mną flirtuje?*

Ale zaraz potem zdaję sobie sprawę, że wcale tak nie jest. On się ze mnie nabija. Bo najwidoczniej kobieta taka jak ja – wielka, w okularach, sama w sobotni wieczór z kotem i koszem pełnym babcinych majtek – nie ma chłopaka.

Pan Bingley siedzi u stóp Camerona, wpatrując się w niego, jakby chciał, żeby go podniósł i przytulił. *Zdrajca*.

Z całą godnością, na jaką mogę się zdobyć, staję prosto.

– Wybacz mi – mówię chłodnym tonem – ale mam randkę z kolacją. Przez ciebie się spóźnię.

– Och. – Wygląda na zbitego z tropu, jakby możliwość, że mówię prawdę o randce, była tak niedorzeczna, że nie wie, co na to odpowiedzieć. Pewnie myśli, że wygrałam jakąś aukcję kawalerów, czy coś. – No cóż, dobrze. Miłego wieczoru.

Odwraca się, po czym wychodzi bez słowa, pozostawiając mnie gapiącą się na jego idealną, oddalającą się sylwetkę.

Dlaczego życie jest tak niesprawiedliwe, że obdarza największym pięknem najbardziej niegodne bestie?

Oprócz Michaela Maddoxa. On jest piękny w środku i na zewnątrz.

Odkładam patelnię na palnik i włączam ogień, po czym ruszam zamknąć drzwi wejściowe. Ale zanim to zrobię, rzucam jeszcze ostatnie spojrzenie na Górę, który również zamyka właśnie drzwi. Z

idealnym wyczuciem czasu odwraca się, ściąga ręcznik i rzuca go na podłogę, więc ostatnim co widzę, gdy drzwi się zamykają, to jego nagi tyłek.

Jestem za młoda na menopauzę, ale to uderzenie gorąca to chyba poważna sprawa.

***

Kolacja z panią Dinwiddle to godzina słuchania opowieści z jej młodości, podczas gdy ja wpycham sobie jedzenie do ust, a ona pije jedno martini za drugim i karmi psy bezpośrednio z talerza. Blessica, jej opiekunka, jest po sześćdziesiątce, ale ma energię czterolatki. Krząta się po mieszkaniu, sprząta rzeczy, które tego nie wymagają i sprawia, że w porównaniu do niej czuję się jak leń. Ona nigdy nie zostawia nieposkładanych ubrań na kanapie.

Kiedy wychodzę, pani Dinwiddle wyśpiewuje bełkotliwą wersję piosenki *Danny Boy*, by uhonorować młodego Irlandczyka, z którym łączył ją płomienny romans, kiedy była młodą dziewczyną, a który utopił się w morzu, kiedy jego ojciec nie pozwolił im na ślub.

Nie jestem całkowicie przekonana, że ta historia jest prawdziwa, ale i tak uważam ją za okropnie romantyczną.

Blessica pomaga pani Dinwiddle położyć się do łóżka, następnie sprzątamy po kolacji. Potem wracam sama do swojego mieszkania, a jedyne, na co mam nadzieję w przyszłości, to że znowu wpadnę w biurze na Michaela.

Otwieram drzwi i nagle słyszę długi, przeciągły jęk, dobiegający zza moich pleców.

Odwracam się, patrząc ze zmarszczonymi brwiami na drzwi Kellena. Jęk znowu dobiega zza drzwi, a po nim huk, który wstrząsa futryną. Potem niski, męski głos zaczyna mamrotać niewyraźnie, a jęki i huki wzmagają się. Dodaję dwa do dwóch, gdy jęki zaczynają brzmieć jak imię.

– Cam! O Boże, Cam, tak, tak, tak!

Nie, nie, nie. On uprawia z kimś seks! Przy drzwiach!

Nie dość, że ten Szkot jest chamskim, zapijaczonym playboyem z dziwnymi nawykami w kwestii ćwiczeń fizycznych, to jeszcze

uprawia seks na stojąco! Kto tak robi?

Huk. Huk. Jęk. Huk.

Najwidoczniej on.

Zszokowana, stoję z talerzem resztek zapiekanki pasterskiej i słucham, aż huki i jęki osiągają kulminacyjny punkt. Kobieta wyje jak syrena przeciwpożarowa. Cam burczy jakieś niezrozumiałe słowa – coś sprośnego, tego jestem pewna, chociaż nie potrafię zrozumieć – a potem wydaje z siebie dźwięk, jak warknięcie wilka, który unosi wszystkie włoski na moim karku.

Wtedy zapada cisza, a ja czuję, że muszę wziąć prysznic. W wybielaczu.

Wściekła, że zostałam mimowolnym uczestnikiem „sekskapady" Góry, drę się przez korytarz:

– Totalnie udawała! – Wchodzę do środka, zatrzaskując za sobą drzwi.

Co za świnia. Co za absolutny zwierzak! Co za arogancka, zarozumiała, samolubna, nieznośna męska dziwka!

Z oparcia kanapy Pan Bingley obserwuje z zainteresowaniem, jak wkraczam do kuchni, po czym z impetem wrzucam talerz do lodówki.

– Z samego rana złożę skargę do administratora – mówię do kota, zatrzaskując drzwi lodówki. – Nie powinniśmy musieć znosić tego idioty i jego muzyki, imprez oraz głośnych numerków na stojąco! Ja pracuję! Opłacam swoje rachunki! Nie powinnam być zmuszona do…

Łup, łup, łup!

Staję jak wryta. Ktoś wali do moich drzwi.

– Kto tam?

Odpowiedź jest stłumiona, ale słyszę dobrze.

– Przestań mnie szpiegować, ty mała podglądaczko, albo zadzwonię do administracji!

Zachłystuję się powietrzem. To Cameron. Oskarża mnie o podglądanie!

Ruszam w kierunku drzwi. Otwieram, a następnie wrzeszczę prosto w twarz tego idioty:

– To ja zadzwonię do administracji, bo jesteś głośny, odrażający i chamski!

Moja tyrada traci nieco wigoru, kiedy zauważam, że on się uśmiecha. I – oczywiście – stoi tam z gołą klatą, w dodatku boso. Ma na sobie tylko błyszczące, czarne spodenki do ćwiczeń, tak ciasne, że wypukłość na przodzie praktycznie krzyczy: „Patrz na mnie!”.

Jasna cholera. Ta bestia jest naprawdę potężna.

– Znowu gapisz się na mojego dziecioroba, dziołcha – mówi Góra z niskim śmiechem. – Robi się z tego twój brzydki zwyczaj, co nie?

Para bucha mi z uszu. Cała twarz zaczyna płonąć. Zaciskam dłonie w pięści, żeby nie wczepić się paznokciami w jego szyję.

– Gdybyś nie paradował półnagi przez cały czas…

– Paradował? – powtarza, unosząc jedną brew. – Cameron McGregor nie paraduje.

– … ludzie nie byliby zmuszeni do oglądania twojego ciała…

– W twoich ustach brzmi to jak kara.

– … nagabywani we własnym domu, kiedy próbują jedynie zająć się swoimi sprawami…

– Dobrze wiem, że ci się to podoba.

Szczęka mi opada.

– Słucham?

Szczerzy się.

– Słyszałaś. Wiem, kiedy kobieta mnie pragnie.

Jestem zaskoczona, że ten jaskiniowiec nie rozpadł się na milion maleńkich strzępków pod wpływem termonuklearnego spojrzenia, jakim go obdarzyłam.

– Dla twojej wiadomości, jesteś ostatnim facetem na tej planecie, którym kiedykolwiek bym się zainteresowała. Pomimo twojej ewidentnie wygórowanej opinii na temat własnej osoby, nie jesteś w moim typie.

– O, czyżby? – Nadal szczerząc się tym niedorzecznym, zarozumiałym, perłowobiałym uśmiechem, opiera dłoń na biodrze. – To czemu zawsze gapisz się na mnie, jakbym był twoim obiadem, i podglądasz mnie przez wizjer?

– Jesteś szurnięty – mówię beznamiętnie.

Wskazuje brodą na maleńką, szklaną dziurkę w moich drzwiach.

– Robi się ciemny, kiedy twoja głowa blokuje światło. Powiedziałbym, że gapiłaś się przez dobre pięć minut, jak

rozgrzewałem się rano, dziołcha.

Cholera. Wiedział, że patrzyłam.

Twarz mi płonie, kiedy obrzucam go gniewnym spojrzeniem. Odpowiada mi szerokim uśmiechem. Trwa to przez okropnie długą chwilę, aż z korytarza dobiega nas kobiecy głos.

– Cam, wracaj tu! Nie skończyliśmy!

Nie odrywając ode mnie wzroku, swobodnie odpowiada przez ramię:

– A właśnie, że skończyliśmy, skarbie. Zamówię ci taksówkę.

– Wow. Cóż za dżentelmen.

Wzrusza ramionami.

– Wiedziała, jaki jest układ. Nie idziesz do domu z nieznajomym po jednym drinku, jeśli liczysz na długotrwały związek.

Ten koleś to prawdziwy łajdak.

– Dobra. Po pierwsze? Jesteś odrażający. Po drugie? Ta rozmowa właśnie dobiegła końca. Po trzecie? Jeśli nie przestaniesz z tymi hałasami, nie tylko zadzwonię do administracji, ale wezwę gliny.

Podnosi głowę, mierzy mnie wzrokiem z góry do dołu, po czym oznajmia:

– Jesteś spięta. Chyba twoja randka nie poszła tak dobrze, jak moja, co?

Nagle zaczynam rozumieć, jak, zwykle racjonalni, ludzie mogą stracić głowę i zamordować kogoś, powodowani gniewem.

– Mówię poważnie, McGregor. – Zamykam drzwi. Zatrzaskują się przed jego twarzą z głośnym, satysfakcjonującym hukiem.

– Mam dla ciebie propozycję, Joellen – słyszę jego słowa przez drzwi.

– Jeśli dotyczy połknięcia przez ciebie fiolki z trucizną, wchodzę w to.

– Upiecz mi swoją zapiekankę pasterską, a będę cichutko jak myszka. Twoja zapiekanka za moje milczenie. – Nuta rozbawienia ociepla jego głos.

– Zapiekanka. Rozumiem. Zabawne. Ile ty masz lat, dziesięć?

W odpowiedzi otrzymuję dwa potwierdzające puknięcia w drzwi, jakbyśmy zawarli układ, chociaż na nic się nie zgodziłam. Potem jego

drzwi zamykają się po przeciwnej stronie korytarza, a ja stoję w miejscu, gapiąc się, jak idiotka, w pomalowaną, drewnianą płytę.

Gdy się odwracam, dostrzegam, że Pan Bingley z lubością wylizuje miejsce, w którym kiedyś znajdowały się jego jajka.

– Uch. Mężczyźni. Wszystko, czym jesteście, macie między nogami!

Pocieszam się myślą o Michaelu Maddoksie, który ma więcej klasy w małym palcu, niż ta bestia z naprzeciwka w całym ciele.

Kiedy słyszę, że drzwi bestii otwierają się i ponownie zamykają, nie idę do wizjera, żeby popatrzeć na dziewczynę, którą przeleciał na stojąco, chociaż zżera mnie ciekawość.

CZTERY

– Co podpaska mówi do bąka? Jesteś wiatrem pod moimi skrzydłami.

– Denny, jest ósma rano w niedzielę, a ja jeszcze nie piłam kawy. Nie jestem psychicznie przygotowana na żarty o bąkach.

Wchodzę do windy w pracy z entuzjazmem kogoś kroczącego po stopniach na szubienicę i opieram się o ścianę. Moje oczy są całe zapuchnięte. Ubiegłej nocy spałam jakieś dwie godziny, dzięki koncertowi rapowemu w mieszkaniu Kellena.

Dwa razy podnosiłam telefon, by zadzwonić na policję i złożyć skargę na hałas, i dwa razy rozłączałam się jeszcze przed połączeniem. Pomimo oskarżeń Camerona naprawdę nie lubię grać głównej roli marudnej, nienawidzącej zabawy starej panny, która czeka tylko, by zrujnować wszystkim wolny czas. Nawet jeśli to samolubni idioci. Więc zamiast tego spałam, z poduszką na głowie, obiecując sobie, że rano zainwestuję w porządne zatyczki do uszu.

Znowu śnili mi się szkoccy wojownicy podczas bitwy, tyle że tym razem wokół bioder mieli maleńkie, białe ręczniki.

Nie pozwoliłam sobie na rozważanie, dlaczego wszystkie te ręczniki miały podejrzane wybrzuszenia z przodu. Przypuszczam, że to temat dla licencjonowanego terapeuty.

– Co dostajesz, kiedy zjesz odsmażaną fasolę i cebulę?

Wypuszczam z siebie ciężkie westchnienie, a potem zamykam oczy.

– Denny. Na miłość boską.

– Gaz łzawiący!

Denny rechocze z własnego dowcipu, a ja stoję z zamkniętymi oczami, analizując wybory życiowe, które doprowadziły mnie do tego momentu.

– Dlaczego małe dziewczynki nie puszczają bąków? Bo dupka zyskują dopiero po ślubie!

– Dobra, ten jest troszkę śmieszny – przyznaję gburowato, ale tylko dlatego, że jestem w specjalnym, nienawidzącym mężczyzn nastroju.

– Tak, to również jeden z ulubionych mojej żony.

Biedna Phyllis. Ta kobieta jest święta.

Winda wypluwa mnie na trzydziestym trzecim piętrze, dokładnie w połowie kolejnego dowcipu o bąkach, tym razem z papieżem w roli głównej. Żegnam się z Dennym, po czym wlokę się do swojego biurka. Spodziewam się, że jestem jedyną kretynką w pracy w niedzielę o świcie, ale ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu nie jestem sama.

Michael Maddox stoi przy przeszklonej ścianie po drugiej stronie strefy boksów, patrząc przez okno na szary grudniowy poranek. Ręce ma schowane w kieszeniach spodni, a ramiona opuszczone, jakby przygniecione niewidzialnym ciężarem.

Staję jak wryta. Serce podchodzi mi do gardła. Wszystkie moje zakończenia nerwowe podnoszą się i ryczą „Rrau!", zupełnie jak Pan Bingley, kiedy domaga się kolacji.

Michael wygląda tak, jakby spał w ubraniach. Włosy ma rozczochrane, koszulę wymiętą, a zwykle idealnie wyprasowane spodnie są ewidentnie niewyprasowane. Delikatny cień znaczy jego kwadratową szczękę i, jasna cholera, ten mężczyzna jest piękny.

Zapewne wydaję z siebie jakieś pożądliwe chrząknięcie, bo Michael odwraca się i zauważa mnie, wpatrującą się w niego zamglonym, przepełnionym hormonami wzrokiem.

– Och – wydusza z siebie, zaskoczony.

Dokładnie, och. Ciekawe, jak bardzo mam zaśliniony podbródek.

Zakłopotana zaczynam się jąkać.

– Ja… przepraszam. Nie chciałam c–ci przeszkadzać. Ja tylko… tylko…

Moje wargi nie działają, jak należy. Mózg odmawia współpracy z językiem, który spoczywa w moich ustach jak rozjechane zwierzę, stratowane i pokryte muchami.

– Znowu dziś pracujesz?

Wszechświat, któremu zrobiło się żal tego, jak bardzo jestem żałosna, w końcu pozwala mi odzyskać mowę.

– Tak.

Michael bierze głęboki wdech, prostuje ramiona, po czym się do mnie uśmiecha. To wymuszony uśmiech, ale i tak cudowny.

– Niemożliwe, żebyśmy płacili ci wystarczająco za takie poświęcenie.

Zdejmij ubrania i będziemy kwita.

Śmieję się. Brzmię jak wariatka, jakbym dopiero co brała kokainę.

Mruga, patrząc, jak fala gorąca przechodzi od mojej szyi aż do nasady włosów. Posyłam mu spięty uśmiech, odrywam od niego wzrok, a następnie pędzę do swojego biurka, niczym jakiś gryzoń nocny w poszukiwaniu jedzenia. Rzucam się na krzesło. Skrzypi w proteście i obniża się dobre piętnaście centymetrów, sprawiając, że biurko mam na wysokości cycków, a swoją opasłą torebkę pod brodą.

I właśnie w takiej pozycji znajduje mnie Michael.

– O Boże. Wszystko w porządku?

Patrzy na mnie ze swojej boskiej wysokości, szczerze zmartwiony niedorzecznym położeniem głupiej, śmiertelnej dziewczyny w puchatej kurtce koloru zupy z zepsutego groszku, którą dostała od matki, gdy przeprowadzała się do Nowego Jorku wieki temu, i do tej pory jej nie zmieniła.

Ach, mądrości po fakcie. Jesteś wielką, bezwzględną suką.

– W porządku – wyduszam z płonącymi policzkami. Z całą gracją, na jaką mnie stać – a nie ma jej zbyt wiele – odsuwam krzesło, wstaję i odkładam torebkę na biurko, po czym poprawiam wysokość krzesła, cały czas w pełni świadoma obecności Michaela.

Na pewno myśli, że jestem totalną katastrofą gatunku ludzkiego. Na pewno myśli, że jestem jąkającą się, niezdarną kretynką, która nie ma nawet takiej koordynacji, jaką Bóg dałby jednonogiej kozie. Na pewno myśli…

– Myślę, że powinniśmy wymienić to krzesło. – Marszczy brwi, patrząc na rzeczony obiekt, jakby uraził go tym, że nie zniósł mojego ciężaru z większą godnością.

Uznaję to za przejaw jego rycerskości, więc prawie omdlewam. Opanowuję się, zanim kolana odmówią mi posłuszeństwa i próbuję swobodnie oprzeć się o biurko, ale stoję za daleko, więc moje nonszalanckie pochylenie się przechodzi w dziwaczne zachwianie,

aż udem uderzam w brzeg mebla z takim impetem, że przewracam kubek z długopisami, a kalendarz zaczyna kołysać się z boku na bok.

Dosłownie byłabym w tej chwili skłonna zamordować małe dziecko w zamian za moc niewidzialności.

– Wydajesz się być w tak samo kiepskim nastroju jak ja – mówi Michael z melancholijnym uśmiechem. – Mam nadzieję, że twoja sobota była lepsza niż moja.

Zamieram. *Omójboże. Czy to zaproszenie do rozmowy o jego życiu osobistym? Czy on pyta mnie o prywatne sprawy? Co mam zrobić? Co powiedzieć?*

Po kilku chwilach, kiedy staje się jasne, że nie potrafię zachowywać się jak normalnie funkcjonująca, dorosła osoba, uśmiech Michaela blednie.

– Cóż, pozwolę ci zabrać się do pracy.

Kiedy odwraca się, by wyjść, wypalam:

– Tak!

Michael, ponownie zaskoczony, odwraca się i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Słucham?

Obiecuję sobie, że jeśli zdołam przetrwać następne sześćdziesiąt sekund, nie robiąc z siebie szajbuski, która uciekła z zakładu zamkniętego, w nagrodę pójdę na kolację do włoskiej knajpki na końcu mojej ulicy, zamówię butelkę wina i w ogóle.

– To znaczy tak, jestem w kiepskim nastroju – mówię to mechanicznie, koncentrując się na tym, żeby z moich ust wydobywały się właściwe dźwięki, podczas gdy moje hormony robią okrążenia z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę wokół mojego systemu nerwowego, wchodząc w tryb wyścigów Formuły 1. – Przez ostatnie kilka nocy nie spałam za dobrze. Mam nowego sąsiada, który próbuje sprawić, żeby wszyscy mieszkańcy naszego budynku ogłuchli przez jego muzykę. Nie zdawałam sobie sprawy, że sprzęt stereo może być wykorzystywany jako narzędzie tortur.

Maleńkie linie wokół oczu Michaela marszczą się uroczo. Dostaję takich palpitacji serca, że tylko stoję nieruchomo i staram się nie umrzeć.

– Kiedyś miałem takiego sąsiada.

Nie potrafię wyobrazić sobie nikogo tak nieludzkiego, żeby przeszkadzać tej przepięknej istocie w jego domu, którym prawdopodobnie jest złoty zamek w chmurach, wypełniony cherubinami i jednorożcami.

– I co zrobiłeś?

Na jego policzku pojawia się dołeczek, a wszystkie moje hormony porzucają swój zaciekły wyścig po moich żyłach i z westchnieniem padają u stóp Michaela.

– Poszedłem do jego domu, wyjaśniłem, że mi przeszkadza i poprosiłem, żeby przestał.

– I zadziałało?

– Nie, w zasadzie było jeszcze gorzej. Więc potem go pobiłem. – Śmieje się z mojej zszokowanej miny. – Żartuję. Zgłosiłem sprawę na policję i zajęli się nim.

Z uwagi na to, że cała moja koncentracja przeniosła się ze sposobu formowania słów na walkę z potrzebą pochylenia się i powąchania szyi Michaela, kiedy próbuję się uśmiechnąć, wychodzi mi jakieś dziwne wyszczerzenie zębów.

– Pewnie też powinnaś to zrobić – mówi Michael, przyglądając mi się z niepokojem. Jestem pewna, że zastanawia się, czy będzie potrzebował czegoś ostrego, żeby się obronić.

Dobry Jezu, zabierz mnie. Proszę, po prostu mnie zabij.

– Masz rację. Wiem, że tak. – Pokonuję potrzebę uderzania raz za razem twarzą w biurko i tylko kiwam głową jak piesek na szybie samochodu. – Ale on mieszka dokładnie naprzeciwko i nie chciałabym musieć go potem oglądać. Wiedziałby, że to ja na niego doniosłam, bo już skonfrontowałam się z nim w tej kwestii.

Mała urocza zmarszczka formuje się między jego brwiami.

– Boisz się, że będzie się mścił? Ten facet to jakiś gangster?

Wiem, że to tylko moja wyobraźnia sprawia, iż wyraz twarzy i ton Michaela wydają się zmartwione, ale moje serce o to nie dba. Zaczyna tłuc dziko o żebra, jakby próbowało wyrwać się z więzienia.

Znowu pojawia się mój uśmiech wściekłego borsuka.

– Cóż, to gracz w rugby! Kto wie, do czego facet jest zdolny!

Joellen, jesteś tak niedorzeczna jak rękawiczki dla węża.

Ale Michael wydaje się znajdować jakiś sens w mojej absurdalnej wypowiedzi, bo jego oczy rozszerzają się.

– Dobry Boże, mieszkasz obok gracza rugby? To tak, jakbyś mieszkała obok dorosłego samca goryla! Definitywnie nie stawiaj się mu ponownie, Joellen. Pozwól władzom zająć się tym.

– Naprawdę?

Przytakuje zawzięcie.

– Uwierz mi, miałem do czynienia z tymi osobnikami, kiedy byłem na Oxfordzie. To zwierzęta. Takie, które kochają tylko siebie. Gracze rugby wynoszą termin egomaniak na zupełnie nowy poziom.

Zdaję sobie sprawę, że również potakuję głową.

– Tak, to idealny opis Camerona McGregora.

Brwi Michaela wystrzeliwują w górę.

– Twoim sąsiadem jest Cameron McGregor?

Dlaczego wygląda na tak przerażonego?

– Yyy, tak?

– Kapitan szkockiej drużyny narodowej, Czerwonych Diabłów? Ten Cameron McGregor?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, dla jakiej drużyny gra…

– Dwa metry wzrostu, rozczochrane, brązowe włosy, wielki niczym drapacz chmur, pokryty tatuażami?

– Brzmi jak on, tak.

Twarz Michaela wyciąga się.

– Chryste. Powinnaś rozważyć przeprowadzkę.

Serce mi zamiera.

– O Boże. To nie brzmi dobrze.

– Nie wiem, jak uważnie śledzisz doniesienia sportowe, ale twój sąsiad jest we wszystkich gazetach i zwykle nie z powodu osiągnięć na boisku. Bójki w barach, seks skandale, pijaństwo i złe prowadzenie się w miejscach publicznych… Temperament McGregora jest tak dobrze znany jak jego podboje kobiet. Na Wyspach magazyny plotkarskie piszą o nim Książę Ściągacz Majtek, ze względu na ilość jego podbojów.

Michael marszczy nos, wypowiadając to przezwisko, czym udowadnia, że bez wątpienia jest dżentelmenem najlepszego rodzaju. Tylko naprawdę wspaniały mężczyzna o wyjątkowym

charakterze mógłby gardzić umiejętnością skłonienia hordy kobiet do zrzucenia bielizny.

– Cóż, jest na dobrej drodze, żeby zasłużyć sobie na ten tytuł również po tej stronie oceanu – mówię, myśląc o seksie na stojąco i imprezie z rozbieranym pokerem. Boję się, co zastanę dzisiaj w domu. Walka zapaśnicza w wypełnionym kisielem baseniku dziecięcym nagle wcale nie wydaje się przesadzona. Wzdycham, potrząsając głową. – Mam nadzieję, że nie wpadnę na niego znowu na korytarzu.

– Trzymaj się od niego z daleka, Joellen.

Michael mówi to z niezachwianą pewnością, z dominacją, jakby to był rozkaz, którego wypełnienia oczekuje. Dlaczego to sprawia, że moje jajniki siadają i zaczynają prosić – z wywalonymi jęzorami i merdającymi ogonami – nie wiem, ale Boże, chciałabym, żeby znowu użył tego tonu.

Najlepiej kiedy będę przełożona przez jego kolano, z majtkami na wysokości kostek.

Przyglądając się mojej twarzy, Michael unosi głowę.

– Twoje policzki właśnie się zaczerwieniły. Dobrze się czujesz?

– Tak. Cudownie – mówię zduszonym głosem.

Jezu? Szatanie? Kosmici z innej galaktyki? Ktokolwiek, kto chciałby przyjąć życie żałosnej adiustatorki, proszę wystąpić. Dodatkowe punkty za szybką reakcję.

– Powiedziałem coś nie tak? Mam nadzieję, że cię nie uraziłem. – Teraz patrzy na mnie z ewidentnym przestrachem w błękitnych oczach. Prawdopodobnie tylko dlatego, że jest moim szefem i nie chce zostać pozwany za molestowanie seksualne, ale przez chwilę pozwalam sobie napawać się przyjemnością bycia obiektem troski przystojnego, eleganckiego mężczyzny.

Patrząc na swoje stopy, mamroczę:

– Nic, co powiesz, nie mogłoby mnie urazić. Ja tylko…

– Jesteś w kiepskim nastroju.

Spoglądam na Michaela, który uśmiecha się do mnie. Musiał zgadnąć, jaki wywiera na mnie wpływ, bo jego uśmiech stał się uprzejmy, nawet dobrotliwy, taki, który król posłałby żebrakowi, przejeżdżając obok swoją złotą karetą i rzucając monety przez okno.

Czy ten mężczyzna mógłby zrobić cokolwiek źle?

– Tak. Dokładnie. – Przytakuję, z błyszczącymi oczami. – W kiepskim nastroju.

– Oboje jesteśmy. – Jego uśmiech blednie. Odwraca wzrok. Oczy mu ciemnieją, a przez jego twarz wydaje się przechodzić chmura burzowa. Zmienionym głosem mówi:

– Chciałbym, żeby moim jedynym problemem był hałaśliwy sąsiad.

I to tyle. Skoro stoi tu przede mną, traktuje mnie jak istotę ludzką i zdradza łakome kąski o swoim życiu osobistym – znowu – wchodzę w to.

– Czy wszystko… w porządku?

Zerka na mnie. Jego szczęka pracuje przez chwilę, a potem wypowiada oświadczenie tak niespodziewane, że prawie zwala mnie z nóg.

– Rozwodzę się.

– Och! – Zakrywam dłonią usta. – Michael, przykro mi! – Wcale nie jest mi przykro, ani odrobinkę i prawdopodobnie właśnie skazałam się na piekło przez to wierutne kłamstwo i przez to, jak cudownie poczułam się, słysząc okropne nowiny tego biednego człowieka. Jego małżeństwo się rozpada, a ja mogłabym rozświetlić wszystkie budynki w mieście swoją radością. Aż płonę ze szczęścia i muszę się powstrzymywać, żeby nie odtańczyć tańca radości wokół mojego boksu.

Jestem okropną, straszną osobą.

– Dziękuję – mówi poważnie. – Chociaż nie było to zupełnie nieoczekiwane. Od lat mieliśmy problemy…

Wycofuje się, zagłębia w myślach, podczas gdy w mojej głowie już pojawia się projekt sukni ślubnej i pomysł na nasz miesiąc miodowy. Wtedy on potrząsa głową, a następnie uśmiecha się. Wygląda prawie na zawstydzonego.

– Przepraszam, nie wiem, czemu ci to powiedziałem. Nikt inny nie wie. Nawet nie powiedzieliśmy jeszcze rodzinom.

Jego wzrok błaga, żebym utrzymała ten sekret w tajemnicy, więc czym prędzej chcę go uspokoić.

– Masz moje słowo, że nikomu absolutnie nic nie powiem. – To brzmi dużo bardziej przekonująco niż moje następne zdanie, które jest kolejnym kłamstwem. – Po prostu przykro mi, że ciebie to spotyka.

Michael patrzy na mnie odrobinę zbyt długo, żeby można to uznać za komfortowe, po czym mówi:

– Dziękuję, Joellen. Zawsze jesteś taka miła.

Miła? Ja jestem miła? Ale „miła" bardziej jak wygodna para butów czy jak taniec erotyczny?

Michael gładko zmienia temat, więc nie nabawię się tętniaka mózgu, próbując zrozumieć znaczenie niewinnego, czteroliterowego słowa.

– Wybierasz się na biurową imprezę świąteczną?

Biurowa impreza świąteczna to doroczny sposób na upokorzenie mnie, porównywalne do obdarcia ze skóry i wrzucenia do kotła z wrzącą, słoną wodą. Nie jestem introwertyczką, ale sytuacja, kiedy stoję w grupie rówieśników z kieliszkiem kiepskiego czerwonego wina w dłoni, ubrana w strój, który w sklepie wyglądał dobrze, jednak w miejscu publicznym nagle przeistacza się w kostium klauna, znajduje się na szczycie świątecznej listy rzeczy do kitu.

Nieuchronnie upaćkam się jedzeniem, powiem coś skrajnie obraźliwego lub jawnie żałosnego, wszyscy będą mnie ignorować albo żałować. Potem Portia stanie obok mnie ze swoim olśniewającym uśmiechem, promieniejąc pogardą, a ja cofnę się do ciemnego kąta tej przepłaconej wynajętej sali balowej, żeby móc zatopić się w nienawiści do samej siebie, a następnie opcham się tłustymi potrawami ku uciesze mojego serca.

Ale Michael jest tam co roku, więc ja też. A w tym roku on bierze rozwód.

– Tak. – Zaskakuję samą siebie wykazanym entuzjazmem. – Na pewno będę.

– Dobrze. Zarezerwujesz dla mnie taniec?

Jego uśmiech jest ciepły, moje dolne części ciała również.

Jasna cholera. Michael Maddox chce zatańczyć ze mną na świątecznej imprezie przy wszystkich ludziach. Piekło oficjalnie zamarzło.

– Jasne – odpowiadam swobodnie, jakby mój układ trawienny nie zamienił się właśnie w galaretkę.

Uśmiecha się do mnie jeszcze przez chwilę, potem pochyla głowę w geście pożegnania i wychodzi. Patrzę, jak idzie korytarzem, jego krok jest lekki i pewny, poza dużo lżejsza niż wcześniej. A potem uderza we mnie fala przerażenia.

Impreza świąteczna odbywa się za niecały miesiąc.

Siadam na krześle, odpalam komputer i googluję: „Jak szybko zgubić dwadzieścia kilo”.

PIĘĆ

Zanim opuszczam biuro w niedzielne popołudnie, mam zakończoną pracę nad manuskryptem oraz opracowany plan, jak dokładnie osiągnąć mój nowy cel przemienienia się w smukłą boginię w takim czasie, jaki zwykle zajmuje mi przybranie na wadze do wyższego rozmiaru.

Dobra, „bogini" to przesada, ale staram się myśleć pozytywnie. Internet aż huczy od przykładów wyższości ducha nad materią w osiąganiu celów. Bo przecież kimże jestem, żeby kwestionować opinię kogoś z nickiem ChudaLaska69, która twierdzi, że zgubiła połowę ciężaru ciała w miesiąc dzięki prostej diecie żywienia się samym powietrzem?

Więc, generalnie, zdecydowałam się na dietę składającą się z oddychania. Jeśli nie padnę trupem, na pewno będę chuda do świąt. Jak dla mnie gra jest warta świeczki.

Przez resztę dnia nie widziałam już Michaela, a zbyt duży ze mnie tchórz, żeby pójść do biur zarządu i pożegnać się. Do tego uznałam, że nasza rozmowa skończyła się tak fantastycznie, że już nic nie mogłoby jej przebić. A niebezpieczeństwo, że wszystko zrujnuję, było realne, więc ewakuowałam się, zanim los mógłby zdecydować, że już się dość nacieszyłam i zawalić budynek nagłym trzęsieniem ziemi.

Otwieram drzwi mieszkania, kiedy grzmiący głos sprawia, że podskakuję.

– Gdzie moja zapiekanka, dziołcha?

Uch. To on. Przez ramię rzucam Cameronowi lodowate spojrzenie, którego nie powstydziłaby się nawet Portia.

– Jak widzisz, dosłownie właśnie wróciłam do domu. Nie mam magicznej torebki produkującej zapiekanki.

– Wymówki, wymówki! Za chwilę powiesz mi, że w sklepie skończyło się jedzenie!

Odwracam się i obdarzam go wzrokiem odrazy. Strzelam z oczu jak pociskami.

– Niektórzy ludzie muszą zarabiać na życie, wiesz? Nie miałam czasu iść do spożywczego, żeby kupić składniki na twoją cholerną… – Już mam mówić dalej, ale w tej chwili dostrzegam jego najnowszy dobór stroju i ponownie staję oniemiała.

Po chwili, podczas której on po prostu szczerzy się do mnie, odzyskuję zmysły.

– Czy ty masz na sobie… rajstopy?

– Co? To? – Wskazuje na swoje umięśnione nogi, odziane w neonowo żółte, elastyczne, błyszczące coś, co wygląda, jakby nałożono warstwę spreju od jego kostek do bioder, nie pozostawiając zupełnie niczego wyobraźni. Każda zmarszczka i wybrzuszenie są podkreślone – zwłaszcza to wybrzuszenie w kroczu.

Jest nieludzko wielkie. Z całą pewnością wepchnął sobie w spodnie trąbę słonia.

– Oczy do góry, skarbie – mówi, przeciągając sylaby, gdy przyłapuje mnie na gapieniu się.

Jestem tak zawstydzona, że mam ochotę się zabić. Zamiast tego odwracam się, po czym otwieram drzwi. Właśnie mam zamiar zatrzasnąć je za sobą, ale Cameron kładzie na nich swoją wielką łapę i popycha.

– Już, już, nie ma się czego wstydzić. – Śmiech ociepla jego głos. – Wiem, jak bardzo ciągnie cię do mnie, dziołcha. I nie, to nie są rajstopy. To uciskowe spodnie do biegania.

Uciskowe! Ha! One niczego nie uciskają!

– Proszę, zabierz rękę z moich drzwi. – Mówię to ze wzrokiem wlepionym w sufit, żeby moje gałki oczne nie urządzały sobie znowu jakichś wędrówek. Po prostu nie można im zaufać.

– Zabiorę rękę z twoich drzwi, kiedy powiesz mi, o której kolacja, skarbie.

Warczę, słysząc podtekst seksualny w jego głosie, jestem pewna, że mówi w taki sposób do wszystkich kobiet, które stają na jego drodze. Świnia.

– Nie nazywaj mnie skarbem! I przestań mówić o mojej zapiekance, jakby to było moje ciasteczko!

Kątem oka dostrzegam, że jego brwi się unoszą.

– Twoje ciasteczko? – Wachluje rzęsami, obraz niewinności. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Próbuję tylko dowiedzieć się, kiedy mogę spodziewać się tego, co mi obiecałaś. – Jakby na zawołanie jego żołądek zaczyna burczeć. Wskazuje na niego palcem. – Widzisz? Umieram z głosu, dziołcha! – Potem uśmiecha się i uderza otwartą dłonią w swój brzuch, który nie porusza się ani o milimetr, bo ten człowiek ma zero procent tłuszczu na ciele.

– Rr–au!

Patrzymy w dół i dostrzegamy Pana Bingleya ocierającego się o kostki Camerona jak mały, futrzany boa dusiciel. Jego mruczenie jest tak głośne, że brzmi, jakby ktoś odpalił silnik.

– A kogo my tu mamy? – Cam uśmiecha się do Pana Bingleya, a ten wspina się na tylne łapki, a potem ociera łebkiem o jego błyszczącą, żółtą goleń.

Mam nadzieję, że wyciągnie pazurki i zatopi je w tym durnym materiale.

– To Pan Bingley.

Cam podnosi kota, przekłada go na plecy, po czym układa w swoich ramionach jak dziecko. Już mam zaprotestować, że źle to robi, ale ten durny kot zamyka oczy i zaczyna mruczeć jeszcze głośniej, a jego puszysty, rudy ogon zwisa radośnie przy brzuchu Cama.

Gapię się oszołomiona, a Cam drapie Pana Bingleya pod bródką.

– Musiałeś zrobić coś naprawdę złego, skoro dostałeś imię po bohaterze książki Jane Austen, stary.

Teraz już nie jestem oszołomiona. Kompletnie mnie zamurowało. Góra wie, kim jest pan Bingley? A myślałam, że piekło oficjalnie zamarzło kilka godzin temu!

– Co? – Cam mówi do mnie, ale nie odrywa wzroku od kota. – Zaskoczona, że oprócz urody, mam też mózg, skarbie?

Wydaję z siebie parsknięcie, które nie przystoi damie.

– Chyba raczej samo ego i zero manier.

Zerka na mnie spod rzęs, posyłając mi leniwy uśmiech.

– Czyli nie zaprzeczasz mojej urodzie.

Wywracam oczami wręcz ekstrawagancko.

– Jakaś biedna wioska przez ciebie straciła swojego głupka. Czy mogę odzyskać mojego kota?

– Kiedy ja dostanę swoją zapiekankę, ty dostaniesz kota. – Odwraca się, po czym odchodzi korytarzem z Panem Bingleyem w ramionach, kopniakiem zamykając drzwi, gdy właśnie ruszam w ich stronę.

– McGregor! – Wściekła, walę pięścią w jego drzwi. – W tej chwili oddawaj mojego kota!

Zza zamkniętych drzwi dobiega mnie niski śmiech i odgłos zamykanej zasuwki.

– Twoje ciasteczko za twojego futrzaka, kochanie. – Dwie sekundy później zostaje włączony rap na pełnej głośności, sprawiając, że ściany drżą, a jednocześnie niwecząc moje szanse na dalszą rozmowę.

Patrzę na jego drzwi, gotując się ze złości. Choć raz czuję wdzięczność, że Pan Bingley jest głuchy i nie musi słuchać tego ohydnego języka, jakim przesycony jest tekst. Jakaś część mnie jest zdumiona zuchwałością Camerona McGregora i tym, jak udało mu się zamieścić dwa eufemizmy mojej waginy w zdaniu składającym się z sześciu wyrazów, a inna część mnie chciałaby wyrwać te drzwi z zawiasów, a następnie stłuc go nimi na miazgę.

Ten gnojek ukradł mi kota!

Wrzeszczę na całe gardło:

– Jeśli spadnie mu z głowy choć jeden włos, skopię ten twój obciśnięty tyłek.

Mogłabym przysiąc, że przez łomot basów dosłyszałam śmiech.

***

Nigdy, w całej historii pieczenia zapiekanki pasterskiej, nikt nie przyrządził jej tak szybko.

Ustanawiam rekord prędkości zakupów w sklepiku za rogiem, z moich butów leci dym i słychać skwierczenie palonych podeszew. Siekam warzywa jak wariatka, smażę jagnięcinę, jakby ktoś trzymał broń przy mojej głowie, przeklinam garnek z wodą, aż w końcu daje za wygraną i zaczyna wrzeć z czystego strachu. W pośpiechu tak

bardzo maltretuję ziemniaki, że prawie robię z nich kleistą papkę, ale opanowuję się w porę i uspokajam ogromnym kieliszkiem wina, który pochłaniam z gracją nałogowego alkoholika rozpoczynającego grubą popijawę.

Po chwili jestem spokojna – cóż, „spokojna" to względnie adekwatne określenie, jeśli porównuje się totalne załamanie nerwowe do paraliżującego lęku. Jestem w stanie dokończyć danie i wstawić je do piekarnika, nie odcinając sobie przy tym palców i unikając zagrażającej życiu zapaści.

I właśnie wtedy zauważam, że w tym pośpiechu w ogóle nie włączyłam piekarnika.

– Zabiję go – oznajmiam pustej kuchni. – Jeśli Pan Bingley będzie chociaż trochę potargany, kiedy wróci do domu, Cameron McGregor zginie.

Ustawiam piekarnik, ruszam w stronę mieszkania McGregora, po czym łomoczę w drzwi. Kiedy się otwierają, żałuję, że zostawiłam mój nóż kuchenny na blacie.

Zamienił żółte, opięte leginsy na parę spranych dżinsów, ale nadal nie ma na sobie nic więcej. Zastanawiam się, czy ten facet posiada w ogóle jakieś koszule. I dlaczego musi być taki umięśniony? To rozpraszające!

– Gdzie on jest? – rzucam, po czym wyciągam szyję, żeby dostrzec coś za jego szerokim ramieniem.

– Gdzie moje jedzenie?

– W piekarniku.

Unosi brew, wpatrując się we mnie.

– Musi się upiec! Potrzebuje czasu! Będziesz miał tę swoją głupią zapiekankę za pół godziny, na litość boską!

Posyła mi przesłodzony uśmiech.

– I właśnie wtedy dostaniesz swojego kota.

Już ma zamknąć drzwi, ale udaremniam to, rzucając się na nie całym swoim ciężarem. Odpycham go i wparowuję do mieszkania, wołając Pana Bingleya, choć wiem, że mnie nie usłyszy. Jestem spanikowana, boję się, że zaraz znajdę kupkę martwego futra na podłodze, z butelką po piwie wepchniętą do gardła.

– Panie Bingley! Panie Bing…

Staję jak wryta w drzwiach do sypialni. Na środku łóżka leży kot, zwinięty w kłębek. Śpi sobie spokojnie, owinięty tymi głupimi żółtymi rajstopami jak bezpiecznym kocykiem.

– Prawdziwy z niego miziak. – Cameron staje za mną w korytarzu. Z jego tonu wnioskuję, że stara się nie roześmiać. – Praktycznie musiałem zedrzeć go z siebie, żeby móc wziąć prysznic. Nigdy nie spotkałem kota, który polubiłby mnie tak szybko. Przypuszczam, że ma to po mamusi.

Nie daję się sprowokować i nic nie odpowiadam. Zamiast tego wchodzę do sypialni, po czym podnoszę Pana Bingleya, uważając, żeby nie dotknąć żółtych rajstop. Kiedy się odwracam, Cameron blokuje wyjście, stojąc z ramionami założonymi na piersi. Potrząsa głową.

– Nie ma mowy, żebyś wyszła stąd z tym kotem, dziołcha, skoro nadal nie mam w rękach mojej zapiekanki.

– Twoja obsesja wobec tego konkretnego dania jest wręcz patologiczna, wiesz o tym?

– Chodzi o to… że takie ciacha to moja ulubiona rzecz na świecie. – Zagryza wargę, a jego ramiona drżą od cichego śmiechu.

– Uch. Gadaj dalej… może pewnego dnia w końcu powiesz coś mądrego.

Odrzuca głowę do tyłu, śmiejąc się długo i głośno, podczas gdy stoję i wpatruję się w niego, a Pan Bingley próbuje wyrwać się z moich ramion, żeby wrócić na łóżko.

– Dobrze, komediantko – mówi, nie przestając się śmiać. – Nowa umowa. Pójdziemy do ciebie i poczekamy, aż zapiekanka skończy się piec. – Odwraca się, po czym rusza do mnie, machając ręką przez ramię, podczas gdy ja wrzeszczę za nim, że wcale nie mamy umowy, a on nie jest mile widziany w moim mieszkaniu.

Chwilę później to już nie ma sensu, bo Cameron usadawia swoje muskularne ciało na mojej kanapie, kładzie bose stopy na stoliku kawowym, zaplata palce na brzuchu, a następnie uśmiecha się do mnie, jakby czekał, kiedy przyniosę mu drinka.

– Jesteś niemożliwy. – Zatrzaskuję drzwi, odstawiam kota na podłogę i czmycham do bezpiecznej kuchni. Niestety kuchnia

znajduje się o jakieś pięć kroków od salonu, więc wcale nie jestem w niej bezpieczna.

Wtedy słyszę głos zza drzwi.

– Kaczuszko? Kaczuszko, jesteś w domu?

Cameron patrzy na mnie z rozbawieniem.

– Kaczuszko?

– Zamknij się, ciasteczkowy chłopcze – mamroczę, a następnie ruszam do drzwi. Kiedy je otwieram, zastaję panią Dinwiddle z martini w dłoni, na dziesięciocentymetrowych szpilach i w długim płaszczu z norek narzuconym na kwiecistą koszulę nocną. Diamentowa tiara, którą ma na głowie, jest lekko przechylona.

– *Jesteś*, skarbie! – Promienieje, jakby właśnie wygrała zabawę w chowanego.

– Dzień dobry, pani Dinwiddle.

Odsuwa sobie z czoła szary kosmyk, który uciekł ze swojego miejsca pod tiarą.

– *Tylko* chciałam ci *powiedzieć*, że ostatni wieczór był *uroczy*. Pewnie mówię ci to za *rzadko*, ale naprawdę *doceniam*, że przyrządzasz dla mnie kolację w każdą *sobo*…

Przerywa w połowie zdania, dostrzegając wielkiego, półnagiego mężczyznę, uśmiechającego się do niej z kanapy. Od razu przechodzi w tryb rozchichotanej debiutantki, trzepocze rzęsami i unosi ramię, mówiąc przesłodzonym głosem:

– No *wiiitam* cię, młodzieńcze.

Cameron flirciarsko pochyla głowę, jego uśmiech jest tak olśniewający, że praktycznie oślepia. Najwidoczniej wiek kobiet go nie interesuje, o ile tylko one interesują się nim.

Ze wzrokiem wciąż przyklejonym do Camerona pani Dinwiddle zwraca się do mnie:

– Nie sądziłam, że masz *towarzystwo*, Kaczuszko. *Nigdy* nie masz…

– On właśnie wychodził – mówię głośno, przerywając jej, zanim ujawni kolejne żałosne fakty z mojego życia.

– Wcale, że nie. – Cameron podnosi się z kanapy i podchodzi, uśmiechając się w ten przebiegły, irytujący sposób, który mówi mi, że z pewnością da mi nieźle popalić za tę „randkę”, którą rzekomo miałam ubiegłej nocy.

– Witam, jestem Cameron McGregor. Miło mi panią poznać. – Wyciąga rękę do pani Dinwiddle. Zamiast ją uścisnąć, kobieta robi ten manewr z nadgarstkiem, który widzi się w starych filmach, kiedy południowa piękność chce, żeby szarmancki dżentelmen pocałował jej dłoń.

A on co robi? Pochyla się, podnosi jej dłoń do swoich ust i całuje!

Pani Dinwiddle chichocze jak nastolatka i trzepocze swoimi sztucznymi rzęsami tak energicznie, że aż dziw bierze, że nie odfruwają. Kiedy Cameron prostuje się i puszcza jej dłoń, ona przykłada palce do jego twarzy.

– Ależ ty jesteś *krzepki* – mówi, wgapiając się w jego pierś.

Cameron uśmiecha się do niej pobłażliwie, wyraźnie ciesząc się jej oczywistym podziwem.

– Nic o tym nie wiem, proszę pani, ale wiem na pewno, że tak piękna kobieta, jak pani, zawsze powinna być traktowana jak królowa.

Jęczę.

– A brzydkie zawsze powinny być traktowane jak służące?

Mizdrząc się do Cama, pani Dinwiddle strofuje mnie.

– On tylko powiedział mi mały komplemencik, Kaczuszko. Zostaw biedaka w spokoju!

– Och, z przyjemnością zostawiłabym go w spokoju – mamroczę. – Zupełnie samego. Na bezludnej wyspie.

Pani Dinwiddle piorunuje mnie wzrokiem, a Cam zaczyna się śmiać.

– Ona jest po prostu zazdrosna o pani styl, pani Dinwiddle.

– Nie, jestem zazdrosna o każdego, kto nie poznał ciebie.

Cam zwraca się w moim kierunku z szerokim uśmiechem.

– No nie mów, dziołcha, poznanie mnie to najbardziej ekscytująca rzecz, jaka przydarzyła ci się od ostatniego badania cytologicznego.

Oburzona, ale próbując się nie roześmiać, pani Dinwiddle wyjmuje chiński, jedwabny wachlarz z kieszeni futra i prawie skręca sobie nadgarstek, wachlując twarz.

– Ha – mówię kwaśno. – Czarujący jak otwarty grób, McGregor.

– Pff. Po prostu się przyznaj. Jesteś we mnie zakochana. – Szturcha mnie łokciem, a ja posyłam mu spojrzenie, które powinno spalić mu

twarz.

– Zakochana? Bynajmniej. Gdybyś leżał podłączony do respiratora, odłączyłabym go, żeby naładować sobie telefon.

Cam śmieje się, a ja nie mogę zrozumieć, dlaczego jemu aż tak się podoba, kiedy go obrażam. Jednak moje zaskoczenie ustępuje przerażeniu, kiedy pani Dinwiddle włącza się do rozmowy.

– Jestem pewna, że *zakochałaby* się w tobie, Cameron, ale ona *już* jest zakochana w kimś *innym*.

– Czyżby? A kim jest ten szczęściarz? – Cam mówi, przeciągając sylaby. Widocznie świetnie się bawi, bo myśli, że to żart i żaden mężczyzna o zdrowych zmysłach nie chciałby mieć nic wspólnego z kimś takim jak ja.

Przystępuję do obrony, desperacko rzucając pani Dinwiddle błagalne spojrzenia, żeby załapała aluzję i zamknęła się.

– Nikim! Ona tylko żartuje. Nie jestem zakochana w ni…

– To jej żonaty *szef*! – rzuca pani Dinwiddle, nachylając się do Camerona z konspiracyjnym błyskiem w oku. Jakby wcale mnie tam nie było. Jakby mój najgłębszy, najmroczniejszy sekret był świetnym tematem do rozmowy z napakowanym sportowcem, którego dopiero co poznała.

Nie jestem agresywną osobą, a już na pewno nie zachowałabym się agresywnie wobec starszej osoby, ale pani Dinwiddle ma ogromne szanse zarobić za chwilę liścia.

Cała postawa Camerona zmienia się. Wygląda na zszokowanego, jego uśmiech znika, a oczy otwierają się szeroko.

– Masz romans ze swoim żonatym szefem? A próbujesz osądzać mnie?

– Zdecydowanie nie mam romansu! – Sapię oburzona. – Nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego!

Pani Dinwiddle oznajmia smutno:

– On nawet nie wie, że ona *istnieje*.

– Dobra, odwiedziny w zoo zakończone. Do widzenia, ludzie.

Próbuję wypchnąć ich za drzwi, ale Cam nie da się ruszyć, a pani Dinwiddle jest zbyt zajęta kończeniem swojego martini, żeby w ogóle zauważyć moje starania.

– Poczekaj. Wyjaśnij mi to. – Cam zwraca się do mnie z nowym zainteresowaniem. – Więc jesteś zakochana w tym facecie, który jest żonaty, ale nigdy z nim nie byłaś… bo on nie wie, że istniejesz?

Zgrzytam zębami.

– W twoich ustach brzmi to tak, jakby jedynym powodem niepopełnienia przez mnie zdrady, był fakt, że on mnie nie zauważa.

– To nie *zdrada* z *twojej* strony, jeśli nie jesteś zamężna, Kaczuszko – wtrąca pani Dinwiddle, która ma dość „wykształcone" podejście do sprawy.

– Uch. Semantyka! Chodzi mi o to, że nawet jeśli Michael coś by do mnie czuł, nigdy nie związałabym się z żonatym mężczyzną! To uczucie jest po prostu… nieodwzajemnione. On nie jest świadomy moich uczuć. Ale nawet gdyby był, nigdy nie przekroczyłabym tej granicy.

Cam przygląda się mojej twarzy ze zmrużonymi powiekami. Po chwili, najwidoczniej usatysfakcjonowany i przekonany, że mówię prawdę, oznajmia:

– To smutna historia, dziołcha. Nic dziwnego, że jesteś w takim kiepskim nastroju zawsze, kiedy cię widzę.

– Jestem w złym nastroju za każdym razem, kiedy cię widzę, dlatego, że cię widzę – odpowiadam słodko. – A historia wcale nie jest taka smutna, bo dziś dowiedziałam się, że on bierze rozwód. – Kiedy wpatrują się we mnie w ciszy, czuję, że muszę się bronić, bo oni sądzą, że zmyślam. – I poprosił, żebym zarezerwowała dla niego taniec na świątecznej imprezie firmowej.

Brwi Cama podjeżdżają tak wysoko w górę jego czoła, że wygląda to jak jakaś sztuczka.

– Fabuła się zagęszcza!

Pani Dinwiddle piszczy, podskakując na palcach.

– *Dokładnie!* To *teraz* pozwolisz, żebym zrobiła ci przemianę, Kaczuszko?

– Tak z ciekawości, dlaczego nazywa ją pani Kaczuszką?

Pani Dinwiddle dumnie wskazuje na mnie wachlarzem, jakby chciała podkreślić mój wygląd.

– Bo ona *upiera się*, żeby pozostać brzydkim *kaczątkiem*, mój drogi, a już dawno mogłaby stać się łabędziem.

Cam odwraca się do mnie z najbardziej złośliwym uśmiechem, jaki widziałam w życiu.

– Ooo. Kaczuszko.

Wow. Jeśli to jest karma, to założyła buty z kolcami, zanim zaczęła kopać mnie w tyłek.

SZEŚĆ

Kilka minut później pani Dinwiddle wraca do siebie, żeby uzupełnić martini. Góra i ja czekamy w kuchni, aż ta przeklęta zapiekanka skończy się piec, żebym mogła się go pozbyć i wrócić do planowania swojej przemiany.

Albo głodówki, innymi słowy.

Cam siedzi przy moim kuchennym stole z Panem Bingleyem na kolanach. Głaska kota i obserwuje mnie, zajmując o wiele za dużo miejsca jak na jedną ludzką istotę. Ten facet ma własną atmosferę. Jego wzrok ma swoją wagę, jak rzeczywisty dotyk. Pozbawia pewności siebie. Niczym jeden z tych nawiedzonych portretów olejnych, jego wzrok śledzi każdy mój ruch.

– Przestań się gapić… przerażasz mnie – marudzę, wpatrując się w zegar na piekarniku, bardzo chcąc przyspieszyć czas. *Jeszcze tylko kilka minut do wolności.*

– Od jak dawna jesteś zakochana w swoim szefie?

– Nie twój interes.

– No dalej, możesz mi powiedzieć, dziołcha. Przecież i tak nigdy nie poznam tego gościa. Poza tym za miesiąc zaczyna się nowy sezon, a ja wracam do Szkocji, więc nie będziesz musiała mnie więcej oglądać. Wyrzuć to z siebie.

Obrzucam go gniewnym spojrzeniem, po czym wracam do gapienia się na piekarnik.

– Czemu cię to w ogóle obchodzi?

Jego odpowiedź brzmi, jakby wzruszał ramionami.

– W sumie nie obchodzi, ale chyba nie potrafię zrozumieć, dlaczego kobieta marnuje swój czas uczepiona mężczyzny, który jej nie chce, kiedy mogłaby skupić się na znalezieniu takiego, który zechce. I, wybacz, tym bardziej w twoim wieku.

Jestem zbyt przygnębiona, żeby czuć się urażona.

– Boże, brzmisz dokładnie jak moja matka.

Nie patrzę na niego, ale i tak czuję, że jego spojrzenie stało się ostrzejsze.

– Więc rozmawiałaś o tym z matką. A to znaczy, że sprawa jest poważna i trwa od lat.

Rozdrażniona wyrzucam ręce w powietrze.

– Skąd, u diabła, możesz wiedzieć, co to znaczy?

– Znam kobiety.

Nie mam tu zjadliwej odpowiedzi, bo najwidoczniej to prawda. Góra wypowiada te słowa bez chełpienia się czy uśmieszków, po prostu zwykłe stwierdzenie faktu, poparte tysiącami par majtek, które pewnie upchnął w swojej szafie jako pamiątki.

– W porządku. Tak, to poważne i trwa od lat.

– Ilu lat?

Gapię się na niego.

– Piszesz książkę, czy co?

Śmieje się.

– Tylko ustalam fakty. Odpowiedz na pytanie.

Po jego zdeterminowanym wyrazie twarzy poznaję, że nie odpuści, dopóki mu nie powiem tego, co chce wiedzieć. Więc… a co mi tam. Biorę głęboki wdech, po czym wyznaję:

– Dziesięć lat. Od mojego pierwszego dnia w pracy. Od chwili, kiedy pierwszy raz na niego spojrzałam. – Mówię to ściszonym głosem, bo wiem, jak żałośnie to brzmi.

Zapada cisza. Po chwili odważam się zerknąć na Cama. Wpatruje się we mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, brwi ma ściągnięte, a głowę przekrzywił na bok.

– A co – pyta cicho, jego wzrok jest intensywny – jest w nim tak niezwykłego, że dla niego spuściłaś w kiblu całą dekadę?

Odwracam wzrok. Moja twarz staje się gorąca i muszę przełknąć gulę, która nagle urosła mi w gardle.

– Nie zrozumiałbyś.

– A właśnie, że zrozumiem, dziołcha. Aż za dobrze rozumiem obsesję.

Kiedy patrzę na niego ponownie, zaskoczona tym nowym głosem, mroczniejszym, bardziej złożonym tonem, wpatruje się we mnie nieugięty. Na jego twarzy rysuje się jakaś emocja – tęsknota albo

samotność, jakaś bezdenna desperacja – ale znika tak szybko, że musiałam to sobie wyobrazić.

Przenoszę wzrok na zegar. Trzy minuty. Potem zakładam ramiona na piersi, zamykam oczy i postanawiam powiedzieć mu prawdę.

– Jest po prostu … idealny. Pod każdym względem.

Cam wydaje się zirytowany moim rozmarzonym tonem.

– Ble. Możesz wyrażać się jaśniej?

– Jest wykształcony. Oczytany. Wyrafinowany. Uprzejmy. Genialny. Uroczy.

– Uroczy?

Przytakuję, nie otwierając oczu.

– Wygląda dokładnie jak Christopher Reeve w czasach Supermena. Bohater. Dołeczek w podbródku i w ogóle… I jest dżentelmenem. Jego maniery zawstydziłyby nawet królową angielską. I pięknie się ubiera. Wie wszystko o literaturze, operze, balecie i sztuce…

– Więc jest gejem.

Narasta we mnie wściekłość, gorąca jak powierzchnia słońca. Otwieram oczy i przeszywam Cama spojrzeniem.

– On nie jest gejem! Przez lata był żonaty!

– Z facetem?

– Nie. Z modelką, jeśli już musisz wiedzieć… Jakaś przygłupia tyczka z przerwą między udami i pięćdziesięciocentymetrową talią!

– Hmm. – Obdarza mnie takim samym zaciekłym spojrzeniem jak ja jego.

– Więc jest płytki.

– Co? Nie!

– Tak, jest. Zupełnie jak ty.

Sapię. Równie dobrze mógł dźgnąć mnie w brzuch.

– Nie patrz tak na mnie – mówi Cam, powoli kręcąc głową. – Zakochałaś się w jakimś typku na podstawie niczego więcej jak tylko życiorys i ładna buzia.

– To nie prawda!

Kot zeskakuje z jego kolan i truchta do salonu, wyczuwając, że z czubka mojej głowy zaraz eksploduje fontanna lawy. Cam wstaje, po czym się do mnie zbliża.

– Nie? Ile razy z nim rozmawiałaś?

– Wiele! – To kłamstwo, ale niech mnie piekło pochłonie, jeśli się wycofam.

– O kwestiach niedotyczących pracy – uściśla.

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale zaraz je zamykam i odwracam się do piekarnika.

– Zapomnij. Twoja zapiekanka jest prawie gotowa. Bierz ją, a potem zejdź mi z oczu.

– Odpowiedź brzmi „ani razu", tak?

Odmawiam odpowiedzi. Cam prawidłowo uznaje moje milczenie za potwierdzenie, więc naciska dalej.

– A ile czasu spędziłaś z tym idealnym mężczyzną poza pracą? Albo poza sytuacjami związanymi z pracą? – dodaje szybko, kiedy już mam odpowiedzieć.

Moja twarz pulsuje od gorąca.

– Nie trzeba spędzić całych lat na prywatnych rozmowach z kimś, żeby wiedzieć, że to dobry człowiek.

– Nie, ale jedna randka byłaby dobrym początkiem. Wydaje mi się, że nie wiesz o nim nic poza tym, że jest ładny i ma gust bogatego chłopca. Balet, opera, sztuka… brzmi jak coś, co osoba chcąca zaimponować innym, wpisałaby do swojej biografii.

Ten przytyk boli najbardziej, bo pod uśmiechniętym zdjęciem Michaela na stronie wydawnictwa umieszczona jest jego notka biograficzna, z której odkryłam większość tych fascynujących faktów o jego życiu. Innymi miejscami moich poszukiwań były Wikipedia i strony lokalnych gazet, a także podsłuchane rozmowy w biurze.

I jedna impreza świąteczna, kiedy schowałam się za palmami w doniczkach i podsłuchiwałam jego stolik.

Patrzę w oczy Cama, kiedy odpowiadam. *Skąd on nagle wziął się tak blisko?*

– Pracuję w jego firmie przez dziesięć lat swojego życia. Widziałam, jak traktuje ludzi, jak z nimi rozmawia, jakie ma relacje z pracownikami, klientami i gośćmi. To niesamowity człowiek. Wyjątkowy mężczyzna. I tak, jest piękny, ale gdyby nie był, nie miałoby to znaczenia, bo jest tak dobry. Nigdy nie sprawił, że ktoś poczuł się słaby, nie poniżał nikogo ze względu na przekonania ani nie drwił bezdusznie z jego uczuć.

Mój głos staje się coraz donośniejszy, a ręce mi drżą. Cam i ja stoimy teraz nos w nos, ale ja nie przerywam, bo jestem tak cholernie wściekła.

– Nigdy nie uprawiałby seksu z obcą kobietą poznaną w barze, a potem wyrzucił ją jak śmiecia! Nigdy nie dokuczałby sąsiadom głośną muzyką, nie szlajałby się półnagi jak psychopata ani nie ukradłby komuś kota!

– Ale ożenił się z przygłupią modelką z przerwą między udami i pięćdziesięciocentymetrową talią.

Prycham z niedowierzaniem.

– Och, więc mówisz, że sam nie ożeniłbyś się z piękną modelką, tak?

– Nie – odpowiada cicho, zaciskając szczękę. – Mówię tylko, że gdyby był tym altruistycznym, łaskawym półbogiem, jakim go widzisz, ożeniłby się z kobietą, która bardziej odzwierciedla jego prawdziwe oblicze.

Przez chwilę jestem pod wrażeniem, że użył kilku wielkich słów w tym zdaniu, ale szybko wracam do gniewu.

– Każdego dnia bogaci mężczyźni żenią się z kobietami dla ich urody.

– Tak, zgadza się. I ci bogaci mężczyźni są tymi samymi płytkimi gnojkami, którzy porzucają te piękne dziewczyny, kiedy ich uroda zblednie, po czym zmieniają je na młodszy model.

Szczęka mi opada, lądując gdzieś w okolicy środka klatki piersiowej. Cameron McGregor jest… etyczny?

Nie. Źle go zrozumiałam. Przecież mówimy tu o męskiej dziwce. Zgrywa tylko adwokata diabła.

Rozlega się dzwonek alarmu piekarnika. Przez sekundy, które zdają się wiecznością, Cam i ja wpatrujemy się w siebie w napiętej ciszy. Żadne nie chce pierwsze ustąpić. W końcu nie mogę już dłużej znieść tego napięcia, więc odwracam się, przeklinając pod nosem.

Kiedy zakładam rękawice kuchenne, Cam siada z powrotem, a to dokładne przeciwieństwo tego, co chcę, żeby zrobił.

– Proszę. – Wyjmuję bulgoczące danie z piekarnika, stawiam je na kuchence z trzaskiem, a potem zrywam z dłoni rękawice i rzucam je na blat. – Oto twoja głupia zapiekanka pasterska. A teraz wracaj do

mieszkania Kellena i zostaw mnie w spokoju z moją żałosną, jednostronną historią miłosną.

– Nigdy nie powiedziałem, że jest żałosna, dziołcha.

Jego głos jest łagodny, co tylko jeszcze bardziej mnie wkurza.

– Ale tak właśnie myślisz. To dość oczywiste, że uważasz mnie za głupią jak but, skoro czuję to, co czuję.

– Serce ma swoje pragnienia – mówi Cam, przyglądając mi się spokojnie. – Ale czasem to, co bierzesz za miłość, jest tylko piękną formą autodestrukcji. Najgorsze w życiu to oddać siebie w zamian za nic.

Kolejny raz zaskoczył mnie swoją elokwencją. Byłam pewna, że ta pyszałkowata, latająca za spódniczkami bestia nie może tego w sobie mieć.

I wtedy do mnie dociera: oto tajemnica jego sukcesu z kobietami. Gładkie gadki i olśniewające uśmiechy, paradowanie w bieliźnie i eksponowanie mięśni, wszystko po to, żeby dziewczyna wylądowała na plecach z rozłożonymi nogami.

Moje serce lodowacieje przy nim, jak staw zamarznięty w srogą zimę. Cała populacja Manhattanu mogłaby po nim jeździć na łyżwach, takie jest zimne.

– Cóż, to moje życie i co z nim robię to moja sprawa – oznajmiam sztywno. – A teraz, proszę, wyjdź. Jestem wykończona. Pracowałam w biurze cały weekend i muszę wstać wcześnie, żeby wrócić tam rano.

Dlaczego cokolwiek mu wyjaśniam? Dlaczego nie wyrzuciłam zawartości tego gorącego naczynia na jego głowę? I dlaczego, ach dlaczego, pozwalam temu beznadziejnemu facetowi wyprowadzać się z równowagi? Jego opinia nic nie znaczy!

Na moment jego twarz robi się pochmurna od tego dziwnego napięcia, ale potem Cam uśmiecha się szeroko i chwila mija, jakby nigdy się nie wydarzyła. Góra podnosi się, rozciąga ramiona nad głową, a potem ziewa, jakby cała ta rozmowa niezwykle go znudziła.

– Powiem ci coś, dziołcha. Wyświadczę ci ogromną przysługę.

– Jeśli następne słowo, które wyjdzie z twoich ust, będzie miało coś wspólnego z twoim penisem, to zabiję cię tak, jak stoisz.

– Po prostu mnie wysłuchaj, zanim zaczniesz się tu ciskać, skarbie.

Z mojej piersi wydobywa się warknięcie, które niesie się echem po całej kuchni.

– Nie wiem, co znaczy ciskać się, ale chyba mówiłam ci, żebyś nie nazywał mnie skarbem?

– Znaczenia możesz domyślić się z kontekstu. A będę cię nazywał, jak mi się podoba. Skarbie.

Zarozumiały, szczerzący się gnojek. Powinnam sprzedać mu kopniaka w jaja.

– Sprawiasz, że robię się agresywna, McGregor. Żałuję, że nie jestem mężczyzną, bo mogłabym skopać ci tyłek.

Śmieje się tak, jakbym wygadywała głupoty.

– Urocze. Ale nie istnieje żaden żyjący facet, który mógłby skopać mi tyłek. – Rozciąga ramiona, co sprawia, że jego niedorzeczne bicepsy powiększają się i błyszczą.

Uciskam nasadę nosa, czując, że nadchodzi migrena.

– Słuchaj. Kiedy opowiadałaś swoją smutną historię o nieodwzajemnionej miłości do pięknisia Michaela, przyszła mi do głowy pewna myśl.

– To musiała być długa i samotna podróż – mamroczę.

– Pomogę ci go zdobyć.

Zaskoczona, patrzę w górę na Cama. Uśmiecha się, jakby powiedział najinteligentniejszą i najbardziej genialną rzecz, jaka została wypowiedziana w historii ludzkości.

– Ty… co?

– Jestem ekspertem w dwóch sprawach, dziołcha. – Dla podkreślenia unosi dwa palce, jakbym nie potrafiła do tylu zliczyć. – Rugby i sztuka uwodzenia.

Parskam śmiechem pełnym niedowierzania.

– Czy twoi rodzice poprosili cię kiedyś, żebyś uciekł z domu?

– Na chwilę przestań mnie obrażać i posłuchaj. Jeśli naprawdę pragniesz tego typa, będziesz musiała dobrze to rozegrać. Nie możesz podejść do niego ani za gorąca, ani za zimna. Jak w *Złotowłosej i trzech misiach*.

– Tak, teraz już nic nie kapuję.

– Pierwsza miska owsianki była za słona. To ty, tak przy okazji – bardzo słona.

Morduję go wzrokiem.

– Druga miska owsianki była za słodka. To nie ty.

Wzdycham, podpierając się pod boki.

– Do brzegu z tą cholerną historyjką, McGregor.

– Trzecia miska owsianki była w sam raz. Właśnie taka musisz być dla niego. W sam raz.

Gapię się na niego, czekając na dalsze wyjaśnienia. Kiedy nie nadchodzą, a on tylko uśmiecha się do mnie, sprawiając wrażenie, że mógłby to robić jeszcze godzinami, mówię:

– Jesteś wyjątkowo dziwnym człowiekiem.

– Mogę cię nauczyć, jak być taką, jak on chce.

– Pff! Nawet go nie znasz! Jak mógłbyś nauczyć mnie być taką, jak on…

– Znam mężczyzn nawet lepiej, niż znam kobiety – przerywa napiętym głosem. – I dobrze wiem, co kręci takich pięknisiów.

Pasja w jego głosie sprawia, że mrugam.

– To brzmi dość złowieszczo. Czy za tym stwierdzeniem kryje się jakaś historia z podejrzanym, seksualnym podtekstem?

Macha ręką, jakby odganiał owada.

– Będąc na świeczniku i żyjąc tak jak ja, ma się do czynienia z różnymi typami ludzi. Przez wszystkie te lata w pewnym sensie stałem się badaczem ludzkości.

Śmieję się, bo to tak niedorzeczne, że po prostu nie mam innego wyjścia.

– Ty? Badaczem ludzkości? Facet, który paraduje w żółtych rajstopach?

Wpatruje się we mnie przez chwilę, a na jego twarzy maluje się rozczarowanie.

– Widzisz? Jesteś płytka. Patrzysz tylko na to, co masz tuż przed nosem. – Wpatrujemy się w siebie, a sekundy mijają i czuję się coraz bardziej niekomfortowo.

– Przepraszam, nie chciałam być chamska.

– A właśnie, że tak, dziołcha – mówi łagodnie. – Chciałaś. – Potem uśmiecha się. – Ale zniosę to, bo nie jestem twoim wrażliwym kochasiem pięknisiem, który pewnie zalałby się łzami, gdyby tylko

rzucił okiem na smoczycę, która ukrywa się pod tą twoją skromną powierzchownością.

Moje rozczarowanie wyparowało tak szybko, jak się pojawiło.

– Skromna. To taki uprzejmy sposób, żeby powiedzieć mi, że jestem obleśna.

Cam patrzy w sufit, po czym wzdycha.

– Nie jesteś obleśna, skarbie. Po prostu nie pomagasz samej sobie.

– Jezu, przy tobie i pani Dinwiddle mój kompleks niższości osiągnie zupełnie nowy wymiar.

Jego oczy napotykają moje. Znowu mają ten mroczny wyraz, ten niebezpieczny, który wydaje się pojawiać i znikać na życzenie.

– Nie masz powodu, żeby czuć się gorsza, kretynko.

– Więc przeszliśmy od skarbu do kretynki w ciągu kilku minut. Wybacz, że pójdę poszukać sobie torby na głowę. Zaczynam się w tym gubić.

Kącik jego ust przesuwa się ku górze. Przypatruje mi się w ciszy przez kilka minut, po czym unosi ramię.

– Jak sobie chcesz. Nie przyjmuj mojej pomocy. Ale nie przychodź do mnie z płaczem, kiedy piękniś pozostanie przy swoim zwyczaju i dalej nie będzie dostrzegał twojego istnienia.

– Przestań go tak nazywać!

– Przestań udawać, że jesteś szarą myszką, smoczyco, i weź to, czego pragniesz. Za pięćdziesiąt lat wszyscy będziemy martwi. Carpe diem.

Mija mnie, podchodzi do kuchenki, podnosi z niej naczynie z zapiekanką, używając rękawic kuchennych, a następnie wychodzi bez słowa.

Stoję w kuchni przez kolejne dziesięć minut, analizując wszystko, co powiedział, i próbując załapać, co mi umyka. Dlaczego miałby chcieć mi pomóc? Co będzie z tego miał?

Idę do łóżka i zasypiam, powtarzając jego ostatnie słowa, które utkwiły w mojej głowie.

Carpe diem. Chwytaj dzień.

Trzecią noc z rzędu śnię o szkockich wojownikach.

Tyle że tym razem to nie Mel Gibson prowadzi ich do boju.

SIEDEM

Następnego ranka w pracy ziewam właśnie przeciągle, kiedy Portia bezgłośnie pojawia się nagle przy moim biurku, jakby została teleportowana na powierzchnię tej planety ze statku kosmicznego Enterprise.

– Dzień dobry, Jillian!

Wystraszona, podskakuję i rozlewam kawę z kubka, który trzymam, prosto na moją białą bluzkę. Mogłabym przysiąc, że ona tak szczeka tylko po to, żeby patrzeć, jak wychodzę z siebie.

– Portia. Cześć. – *I mam na imię Joellen, ty wiedźmo.*

Patrzy z wyraźnym niesmakiem, jak próbuję zetrzeć kawę zapasowymi serwetkami, które trzymam w górnej szufladzie biurka na nagłe wypadki, właśnie takie jak ten, a które zdarzają się z przygnębiającą regularnością. W lodowato błękitnej sukience, która pasuje do barwy jej serca, i włosami zaczesanymi na boki i upiętymi w niski kok, by ukazać elegancką szyję, jest wręcz nieskazitelna.

Przy niej czuję się jak nędzny osiołek obok pełnokrwistego konia wyścigowego.

– Skończyłaś edycję manuskryptu Marii?

Po jej tonie wnioskuję, że oczekuje jakiejś wymówki, więc mam satysfakcję, że mogę oddać jej stertę spiętych kartek z uśmiechem. Ze ściągniętymi wargami bierze ode mnie manuskrypt, po czym przerzuca kilka kartek kciukiem, sprawdzając moją pracę jak nauczycielka w klasie.

Gdybym desperacko nie potrzebowała tej resztki kawy na dnie mojego kubka, chlusnęłabym jej w twarz.

– Rozumiem, że w weekend rozmawiałaś z Michaelem – rzuca bezceremonialnie.

Zamieram.

Jeśli wie, że rozmawiałam z Michaelem to dlatego, że jej powiedział. Dlaczego miałby jej to powiedzieć? Co to oznacza?

– Yyy… ja… tak. On też pracował. Przywitaliśmy się.

Jej ostre spojrzenie napotyka moje.

– Przywitaliście się? – powtarza zimnym głosem.

Wzdrygam się, zastanawiając, co tak ją uraziło w mojej rozmowie z Michaelem i jak udaje jej się tak zacisnąć usta. To wygląda boleśnie.

– Yyy… tak.

Wpatruje się we mnie przez chwilę, czekając, aż powiem coś więcej. Kiedy tego nie robię – bo za bardzo martwię się, co mogłoby wydostać się z moich ust – przyciska manuskrypt do piersi, a następnie zaczyna agresywnie pukać w niego pomalowanym paznokciem.

– Joanno. – Puk. Puk. Puk. – Z pewnością nie muszę ci przypominać, że oczekujemy pewnego poziomu… – Jej wzrok przesuwa się na moją poplamioną kawą bluzkę, niesforne włosy i twarz bez makijażu. Puk. Puk. Puk. – Profesjonalizmu w Maddox Publishing.

W górę mojej szyi przesuwa się fala gorąca. Słowa wymykają się, zanim zdołam je powstrzymać.

– Masz na myśli na przykład używanie poprawnych imion pracowników?

Pukanie wzmaga się. Portia mruga – raz, powoli – i wygląda to przerażająco. Zostaję ocalona od pewnej śmierci przez kuriera taszczącego gigantyczny bukiet długich, czerwonych róż. Zatrzymuje się przy boksie obok mojego.

– Czy jest tu Joellen Bixby?

– Tutaj. – Shasta, dziewczyna siedząca przy biurku obok, wstaje i wskazuje na mnie oskarżycielsko ponad ścianką boksu jak jakiś nazistowski szpieg.

Kurier przechodzi obok Portii, nieumyślnie ją trącając, a następnie odstawia wazon na moim biurku z westchnieniem ulgi. Bukiet jest tak wielki, że zajmuje praktycznie całą przestrzeń.

– Cholera, ale ciężki skurczybyk. Proszę tu podpisać. – Podsuwa mi podkładkę pod sam nos, wskazując odpowiednią linijkę.

Ręce tak mi się trzęsą, że ledwo jestem w stanie złożyć podpis. *Czy to możliwe? Michael przysłał mi kwiaty?*

Kurier oddala się, pogwizdując, a Portia, Shasta i ja wpatrujemy się w kwiaty z niedowierzaniem.

– No, od kogo to? – pyta Shasta.

Przełykam ślinę, a następnie odczepiam i otwieram małą, białą kopertę, czując pulsowanie w uszach.

Twoje ciasteczko to najpyszniejsza rzecz, jakiej próbowałem w życiu. Słodkie. Soczyste. Rozpływa się na języku. Chcę więcej. Dziś wieczorem.

Och, co za arogancki sukin…

– No i co tam jest napisane? – Shasta pyta tak głośno, że zaczynam zastanawiać się, na czym polega jej problem. Jednocześnie zauważam, że wszyscy ludzie w boksach dokoła patrzą z zaciekawieniem w moim kierunku.

Portia wyrywa mi kartkę z ręki i czyta głośno:

– Twoje ciasteczko to najpyszniejsza…

Przerywa i milknie, a jej oczy robią się coraz większe.

Słysząc zduszone chichoty, wyjmuję kartkę z jej palców, drę ją na małe kawałki, a następnie wyrzucam do kosza. Odwracam się sztywno od Portii, po czym mówię przez zaciśnięte zęby:

– Wybacz, ale mam dużo pracy.

Wiem, że to tylko wściekłość na Camerona sprawia, że mój głos brzmi tak twardo, ale Portia wydaje się myśleć, że jest skierowany do niej. Unosi podbródek. Pociąga nosem, posyła mi wściekłe spojrzenie, odwraca się na pięcie, po czym oddala się, zionąc dymem z nozdrzy.

– Stara – mówi Shasta, patrząc za nią. – To było ekstra. – Patrzy na mnie i uśmiecha się. – Piątka, laska!

Zdumiona, przybijam piątkę z Shastą, która w ciągu ostatnich trzech minut wypowiedziała do mnie więcej słów niż przez dwa lata, odkąd tu pracuje i siedzi obok mnie.

Dzwoni mój telefon na biurku. Podnoszę słuchawkę, wdzięczna za możliwość uwolnienia się od mojej nowej koleżanki.

– Joellen Bixby przy telefonie.

– Wow, twój profesjonalny, pracujący głos jest gorący. Myślałaś kiedyś o etacie w seks telefonie? Byłabyś obłędna.

– Ty!

W słuchawce słyszę niski śmiech.

– Tak, to ja, dziołcha, twój ulubiony sąsiad.

– Pozer.

– Ha! Nie, wyśmienity przedstawiciel gatunku ludzkiego, o którym śnisz od naszego pierwszego spotkania.

Zamieram, zszokowana, że Cam w jakiś sposób to odgadł, ale uświadamiam sobie, że żartuje, zanim chlapnę coś głupiego w stylu: „Skąd wiedziałeś?".

– Bardzo zabawne. Czego chcesz? I skąd wiedziałeś, gdzie pracuję?

– Zapytałem panią Dinwiddle. Dostałaś kwiaty?

Zerkam na kolosalny bukiet róż, łypiący na mnie z drugiego końca biurka.

– Tak. I twój uroczy liścik. Szekspirem to ty nie jesteś, przyjacielu.

– Oho! Więc teraz jesteśmy przyjaciółmi!

– Nie. Nadal chciałabym wepchnąć cię pod samochód. Po co dzwonisz?

– Żeby przedyskutować pierwszą fazę Operacji Piękniś.

Opadam na krzesło, wzdychając.

– Odpuść mi, co?

Nic sobie nie robi z mojej prośby.

– Tymi kwiatami już wprawiłem maszynę w ruch. Jeśli w ogóle ma cię na radarze, to wzbudzi jego zainteresowanie.

– Wzbudzi? Czy Cameron McGregor właśnie użył w zdaniu słowa wzbudzać?

Śmieje się.

– Ucieszy cię wiadomość, skarbie, że Cameron McGregor ma wybitnie bogate słownictwo. Nietuzinkowe, nietypowe, zdumiewające i ponadnaturalnie bezprecedensowe.

Odsuwam słuchawkę od ucha i robię do niej głupią minę. Kiedy znowu słucham, Cam nadal mówi.

– … mężczyźni z natury uwielbiają współzawodnictwo. Jeśli lubi cię chociaż trochę, to wieść, że kręci się wokół ciebie inny mężczyzna, pobudzi jego instynkt…

– Kręci się? Jak romantycznie.

– Przestań kopać mnie w jaja, dziołcha. Próbuję pomóc ci zdobyć ukochanego. Przydałaby się odrobina wdzięczności.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego cię to obchodzi.

Milknie na wystarczająco długą chwilę, żebym zaczęła nadstawiać ucha.

– Powiem ci później.

– Ups. To brzmi przerażająco.

– Może po prostu mam nadzieję na więcej tego twojego słodkiego ciasteczka, dziołcha. Pomyślałaś o tym?

Śmieje się ciepło. Ma szczęście, że nie stoi przede mną, bo w górnej szufladzie mam parę nowiutkich nożyczek, które wyglądałyby uroczo, wystając z jego gałki ocznej.

– Szkoda, że utknąłeś w okresie dojrzewania, McGregor… Pewnego dnia mógłbyś stać się produktywnym członkiem społeczeństwa.

– Ależ ja jestem niezwykle produktywny, dziołcha.

– Wymień jeden zakres swojej produktywności, poza ilością spermy, którą wytwarzasz. Poczekam.

Wybucha salwą śmiechu, który wydaje się trwać wiecznie. Słucham, próbując się nie uśmiechać. W końcu łapie oddech i wraca do rozmowy.

– Ależ z ciebie wielce zadziorna dziołszka. Istny geniusz.

– Dzięki. Chyba.

– A teraz słuchaj, bo to ważne.

– Aż drżę z niecierpliwości – mówię oschle.

– Kiedy piękniś zapyta cię, od kogo dostałaś kwiaty, rzuć mu tylko uśmiech Mona Lisy, a potem wzrusz ramionami. Nie odpowiadaj. Udawaj skromną i takie tam. Jeśli nie dasz rady, udawaj, że jesteś panią Dinwiddle i zrób to, co ona by zrobiła.

– Nie mam pod ręką płaszcza z norek i jedwabnego wachlarza. Dziewczyna potrzebuje rekwizytów, żeby takie przedstawienie w stylu Scarlett O’Hary wypaliło. Uzna mnie za frajerkę!

Cam wzdycha.

– Uzna cię za tajemniczą. Im mniej powiesz, tym lepiej.

– Auć. Wiem, że jestem żenująca i dziwna, McGregor. Nie musisz mi tego rzucać w twarz.

Na linii następuje piekielna cisza, a potem słyszę głos Camerona, twardy jak głaz.

– Nigdy więcej nie chcę słyszeć, że z siebie drwisz, Joellen. Nie rób tego głośno i nie rób tego w swojej głowie. Okaż sobie trochę cholernego szacunku, kobieto, bo inaczej nikt tego nie zrobi.

Moje policzki płoną. Przez chwilę przygryzam wargę, szukając różnych ciętych ripost, ale żadna nie pasuje, bo wiem, że on próbuje mnie wspierać. A do tego ma rację.

Grr.

– Zrozumiano? – naciska.

– Tak. W porządku. Dobrze.

– Dobra, a teraz wracaj do pracy. I… Joellen?

Nadal wydaje się wściekły, więc waham się odpowiadając.

– Co?

Następuje chwila ciszy. Nabiera powietrza, po czym mówi łagodnie:

– Nie jesteś dziwna. Jesteś wyjątkowa. A to różnica.

Rozłącza się, zanim zdążę odpowiedzieć, pozostawiając mnie gapiącą się z niedowierzaniem na telefon. Co to, u diabła, było?

Jednak nie mam czasu tego analizować, bo Denny pojawia się w moim boksie z wielkim, kartonowym pudłem na wózku.

– Hej, dzieciaku! Przesyłka specjalna!

Shasta wystawia głowę ponad ścianką boksu jak świstak. Oczy wychodzą jej z orbit.

– Kolejna przesyłka? Co to?

Dlaczego nagle obchodzą ją moje sprawy?

– Chciałabym ci powiedzieć, ale niestety mój rentgen w oczach dzisiaj nie działa.

Jest zbyt zajęta pożeraniem pudła wzrokiem, żeby zauważyć mój sarkazm. Denny ustawia wózek, następnie wyjmuje nóż z kieszeni spodni i rozcina taśmę na wierzchu pudła.

– To nowe krzesło dla ciebie, dzieciaku. W weekend pan Maddox zgłosił zapotrzebowanie.

Powietrze ucieka mi z płuc ze świstem. Shasta i ja gapimy się na siebie.

Denny robi przedstawienie z rozpakowywania: przecina karton w taki sposób, że wszystkie ścianki pudła opadają równocześnie, ukazując krzesło w całej okazałości.

– To ten nowy, ergonomiczny model – szepcze Shasta z przejęciem.

Nie wiem zbyt wiele o ergonomii, ale to ona sprawia, że moje dotychczasowe krzesło wygląda jak wrak.

– Och, fantastycznie, już je przyniosłeś! – mówi męski głos dobiegający z lewej strony, a moje serce zamiera.

To Michael. Patrzy z aprobatą, jak Denny przeciera krzesło szmatą wyjętą z tylnej kieszeni spodni, mimo że nie ma na nim ani drobinki kurzu.

– Tak, proszę pana! Powiedział pan, że z samego rana w poniedziałek, więc zrobiłem to zanim zacząłem codzienne obowiązki.

Wymieniam zdumione spojrzenia z Shastą i wiem, że obie mamy w tej chwili kompletnie zdruzgotane mózgi. Michael kazał Denny'emu przynieść dla mnie krzesło z samego rana. Jakby to był priorytet. A teraz pojawił się, żeby upewnić się, że dotarło.

Nie ekscytuj się za bardzo – pewnie zaraz powie ci, że nie dostaniesz podwyżki, o którą prosiłaś.

Wygląda dziś idealnie, do tego stopnia, że jest prawie oślepiająco piękny. Gładkie włosy, piękny granatowy garnitur, świeżo ogolony podbródek. Widać, że nie spędził kolejnej nocy na kanapie w biurze. Odwraca się do mnie, obdarzając zabójczym uśmiechem.

– Dzień dobry, Joellen.

Kocham cię i chcę mieć z tobą dzieci.

– Yyy… dobry.

Posyła w stronę Shasty przyjazny uśmiech, a ta chichocze.

– Dzień dobry, panie Maddox!

– Dzień dobry, Shasto. Masz śliczny sweter. Ten kolor ci pasuje.

Widzę, że Shasta ma ochotę podbiec do niego, zarzucić mu ręce na szyję i przyssać się do niego ustami, ale udaje jej się zachować kontrolę.

– Dziękuję. Niebieski to mój ulubiony kolor.

– Mój też – odpowiada Michael, na co Shasta pąsowieje.

Nie jestem zaskoczona. Sprawianie, że kobiety omdlewają, to jego supermoc.

Wtedy Michael dostrzega bukiet róż na moim biurku. Wpatruje się w niego komicznie i mruga zaskoczony.

– To całkiem pokaźny bukiet. Masz dzisiaj urodziny, Joellen?

Trochę boli, że uznał urodziny za jedyny powód, dla którego mogłabym dostać kwiaty, ale kogo ja oszukuję? Nawet wtedy ich nie dostaję.

– Och, nie, one są od…

Na czas gryzę się w język. Zaczynam gorączkowo myśleć, jak pani Dinwiddle wyszłaby z tej sytuacji, i wtedy przypominam sobie uwagę Cama, że powinnam udawać „skromną i takie tam". Patrzę więc z lubością na róże, jakbym przypominała sobie namiętną noc.

Z rozmarzonym westchnieniem mówię:

– Przyjaciela.

Potem mrugam rzęsami i z zawstydzeniem patrzę na swoje stopy.

Gdy w obliczu mojego teatralnego przedstawienia, Michael milknie, jestem przekonana, że zrobiłam z siebie kolosalną idiotkę. Ale kiedy podnoszę na niego wzrok, wpatruje się w róże z nowym wyrazem twarzy.

Takim, który, jeśli się nie mylę, pokazuje, że chciałby porwać bukiet i rozbić go o ścianę.

Michael patrzy na kwiaty. Ja patrzę na Shastę. Shasta wycofuje się do swojego boksu, siada powoli na krześle, gapiąc się na mnie wzrokiem mówiącym „Co jest, do cholery?", aż jej głowa znika za ścianą.

– Wychodzi na to, że twój weekend w końcu nie okazał się taki zły.

W odpowiedzi na lapidarne stwierdzenie Michaela tylko się uśmiecham. *Mona Lisa. Mona Lisa. Mona – kurna – Lisa!*

– Uprzątnę ci to, dzieciaku. – Denny przerywa niezręczną ciszę, bierze moje stare krzesło i wyprowadza je z boksu. Triumfalnie wprowadza do środka nowe. – Ta–dam!

– Dziękuję. Jest cudowne. Wygląda bardzo… ergonomicznie.

Mózgu nie masz nawet tyle, ile Bóg dał pchle, Joellen.

I wtedy, tuż po moim głosie, w głowie pojawia się ten należący do Cama, pełen rozczarowania i akcentu. *Nie mówiłem, że masz przestać,*

dziołcha?

Opanowuję myśli, zanim zabrną za daleko, bo ostatnim, czego potrzebuję, to Góra w mojej głowie.

Kiedy Michael i ja stoimy w niezręcznej ciszy, Denny pakuje stare krzesło do pudła, okleja je taśmą, a potem ładuje na wózek. Na koniec odwraca się do mnie z uśmiechem.

– Opowiadałem ci ten, w którym Bill Gates puszcza bąka w sklepie Apple?

– To wszystko, Denny, dziękuję.

Cichy, ale pewny głos Michaela przerywa kolejny dowcip Denny'ego, który zapewne skończyłby się jakąś fatalną puentą.

– Och tak, oczywiście. Przepraszam, panie Maddox. Już idę.

W ciągu kilku sekund znika z moim starym krzesłem, pozostawiając mnie i Michaela wpatrujących się w siebie przy tym głupim, łypiącym na nas, bukiecie róż. Zastanawiam się, czy McGregor ma urządzenie podsłuchowe albo kamerę ukrytą między łodygami i stwierdzam, że nie zdziwiłabym się.

– Yyy, dzięki za krzesło. Naprawdę to doceniam.

– Nie ma za co. Daj mi znać, jeśli potrzebujesz czegoś jeszcze, Joellen. Chcę być pewien, że masz wszystko, czego potrzebujesz.

Dlaczego jego głos brzmi tak szorstko?

Unoszę na niego wzrok i nasze spojrzenia spotykają się. Żar w jego oczach sprawia, że czuję, jakby przez moje żyły przepływały błyskawice. Pisk zaskoczenia – a może histerii – wyrywa się z moich ust.

Odchrząknąwszy głośno, Michael wygładza dłonią klapę marynarki.

– Cóż. Wracam do pracy. Miłego dnia.

Zanim zdołam odpowiedzieć, odwraca i odchodzi.

Patrzę za nim. Nadzieja, dezorientacja i tęsknota mieszają się w moim żołądku, a Shasta mówi teatralnym szeptem:

– Ktoś dosypał mi coś do kawy, czy on z tobą flirtował?

Rzucam się na ściankę oddzielającą nas i wpatruję się w nią, kucającą na krześle, z którego prawdopodobnie podsłuchiwała. Wyciągam ręce.

– Uszczypnij mnie. Chyba śnię.

Uśmiechając się, Shasta kręci głową.

– Laska, zrobię więcej niż tylko to. Jeśli Michael Maddox na ciebie leci, przyłożę ci prosto w twarz.

Ten dzień oficjalnie stał się najlepszym w moim życiu.

OSIEM

Przez resztę dnia płynę na hormonalnym haju, uśmiechając się jak wariatka. Nie rusza mnie nawet wtedy, kiedy zauważam Portię w damskiej toalecie, myjącą ręce przy zlewie i rzucającą mi w lustrze swoje firmowe Spojrzenie Śmierci.

Nic mnie nie powstrzyma. Jestem niezwyciężona. Pokrywa mnie miłosny teflon. Nie przeszkadza mi również to, że wychodząc z windy na moim piętrze w bloku, słyszę huk rapu, który momentalnie sprawia, że tracę pięć procent słuchu.

Łomoczę do drzwi Góry, nadal uśmiechnięta.

Kiedy otwiera, mój uśmiech opada na chwilę, ale zaraz wraca na miejsce, unosząc się jak pod wpływem magnesu.

– Fajna spódniczka, pozerze. W kracie ci do twarzy. A kiedy zainwestujesz w jakieś koszule? Wiesz, że jest zima, tak?

Wzdycha ciężko, po czym patrzy w sufit, jakby spodziewał się boskiej interwencji.

– To jest kilt, dziołcha.

Wiem to, oczywiście, ale lubię się z nim droczyć. Widać, że działa mu na nerwy, kiedy okazuję brak szacunku jego kiltowi, nazywając go spódniczką.

– Co za różnica?

– Co masz pod spodem.

Kiedy unoszę brew, uśmiecha się.

– Zapytaj, co mam pod spodem.

– Myślę, że to trik, żebym tylko spojrzała na twój interes.

Wygląda na urażonego.

– Mój „interes”? Cameron McGregor nie ma interesu. Ma klejnoty rodowe, dziękuję bardzo.

Pomijam ten niedorzeczny sposób mówienia o sobie w trzeciej osobie.

– No cóż, twoje klejnoty rodowe mogą pozostać bezpieczne pod spódniczką, kolego, bo jestem w zbyt dobrym humorze, żeby radzić sobie z przypadkowymi penisami, dziękuję bardzo.

Unosi nieco brzeg kiltu, po czym uśmiecha się szeroko, trzepocząc rzęsami.

– Jesteś pewna? To może zmienić twoje życie, obiecuję, dziołcha.

Parskam.

– Bez wątpienia, ale nie mam kasy na długi i kosztowny związek z psychoterapeutą, który byłby konieczny po zobaczeniu cię nago.

– Aha! Czyli przyznajesz, że twój umysł by oszalał!

– Przyznaję, że widziałam już wcześniej ludzi takich, jak ty, ale musiałam w tym celu kupić bilety do cyrku.

Ściąga wargi, a następnie ogląda mnie z góry do dołu.

– Nie męcz się, skarbie, i po prostu przyznaj, że jesteś we mnie zakochana na zabój i pragniesz tylko sprowadzić na ten świat kilku małych McGregorów.

– Cierpisz na urojenia.

– Jesteś we mnie totalnie zakochana.

– Totalnie to ja cię nie lubię.

– W końcu zrozumiałaś, że to ja jestem prawdziwym facetem z twoich marzeń.

– W końcu zrozumiałam, w jaki sposób tutaj trafiłeś. Ktoś zostawił otwarte drzwi twojej klatki.

Śmiejemy się do siebie, a ten głupi rap dudni w korytarzu, pozbawiając mnie kilku kolejnych procent słuchu.

– Wyglądasz na okropnie radosną, dziołcha. Twój sklep z bielizną miał wyprzedaż beżowych babcinych majtek?

Nawet ta mała złośliwość nie zniweczy mojego dobrego nastroju.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że jesteś geniuszem. Myślę, że róże zadziałały.

Uśmiech znika z jego twarzy, jakby ktoś go wygumkował. Wychodzi na korytarz, zmuszając mnie do cofnięcia się, po czym wlepia we mnie wzrok.

– Ta? Co się stało?

Mrugam, patrząc na niego.

– Hola. Twoja zdolność przejścia od niegroźnego flirtu do trybu seryjnego mordercy jest zadziwiająca, wiesz?

– Nie łudź się. Ja nigdy nie jestem niegroźny.

Mówi to, patrząc mi w oczy. Żyła pulsuje mu na czole. Po moim kręgosłupie przechodzi dreszcz. To nie strach, ale nie jestem też pewna, co dokładnie. Szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć. Ten facet jest o jeden chromosom od przemiany w Hulka.

– W porządku. Nigdy nie jesteś niegroźny. Gratulacje z powodu bycia psychopatą. A tak przy okazji, dlaczego puszczasz tak głośno muzykę? Powiedziałeś, cytuję: „Twoja zapiekanka za ciszę". Tego rozrywającego bębenki hałasu nie można nazwać ciszą.

Zakłada ręce na piersi, patrząc na mnie z góry. Ten facet rzeczywiście jest dość onieśmielający, kiedy to robi. Naprawdę rozumiem, dlaczego czasem o bicepsach mówi się w kategoriach broni. Jego to dwa działa, naładowane i zabezpieczone.

– Wczorajsza zapiekanka zapewniła ciszę wczoraj. Chcesz dzisiaj więcej ciszy? To ja chcę następną.

Sapię z wściekłości.

– Nigdy tego nie powiedziałeś! Nie możesz zmieniać zasad po zawarciu umowy!

– Cameron McGregor może robić, co chce, dziołcha. – Cofa się, a następnie podnosi rękę, żeby zamknąć drzwi.

– Czekaj!

Zerka na mnie spod przymkniętych powiek, czekając.

– Nie mam składników na kolejną zapiekankę, ale…

Zamyka mi drzwi przed nosem.

Łomoczę w drzwi, wrzeszcząc:

– Ale mogę zrobić ci klopsy według przepisu mojej babci, ty wielki kretynie! Są jeszcze lepsze!

Po chwili muzyka zostaje nieznacznie przyciszona. Drzwi uchylają się, a Cameron zerka na mnie przez szparę.

– Klopsy?

– Tak – odpowiadam, kipiąc ze złości. – Klopsy. Kulki zrobione z mięsa. Nieziemsko przepyszne.

Drzwi otwierają się jeszcze odrobinę.

– Z jakiego mięsa? – pyta podejrzliwie.

Och, na miłość boską.

– Mielone z indyka.

Marszczy nos zupełnie jak pani Dinwiddle, a ja muszę stłumić warknięcie, bo nie mam zamiaru słuchać tego przeklętego rapu przez całą noc.

– Jest puszyste, soczyste, a do tego będą ziemniaczki i sos. Chcesz to cholerstwo czy nie?

Udaje, że się zastanawia, stukając palcem w podbródek, a ja mam ochotę kopnąć go w te jego przeklęte klejnoty rodowe.

– W porządku. – Kiwa głową z powagą. – Przyjmuję te mięsne klopsy, które proponujesz. Ale jeśli okaże się, że przesadziłaś w kwestii ich pyszności, nasza umowa zostaje anulowana.

Nozdrza mi drgają, a we mnie narasta potrzeba popełnienia morderstwa.

– Ja ci pokażę anulowanie – mamroczę, po czym odwracam się od niego, przechodząc na drugą stronę korytarza. Moje szczęście wyparowało. Gwałtownie przeszukuję torebkę w poszukiwaniu kluczy. Kiedy tylko otwieram drzwi, muzyka nagle cichnie, a potem słyszę trzaśnięcie drzwi i Cameron McGregor przepycha się obok do mojego mieszkania.

Patrzę bezradnie, jak siada na mojej kanapie i zarzuca swoje wielkie, nagie stopy na stolik kawowy.

– Nie, McGregor. Nie. Wyjdź. – Wskazuję drzwi.

Jego uśmiech jest szeroki i usatysfakcjonowany. Zaplata dłonie za głową, ukazując przy tym wszystkie mięśnie ramion i brzucha, a jego tatuaże falują.

– Możesz opowiedzieć mi wszystko o pięknisiu Michaelu i jakim to jestem geniuszem podczas gotowania.

I wtedy, ponieważ wszechświat mnie nienawidzi, Pan Bingley wskakuje na kolana Camerona, zwija się w kłębek i spokojnie zapada w sen. Uśmiech Camerona staje się jeszcze szerszy.

Zamykam drzwi i marzę, żeby jego głowa eksplodowała jak dynia. Niestety, nie mam takiego szczęścia i jego durny łeb pozostaje nietknięty.

– Gdyby wzrok mógł zabijać, już byłbym trupem, dziołcha – mówi łagodnie, patrząc, jak rzucam torebkę na stolik w przedpokoju,

zdejmuję płaszcz i ruszam w stronę kuchni.

Rzucam przez ramię:

– Jesteś powodem, dla którego Bóg stworzył środkowy palec.

Zaczyna się śmiać i nie przestaje, a ten irytujący dźwięk słyszę nawet mimo stukotu garnków i patelni, kiedy przeszukuję szafkę. Wyjmuję właściwą patelnię, z impetem stawiam ją na blacie, po czym ruszam w stronę lodówki.

– Cieszę się, że uważasz mnie za tak zabawną.

Nagle przestaje się śmiać.

– Nie tego słowa bym użył.

Och, jasne, Zapewne tym słowem jest gruba. Wypróbuję na nim Mordercze Spojrzenie Portii.

– Wiesz, że byłam w naprawdę dobrym nastroju, zanim wróciłam do domu.

– Bo moje róże zadziałały. A tak przy okazji, nie ma za co.

Moje tylne zęby mogą w każdej chwili pęknąć, tak mocno je zaciskam. Ale ma trochę racji.

– Cóż… tak. I dziękuję. Ile jestem ci winna za ten bukiet?

– Tydzień zapiekanki pasterskiej. I/lub klopsów, jeśli okażą się jadalne.

Uśmiecha się, widząc przerażenie na mojej twarzy, po czym wzrusza ramionami.

– To kropla w morzu, w porównaniu z tym, ile kwiaciarnie na Manhattanie wołają za sto róż, skarbie. Ale to twój wybór.

Sto róż? Wykonuję szybkie obliczenia w głowie, ile mogłoby kosztować dwanaście róż, mnożę to przez osiem i wychodzi mi kwota tak kolosalna, że krew odpływa mi z twarzy. A trzeba jeszcze doliczyć dostawę.

Ale postanawiam czym prędzej uściślić warunki, bo to wredny naciągacz.

– Ale to oznacza zero muzyki przez tydzień, zgadza się?

– Jasne, ale też to, że będę jadł tutaj.

Stoję ogłupiała.

– Tutaj? Dlaczego tutaj?

Zastanawia się chwilę nad odpowiedzią, po czym rzuca beznamiętnie.

– Lubię twojego kota.

Mrużę oczy i patrzę, jak z radością drapie Pana Bingleya za uszami.

– Czy to nie będzie przeszkadzało w twoich imprezach z rozbieranym pokerem i seksie z nieznajomymi na stojąco przy drzwiach?

Rozbawienie pojawia się w jego oczach.

– Nie, po prostu przesunę to na rano.

Widzę, że mnie podpuszcza, co wydaje się naprawdę uwielbiać, więc utrzymuję tak beznamiętny wyraz twarzy jak on i ignoruję to.

– Uściślijmy, umowa zawiera siedem domowych posiłków, które zjesz tutaj, jako zapłata za róże i brak głośnej muzyki.

Przytakuje, uśmiechając się nieznacznie, przez co robię się podejrzliwa.

– I to wszystko? – dopytuję.

– Mogę dorzucić codzienny rzut okiem na klejnoty rodowe, jeśli chcesz.

Jego głos jest przepełniony wstrzymywanym śmiechem, a ja mam ochotę przyłożyć mu patelnią w twarz.

– Nie, dziękuję. Ale wydaje mi się, że powinniśmy przedyskutować, jak długo zajmie ci jedzenie posiłków tutaj.

Unosi brew.

– Chcesz ustalić limitu czasu, dziołcha? To mnie obraża.

– Chcę tylko upewnić się, że nie skończysz, śpiąc na mojej kanapie.

– A co jeśli mnie zaprosisz?

Wyrzucam ręce w powietrze.

– McGregor, naprawdę!

– To uzasadnione pytanie. Tak wiele razy mówiono mi, że nie można mi się oprzeć, że trudno w to nie wierzyć. Mogłabyś równie dobrze rzucić się na mnie, skarbie, i co wtedy? Tylko uściślam, jak powiedziałaś.

Zamykam oczy, biorę głęboki wdech, po czym przeczesuję włosy palcami. Kiedy znowu otwieram oczy, Cameron szczerzy się do mnie.

– Dwadzieścia minut dziennie – mówię.

Uśmiech nie znika.

– Nie zajmuję się jedzeniem na czas, dziołcha, nie możesz oczekiwać, że wepchnę w siebie całą zapiekankę w mniej niż pół godziny.

– Dobrze. Trzydzieści minut.

– Godzina.

– Czterdzieści pięć minut.

Obserwuje moją twarz, zaciśnięte pięści i ogólne ucieleśnienie laski dynamitu z odpalonym lontem i wreszcie mięknie.

– Czterdzieści pięć minut. Zgoda.

Czuję się tak, jakbym właśnie wynegocjowała pokój na Bliskim Wschodzie.

– Zgoda. A teraz siedź tam i spróbuj nie być irytujący, kiedy będę robić kolację.

Słyszę za sobą niski śmiech, kiedy odwracam się i znowu ruszam w stronę lodówki. Jestem zajęta przez kilka minut – przygotowuję składniki, siekam czerwoną paprykę i mieszam płatki owsiane z mięsem – aż niespodziewanie czuję za sobą czyjąś obecność. Odwracam się, po czym wrzeszczę, widząc, że Cameron stoi tuż za mną i patrzy.

– Jezu! Wystraszyłeś mnie prawie na śmierć! Co robisz?

– Zapomniałaś, że tu jestem, dziołcha? Tak krótko utrzymujesz koncentrację?

Znowu się ze mnie śmieje, wesołość błyszczy w jego oczach, a kąciki ust unoszą się. Wyjmuję drewnianą łyżkę z ceramicznego stojaka na blacie, po czym uderzam go nią w ramię.

– Idź tam! Siadaj przy stole i przestań się skradać!

– Chryste, ale się rządzisz – zrzędzi, ale mówi to z ciepłem w głosie, więc mogę stwierdzić, że tak naprawdę mu się to podoba. A to dobrze dla nas obojga, bo w jego przyszłości widzę sporo bicia, jeśli nadal będzie się tak zachowywał.

Siada na krześle przy moim kuchennym stole, przejmując całą przestrzeń w pomieszczeniu, w ten swój irytujący sposób. Rzucam w niego ścierką kuchenną, która trafia go w twarz.

– Mógłbyś się zakryć?

– Tym? – Przykłada ścierkę do swojego szerokiego torsu. Zakrywa może ćwierć powierzchni. Kiedy marszczę brwi, śmieje się. – Czy

widok mojej męskiej, nagiej klaty rozprasza cię, kochanie?

Jęczę, wywracając oczami.

– Czterdzieści pięć minut każdego wieczora i postradam zmysły.

– Tak. Z pożądania.

– O. Mój. Boże.

– Możesz po prostu mówić do mnie Cam, skarbie. Chociaż Bóg to właściwe określenie, jednak brzmi trochę zbyt formalnie.

Wydaję z siebie poirytowany dźwięk, który ma w sobie sporo prychnięć, a następnie wracam do przygotowywania klopsów.

Cam siedzi cicho, dopóki nie wkładam mięsa do piekarnika, nastawiając zegar. Potem mówi:

– Więc. Piękniś. Opowiadaj.

Myśl o minie Michaela, kiedy patrzył na róże na moim biurku, przywołuje uśmiech na moją twarz. Myję dłonie, osuszam, po czym opieram się o blat, zakładając ręce na piersi. Napotykam spojrzenie Cama.

– Było wspaniale. Przyszedł z samego rana, żeby sprawdzić, czy dotarło krzesło, które dla mnie zamówił, a tu ogromny bukiet na moim…

– Jakie krzesło?

Zaskakuje mnie siła jego pytania.

– Och. Myślał, że moje krzesło jest zepsute, bo jak zwykle byłam niezdarą i… – Sposób, w jaki twarz Cama staje się mroczna, kiedy nazywam siebie niezdarą, sprawia, że natychmiast się poprawiam. – To znaczy, myślał, że moje krzesło jest zepsute, więc zamówił nowe.

– To było, zanim zobaczył róże?

– Tak. To wyszło podczas naszej rozmowy w niedzielę, kiedy dowiedziałam się, że bierze rozwód.

– Kiedy mówisz, że myślał, że jest zepsute, to brzmi, jakby w rzeczywistości nie było.

– Bo nie było. Ciężko to wyjaśnić, żebyś się nie wściekał, bo musiałabym opisać, co się stało, a szczerze mówiąc, nie widzę sposobu na opowiedzenie tego, bez wspominania, że jestem niezdarą.

Cam wpatruje się we mnie spokojnie.

– Hmm.

– Co chcesz powiedzieć przez „hmm”?

– Są tu dwie części.

– Jak trzy litery bez samogłoski mogą mieć dwie części?

– Dwie części wyjaśnienia.

– Dlaczego wydaje mi się, że powinnam usiąść?

Cam wskazuje na krzesło naprzeciwko swojego, na które opadam, dziwnie podenerwowana tym, co mogę od niego usłyszeć.

Stukając palcami o stół, Cam oznajmia:

– Część pierwsza to interesujący fakt, że piękniś zamówił dla ciebie nowe krzesło.

Przygryzam wargę ze zmartwienia.

– Dlaczego to jest interesujące?

– Interesujące, że zauważył. Interesujące, że podjął inicjatywę. Interesujące, że załatwił to tak szybko. Interesujące, że wpadł, żeby osobiście tego dopilnować. A wszystko to staje się jeszcze bardziej interesujące, biorąc pod uwagę twoją opinię, że on nie wie o twoim istnieniu.

Pochylam się do przodu, szeroko otwierając oczy.

– Też o tym pomyślałam!

– Co zrobił, kiedy zobaczył kwiaty?

– Tak jakby… obrzucał je wściekłym spojrzeniem, jakby chciał je wyrzucić.

Mięsień drga na szczęce Cama, ale nic nie mówi.

– A jaka jest druga część?

– Obchodzi cię, że się wściekam, kiedy obrażasz samą siebie.

Macham na to ręką, bo chcę wrócić do Michaela.

– Więc, jak sądzisz, co to wszystko znaczy?

– Według mnie to znaczy, że on cię lubi.

Chociaż jestem podekscytowana możliwością, że to, co mówi, jest prawdą, wiem, że to nierealne.

– Chociaż bardzo chciałabym w to wierzyć, nie mogę.

– Może powinnaś uwierzyć mi na słowo, dziołcha.

– Słowo faceta, który ma na sobie tylko spódnicę w kratę i upiera się, że pragnę mieć z nim dzieci.

Uśmiech Cama wypływa powoli, rozświetlając jego twarz.

– Tak jest. I byłyby z nich cudne maluszki. Śliczne małe diabełki z ciętym językiem po mamusi.

– Przebywanie z tobą jest trochę wyczerpujące, McGregor.

– Tylko trochę? Uznaję to za komplement, dziołcha.

Nic nie mogę na to poradzić. Zaczynam się śmiać. Na początku słabo, ale potem poddaję się histerycznemu rechotowi, który wstrzymywałam przez cały dzień, spowodowanemu spotkaniem z Michaelem, więc śmieję się z zapałem, odrzucam głowę w tył i uderzam pięścią w stół.

– Widzisz? – Cam brzmi na zadowolonego z siebie. – Szalejesz na moim punkcie. Tylko zakochana kobieta potrafi tak się śmiać.

Ocierając łzy z oczu, próbuję złapać oddech.

– W dzieciństwie często upuszczali cię na głowę, co?

– Nie w dzieciństwie – odpowiada łagodnie, a uśmiech niknie z jego twarzy. – To wydarzyło się później.

To stwierdzenie sprawia, że mój uśmiech ulatuje jak stado spłoszonych ptaków. Wpatruję się w niego – nagle jest poważny, ma zaciśniętą szczękę – i zastanawiam się, czy powinnam udawać, że wcale tego nie powiedział, czy może uznać to za sposobność wejścia w jego życie osobiste. I czy chcę uchylać te konkretne drzwi.

– Słyszę, jak trybiki w twojej głowie się kręcą, dziołcha – mówi, wpatrując się w moją twarz. – Nie łam sobie głowy, po prostu zapytaj.

– Yyy. Kurczę. Nie wiem, od czego zacząć. – Po chwili pytam delikatnie. – Czy ty… miałeś trudne dzieciństwo?

Unosi brew.

– Nie mów, że mnie nie wygooglowałaś.

– Oczywiście, że nie. Po co miałabym to robić?

– Bo jestem Cameron McGregor.

Mrugam na to zwyczajne stwierdzenie, sugerujące, jakby przyjmował to za pewnik, że każdy człowiek, który będzie miał z nim kontakt, od razu pędzi do komputera i sprawdza wszystkie intymne szczegóły na jego temat.

Jeśli wcześniej myślałam, że ma wielkie ego, teraz jestem pewna, że jest ono absolutnie kolosalne.

– Dobra, nie chcę być wredna, ale dosłownie nigdy o tobie nie słyszałam, dopóki nie wprowadziłeś się do tego budynku.

Wywraca oczami.

– Nie bądź niemądra. Wszyscy o mnie słyszeli.

– Koleś. Nie jesteś Mickiem Jaggerem.

– Nie, jestem dużo sławniejszy i przystojniejszy.

– Wcale, że nie.

Pochyla się, porzucając swoją zwykłą, wyluzowaną postawę na rzecz bardziej prowokującej.

– Chcesz powiedzieć, że uważasz Micka cholernego Jaggera, tego siwego, starego Anglika, za przystojniejszego ode mnie?

– Spokojnie, tygrysie. Bo spódniczka ci się pogniecie. Mówię tylko, że nie jesteś tak sławny jak Mick Jagger.

Odchyla się na oparciu, zakłada ręce na piersi i patrzy na mnie z góry, jak lubi robić, kląskając językiem.

– Aż przykro, że jesteś tak niedoinformowana, skarbie. Jestem najsławniejszym sportowcem na tej planecie.

– Dobra, po pierwsze, gwiazdy rocka są sławniejsze niż sportowcy, bez dwóch zdań. A po drugie, nie jesteś sławniejszy niż Michael Jordan.

Śmieje się, jakbym powiedziała coś niedorzecznego.

– Jestem o wiele bardziej sławny niż Michael Jordan!

– Może w swojej głowie, ale tutaj, w krainie ludzi zdrowych psychicznie, zdecydowanie nie jesteś.

Nabiera duży haust powietrza. Jest rozczarowany.

– Oj dziołszka[1], naprawdę za mało wychodzisz.

– Jako dygresja do tej głupiej konwersacji, McGregor, tutaj w Stanach, Lassie to sławny pies z telewizji. Więc kiedy tak do mnie mówisz, mam wrażenie, że wołasz psa.

Zastanawia się nad tym przez chwilę.

– Jaki to pies?

– O słodki Jezu.

– Pytam poważnie! To ładny pies? Kundel? Pit bull? Nigdy nie słyszałem o tej całej Lassie. Musisz mi coś podpowiedzieć.

– Wyrzucili cię ze Szkocji, bo byłeś tak irytujący, prawda? Wszyscy się zebrali i postanowili cię wykopać dla dobra kraju?

Próbuje się nie śmiać, ściskając usta.

– Wiedziałabyś, gdybyś mnie wygooglowała.

– Nie zamierzam cię googlować, egozaurze.

– No dalej, wiesz, że tego chcesz. Możemy zrobić to razem!

Wpatruję się w niego, po czym potrząsam głową.

– Masz poważne problemy psychiczne, które wymagają profesjonalnej pomocy.

Jego piwne oczy błyszczą.

– To tylko część mojego uroku, kochanie, tylko część uroku.

Zerkam na zegar na piekarniku, zastanawiając się, jak długo jeszcze potrwa ta tortura, kiedy Pan Bingley wmaszerowuje do kuchni i wskakuje na kolana Cama.

Cam patrzy na mnie, uśmiechając się triumfalnie.

– Och, zamknij się, McGregor.

– Nigdy, choćby za milion lat, dziołcha. Mam zbyt wiele genialnych pomysłów, którymi chcę się podzielić. Jak na przykład ten. Jesteś gotowa? – Pochyla się do przodu, oczy mu błyszczą, jakby zamierzał właśnie podzielić się ze mną fragmentem galaktycznej mądrości.

– Nie mogę się doczekać.

– Najpierw pytanie: kiedy ostatnio całowałaś się z mężczyzną?

Nagle czuję się kompletnie upokorzona.

– Pieprz się!

– Nie twierdzę, że jesteś lesbijką, jeśli tak właśnie myślisz. Nie, żeby było coś złego w byciu lesbijką, po prostu nie o to mi chodziło.

– Masz szczęście, że noże znajdują się w szufladzie po drugiej stronie kuchni, bo gdybym miała teraz jakiś w ręku, wydłubałabym ci oczy.

Macha ręką z niecierpliwością.

– Chodzi mi o to, że jeśli minęło sporo czasu, możesz potrzebować nieco ćwiczeń, żeby przygotować się dla pięknisia Michaela.

– O czym ty, do cholery, mówisz? – wrzeszczę.

Cam rozkłada się na oparciu z uśmiechem na twarzy.

– Mówię o tym, że mogę zostać twoim trenerem.

Zrozumienie tego zajmuje mi chwilę, ale kiedy już załapuję, uszy mi płoną.

– Czekaj. Proponujesz, że nauczysz mnie, jak się całować?

Jego uśmiech staje się jeszcze szerszy.

– Kto mógłby być lepszy niż Książę Ściągacz Majtek?

DZIEWIĘĆ

Po zużyciu ogromnej ilości energii na piorunowanie wzrokiem Cama i próby ogarnięcia papki, którą stał się mój mózg, nad moją głową pojawia się żarówka.

– Och, już łapię.

Wygląda na zainteresowanego.

– A co dokładnie?

– Jesteś jednym z tych facetów, którzy nie mogą znieść, że jakaś kobieta na nich nie leci. Twoje ego jest tak nadmuchane tym gorącym gazem, który wszyscy pompują ci w tyłek, że kiedy spotkasz kogoś, komu jesteś obojętny, to doprowadza cię do szaleństwa. Dlatego chodzisz półnagi, pokazując swoją kolekcję mięśni i tatuaży, domagasz się domowych klopsów i wygłaszasz bulwersujące stwierdzenia, takie jak „Będę twoim trenerem całowania", tylko po to, żeby twoje delikatne, a jednak niedorzecznie rozbuchane ego, nie załamało się z powodu braku uwagi.

Cam patrzy na mnie ze śmiertelną powagą.

– Dziękuję ci, doktorze Freud, za tę wyśmienitą diagnozę.

– Nie ma za co.

– Szkoda, że jest bezsensowna. Ale interesują mnie te mięśnie, o których mówiłaś. Masz jakieś ulubione?

Zakłada kciuk za pas kiltu, a następnie posyła mi niewinny uśmiech, który działa jak papier ścierny na moje wrażliwe zakończenia nerwowe.

– Założę się, że to jeszcze bardziej uwłaczające, że taka pulchna dziewczyna nie płonie z zachwytu nad twoją męskością, co?

Jego uśmiech znika szybciej niż miska czekoladowych Häagen–Dazs w moim żołądku. Cam pochyla się do mnie z niskim warknięciem.

– Ubliż sobie jeszcze raz w mojej obecności, kobieto, a przełożę cię przez kolano i sprawię, że tego pożałujesz.

Wpatrujemy się w siebie, podczas gdy zegar na ścianie tyka, a Pan Bingley postanawia zrobić sobie posiłek ze swoich tylnych łapek, dobierając się do nich jak ja do porcji żeberek.

– Dlaczego wargi ci drgają? – Cam patrzy na mnie zmrużonymi oczami.

– Bo próbuję zdecydować, czy to słodkie, seksistowskie czy tak niedorzeczne, że powinnam zacząć się śmiać.

Twarz Cama rozjaśnia się, jakby słońce przebiło się przez chmury burzowe. Rozpiera się na oparciu, uśmiechając szeroko.

– To proste, dziołcha. Słodkie.

Czy ten facet tak na poważnie?

– Pytanie. Z czystej ciekawości.

– Wal.

– Przełożyłeś kiedyś kobietę przez kolano, żeby ją ukarać?

Kiedy jego uśmiech staje się nikczemny, podnoszę rękę.

– Nie. Nieważne. Nie chcę wiedzieć.

Nagłe ukłucie bólu przeszywa moją czaszkę, więc krzywię się, przyciskając palce do oczu.

– Co się dzieje?

– Uch. Ból głowy.

Cam marszczy brwi.

– Wiem, że uważasz mnie za irytującego, ale powodowanie prawdziwego bólu głowy to zupełnie nowy poziom.

– To nie ty. To znaczy ty, ale głównym powodem jest to, że nie jadłam nic przez cały dzień.

– Dlaczego, do cholery?! – grzmi Cam.

Krzywię się.

– Och, dziękuję ci za to. Wrzaski świetnie działają na ból głowy.

– Nie unikaj pytania!

Kiedy wzdycham głęboko, masując skronie, Cam mówi mrocznym głosem:

– Lepiej, żeby to nie miało nic wspólnego z pięknisiem i imprezą świąteczną.

Dobra, więc jest bystry… tak jakby. Ale moje nerwy są już na wyczerpaniu i wiem, że jeśli przyznam, że głodzę się, żeby stracić na

wadze, on będzie miał dużo do powiedzenia na ten temat, dlatego decyduję się na maleńkie kłamstewko.

Przyglądam się pęknięciu na ścianie nad jego lewym ramieniem.

– Miałam niewielkie problemy żołądkowe.

Po chwili ciszy Cam wzdycha.

– Beznadziejnie kłamiesz, kobieto.

Wypowiada to z tym swoim akcentem. To urocze, ale nienawidzę go, więc jednak nie.

– Dlaczego myślisz, że kłamię?

– Badacz ludzkości, pamiętasz?

Powstrzymuję chęć wytknięcia języka i zamiast tego po prostu na niego patrzę.

– Dobra, twoja twarz się wykrzywia, a całe ciało tak jakby wzdryga się i zapada w sobie. Mogłabyś równie dobrze mieć to wypisane na czole.

– To niezbyt wygodne.

Głos Cama staje się łagodniejszy, jego wzrok również.

– Nie, dziołcha. To dobra rzecz. – A potem jego głos znowu twardnieje. – Ale głodówka już nie.

– Mógłbyś być mniej spostrzegawczy? To jeszcze wzmaga mój ból głowy.

– Nie ma mowy. Ból głowy to cena, którą płacisz za bycie cholerną kretynką. Twoje ciało potrzebuje paliwa, dziołcha, a jeśli go nie dostanie, zacznie pochłaniać twoje mięśnie i zaczniesz mieć dużo gorsze problemy niż ból głowy.

– A ty co, lekarz? – burczę.

Wstaje i podpiera się pod boki, górując nade mną. Pan Bingley zeskakuje na podłogę, czekając cierpliwie u jego stóp.

– Spójrz na to ciało, dziołcha. Spójrz na to ciało. – Wyciąga ramiona, unosi podbródek i nadyma klatę. – Myślisz, że osiągnąłem tę idealną budowę, głodząc się? Sądzisz, że stałem się najsłynniejszym, najbardziej uwielbianym sportowcem na świecie, próbując być chudzielcem?

– Przepraszam, czy mógłbyś powtórzyć pytanie? Twoje ego blokuje mi słuch.

– Ciało ludzkie to skomplikowana maszyna. Świątynia, jak to mówią. Musisz je tak traktować!

– Tak, no cóż, moje ciało to bardziej porzucone ruiny, obrośnięte przez dżunglę, w których mieszka teraz stado kóz.

Widzę, że Cam chce się zaśmiać, ale bardzo stara się utrzymać poważną minę, bo nie skończył jeszcze swojego zrzędzenia. Macha mi palcem jak babcia Gums, kiedy ostrzega, że mój zegar biologiczny rozpoczął już wsteczne odliczanie.

– Potrzebujesz zbilansowanej diety i programu ćwiczeń.

– Nieprawda. Potrzebuję liposukcji.

Wzdryga się, jakby ta myśl go odrzucała, po czym opada z powrotem na krzesło, które skrzypi w proteście. Pan Bingley natychmiast wraca na jego kolana. Zaczynam się zastanawiać, czy Cam wciera w siebie kocimiętkę przed przyjściem tutaj.

– Żadnej liposukcji. Twoje ciało zacznie spalać tłuszcz efektywnie, jeśli dobrze je nakarmisz i nad nim popracujesz.

– Hura. Niestety jestem uzależniona od węglowodanów i cukru, a mam alergię na ćwiczenia, więc jedynym sposobem, żebym spaliła tłuszcz, będzie potraktowanie mnie opalarką albo całkowite zaprzestanie jedzenia. Zdecydowałam się wypróbować drugą opcję.

Cam bębni palcami w stół, przeszywając mnie intensywnym spojrzeniem, aż zaczynam wiercić się na krześle, bo jego wzrok sprawia, że czuję się niekomfortowo.

– Zaczynamy trening jutro rano – oznajmia.

– Nie zamierzam podejmować się twojego treningu całowania, koleś, niezależnie ile majtek zrzuciłeś! Odpuść! – odpowiadam wyniośle.

Wywraca oczami, jakbym to ja zachowywała się niedorzecznie.

– Mówię o programie ćwiczeń.

– Ha! To, że przyzwyczaję się do codziennych ćwiczeń, jest tak samo prawdopodobne jak to, że ty wypracujesz w sobie skromność i poczucie stylu.

Wstaję, podchodzę do piekarnika, po czym niecierpliwie stukam w zegar, przekonana, że się zepsuł.

– Ile chcesz zrzucić do imprezy? – pyta, przesuwając wzrokiem po mojej sylwetce.

Posyłam mu kwaśne spojrzenie.

– Dosłownie tonę. A jeśli możesz dorzucić do tego promienną cerę, cycki, które nie wyglądałyby jak obiekty rodem z National Geographic, wydłużyć mi nogi o kilka centymetrów i ogólnie zmniejszyć moje podobieństwo do ogrzycy Fiony ze *Shreka*, wchodzę w to.

Jestem zbyt zajęta ocenianiem stanu potrawy przez szybkę piekarnika, żeby zauważyć przeszywającą ciszę, ale po chwili dociera do mnie, że Cam nic nie mówi, a to może oznaczać tylko złe wieści.

Zerkam na niego i znajduję to, co wiedziałam, że znajdę: Cam przedstawia swoje najlepsze wcielenie Wolverine'a.

Prostuję się i wzdycham, kręcąc głową.

– Proszę, nie czepiaj się mnie, McGregor.

Artykułuje każde słowo powoli, jakby każde odgryzał po kawałku.

– Kto. Powiedział. Ci. Że. Jesteś. Brzydka.

– Każde lustro, w które patrzyłam.

Zła odpowiedź. Wolverine przeistacza się w pełnowymiarowego mutanta. Dobrze, że nie ma na sobie koszuli, bo zostałaby rozerwana na strzępy przez jego nagły rozrost spowodowany wściekłością.

– Przestań, McGregor. Po prostu przestań. Wiem, jak wyglądam.

– Może potrzebujesz nowych okularów.

To mnie wnerwia. Nie znoszę, kiedy ludzie o dobrych intencjach próbują sprawić, że poczuję się lepiej ze swoim wyglądem.

Z płonącymi policzkami mówię cicho:

– Ani się waż nade mną litować i traktować mnie protekcjonalnie. Nie pieprz mi też głupot. Mam lustra i wagę, a także młodszą siostrę, która wygrała dość konkursów piękności, żebym wiedziała, jak powinno wyglądać piękno. I to nie ja. Ale to w porządku, nie jest mi siebie żal. Jednak kiedy ktoś, kto prezentuje się jak ty, próbuje być miły w kwestii mojego wyglądu, wychodzi to naprawdę obłudnie i, prawdę mówiąc, dość okrutnie.

Z uwagi na to, że jestem przybita i zaciska mi się gardło, mój głos łamie się na ostatnich słowach. Nie mogę znieść tego, jak bezbronnie brzmię, jak oczywiste musi być dla niego to, że jestem przygnębiona, więc odwracam się, zakładam ręce na pierś w obronnym geście i ukrywam płonącą twarz.

Z drugiej strony kuchni dobiega mnie niski głos Cama.

– Nie jest mi ciebie żal, Joellen. Można powiedzieć o mnie wiele rzeczy, ale nie to, że pieprzę głupoty.

Kiedy potrząsam głową, głośno wypuszczając powietrze przez nos, Cam żąda:

– Spójrz na mnie.

– Jestem zbyt wściekła, żeby na ciebie patrzeć. A teraz siedź cicho, bo wyjmę zaraz te klopsy, a potem wepchnę ci je w tyłek.

Następuje chwila przerwy, po czym Cam zaczyna się śmiać.

– Wiesz, dziołcha, że w niektórych kulturach, kiedy kobieta ciągle grozi mężczyźnie przemocą, oznacza to, że go lubi.

Ogarnia mnie nagłe zmęczenie. Pocieram twarz dłońmi.

– Jesteś nieustępliwy. A ten fakt jest totalnie zmyślony.

– Jestem pewien, że gdzieś o tym czytałem. Ale oto zupełnie niezmyślony fakt: jeśli chcesz wyglądać inaczej dla pięknisia, jestem twoją najlepszą opcją.

Rzucam mu piorunujące spojrzenie.

Przyjmuje je z wyrazem totalnej pewności siebie, jego uśmiech jest idealną definicją zarozumialstwa.

– Jako dziecko byłem cherlakiem, dziołcha. To niesamowicie smakowite ciało, które widzisz przed sobą, wypracowałem sam, wykułem wyłącznie przy pomocy silnej woli.

Ignorując moje rozdrażnione westchnienie, ręką zaznacza swoją posturę.

– To majestatyczne ucieleśnienie męskości nie wydarzyło się przypadkiem. Cameron McGregor nie został wykuty przez Michała Anioła jak rzeźba Dawida. Wykuł sam siebie. Jestem pewien, że się zgodzisz – rezultat jest spektakularny.

– Przepraszam, chyba właśnie trochę zwymiotowałam. Co mówiłeś?

Wbijając we mnie wzrok, Cam podnosi się z krzesła, żeby stanąć tuż przede mną.

– Daj mi rękę.

Podejrzliwie cofam się o kilka centymetrów.

– Jeśli planujesz urządzić mi dotykową wycieczkę po innych częściach twojej majestatycznej męskości, możesz równie dobrze iść

skoczyć z klifu.

Chwyta moją dłoń, po czym kładzie ją na swoim brzuchu, zanim zdążę zareagować. Jego skóra jest gorąca i miękka, mięśnie pod nią wyraźne i twarde jak stal, a krew, która napływa do moich policzków, grozi wycieknięciem przez pory.

Przyciskając swoją wielką dłoń do mojej, mówi niskim głosem:

– Kiedy chodzi o ciało, wiem, co robię, dziołcha. Daj mi szansę, żebym pokazał ci, co mam na myśli. Obiecuję, że będziesz zadowolona.

Kiedy patrzy mi głęboko w oczy, odkrywam, że mam problemy z oddychaniem.

Sprawa wygląda tak: wiem, że moja wyobraźnia jest trochę zbyt wybujała. Zdarza mi się popłynąć z fantazjowaniem, prowadzę w głowie kłótnie z ludźmi, które trwają po kilka dni, mogłabym odpłynąć w dawne czasy, jeśli nie będę uważać. Ale do szpiku kości jestem przekonana, że niski, gorący pomruk w głosie Camerona – ta absolutna pewność kryjąca się za słowami „Obiecuję, że będziesz zadowolona" – to coś więcej niż jego zwykłe przedstawienie rodem z Broadwayu.

Mówi prawdę… i nie mówi o programie ćwiczeń.

Moja macica budzi się do życia jak fajerwerki na Czwartego Lipca, eksplodując gorącem i kolorami, z głośników płynie hymn USA, trybuny pełne wrzeszczących fanów podskakują w górę i w dół. Wzrok Cama wwierca się we mnie z mocą lasera. Nagle dociera do mnie, o czym mówią w powieściach romantycznych, gdy opisują, jak bohaterce miękną kolana, bo moje właśnie zamieniły się w gumę. Zaraz stanę się kałużą u jego stóp.

Cam najwidoczniej dostrzega coś w moich oczach, bo jego wzrok staje się ostrzejszy. Pochyla się, rozchyla usta, na jego szyi pulsuje żyła.

Dzwoni telefon.

Podskakuję i wystraszona wciągam powietrze. Z ulgi prawie wybucham histerycznym śmiechem, ale udaje mi się powstrzymać. Odskakuję od Cama i pędzę w stronę telefonu na ścianie, jakby był kołem ratunkowym.

– Halo? – rzucam w słuchawkę.

– Cześć, skarbie – mówi moja matka. – Dlaczego krzyczysz?

– Och, przepraszam, uch… Trochę za głośno słuchałam muzyki.

Słyszę śmiech Cama za plecami. Z uwagi na to, że moja matka ma supersoniczny słuch, z którego nawet X-Meni byliby dumni, od razu wychwytuje ten dźwięk.

– Kto to? Jest ktoś z tobą?

Unikając patrzenia na Cama, zerkam na piekarnik, pragnąc, by moje galopujące serce w końcu zwolniło.

– Tak, to ktoś z sąsiedztwa.

– Pani Dinwiddle?

Ta rozmowa zaraz przerodzi się w przesłuchanie godne FBI, więc ruszam do stojaka na wina i wybieram czerwone. Wyjmując korkociąg z szuflady, odpowiadam:

– Nie, to nowy sąsiad.

Z głosem przepełnionym tymi czterema tysiącami nienarodzonych wnucząt, których tak bardzo pragnie, moja matka pyta:

– On?

Przez kilka chwil mocuję się z korkociągiem, przytrzymując słuchawkę między uchem a ramieniem. Usilnie próbuję odciąć folię z butelki, nie przecinając sobie przy tym palca, aż Cam zabiera mi butelkę z ręki ze spojrzeniem pod tytułem „Uspokój się, wariatko”.

Otwiera butelkę szybciej, niż ja zdążę wziąć uspokajający oddech, a następnie zaczyna przetrząsać moje szafki w poszukiwaniu kieliszków. Wskazuję właściwą, po czym odzywam się do matki:

– Tylko nie zaczynaj dziergać dziecięcych bucików, mamo. On jest gejem.

Cam znowu się śmieje, tym razem jeszcze głośniej.

– Powiedz jej, jak się nazywam i zobaczymy, co myśli o mnie jako geju.

– Zamknij się! – syczę.

– Co on powiedział? Co tam się dzieje? – pyta moja matka.

Dlaczego nagle czuję się, jakbym miała dwanaście lat?

– Mój sąsiad daje mi tylko kilka rad w kwestii dekoracji wnętrza.

– Och, jak miło! Może pomoże ci też w kwestii garderoby, skarbie.

Cam podaje mi kieliszek wina, a ja wychylam je, jakbym brała udział w zawodach. I wtedy – skurczybyk – wyrywa mi telefon z ręki.

– Dzień dobry, pani Bixby. Mówi Cameron McGregor. Pani córka i ja jesteśmy w sobie zakochani.

Wypluwam wino niczym gejzer, pokrywając nim blat kuchenny i swój podbródek.

Doskakuję do niego, próbując odebrać telefon, ale odsuwa mnie z taką łatwością, jakbym była szczeniakiem.

–Tak jest – mówi do telefonu, jego oczy błyszczą z rozbawienia. – Ten Cameron McGregor. – Słucha przez chwilę, a ja nie przestaję siłować się z nim, żeby odebrać słuchawkę, jednak ponoszę sromotną klęskę. – Och, pani mąż jest wielkim fanem? – pyta, uśmiechając się do mnie. – Miło mi to słyszeć. Jest w domu? Bardzo chętnie z nim porozmawiam.

– Oddawaj telefon, ty wielki koczkodanie! Oddawaj!

Cam trzyma mnie na odległość ramienia przy pomocy swoich ruchów ninja, a ja okręcam się i wywijam, desperacko próbując chwycić telefon. Bez rezultatu. To jak walka z wiatrakami. Już po kilku sekundach kręci mi się w głowie od obracania się z taką częstotliwością, więc kładę rękę na czole i próbuję złapać oddech.

Wtedy Cam zaczyna rozmawiać z moim ojcem, a ja się poddaję. Opadam na krzesło przy stole i chowam twarz w ramionach, mając nadzieję na korzystne zakończenie.

– Dzień dobry, proszę pana. Tak, pana żona właśnie mówiła … tak jest, to naprawdę ja.

Mój jęk jest długi, niski i żałosny.

– Nie, nie, to nie na stałe. Z kuzynem zamieniliśmy się mieszkaniami na święta. Potrzebowałem zmiany otoczenia, rozumie pan… – Cam słucha przez chwilę, a jego głos staje się mroczny. – Proszę nie wierzyć we wszystko, co czyta pan w gazetach.

Zaciekawiona jego tonem, podnoszę głowę i spoglądam na niego, ale odwraca się plecami, a następnie pochyla się, żeby zajrzeć do piekarnika.

– Tak, to był świetny sezon. Żadnych kontuzji, odpukać – przytakuje, słuchając. – Ogląda pan mecze w kablówce? – Jeszcze więcej przytakiwania i kilka porozumiewawczych chrząknięć. – Może pan na to liczyć.

Potem śmieje się z czegoś, co powiedział mój ojciec, a następnie odwraca się, żeby na mnie spojrzeć.

– Właśnie to odkrywam. – Jego uśmiech blednie, kiedy słucha dalej. – Znam paru chłopaków, którzy sądzą, że jest całkiem… – Znowu kilka chwil słuchania, po czym twarz Cama robi się czerwona. Mówi sztywno: – Nie wiem nic o pana drugiej córce, ale ta jest zjawiskowa. – Kolejna przerwa. – To znaczy, że jest fantastyczna. Życzę miłego wieczoru.

Podchodzi do mnie, wciska mi telefon i przyszpila mnie wściekłym spojrzeniem.

– Jutro piąta rano, dziołcha – mówi przez zaciśnięte zęby. – Zaczynamy trening. Jeśli nie będziesz gotowa, wyważę drzwi i wyciągnę cię z łóżka.

Patrzę zbita z tropu, jak przechodzi przez salon, po czym opuszcza mieszkanie.

– A co z klopsami? – wołam za nim.

Jedyną odpowiedzią jest dźwięk zatrzaskiwanych drzwi jego mieszkania.

DZIESIĘĆ

– Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę Cameron McGregor! – emocjonuje się mój ojciec, kiedy echo zatrzaskiwanych drzwi niesie się po moim mieszkaniu. – Czekaj, aż powiem chłopakom w klubie… padną z wrażenia. Kapitalne.

Moi rodzice są rodowitymi mieszkańcami Los Angeles, więc używanie słów takich jak „kapitalne” do opisania dwuminutowej rozmowy telefonicznej z obcym człowiekiem jest czymś do przewidzenia. Praktycznie każdy, z kim się wychowywałam w naszym małym, plażowym sąsiedztwie, bardzo liberalnie podchodził do języka angielskiego. Zupełnie jak ich rodzice, ćwiczący jogę, stosujący botoks i jedzący ohydne rzeczy typu sałatka z okry, generalnie zachowujący się tak, jakby starzenie się było czymś, co przydarza się tylko ludziom mniej zaznajomionym z leczniczą energią kosmosu.

– Czyli on naprawdę jest sławny – zamyślam się, wyłączając piekarnik, bo danie jest wreszcie gotowe.

– Żartujesz? – drwi mój ojciec. – On jest sportowcem nad sportowcami. Jak możesz tego nie wiedzieć, skarbie?

– Bo nienawidzę regularnego sportu i każdego, kto go uprawia. Prędzej wypaliłabym sobie oczy kwasem, niż obejrzała lub przeczytała cokolwiek związanego ze sportem.

Mój ojciec zastanawia się przez chwilę.

– Tak, przypominam sobie, że kiedy twoja siostra w szkole średniej była w drużynie siatkarskiej i pływackiej, nie chciałaś chodzić na żadne jej zawody.

Racja. Bo na pewno przez wszystkich byłabym porównywana do mojej pięknej, popularnej, osiągającej niewyobrażalne wyniki siostry i cierpiałabym godzinami przez szepty i komentarze w stylu „To nie może być siostra Jacqueline! Adoptowali ją?”.

Odpycham od siebie te okropne wspomnienia, po czym mówię błagalnym tonem:

– Proszę, powiedz, że nie jest bardziej popularny od Michaela Jordana.

Mój ojciec się śmieje.

– Jest o wiele bardziej popularny od Michaela Jordana! To w zasadzie najsławniejszy sportowiec na świecie.

Pan Bingley wskakuje na zwolnione przez Cama krzesło, tęsknym wzrokiem rozglądając się dookoła, a ja potrzebuję kolejnego kieliszka wina.

Wtedy mój ojciec znika, a matka zaczyna jazgotać mi do ucha jak opętana, nawet nie nabierając powietrza do płuc.

– Jasna cholera, Joellen, jak mogłaś nie powiedzieć mi, że Cameron McGregor mieszka w twoim bloku, to szaleństwo i masz go w swoim mieszkaniu, o mój Boże, czekaj, aż powiem Cindy, padnie trupem.

– Nie wolno ci mówić komukolwiek, mamo, zwłaszcza tej plotkarze Cindy! Wszystko będzie na Twitterze w ciągu pół godziny!

Ignoruje mnie, bo jej pomenopauzalne hormony właśnie wstają z martwych.

– Jest tak cudowny jak na zdjęciach? Naprawdę jest taki umięśniony, jak wygląda w telewizji? A jego włosy? Czy ma dobre…

– Mamo. Skup się. To człowiek, nie obiekt seksualny.

Na linii słyszę, że ktoś puka słuchawką o ścianę, po czym dobiega mnie sarkastyczny głos matki.

– Przepraszam, chyba mamy problemy z połączeniem. Wydawało mi się, że słyszałam, jak moja córka mówi, że Cameron McGregor, najlepszy obiekt seksualny z wszystkich obiektów seksualnych, nie jest obiektem seksualnym.

Z jakiegoś dziwnego powodu czuję, że muszę stanąć w obronie Góry.

– Jeśli chcesz znać prawdę, to jest całkiem bystry. Ma świetną intuicję i naprawdę niesamowite słownictwo.

Jej milczenie aż huczy w uszach. Wzdycham i odpuszczam.

– Dobra, w porządku. Tak, jest umięśniony. I ma świetne włosy. Zadowolona?

– Nie, nie jestem zadowolona! Szczegóły, skarbie, szczegóły!

– Nigdy nie sądziłam, że wypowiem te słowa, mamo, ale myślę, że przyda ci się trochę czasu sam na sam z tatą.

Jej głos staje się cichszy, a potem zaczyna do mnie mówić tym tonem w stylu „jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami", który wytrąca mnie z równowagi.

– Coś ci powiem, skarbie, twój ojciec już cieszy się na zabawę dzisiaj w nocy, bo gorąca mamuśka staje w płomieniach na myśl o Cameronie McGregorze we własnej osobie!

– Muszę już kończyć. Załamanie nerwowe mnie woła.

– Mój Boże, ten szkocki akcent. – Przeszywający ją dreszcz rozkoszy jest wręcz słyszalny. – A do tego poczucie humoru!

– A co takiego zabawnego powiedział?

– Że wy dwoje jesteście w sobie zakochani!

– A, to. Tak, czasem potrafi być zabawny – odpowiadam szorstko, kręcąc głową. I wtedy coś mnie uderza. – Dlaczego to było zabawne?

Moja matka się śmieje.

– Och, skarbie! Jak gdyby taki mężczyzna mógł zakochać się w tobie!

To boli tak bardzo, że tracę oddech. Kiedy milczę zbyt długo, moja matka zdaje sobie sprawę ze swojego błędu.

– Nie to miałam na myśli, skarbie…

– Wiem dokładnie, co miałaś na myśli.

Jej głos staje się stanowczy.

– Joellen, nie rób tego.

– Czego? Nie mam czuć się urażona, kiedy ktoś mnie obraża?

– Nie zmieniaj niewinnej konwersacji w osobiste wycieczki! – Stoję tam z otwartymi ustami, nie mogąc mówić, bo jestem tak wściekła i tak rozczarowana samą sobą, że znowu pozwalam, żeby wpłynęło na mnie to odwieczne rodzinne gówno.

Spokojnym, cichym głosem oznajmiam:

– Mamo, moja kolacja jest gotowa. Dzięki za telefon. Porozmawiamy w przyszłym tygodniu.

Rozłączam się, zanim zdąży odpowiedzieć, a następne kilka sekund poświęcam na przełknięcie guli w gardle, dopóki nie upewnię się, że mogę mówić i nie rozpłaczę się. Wtedy wyjmuję jedzenie z

piekarnika, tłukę ziemniaki, robię sos i ruszam do McGregora z tym wszystkim na tacy.

Kiedy otwiera drzwi, żadne z nas się nie uśmiecha.

Trzymam tacę jak nagrodę pocieszenia dla przegranej drużyny w konkursie pieczenia, chociaż to ja jestem tu przegraną.

– To twoje.

Patrzy na jedzenie, a potem znowu na mnie.

– Nie zamierzałem włączać muzyki.

– Wiesz co? W porządku, nawet jeśli to zrobisz. Kim jestem, żeby mówić ci, jak masz żyć?

Wpatrujemy się w siebie, powietrze jest naelektryzowane od niewypowiedzianych słów. Nie wykonuje żadnego ruchu, żeby wziąć tacę z moich rąk, więc stawiam ją na wycieraczce u jego stóp, po czym prostuję się i patrzę mu w oczy.

– Piąta rano – mówię pewnie. – Do zobaczenia.

Przytakuje powoli. Kiedy wracam do siebie i zamykam drzwi, on nadal tam stoi, patrząc na mnie.

***

Każdy, kto chciałby dowiedzieć się, jak wygląda piekło, powinien spędzić wczesny ranek, ćwicząc na mrozie z profesjonalnym sportowcem, który ma niespożyte pokłady energii, ale nie posiada duszy.

– Dawaj! – Cam rzuca przez ramię, kiedy wlokę się za nim po chodniku, kłęby pary buchają mi z ust i nosa, pot cieknie do oczu, a wola życia szybko ulega zagładzie.

– Muszę. Stop. Śmierć. Blisko. – Moje świstanie i rzężenie płoszy stado gołębi siedzących na oparciu ławki obok przystanku autobusowego.

Cam odwraca się i podbiega do mnie. Nie spłynęła po nim nawet jedna kropelka potu, skurczybyk bez serca.

– Joellen – zaczyna cierpliwie. – Jesteśmy dwie przecznice od mieszkania.

– O mój Boże! Udało mi się przebyć dwie przecznice? – Zastanawiam się, jak, u diabła, wrócę i stwierdzam, że wezmę

taksówkę. Jeśli najpierw nie będzie potrzebna karetka.

Cam obiega mnie wkoło, kiedy stoję, chwiejąc się, tylko po to, żeby być gnojkiem.

– Jak do tego doszło? Masz układ krążenia dziewięćdziesięciolatki!

– Mówiłam ci, że mam alergię na ćwiczenia! – krzyczę.

Zaczyna truchtać w drugą stronę. Tyłem.

– Myślałem, że żartujesz.

Zaczynam dziko machać ręką w jego stronę, w nadziei, że porządnie mu przyłożę, ale chybiam, bo ten facet jest diabłem i nie da się go złapać.

– Zawsze jesteś taka drażliwa rano?

– Ani się waż nabijać ze mnie, szatanie. – Walczę o oddech, a moje galaretowate nogi kontynuują swoją okropną misję utrzymania mnie w pionie i ruszenia do przodu. Chyba zaczynam tracić wzrok. – Co było w tym zielonym ohydztwie, które kazałeś mi wypić, zanim wyszliśmy? Trucizna?

Cam robi dziesięć pajacyków, zanim odpowiada.

– Tak. To stara, szkocka tradycja. Łyk trucizny tuż po przebudzeniu. Jeśli cię nie zabije, to wyrosną ci włosy na klacie.

– O, cudnie. – Sapnięcie. Świst. – Właśnie tego potrzebowałam. – Świst. Kaszel. – Włosów na klacie.

Młóci pięściami w powietrzu i tańczy na palcach wokół mnie tak, że śnieg unosi się wokół jego stóp.

– Jeśli zamierzasz kontynuować tę wypowiedź jakimś komentarzem uwłaczającym twojemu wyglądowi, to skopię ci tyłek tak, że nie usiądziesz przez tydzień, dziołszka.

Wydaję z siebie agonalne rzężenie kiepskiego aktora tuż przed tym, jak skończy swoją rolę w filmie dramatyczną śmiercią. Tyle że moje jest autentyczne.

– Znowu ten przeklęty pies! Naprawdę zaczynam go nienawidzić!

Cam śmieje się. Wygląda irytująco dobrze w tym głupim stroju treningowym. Obraz zdrowia i witalności, podczas gdy ja wyglądam jak stary fotel, który ktoś wyrzucił przez okno, w nadziei, że zabiorą go razem ze śmieciami, ale zamiast tego zagnieżdżają się w nim gryzonie. Dzięki Bogu słońce jeszcze nie wstało, bo prawdopodobieństwo, że zaalarmowany obywatel zadzwoni do

opieki nad zwierzętami, żeby przyjechali i zabrali mnie, jest naprawdę wysokie.

– Nie mogę uwierzyć, że dobrowolnie robisz to codziennie. Za darmo. Bez broni przystawionej do głowy.

Cam podnosi brzeg bluzy, eksponując hektary mięśni brzucha.

– Wszystko dla dobrego efektu.

Wierzchem dłoni ocieram pot z czoła.

– Zdarza ci się przytulać samego siebie nocą w łóżku i szeptać sobie do ucha słodkie słówka?

– Myśl o pięknisiu. Wyobraź sobie jego twarz, kiedy wejdziesz na imprezę świąteczną w seksownej sukience, wyglądając na umięśnioną i do schrupania.

Sapię i zipię, rozmyślając nad wizją, którą przedstawił.

– Umięśniona brzmi dobrze. Ale chuda jeszcze lepiej.

– Źle! Celem jest siła, dziołcha, nie skóra i kości. Facet nie chce łapać za worek gnatów, kiedy jest w odpowiednim nastroju. Chce ładnej, jędrnej, soczystej kobiety z krągłościami, gorącej i smakowitej.

– Dosłownie właśnie opisałeś mój ulubiony stek.

– Moja mama zawsze mawiała, że nie można ufać chudym kobietom. Chude ciało, chude serce, chuda miłość.

– Chyba kocham twoją matkę.

– Tak – mówi łagodnie. – Łatwo było ją kochać.

Było. To odbiera moim nogom ostatnią porcję energii. Chwieję się, a następnie zatrzymuję, łapię się za bok i sapię, patrząc na Cama. Z jakiegoś powodu nie chce na mnie spojrzeć, odwraca twarz i biegnie w miejscu kilka kroków dalej.

– Zmarła?

W odpowiedzi wykonuje krótkie skinienie głową.

– Przykro mi.

Głośno przełyka ślinę, zerkając na lampę uliczną. W zimnej, żółtej poświacie jego twarz jest gładka i kanciasta. Ostro wycięta szczęka. Prosty nos. Ciemne wgłębienia pod pełnymi kośćmi policzkowymi.

Ból na jego twarzy jest kolejną ostrą cechą, wyryty w niej, jakby wyżłobiony w szkle.

– Sto lat temu. Dawne dzieje. Ale dzięki.

Jego głos jest niski i surowy, nigdy nie widziałam go tak odsłoniętego. Bez zwykłej brawury, którą nosi jak zbroję, nagle znowu wydaje się nieznajomym, mroczniejszym i bardziej skomplikowanym, a także dużo bardziej fascynującym.

Ale ta chwila znika tak szybko, jak się pojawiła, kiedy Cam odwraca się do mnie z olśniewającym uśmiechem.

– Koniec zbijania bąków, dziołcha, rusz się! Dopiero zaczynamy!

Odwraca się i biegnie chodnikiem w stronę wschodzącego słońca. Plecy ma wyprostowane, głowę uniesioną, a krok żwawy.

Jednak jest już za późno. Zajrzałam za złotą kurtynę. Widziałam prawdziwego mężczyznę za maską Wspaniałego i Wszechmocnego Czarnoksiężnika z Oz.

– Widzę cię, Cameronie McGregor – szepczę do pustej ulicy, kiedy śmieciarka przejeżdża obok. Biorę głęboki haust oparów benzyny, po czym zmuszam swoje nogi do ponownego ruchu. Potem biegnę za Camem z nową siłą woli. Odpycham ból ciała na peryferia świadomości dzięki jednej myśli, która przyćmiewa wszystkie inne w mojej głowie.

Widzę cię.

JEDENAŚCIE

O drugiej po południu nie pamiętam już zupełne o Camie i tym interesującym momencie dziś rano, bo jestem w takiej agonii, że mam pewność, iż w najbliższej przyszłości czeka mnie wyprawa na ostry dyżur.

– Jaki jest powód tych wszystkich jęków? – pyta Shasta zza ściany boksu głosem, który wskazuje, że nie bardzo interesuje ją mój stan fizyczny.

– Zaczęłam ćwiczyć. Zabij mnie.

Wystawia głowę ponad ścianą, opiera podbródek o brzeg i przewiesza ramię tak, że wygląda jak marionetka z odciętą głową.

– Pilates? Spinning? Krav Maga? Joga Kundalini? Twerking?

– W jakim języku mówisz?

– Sama bardzo lubię capoeirę.

Kiedy wpatruję się w nią w znaczącej ciszy, wyjaśnia:

– To brazylijska sztuka walki połączona z tańcem, muzyką i ruchami akrobatycznymi.

Nic dziwnego, że jest taka zwinna i skoordynowana. Jej podobieństwo do gazeli jest niepodważalne.

– Czyli wszystko, w czym jestem kiepska. Przypomnij mi, żebym nigdy się na to nie zapisała.

– Więc co robisz?

Delikatnie masuję obolałe udo.

– Biegam. – Kiedy Shasta nie wygląda, jakby była pod wrażeniem, dodaję: – I naprawdę solidnie się rozciągam. – Unosi brew. – To rozciąganie przypomina tortury.

Gdy wspominam o torturach, zaczyna interesować się tym, co mówię.

– Świetnie. Ostre rozciąganie jest dobre przy seksie. Mój chłopak jest super giętki. Lubi robić mostek, kiedy ujeżdżam go jak byka.

Prawie połykam własny język przez tę zbyt dużą dawkę informacji, bo nie chcę, żeby pomyślała, że jestem pruderyjna. Jednak z pewnością resztę popołudnia spędzę na wydrapywaniu z mózgu obrazu Shasty w butach jeździeckich i kowbojskim kapeluszu, ujeżdżającej swojego nagiego chłopaka wygiętego w odwrotną literę U.

– Szczęściara z ciebie.

Nie dostrzega ukrytego sarkazmu w moim głosie i uśmiecha się szeroko.

– Totalnie. Chcesz zobaczyć jego zdjęcie?

Zanim będę zmuszona skłamać, jak uroczy jest gibki chłopak Shasty, zostaję ocalona dzięki pojawieniu się Portii, która ma minę, jakby ktoś właśnie zamordował jej kota.

– Joellen – mówi, przesadnie przeciągając sylaby. Zapewne drwi ze mnie, ale uważam to za zwycięstwo, bo to pierwszy raz, kiedy poprawnie wypowiedziała moje imię, odkąd pracuję Maddox Publishing.

– Portio – odpowiadam, żeby wiedziała, że nie jest jedyną osobą, która potrafi wymówić czyjeś imię.

Zaciska wargi.

– Chodź ze mną, proszę.

Serce mi zamiera, wymieniam z Shastą zmartwione spojrzenia. Jedyny powód, jaki przychodzi mi do głowy, dla którego Portia mogłaby mnie poprosić, żebym poszła z nią gdziekolwiek, to że za chwilę zostanę zwolniona albo że właśnie zabiera mnie na dach, żeby móc mnie z niego zepchnąć.

– Yyy… czy wszystko w porządku?

– Masz spotkanie w dziale kadr.

W mojej piersi narasta panika.

– Mam? Kiedy?

– Teraz – odpowiada przez zaciśnięte zęby. Okręca się na obcasie, po czym odchodzi, zanim zdołam zadać jeszcze jakieś pytanie, na przykład: „Czy moja odprawa gwarantuje przedłużenie ubezpieczenia zdrowotnego?” i „Jak to się stało, że ten kij utknął ci tak głęboko w tyłku?”.

Jako wierna przyjaciółka Shasta skupia się na najważniejszym.

– Jeśli cię wyleją, zaklepuję twoje krzesło.

Nerwowo szperam w pamięci w poszukiwaniu jakiegoś nieodpowiedniego zachowania, które mogłoby doprowadzić do mojego zwolnienia, ale kompletnie nic nie przychodzi mi do głowy. Zawsze jestem na czas, nigdy nie biorę wolnego, nie przegapiam terminów i nawet jeśli moi współpracownicy nie przepadają za mną jakoś szczególnie, to przynajmniej jestem przez nich tolerowana.

Poza Portią, która najchętniej powiesiłaby mnie za kostkę nad rozżarzonymi węglami, aż usmażyłabym się żywcem.

– Lepiej się pospiesz, Joellen. Portia wyglądała tak, jakby miała ochotę urwać komuś jaja.

Ignorując odniesienie Shasty do męskich organów, podnoszę się z krzesła, po czym krzywię się, bo mięśnie moich ud wyją w proteście. Wlokę się w stronę biura kadr, znajdującego się po drugiej stronie piętra, za gabinetami kierownictwa. Zauważam, że Michaela nie ma w jego gabinecie. Na szczęście, bo pewnie padłabym mu do stóp i błagała o litość.

Nie mam zbyt wielu oszczędności. Jeśli mnie zwolnią i nie znajdę od razu pracy, do czasu walentynek będę spała na kanapie u rodziców, rozważając, która metoda samobójstwa pozostawi najmniej bałaganu do sprzątania.

– Wejdź – mówi Ruth, menedżerka HR, kiedy podchodzę do otwartych drzwi.

To kobieta, dla której stworzono słowo puszysty. Jest naprawdę obszerna. Przy niej wyglądam na szczupłą. Ale ona ubiera się w śliczne, kobiece stroje, zawsze ma idealnie zrobione paznokcie i włosy, generalnie nosi swoje rubensowskie kształty z klasą. Jeśli ma jakiekolwiek kompleksy, siedząc tuż obok olśniewającej, chudej jak szczapa Portii, nie daje tego po sobie poznać.

Chude ciało, chude serce, chuda miłość.

Słowa Cama odbijają się echem w mojej głowie, kiedy zajmuję miejsce naprzeciwko Ruth. Uśmiecham się do niej, bo jeśli Cam ma rację, ta kobieta ma w sobie dość miłości, żeby uleczyć cały świat. Z kolei miłość Portii jest tak cienka i sucha jak stary krakers, zmienia się w pył, gdy tylko włożysz go między swoje wygłodniałe zęby.

– Wszystko w porządku? – Brew Ruth marszczy się, gdy obserwuje moją wykrzywioną twarz, kiedy zakładam nogę na nogę.

– Tak, przepraszam – odpowiadam zażenowana. – Właśnie zaczęłam ćwiczyć i jestem nieco obolała.

Jeśli miała jakieś kompleksy, siedząc obok olśniewającej, chudej jak szczapa Portii, nie dała tego po sobie poznać.

Uśmiecha się do mnie promiennie.

– Dobra decyzja! Regularne ćwiczenia to najlepszy sposób na dbanie o siebie!

Portia, siedząca po drugiej stronie, wydaje z siebie cichy dźwięk. To zduszony śmiech, ociekający pogardą. Kiedy Ruth rzuca jej ostre spojrzenie, wiem, że nie jestem jedyną osobą, niebędącą fanką Portii.

Ruth otwiera szarą teczkę leżącą na biurku i kciukiem przerzuca dokumenty.

– Z tego, co wiem, właśnie obchodzisz dziesiątą rocznicę pracy w firmie, Joellen. – Spogląda na mnie, szukając potwierdzenia. Kiedy przytakuję nerwowo, wraca do przeglądania papierów. – I w tym czasie opuściłaś… – Sunie palcem wskazującym po kartce, zatrzymując się na cyfrze u dołu, po czym podnosi na mnie wzrok. – Jeden dzień.

– Miałam wycinany mięśniak macicy – wyrzucam z siebie, spanikowana, że zostanę posądzona o coś złego. – Umówiłam się na zabieg z samego rana, bo chciałam przyjść po południu do pracy, ale mój lekarz nie pozwolił na to, więc musiałam… – Spoglądam na Ruth, która trzyma dłoń na gardle, a potem na Portię wzdrygającą się z niesmakiem. – Yyy… wziąć wolne do końca dnia.

Za okularami brązowe oczy Ruth robią się wielkie jak u sowy.

– Oczywiście, że musiałaś – mówi przerażona. – Joellen, to poważna operacja! Też miałam kiedyś usuwane mięśniaki, powinnaś wziąć cały tydzień wolnego!

Czuję ulgę, że nie jestem w tarapatach, ale jestem też zdezorientowana. *Mam za dużo niewykorzystanego urlopu?*

Portia przerywa, jej głos jest suchy jak wiór.

– Do brzegu, dobrze? – Kiedy zaskoczona Ruth patrzy na Portię, napotyka tylko jej beznamiętny wzrok. – Nie mam całego dnia.

Ruth trochę dłużej niż to konieczne układa papiery w mojej teczce pracowniczej. Wyobrażam sobie, że tak mocno przygryza język, aż czuje krew. To kobieta znana ze swojej uprzejmości i taktu – idealne cechy na jej stanowisku – ale Portia potrafiłaby rozsierdzić nawet świętego.

– Podwyżka, o którą wnioskowałaś w zeszłym miesiącu, została zatwierdzona – oznajmia Ruth i to jedyne, co udaje jej się powiedzieć, zanim skaczę na równe nogi z radosnym okrzykiem.

– Naprawdę? To fantastycznie! Nie mogę uwierzyć!

Portia zakrywa usta dłonią, by powstrzymać monstrualne ziewnięcie, ale jestem zbyt podekscytowana, żeby mnie to obeszło. Próbuję odtańczyć mały taniec radości, ale zamiast współpracować, moje niedołężne kolana uginają się pode mną. Ląduję na biednym krześle jak bomba zrzucona z nieba, z przerażeniem słysząc głośny trzask, kiedy drewniana rama pęka pod okropnym, kasztanowym materiałem.

Zrywam się, a następnie patrzę na krzesło, błagając w myślach, by nie rozpadło się na milion kawałków i prosząc wszechświat o wsparcie.

– Chyba je wykończyłaś – zauważa Portia, właśnie w chwili, gdy ten przeklęty mebel powoli przechyla się i pada na podłogę.

Cała nasza trójka wpatruje się w krzesło leżące na boku jak rozjechane zwierzę, kiedy Michael wsuwa głowę do środka, uśmiechając się promiennie.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Przekazałaś już dobre wieści?

Z miny Ruth wnioskuję, że to wbrew protokołowi, żeby dyrektor pojawiał się podczas spotkania kadrowej z pracownikiem. Albo to, albo naprawdę lubiła to krzesło.

– Dopiero co zaczęłyśmy nasze spotkanie – mówi Ruth, na co Michael odpowiada:

– Więc jeszcze nie powiedziałaś jej o wolnym stanowisku?

Portia wydaje z siebie odgłos, jakby wymiotowała i wszyscy patrzymy na nią z zaniepokojeniem. Jej twarz przybiera wyjątkowy, fioletowy kolor, a oczy wywracają się w głąb czaszki. Najwidoczniej ma udar.

– Nawet jeszcze tego nie ogłosiliśmy! – wyrzuca z siebie, wbijając paznokcie w spódnicę. – Bill może na razie wziąć więcej pracy. Albo Konrad…

– Nonsens. – Michael opiera się o framugę, uśmiechając się do mnie. – Joellen, niestety Maria nie wróci do pracy, bo…

Ruth głośno odchrząkuje. Michael patrzy na nią wystraszony.

– Och. E… racja. – Zaczyna ponownie, tym razem ostrożniej. – Maria nie jest już pracownicą Maddox Publishing.

– Mmm. Dobrze? – Nie rozumiem, dlaczego mi to mówi, czemu Portia dostaje furii i co Maria ma ze mną wspólnego. Obie jesteśmy redaktorkami. Jeśli opuściła firmę, to jej stanowisko będzie wolne. No i?

– Niedawno została awansowana na zastępcę redaktora naczelnego. Mieliśmy to ogłosić w tym tygodniu. Jednak… Cóż, nie zagłębiajmy się w to. W każdym razie mamy ponownie wakat.

Moje serce zamiera. Patrzę na Ruth, która uśmiecha się do mnie łagodnie. Zerkam na Portię, która żałuje, że morderstwo nie jest legalne. Wracam wzrokiem do Michaela, który czeka, żebym odpowiedziała na coś, co jest najgenialniejszą wiadomością, jaką dostałam od dekady.

– Stanowisko zastępcy redaktora naczelnego jest wolne? – piszczę z szeroko otwartymi oczami.

– Byłabyś zainteresowana?

Jedyne, czym byłabym bardziej zainteresowana, to zdarcie z ciebie ubrań i rzucenie się na twoje nagie ciało.

Staram się brzmieć jak racjonalna istota ludzka, kiedy mówię:

– Tak, oczywiście.

– Oczywiście to stanowisko wiąże się z wyższą pensją, Joellen – mówi Ruth – więc skoro twoja podwyżka została zaakceptowana, to jeśli dostaniesz nową posadę, podwyższymy ci wynagrodzenie od tej przynależnej nowemu etatowi.

Głęboko żałuję tego, że zniszczyłam krzesło, bo naprawdę bardzo chciałabym teraz na czymś usiąść. Podłoga nie wydaje się dobrym wyborem, więc po prostu opieram się o ścianę, próbując wyrównać oddech, żeby nie brzmieć jak mops z problemami z zatokami.

– To cudowne wieści.

– Musisz złożyć podanie jak wszyscy! – warczy Portia.

Michael patrzy na Portię oburzony jej ostrym tonem, a ja mam ochotę wysmarować jego nagie ciało masłem orzechowym i zlizywać je przez cały weekend.

Ruth, doświadczona w uspokajaniu napięć w miejscu pracy, wkracza, zanim Portia zdąży zatłuc mnie na śmierć zepsutym krzesłem.

– Oczywiście. Trzeba zachować całą drogę formalną. Ale twoim atutem, Joellen, jest staż pracy i wybitna kartoteka, więc gorąco cię zachęcam – jej spojrzenie wskazuje, że jest współwinna – do złożenia podania.

Portia skacze na równe nogi, a temperatura w pomieszczeniu spada o kilka stopni.

– Jako dyrektor do spraw wydawniczych, to ja będę podejmować ostateczną decyzję.

Wtedy staje się cud. Chmury rozstępują się, przebija się przez nie złocisty promień, a nad głową Michaela pojawia się poświata.

– W zasadzie, Portio, ostateczna decyzja należy do mnie – oznajmia Michael.

Wstrzymuję oddech, kiedy wpatrują się w siebie. Portia ustępuje pierwsza, opuszczając rzęsy w geście porażki.

– Tak, panie Maddox. Oczywiście.

Michael pochyla głowę w królewskim geście, a ja prawie zaczynam dyszeć z pożądania.

On jest bogiem. Jest pięknym, łaskawym, poskramiającym wiedźmy bogiem.

Odwraca się do mnie z uśmiechem, który mógłby zakończyć wszystkie wojny.

– Chciałbym dostać twoje podanie do końca tygodnia. – Kłania się Portii i Ruth. – Drogie panie.

Następnie wychodzi, zabierając ze sobą moje serce.

Ruth mówi radośnie:

– Dobrze! Myślę, że skończyłyśmy. Joellen, możesz wracać do pracy. Podrzucę ci później formularz podania na biurko.

Jest prawie tak samo zadowolona z tego, że Portia dostała za swoje, jak ja i zdaję sobie sprawę, że zyskałam koleżankę w dziale

kadr. Kiedy Portia wymaszerowuje z biura z prychnięciem, Ruth posyła mi szeroki uśmiech.

Myślę, że oznacza: „My, duże dziewczyny, musimy trzymać się razem".

Więc oczywiście odpowiadam uśmiechem, bo to prawda.

***

Reszta dnia jest rozmyta. Czuję, jakbym płynęła na chmurach, zdumiona własnym szczęściem. Od dzieciństwa marzyłam, żeby zostać redaktorem naczelnym w poważnym wydawnictwie, a dzięki takiemu krokowi naprzód jak pozycja zastępcy naczelnego, to staje się realne. Orędować za wybitnymi tekstami, pomagać w odkryciu nowych autorów, przynosić literaturę i piękno spragnionemu kultury światu…

Niektórzy ludzie chcą być bogaci lub sławni. Ja pragnę grona świetnych autorów, wyróżniających mnie podziękowaniem za swój sukces w książkach. Książki są moją pasją odkąd, będąc dzieckiem, odkryłam *Harriet szpieg*. Od tego czasu czytanie stało się moją obsesją. Przebrnęłam przez wszystko, od serii „Nancy Drew" po *Lolitę*, którą moja przerażona matka znalazła ukrytą pod łóżkiem.

Nie przeraziła jej treść książki – nie będąc czytelnikiem, nie miała pojęcia, o czym jest ta pozycja – ale to, że spóźniłam się z oddaniem jej do biblioteki o rok. Wypożyczyłam ją i nigdy nie oddałam. To zwyczaj, który kiedyś skończy się wizytą oficjeli z lokalnej biblioteki w moim domu z żądaniem oddania zaginionych książek – do tej pory są u mnie całe tuziny – albo zapłacenia za zwłokę.

Za opóźnienia płaciłam z pieniędzy, które oszczędzałam, pracując jako opiekunka do dzieci. Nawet wtedy książki były dla mnie o wiele cenniejsze niż pieniądze.

Kiedy wracam do domu wieczorem, pod drzwiami zastaję czystą tacę, naczynia i liścik napisany starannym pismem Góry.

Miałaś rację. Były pyszne. Twoje klopsy są nawet lepsze niż zapiekanka. Jestem pewien, że nic nie może ich przebić.

Uśmiecham się, bo od razu wyczuwam wyzwanie. I mimo że nie wezmę ani kęsa z tego, co dla niego zrobię, niech mnie piekło pochłonie, jeśli pozwolę mu mieć ostatnie słowo.

Podchodzę do jego mieszkania, a następnie pukam. Otwiera tak szybko, że musiał stać tuż obok drzwi.

– Och, cześć.

– No cześć, dziołcha. Dlaczego mrugasz jak przerażone pisklę?

Rozglądam się po korytarzu.

– Spodziewałeś się kogoś?

– Masz na myśli kogoś innego niż ty?

– No tak.

Wpatruje się we mnie przez chwilę tak, jakby nie mógł zrozumieć, o czym myślę.

– Wiesz, dziołcha, jak na bystrą dziewczynę, jesteś cholernie tępa.

– Aha. To wszystko wyjaśnia, dzięki. A tak przy okazji, dlaczego używasz słowa „cholernie" do opisywania czegoś, co nie ma nic wspólnego z cholerą?

– A dlaczego ty używasz słowa „uroczy", opisując mężczyznę, który miał tyle operacji plastycznych, że wygląda, jakby szykowali dla niego miejsce w muzeum Madame Tussauds?

Cofam się, nie dowierzając.

– Odnosisz się do Michaela Maddoxa?

Cam zakłada ramiona na piersi, przytakując.

– Tak. Sprawdziłem go na stronie wydawnictwa. I muszę ci powiedzieć, dziołcha, że chłopak wygląda naprawdę dziwnie.

– On nie jest chłopakiem. To mężczyzna! I ani trochę nie wygląda dziwnie! Jest klasycznie przystojny!

– Wygląda jak lalka. Tyle że może mniej wnieść do rozmowy.

Śmieję się, bo on zachowuje się zabawnie.

– Rozumiem. A jak według ciebie powinien wyglądać prawdziwy mężczyzna? Jak drwal? Ktoś, kto nie ma regularnego dostępu do maszynki i mydła?

– Założę się o pięćdziesiąt dolców, że używa maseczki zwężającej pory i co wieczór przed pójściem do łóżka smaruje się drogimi kremami przeciw starzeniu.

– Pozwól, że zauważę w tym punkcie konwersacji, że te rewelacje wydają się niedorzeczne w ustach człowieka, który najwidoczniej nie wierzy w sens ubierania się od pasa w górę.

Wskazuję na jego klatkę piersiową, która – jak zwykle – jest naga. Na nogach ma sprane dżinsy, które zwisają mu nisko na biodrach, więc mięśnie w kształcie litery V działają jak neon wskazujący na wypukłość w kroczu.

Zdążyłam już opanować umiejętność zauważania tej wypukłości bez patrzenia bezpośrednio na nią. Zdolność godna Jedi.

Zbywa moją natrętną logikę machnięciem ręką i jednym ze swoich klasycznych stwierdzeń w stylu Camerona McGregora.

– Znalezienie koszuli, która pasowałaby na wszystkie te mięśnie, jest niemożliwe.

Potrząsam głową.

– Stary, wynosisz definicję egomaniaka na zupełnie nowy poziom.

Uśmiecha się do mnie.

– Dziękuję.

– To nie był komplement.

– Tylko ty tak uważasz.

Śmieję się ponownie, bo jedyną inną opcją jest płacz.

– Do rzeczy. Kolacja będzie za godzinę. I będzie lepsza niż wczorajsze klopsy. A, jeszcze jedno, Tarzanie. Załóż koszulę. – Odwracam się, po czym ruszam do mieszkania, kiwając głową, ponieważ słyszę za sobą:

– Mógłbym, ale zapewne skończyłoby się tak, że zdarłabyś ją ze mnie na koniec wieczora, dziołszka. Szkoda marnować dobrą koszulę.

Zamyka drzwi, śmiejąc się. Wchodzę do mieszkania uśmiechnięta. Miałam tak fantastyczny dzień, że zamierzam przyrządzić dla Góry posiłek, który sprawi, że spadną mu skarpetki.

Nie zawracam sobie głowy zastanawianiem się, dlaczego druga część cieszy mnie równie mocno jak pierwsza.

DWANAŚCIE

Jęk dobiegający z drugiej strony stołu wprawiłby w zachwyt nawet gwiazdę porno.

– Słodki Jezu. Och, na miłość wszystkiego, co święte. To jest tak cholernie dobre. To jest jak orgia w moich ustach! Gdybym w tej chwili umarł, byłbym szczęśliwy, bo w końcu odkryłem sens życia.

Starając się nie być zbyt zadowolona z ekstrawaganckich zachwytów Cama, pozwalam sobie na mały uśmiech.

– Sensem życia jest rigatoni carbonara?

– Nie, dziołcha. Sensem życia jest rigatoni carbonara z domowym chlebem czosnkowym, gnocci z czarnymi truflami i dziwną sałatką owocową.

– To sałatka z fenkułem, pomarańczą, miętą, czerwoną cykorią, granatem, octem balsamicznym i oliwą extra virgin, a nie „dziwna" sałatka.

Z zamkniętymi oczami Cam wykonuje w powietrzu gest widelcem, jakby był papieżem dokonującym błogosławieństwa podczas mszy.

– Szczegóły. Chodzi mi o to, że to czysta świętość. *Pedro*.

– Jaka świętość i kim jest Pedro?

Cam otwiera oczy, które błyszczą rozbawieniem.

– To znaczy, że jest niesamowita.

– Mogłeś po prostu to powiedzieć.

– Powiedziałem! – Pakuje kolejny widelec rigatoni do ust i zerka na mnie, przeżuwając.

– Cieszę się, że ci smakuje. Ale nie spodziewaj się tego przez resztę twoich łapówkowych posiłków, bo dzisiaj świętujemy.

– Ach tak? – mówi z pełnymi ustami. – Co świętujemy?

– Dostałam podwyżkę.

Cam przestaje przeżuwać.

– I zwolniło się stanowisko zastępcy redaktora, a kierowniczka działu kadr zachęca mnie do aplikowania na nie. – Uśmiecham się

promiennie do Cama, który przełyka jedzenie.

Chwilę trwa, zanim odpowie.

– Gratulacje, dziołcha. Jestem pewien, że zasłużyłaś na podwyżkę.

W jego głosie słyszę coś takiego, co sprawia, że podnoszą mi się włoski na karku.

– Dlaczego mam wrażenie, że to coś w stylu dwuznacznego komplementu, jaki można usłyszeć na randce w ciemno, typu: „Dobrze, że nie masz obsesji na punkcie swojego wyglądu”?

Przed udzieleniem odpowiedzi Cam upija łyk wody ze swojej szklanki. Kiedy to robi, nie odrywa wzroku od talerza.

– Po prostu wydaje mi się, że to dziwny zbieg okoliczności.

– Jaki niby zbieg okoliczności? Składałam podanie o podwyżkę miesiąc temu!

Podnosi na mnie wzrok.

– Mhm. A dostajesz ją akurat w tym tygodniu, kiedy piękniś wymienia twoje krzesło, a ja wysyłam ci róże.

– Boże, ale ty wszystko psujesz.

– Tylko zaznaczam tę kwestię. O co chodzi z tym wolnym stanowiskiem?

Wspomnienie miny Ruth, kiedy Michael wetknął głowę do jej biura, każe mi się zastanowić, tak samo jak dziwny sposób, w jaki mu przerwała, kiedy zaczął mówić o Marii. W tamtej chwili byłam zbyt podekscytowana, by zauważyć, jak dziwnie to wyglądało, ale teraz…

– Dziewczyna, która dostała tę pracę, musiała nagle odejść.

Kiedy tylko te słowa wychodzą z moich ust, wiem, że popełniłam błąd. Brwi Cama podjeżdżają do góry. Opiera się na swoim krześle, a następnie przygważdża mnie spojrzeniem.

– McGregor, twoja wyobraźnia jest prawie tak samo nadaktywna jak moja. Nie ma tu żadnego spisku, głupku! To tylko wolne stanowisko! Ludzie bez przerwy odchodzą z pracy!

Wpatruje się we mnie bez mrugnięcia.

– Czyżby?

Potrzeba, żeby roztrzaskać talerz na jego głowie, jest naprawdę silna, ale nadal jestem w zbyt dobrym nastroju, żeby się jej poddać.

– Wiesz, to interesujące. Codziennie odkrywam nowe aspekty twojej osobowości. Gigantyczne ego – jest. Fetysz ciasnych okryć na

nogi i kiepskiej muzyki – jest. Zakorzeniona podejrzliwość wobec szczęścia i aktywna paranoja - są.

– To nie paranoja, jeśli mam rację.

– Wyjaśnijmy sobie coś. – Siadam prosto na krześle, po czym nasuwam okulary wyżej na nos, żeby lepiej go widzieć. – Twoja teoria zakłada, że Michael Maddox obrał mnie za cel… do rozwijania kariery?

Cam wzrusza ramionami i wraca do jedzenia.

– Mógłbyś sprawić, że Matka Teresa wywołałaby morderczą masakrę, wiesz?

– Potrafisz prawić najlepsze komplementy, skarbie. Nałóż sobie, zanim zjem wszystko.

– Ja nie jem.

Wilczy warkot wypełnia kuchnię.

– Cicho, Biały Kieł. Przestraszysz sąsiadów.

– Jadłaś coś dzisiaj? – pyta w tym swoim stylu Wolverine'a.

– Tak.

Piorunuje mnie wzrokiem.

– Poza napojem proteinowym, który dałem ci rano?

Zaciskam wargi, a następnie zaczynam oglądać skórki u swoich paznokci.

Klnąc pod nosem, Cam odsuwa krzesło, po czym podchodzi do szafki. Pozwalam mu tam szperać przez chwilę, zanim oznajmiam, że talerze są nad ekspresem.

Słyszę więcej tupania i grzechotania naczyniami, a także trochę nerwowych sapnięć. Jakby w mojej kuchni grasowała jakaś dzika bestia. Następnie Cam staje przy kuchence i, z większą niż to konieczne siłą, wykłada makaron na talerz. Dodaje chleb czosnkowy i sałatkę, po czym stawia przede mną jedzenie.

Wskazuje palcem na talerz.

– Jedz. Już.

Uśmiecham się do niego słodko.

– Nie mam widelca.

Drgają mu nozdrza, kiedy na mnie patrzy.

– Przeciągasz strunę, kobieto.

– W przeciwieństwie do niektórych tu obecnych nie jestem wielką fanką jedzenia palcami.

Widok gniewu na jego twarzy jest perwersyjnie satysfakcjonujący. Odwraca się, podchodzi do szuflad, po czym otwiera jedną po drugiej w poszukiwaniu sztućców. Obserwuję go, cały czas się uśmiechając.

– Gdybym wiedziała, że tak cię denerwuje, kiedy ktoś pomija posiłki, zaczęłabym strajk głodowy w chwili, gdy cię poznałam.

Cam wraca, niosąc widelec w swojej wielkiej dłoni. Wyciąga go do mnie z płonącym wzrokiem.

– Nie chodzi o opuszczanie posiłków – mówi ostrym tonem. – Ale o powody.

Nasze spojrzenia spotykają się na chwilę. Wtedy stwierdzam, że to nie jest warte kłótni i biorę widelec z jego ręki.

Usadawia się na krześle, patrząc na mnie gniewnie, aż w końcu odpuszczam i zjadam kęs makaronu. Udobruchany, wraca do wrzucania w siebie jedzenia, ale nadal uważnie mnie obserwuje. Mam przeczucie, że spróbuje mnie karmić jak gęś, jeśli nie utrzymam odpowiedniego tempa, więc staram się wyglądać na zaangażowaną.

– Przesuwanie pokarmu po talerzu i wkładanie do ust porcji jak dla myszki nie liczy się jako jedzenie – mówi Cam po minucie.

– Dobrze, tato – mamroczę, po czym nabieram pełen widelec makaronu. Przeżuwam, połykam, a następnie wystawiam język, otwierając szeroko usta, żeby mu udowodnić, że jestem grzeczną dziewczynką i może przestać mnie pilnować.

– Lepiej. Jeszcze raz.

Wzdycham, wywracam oczami i jem dalej. Umieram z głodu, więc moja silna wola kruszeje dość szybko. Po sekundzie szufluję rigatoni, jakby ktoś trzymał mi pistolet przy głowie.

Cam chrząka z zadowoleniem.

Nienawidzę siebie za to, że podoba mi się to chrząknięcie.

– A mówiąc o twoim ojcu – rzuca zwyczajnie, patrząc teraz na swój talerz – czym się zajmuje?

– Mój tata? Jest fotografem. To znaczy był. Teraz jest na emeryturze.

– Tak? Jakie zdjęcia robił?

– Pracował trochę dla wytwórni filmowych, ale jego głównym zajęciem była fotografia mody. Sesje modowe, rozkładówki magazynów, tego typu rzeczy.

– Więc pracował z wieloma modelkami.

Przytakuję, przeżuwając chleb jak zwierzę gospodarskie.

– I aktorami. „Pięknymi ludźmi", jak ich nazywał.

– A twoja mama?

– Była modelką wybiegową. Poznali się na sesji w Paryżu. Teraz głównie robi sobie płukanie okrężnicy i ma obsesję na punkcie znalezienia idealnej makrobiotycznej sałaty, podczas swoich wypraw do sklepiku ze zdrową żywnością.

Cam przez chwilę milczy.

– A twoja siostra jest królową piękności.

– Tak, Jacqueline dotarła aż do konkursu Miss America. Pokonała ją farmerka z Kansas. Chyba nigdy się z tym nie pogodziła. Ona i moja mama wyglądają jak bliźniaczki jednojajowe – klasyczne, długonogie blond piękności z Kalifornii. Mój tata też. Wygląda jak surfer, bardzo opalony i wysportowany. – Śmieję się. – Kiedy byłyśmy dziećmi, siostra śmiała się ze mnie, że jestem adoptowana, bo nie jestem podobna do nikogo z rodziny.

Cam podnosi wzrok znad swojego talerza. Spojrzenie ma mroczne, a minę poważną.

– To wiele wyjaśnia.

Zawieszam widelec w połowie drogi do ust.

– O czym ty mówisz?

– Twoje negatywne podejście do ciała, zdruzgotane poczucie własnej wartości i specyficzna relacja z jedzeniem.

Powoli odkładam widelec na talerz, twarz mi płonie, a żołądek się skręca.

– Słucham?

Cam odpowiada:

– Masz matkę modelkę, siostrę królową piękności i ojca, który przez całą karierę otaczał się idealnie wyglądającymi ludźmi…

– Nie masz prawa krytykować mojej rodziny ani poddawać mnie psychoanalizie – przerywam mu sztywno, serce łomocze mi w piersi.

– Nie zapominajmy też, że jesteś dość mocno zaabsorbowany własnym wyglądem, McGregor.

– Może tak, a może nie. Ale nigdy nie sprawiłbym, że ktoś inny poczuje się źle we własnej skórze, bo nie odpowiada mojemu wyobrażeniu o ideale.

– A sugerujesz, że właśnie to zrobiła mi moja rodzina?

– A nie?

Jestem tak wściekła, że cała drżę. Co gorsza, on ma rację.

– Myślę, że twoje czterdzieści pięć minut dobiegło końca.

Wstaję, zabieram swój talerz do zlewu i wyrzucam resztę jedzenia. Wrzucam talerz na stertę naczyń i mrugam zawzięcie, żeby powstrzymać łzy, które zbierają mi się pod powiekami.

– Joellen…

– Przestań. Ani słowa więcej. Możesz już iść.

Nastaje długa, ciężka cisza. Potem Cam wzdycha. Słyszę, jak odsuwa krzesło, po czym wstaje.

– Wciąż jesteśmy umówieni na rano?

Liczę do dziesięciu, zanim odpowiadam, żeby mój głos przestał drżeć.

– Tak.

– Dobrze – mówi. Jego ton jest teraz łagodniejszy. – W porządku. – Odchodzi kilka kroków, ale zatrzymuje się, zanim dotrze do drzwi.– Jeśli to ma znaczenie, dziołcha… oni się mylą.

Zamykam oczy. Samotna łza wydostaje się spod mojej powieki, spływając po policzku. Potem drzwi wejściowe otwierają się i zamykają, a ja zostaję sama z Panem Bingleyem ocierającym się o moje kostki, i świadomością, że nie tylko ja zajrzałam za kurtynę.

Jeśli ja widziałam prawdziwego Camerona McGregora, to on też przejrzał Joellen Bixby.

***

Tej nocy nie śpię. Słowa Cama krążą po mojej głowie jak tornado, wyciągając z niej cały ohydny, prastary brud. Nienawidzę się za to, że jego prosta obserwacja aż tak na mnie wpłynęła, poza tym martwię

się, że jeśli on zauważył to tak wyraźnie, wszyscy inni też na pewno wiedzą.

Ale kiedy zaczynam się nad tym zastanawiać, zdaję sobie sprawę, że on jest jedyną osobą, która obserwuje i zwraca uwagę na innych.

Rano jest dziwnie.

– Cześć – mówi przygaszonym głosem, zerkając na mnie przelotnie, gdy otwieram drzwi. Dłonie ma wepchnięte w kieszenie czarnej bluzy, kaptur zarzucony na głowę, na nogach czarne dresy i sportowe buty w tym samym kolorze dopełniające stroju.

– Cześć. To pierwszy raz, kiedy widzę tak mało twojej skóry. Dobrze się czujesz?

Usta mu drgają, ale uśmiecha się tylko oczami.

– Jeśli chcesz, mogę zdjąć bluzę. Zaoszczędzę ci przynajmniej pięciu minut rozgrzewki.

– No i wrócił. Dzień dobry, pozerze.

– Dobry, smoczyco. – Zza pleców wyciąga butelkę zielonej brei, którą nakarmił mnie wczoraj rano. Kiedy ją biorę, oddycha z ulgą, jakby spodziewał się kłótni.

– Czekaj. – Gapię się na butelkę w mojej dłoni, a potem spoglądam na Cama ze zmarszczonymi brwiami. – Skąd to się wzięło.

– Z mojego blendera.

– Masz bleneder z tyłu spodni?

– Miałem to za paskiem.

To sprawia, że milknę na chwilę.

– Uznałeś, że to dobry pomysł, trzymać butelkę płynu za paskiem spodni przez pięć kroków od twoich drzwi do moich? Masz złamane obie ręce?

Macha do mnie palcami, po czym wybucha śmiechem, który wstrzymywał tyle czasu.

– Rączki w pełni sprawne, dziołcha. W razie, gdybyś chciała, żebym urządził sobie dotykową wycieczkę po twoich majestatycznych, kobiecych częściach, jak to nazwałaś.

– Proszę, powiedz, że masz na sobie bieliznę, a ta butelka nie znajdowała się między twoimi pośladkami.

Cam odpowiada z poważną miną:

– Tak, dziołcha, przyłapałaś mnie. To butelka z dupnym sokiem. Pij, ma dużo witamin.

– Witamin?

Moja wyobraźnia zaczyna wariować. Czytałam kiedyś książkę kucharską zatytułowaną *Naturalne żniwa*, napisaną przez człowieka, który uważał, że każde danie można polepszyć, dodając do niego pewien naturalny składnik będący wytworem męskich jąder. Fotografia dołączona do przepisu na „Nieco bardziej słony kawior" prześladuje mnie do dziś.

– Po prostu wypij to cholerstwo, dziołcha. To zblendowane warzywa i proszek proteinowy!

Zamykam za sobą drzwi mieszkania, a następnie chowam klucze do kieszonki mojej polarowej kamizelki.

– W porządku. Ale jeżeli będzie podejrzanie słone, skopię ci tyłek. – Otwieram butelkę i wącham zawartość, słysząc, że Góra się śmieje.

– Jedyne, co jest słone w tym korytarzu to ty, skarbie.

Jego głos jest tak ciepły jak spojrzenie, które napotykam. Dzisiaj Cameron się ogolił, jednak lepiej wygląda w zaroście , który nosi na co dzień. Nie należy do typu facetów, którym pasuje nieskazitelna gładkość i manicure. Cała ta jego surowość łączy się w coś interesującego. Bardziej…

Męskiego.

Pochłaniam zieloną breję, ocieram usta dłonią, po czym odwracam wzrok, bo twarz nagle mi płonie.

Cam unosi głowę.

– Oho. Chyba naszła cię jakaś brzydka myśl o pięknisiu Michaelu. Twoja twarz przybrała barwę buraka.

Kiedy odpowiadam tylko uśmiechem i sztywnym skinieniem, Cam znowu się śmieje.

– Trochę za wcześnie na takie sprośne myśli, co kochanie?

Kiedy słyszę, że nazywa mnie kochaniem, moja twarz robi się jeszcze gorętsza i teraz chciałabym sama skopać sobie tyłek za bycie taką kretynką.

– Zaczynajmy – mówię trochę zbyt ostro.

Bawi go moja nagła zmiana tematu.

– Dobra, dobra, nie ma co się wściekać.

Zostawiam pustą butelkę przy drzwiach, a następnie robimy rozgrzewkę w korytarzu, podczas której wysłuchuję jego wywodów na temat docelowego pulsu, euforii biegacza i innych, zdrowych rzeczach, na których nie mogę się skupić, bo jestem zbyt zajęta staraniem się, by unikać zauważania, jak dobrze wygląda.

To na pewno brak snu sprawia, że jestem taka skołowana.

Albo to, albo właśnie zdałam sobie sprawę, że na swój irytujący, arogancki sposób, Góra jest naprawdę gorący.

TRZYNAŚCIE

Do piątku zrzuciłam dwa kilogramy – dwa! – a Cam i ja przywykliśmy do naszego porannego biegania i wieczornych kolacji. Zgodnie z danym przez siebie słowem nie puszczał głośno muzyki, więc przez cały tydzień moje uszy nie krwawiły. Przygotował też dla mnie plan posiłków oparty na chudych produktach białkowych i warzywach, po czym przetrząsnął moją spiżarnię i lodówkę w poszukiwaniu jedzenia, które nie pasuje do mojej nowej diety. Wszystko to zaniósł w kartonowym pudle do lokalnego schroniska dla bezdomnych.

W żenująco wielkim pudle.

Potem poszliśmy razem na zakupy spożywcze, a ja odkryłam, że stałam się obiektem zazdrości tak wielu kobiet, aż pomyślałam, że wszystkie zbiorą się razem i zrobią laleczkę voodoo z moją podobizną, w którą będą wbijać szpilki. Ich zazdrość była wręcz namacalna, a przecież jedyne, co zrobiłam, to szłam obok niego. Pewnie myślały, że jestem jego gosposią, ale spojrzenia, jakimi mnie obrzucały… ups.

Uwaga, jaką on otrzymywał, dała mi pogląd na to, w jaki sposób jego ego urosło do rozmiarów Godzilli. Te kobiety patrzyły na niego, jakby był najbardziej soczystym filetem na stoisku mięsnym. Jakby chciały zedrzeć z niego ubrania i pożreć go tam, w alejce z organicznymi warzywami. Jakby nie był konkretną osobą, tylko wielkim, soczystym kawałem smacznego męskiego mięsa, w którym chciałyby zatopić zęby.

Wstydziłam się za swoją płeć.

Jednak on przechadzał się zamaszystym krokiem. Trudno było stwierdzić, czy chłonął tę admirację, czy ją ignorował, bo w miejscu publicznym jego uśmiechy były ostrożniejsze, niż kiedy byliśmy sami. Ewidentnie podobało mu się, że jego osoba zwraca uwagę, ale

moja kobieca intuicja podpowiadała, że nie radzi sobie z tym tak dobrze, jak pokazuje.

A może to znowu moja wybujała wyobraźnia. Tak czy inaczej, kiedy dotarliśmy do domu, żadne z nas nie wspomniało o tych wygłodniałych spojrzeniach.

Stoję w kuchni dla pracowników w piątkowy poranek, przygotowując sobie kolejny kubek kawy, kiedy nagle słyszę za plecami męski głos:

– Jaka ładna sukienka.

Odwracam się tak gwałtownie, że prawie upadam, ale udaje mi się oprzeć o blat, zanim polecę prosto na twarz. Zaledwie krok ode mnie stoi Michael ubrany w czarny garnitur z poszetką. Wygląda jak gwiazda filmowa.

Uśmiecha się do mnie.

– Chyba nigdy nie widziałem cię w sukience. Nowa?

Spoglądam w dół na siebie.

– Och. To? Yy.

Staram się wymyślić jakąś wymówkę dla tej sukienki, byle tylko uniknąć powiedzenia żenującej prawdy, że ubiegłej nocy przetrząsnęłam szafę w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mu się spodobać, na wypadek, gdybyśmy wpadli na siebie, i to była jedyna rzecz, jaką znalazłam. Jest niebieska, a pamiętam, że to jego ulubiony kolor. Do tego, dzięki jakiemuś pomysłowemu trikowi, jej krój dokonuje niewielkiego cudu i moje ciążowe biodra wyglądają szczuplej.

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć i słyszę w głowie figlarny akcent Cama. *Powiedz mu, że masz randkę*.

– Mam randkę – wyrzucam z siebie tak głośno, że Michael mruga.

– Och? – Jego wzrok mierzy mnie z góry na dół, od stóp do głów, oceniająco. – Cóż, kimkolwiek on jest, zazdroszczę mu.

Moje palce mocno zaciskają się na blacie. Aż dziw, że nie pęka. Próbuję zaśmiać się kokieteryjnie, ale wychodzi mi odgłos, jakbym próbowała wykaszleć kulkę kłaków.

Michael chyba wyczuwa moje zbliżające się załamanie nerwowe, bo przekrzywia głowę, a jego uśmiech staje się jeszcze szerszy.

– Mógłbym? – wskazuje na ekspres do kawy tuż za mną.

– Och! Oczywiście, przepraszam! – Usuwam się z drogi i staję z boku, gdzie mogę podziwiać jego piękno z bezpiecznej odległości.

Bez słowa wyciąga w moją stronę kubek z kawą, który zostawiłam na ekspresie. Odbieram go drżącymi dłońmi, unikając jego spojrzenia, bo wszystkie moje zakończenia nerwowe pulsują pożądaniem i boję się, że on to zobaczy, jeśli spojrzy mi w oczy.

Michael pachnie świeżo i czysto, jak wysuszone pranie. Jak nowy studolarowy banknot.

Zajmując się przygotowaniem swojej kawy, mówi do mnie swobodnie:

– Przeglądałem twoje podanie o stanowisko zastępcy redaktora.

Przestaję oddychać. Dobrze, że nie mam teraz w ustach żadnego płynu, bo w tym momencie znalazłby się na jego eleganckim garniturze.

Zerka na mnie spod gęstych rzęs. Jego niebieskie oczy błyszczą. W policzku pojawia się dołeczek.

– Sonety?

Moja twarz natychmiast płonie niczym tysiąc słońc.

Na podaniu należało wpisać dodatkowe informacje, które nie widnieją w moim życiorysie, a które byłyby przydatne na nowym stanowisku. Specjalne umiejętności, odpowiednie zainteresowania, jakiekolwiek doświadczenie poza standardową edukacją albo historią zatrudnienia, które mogłyby stanowić dodatkowy atut. Bez zastanowienia wpisałam jedyne, co mogłoby pasować, skoro to przemysł wydawniczy i w ogóle.

Hobbystycznie piszę sonety. W szekspirowskim stylu, ponieważ jestem żałosną istotą ludzką z nieistniejącym życiem miłosnym, która pewnego dnia umrze samotnie otoczona przez koty.

Patrząc na swoje buty, mamroczę:

– Mhm. Tak.

– W porządku – mówi Michael ze śmiechem. – Nie wstydź się. Myślę, że to całkiem urocze.

Urocze? Czy mężczyzna z moich snów właśnie powiedział, że jestem urocza? Nie jestem pewna, jakie to uczucie mieć zawał, ale prawdopodobnie jestem tego bliska.

Podnoszę na niego wzrok, podekscytowana ciepłem jego spojrzenia, ale moja ekscytacja szybko przeistacza się w przerażenie, kiedy mówi:

– Wyrecytuj dla mnie jakiś.

Krew przestaje krążyć mi w żyłach.

– Och, no dalej – nalega delikatnie, widząc wyraz mojej twarzy. – Chciałbym usłyszeć jeden z twoich sonetów, Joellen. Proszę?

O Boże. OBożeOBożeOBoże. Moje usta to pustynia. Dłonie zaczynają się pocić. Zastanawiam się nad ucieczką, ale Michael Maddox stoi krok ode mnie, patrząc wyczekująco po tym, jak wypowiedział słowo „proszę". Muszę mu ulec, niezależnie jak bardzo wolałabym dostać teraz rozległego udaru i umrzeć na miejscu.

Zwilżam wargi. Mój głos wydobywa się w formie szeptu, ledwo słyszalny przez moje łomoczące serce.

– Proszę, nie śmiej się.

Wyraz jego twarzy staje się śmiertelnie poważny.

– Obiecuję, że nie będę.

– Dobra. – Biorę głęboki wdech, który, mam nadzieję, doda mi odwagi, ale nic z tego. – Ten nosi tytuł *Oda do starych lasek*.

Brwi Michaela wystrzeliwują w górę.

– Powiedziałam, żebyś się nie śmiał!

Podnosi rękę i potrząsa głową.

– Przysięgam na grób matki, że nie będę się śmiał. Masz moje słowo. Proszę, kontynuuj.

Przyglądam się chwilę jego twarzy, ale nie widzę ani śladu rozbawienia, więc zduszam lęk, a następnie zaczynam.

Gdy zacznie się kryzys wieku średniego,
A róża utraci swe płatki,
My, kobiety w pewnym wieku, jesteśmy posępne,
Ignorowane przez mężczyzn na rzecz
Młodych dziewczyn o dziarskich biustach i udach
Zalotnych, długorzęsych flirciar.
Ale takie rozkosze – takie przyjemności! – nie są
Dla mężczyzn szukających nowych wrażeń,
Bo my, dojrzałe kobiety (nadal pełne życia),

Jesteśmy zaprawione dzięki naszym komplikacjom.
Wnosimy do miłości pewną pikanterię
Nieznaną mniej doświadczonym panienkom.
Więc nie patrzcie, wy mężczyźni, na młode,
Szukając ich łatwego uroku,
Ale zaspokójcie swoje głębsze żądze
W ramionach starszej kobiety.

Podczas mojej recytacji *Ody do starych lasek* twarz Michaela przechodzi serię niesamowitych transformacji. Nie wiem, ile emocji przez nią przelatuje, ale ta ostatnia, która pozostaje, jest nie do rozszyfrowania, a przez to przerażająca.

– Cóż za fascynujący sonet – mówi napiętym głosem, a jego oczy płoną niebieskim ogniem. – I bardzo interesujące, że postanowiłaś podzielić się ze mną tym konkretnym.

Żołądek mi opada. Popełniłam kolosalny, nieumyślny, ale i tak niewybaczalny błąd.

Mój szef myśli, że właśnie złożyłam mu propozycję. Zwolnią mnie za napastowanie seksualne.

Moja kariera jest skończona. Mogę równie dobrze udać się teraz do schroniska dla zwierząt i adoptować więcej kotów.

Z dłonią na ustach i oczami jak spodki, oddycham z przerażeniem.

– To… nie… to ostatni, jaki napisałam. Nie miałam nic na myśli…

Palące spojrzenie Michaela pada na moje usta. Mamrocze:

– Nie? Szkoda.

Wyciąga dłoń, po czym przesuwa knykciami po moim policzku.

Ziemia nagle przestaje obracać się wokół własnej osi. Jestem świadoma wszystkich komórek mojego ciała, każdego śpiewającego nerwu, swojego urywanego oddechu i dreszczy przebiegających po mojej skórze. Stoimy, wpatrując się w siebie, a potężny magnetyzm sprawia, że mój umysł jest pusty.

Mój mózg jest zmrożony, ale ciało to jedno wielkie, gorące doznanie. Łomoczące serce, szalejący puls, delikatny dotyk jego palców na mojej skórze stanowią centrum mojego wszechświata.

Rozchyla usta. Pochyla się do mnie.

Jasna cholera. Zaraz mnie pocałuje.

– Panie Maddox, muszę porozmawiać…

Portia wparowuje do kuchni z teczką pod pachą, stukając obcasami. Zauważa nas i staje w miejscu.

Michael odwraca się, po czym przystępuje do przygotowania sobie kawy, jakby nic się nie stało, a ja stoję wrośnięta w ziemię, przerażona i z dziwnym poczuciem winy, nie mogąc się ruszyć ani odezwać.

Z miejsca, w którym stoi Portia, zaczynają rozchodzić się lodowe macki. Wpatruje się we mnie surowym wzrokiem, jej ciało jest sztywne, a wyraz twarzy oskarżycielski. Potem przenosi swoje lodowate spojrzenie na plecy Michaela.

– Proszę wybaczyć, panie Maddox – mówi sztywno. – Pana sekretarka powiedziała mi, że pana tu znajdę. Nie chciałam przeszkadzać.

Michael odwraca się z kubkiem w dłoni, na jego przystojnej twarzy widnieje zwyczajny uśmiech.

– Nie przeszkodziłaś. Joellen i ja właśnie omawialiśmy jej podanie. Bardzo jej zależy, żeby dostać tę pracę.

Kiepsko to ujął. Gdyby ludzie potrafili spontanicznie eksplodować, Portia rozbryzgałaby się w tej chwili po wszystkich ścianach i podłodze w postaci drobnych, zamarzniętych cząstek.

Usta ma zaciśnięte, a nozdrza jej falują. Zaczynam się obawiać, że może jednak się na mnie rzuci. Portia przenosi na mnie swoje lodowate spojrzenie.

– Widzę – mówi miękko, spojrzeniem wypalając dziury w mojej głowie.

To katastrofa na miarę sterowca Hindenburg. To jasne, co Portia myśli o stwierdzeniu Michaela, że „zależy mi na tej pracy” i co uważa, że ja zamierzam.

Przez jedno dotknięcie policzka stałam się biurową ladacznicą próbującą załatwić sobie awans przez łóżko, bo inaczej bym na niego nie zasłużyła.

Ze ściśniętym głosem mówię:

– Wrócę już do pracy.

Wymykam się z podkulonym ogonem, a kiedy mijam Portię, wzrok mam wbity w podłogę. Kiedy tylko opuszczam kuchnię, pędzę do

swojego biurka, gdzie planuję spędzić resztę dnia, projektując dla siebie różne wersje szkarłatnej litery A[2], którą będę mogła nosić na ubraniach.

Nie wiem, czy nieszczęście można uznać za odmianę szczęścia, ale tylko to mam.

***

Kilka minut przed piątą dzwoni mój telefon.

– Joellen Bixby przy telefonie.

– Joellen, tu Michael.

Moje serce zaczyna bić jak szalone. Ukradkiem rozglądam się dookoła, jakby Portia miała czaić się za rogiem mojego boksu, potem zapadam się w krzesło i zakrywam słuchawkę dłonią. Nie mam pojęcia, dlaczego nagle zaczęłam czuć się jak w filmie szpiegowskim.

– Mhm. Dzień dobry, proszę pana.

Wzdycha i nawet ten dźwięk brzmi pięknie.

– Proszę, przestań z tym panem. Wszyscy mówią do mnie „pan”. Czuję się, jakbym był swoim dziadkiem.

– Przepraszam, to z przyzwyczajenia. Jesteś dyrektorem i w ogóle.

Michael odchrząkuje.

– Tak. Jeśli o to chodzi. – Następuje krótka przerwa, po czym wypuszcza głośno powietrze. – Przepraszam za to, co wydarzyło się w kuchni. To było niewłaściwe z mojej strony. Mam nadzieję, że przyjmiesz moje szczere przeprosiny. Najwyraźniej sprawiłem, że poczułaś się niezręcznie, a to było absolutnie nie na miejscu…

– Nie poczułam się niezręcznie.

Cisza.

Dziwnie ośmielona jego brakiem odpowiedzi ściszam głos do szeptu.

– To znaczy poczułam, ale w dobrym znaczeniu.

Kolejny wydech, tym razem dłuższy i powolniejszy.

– Nic nie mówisz – zauważam.

– Ulżyło mi. – Jego głos obniża się o oktawę. – I… naprawdę cieszę się, że to słyszę.

Odsuwam telefon od twarzy, po czym wydaję z siebie bezgłośny krzyk, machając nogami i podskakując na krześle jak wariatka. Kiedy przykładam słuchawkę z powrotem do ucha, zbieram w sobie każdy gram odwagi, jaki mi pozostał, i zadaję mu pytanie za 64 000 dolarów.

– Dlaczego?

Po chwili stresującej ciszy, jego odpowiedź jest nawet bardziej nieśmiała niż wcześniej.

– Dobrze wiesz dlaczego, Joellen.

Moje majtki zwijają się jak płonąca kartka papieru. Okulary zaczynają parować jak wtedy, gdy pierwszy raz czytałam *Pięćdziesiąt twarzy Greya*. Istnieje ryzyko, że serce eksploduje mi w piersi.

Szepczę:

– Nie, nie wiem. Powiedz mi.

Kim jest ta osoba? Ta jawnie flirtująca osoba? Najwidoczniej ktoś przejął moje ciało.

Słyszę jakiś szelest, pisk krzesła, a potem coś, co brzmi jak kroki na kafelkach.

– Co robisz?

– Chodzę.

Chodzi. A jego głos jest szorstki. I cieszy się, że nie było mi niezręcznie w złym tego słowa znaczeniu, ale nie odpowiada na moje pytanie.

– Michael – szepczę.

– Tak, Joellen?

– Co się dzieje?

Kolejny szelest. Możliwe, że usiadł z powrotem. Wyobrażam go sobie w jego biurze, wpatrującego się w podłogę. Jest piękny i rozdarty.

Zaczyna niepewnie, jakby wyduszał z siebie słowa wbrew swojej woli.

– Wiesz… że ja… rozwodzę się.

– Tak.

– I… także… że jestem dyrektorem firmy.

– Tak.

– A ty jesteś… moją pracownicą… która od niedawna ubiega się o awans.

Nie mogę odpowiedzieć, bo euforia zmroziła mi język, ale moje serce krzyczy „TAK! TAK! TAK!”.

– Więc to jest… skomplikowane.

Podrywam się na nogi, ślepa na wszystko i wszystkich wkoło, ściskam w dłoni telefon, a moja dusza zaraz wyrwie się z ciała. Słucham tego, co może zaraz powiedzieć, z przerażonym skupieniem kogoś, kto czeka na werdykt w sprawie o morderstwo.

– Wciąż tam jesteś?

– Jestem. – Głos mi drży, ale mam to gdzieś. Bomba nuklearna mogłaby uderzyć w Manhattan, a mnie w ogóle by to nie obeszło.

Michael wzdycha, brzmiąc żałośnie.

– Przepraszam. Stawiam cię w okropnej sytuacji. Jestem idiotą. Nigdy nie powinienem był się odzywać.

Za późno. Otworzył puszkę Pandory, więc teraz wszystkie te piekielne stworzonka biegają w amoku po moich organach rozrodczych, wrzeszcząc radośnie.

– Chciałeś mnie pocałować, prawda?

To stwierdzenie, nie pytanie, bo teraz wiem, że to prawda. Mogłabym przekonać samą siebie, że to wytwór mojej wyobraźni, zanim odbyła się ta rozmowa, ale wszystko zmieniło się drastycznie.

– Muszę iść.

– Michael, powiedz mi.

Następuje długa, ogłuszająca cisza, a potem Michael szepcze:

– Tak.

I rozłącza się.

Podnoszę ręce, odrzucam głowę w tył, po czym wydaję z siebie okrzyk zwycięstwa tak głośny, że wszyscy w pozostałych boksach zaprzestają to, co robili i rozglądają się wkoło.

Zza pleców słyszę poirytowany głos Shasty.

– Stara, co z tobą, u diabła? Ludzie próbują tu udawać zapracowanych. Bądź cicho!

Zaczynam się śmiać i nie potrafię przestać.

Michael Maddox chciał mnie pocałować.

Nie mogę się doczekać, aż wrócę do domu i powiem o tym Camowi.

CZTERNAŚCIE

W drodze do domu zatrzymuję się w sklepie, żeby wybrać butelkę dobrego wina, bo dzisiaj będę świętować. Wszędzie wkoło widać oznaki świąt. Witryny sklepowe błyszczą od kolorowych lampek, cienka warstwa śniegu pokrywa chodnik, ze wszystkich głośników płyną świąteczne piosenki, a przebrani Mikołajowie na każdym rogu zbierają datki na cele charytatywne, agresywnie dzwoniąc dzwonkami wprost w poirytowane twarze ludzi.

Wszystko wydaje się magiczne. Czuję ducha świąt jak nigdy wcześniej, tylko dlatego, że usta Michaela chciały przycisnąć się do moich.

Nie szkodzi, że ostatecznie tego nie zrobił. Liczy się intencja. Gdyby nie ta wiedźma Portia, dziś wieczorem świętowałabym Dom Pérignon, a nie zwykłym Napa Cabernet.

Otwieram drzwi mieszkania, kiedy dobiega do mnie głos Cama. Przez drzwi jest nieco przytłumiony, ale nadal słyszę go wyraźnie.

– Bo do cholery nie chcę wracać wcześniej, właśnie dlatego! – Zatrzymuję się, nadstawiając ucha, ciekawość mnie obezwładnia.

Ciężkie kroki dudnią o podłogę. Cam chodzi w jedną stronę, potem zawraca i maszeruje w drugą.

– Mój pieprzony prawnik powinien się tym zająć! – ryczy. – Powiedział, że nie będę musiał pojawiać się w sądzie aż do siedemnastego następnego miesiąca.

O kurczę. To nie brzmi dobrze.

Próbując zachowywać się cicho, przekręcam klucz w zamku i otwieram drzwi. Nie chcę, żeby Cam pomyślał, że go szpiegowałam i znowu nazwał mnie podglądaczką, więc zamierzam przemknąć cicho jak myszka, ale Pan Bingley ma w tej kwestii inne zdanie.

– RRRAAAAUUU! – skrzeczy, wyjąc, jakbym nastąpiła mu na ogon.

– Ćśś! – syczę, machając na niego. – Nakarmię cię za sekundę!

Ale jest za późno. Drzwi po drugiej stronie korytarza już się otwierają. Wpatrując się we mnie, Cam wrzeszczy do telefonu, który trzyma w dłoni:

– Muszę, kurwa, kończyć! Oddzwonię później!

Kończy rozmowę, dźgając ekran telefonu, po czym rzuca komórkę przez ramię, a ta z łoskotem ląduje na podłodze. On tymczasem stoi i wpatruje się we mnie, oddychając ciężko. Jego klatka piersiowa unosi się i opada, wzrok ma dziki.

– Hej, pozerze. Kiepski dzień? – Pozwalam mu przez chwilę w ciszy gotować się ze złości. – Chcesz o tym pogadać?

– Nie!

– Dobra, dobra, nie gorączkuj się tak. Miłego wieczoru.

Zakładam, że nie będzie miał ochoty na towarzystwo, zważywszy na burzę szalejącą w jego głowie, ale rozwiewa moje przypuszczenia, zatrzaskując swoje drzwi, przechodząc przez korytarz i przepychając się obok mnie do mieszkania.

– Jasne, wejdź, rozgość się – mówię oschle, patrząc jak siada na mojej kanapie. – Zawsze miło mieć w domu wściekłego, stukilowego goryla.

Odchyla głowę na oparcie kanapy, po czym zamyka oczy. Kiedy wreszcie się odzywa, jego głos brzmi smutno.

– Przepraszam, dziołcha. Daj mi tylko ochłonąć przez chwilę.

Pan Bingley w niewybredny sposób przypomina mi o swoim niezadowoleniu, że musi czekać na kolację, wbiegając do kuchni z wysoko podniesionym ogonem. Zamykam drzwi i zastanawiam się, jakim cudem zostałam żywieniową niewolnicą tych dwóch wymagających osobników płci męskiej.

Kładę torebkę na stoiku w przedpokoju, zdejmuję płaszcz i szalik, po czym przerzucam wszystko przez oparcie krzesła, zanoszę wino do kuchni, gdzie karmię kota, a następnie zabieram się za poszukiwania korkociągu i porządnego, kryształowego kieliszka. Jest ukryty za pozostałymi, gównianymi, nie od kompletu. Chwilę zajmuje mi walka z korkiem, zanim wreszcie odpuszcza, a potem wołam przez ramię.

– Chcesz kieliszek wina?

– Cameron McGregor nie pije wina.

Krzyczę, bo skurczybyk pojawił się znikąd i teraz stoi tuż przy mnie.

– McGregor! Przestań tak robić!

Wygląda na lekko rozbawionego.

– Nie moja wina, że jesteś tak głucha jak twój kot, dziołcha.

– W ogóle nie jestem głucha. To ty masz jakieś nadnaturalne zdolności do skradania się!

Śmieje się, a ja z ulgą widzę, że część chmur burzowych się rozwiała.

– To prawda. Jak ninja jestem.

– Nie mów od tyłu jak Yoda. Jesteś zbyt umięśniony, żeby to wypaliło.

– Aha! Nareszcie przyznajesz, jak przystojnym, krzepkim diabłem jestem!

– No i zaczyna się. – Uśmiecham się, potrząsając głową, a potem nalewam wino do kieliszka. Upijam, przełykam i wzdycham z przyjemności.

I właśnie wtedy zauważam, że Cam ogląda mnie z góry do dołu.

– Co?

– Masz na sobie sukienkę. I szpilki.

– Gratuluję zdumiewającego zmysłu obserwacji.

Nie śmieje się.

– Wyglądasz…

Kiedy nie udaje mu się dokończyć zdania, czuję, że się rumienię.

– Jak osoba w sukience? Ależ dziękuję, cóż za spektakularny komplement.

Jego spojrzenie spotyka się z moim.

– Świetnie. To zamierzałem powiedzieć… Wyglądasz naprawdę świetnie.

Mrużę oczy, patrząc na niego, ale nie wydaje się, żeby żartował.

Mogłabym przysiąc, że ta sukienka ma jakieś magiczne moce. Możliwe, że od dzisiaj będę ją nosić codziennie.

– Dzięki. Więc, jeśli nie pijesz wina, to co?

– Piwo. Ale ciemne. Lager, ogólnie wszystko, co nie jest przezroczyste.

– Bo prawdziwi mężczyźni nie piją dziewczyńskiego, bladego piwa.

– Dokładnie. Wiedziałem, że uważasz mnie za prawdziwego mężczyznę.

– Przysięgli nadal obradują, koleś. Nosisz okropnie dużo spódniczek. Zaczynam się obawiać, że pewnej nocy przyłapię cię na szperaniu w mojej szafie. Ale jeśli potrzebujesz przyjaciółki, żeby o tym pogadać, to śmiało. Możesz nawet przymierzyć moje staniki.

Uśmiechamy się do siebie. Opiera się o blat, krzyżując ręce na piersi. Dzisiaj ma na sobie normalne ubrania: białą koszulkę, czarne buty i te sprane dżinsy, które wiszą mu nisko na biodrach. Z tatuażami na bicepsach, potarganymi włosami i ciemnym zarostem na szczęce wygląda jak połączenie motocyklisty wyjętego spod prawa i gwiazdy rocka.

Możliwe, że zaczynam dostrzegać powód, dla którego wszystkie kobiety z supermarketu tak się śliniły.

– Co to za spojrzenie, dziołcha? Masz zabawny wyraz twarzy. Męczą cię gazy?

Zażenowana, decyduję się na sarkazm, moją zwyczajową pierwszą linię obrony w takich sytuacjach.

– Tak, McGregor. Męczą mnie gazy. I nie mam dziś na sobie pancernych majtek, więc odsuń się albo zostaniesz porażony. – Pcham go lekko w klatę, co można by porównać z pchaniem ściany, bo jest tak samo efektywne.

– Ach, jestem pewien, że twoje bąki pachną płatkami róż, kochana.

Wybucham śmiechem.

– Proszę, nie mów mi nic o bąkach! W pracy jest pewien facet, który opowiada mi dowcipy o pierdzeniu non stop. Nie potrzebuję, żeby ktokolwiek inny poruszał ten temat!

Coś przemyka przez twarz McGregora – chwilowe napięcie, które zaraz znika.

– Jest w twojej pracy kolejny facet, którym się interesujesz?

– Nie. Fuj. Denny ma chyba z siedemdziesiąt lat. A kawały o bąkach nie są dokładnie tym, co sprawia, że dziewczyny omdlewają. Ale mówiąc o pracy…

Odstawiam kieliszek na blat, a następnie klaszczę, podskakując nieznacznie, bo jestem tak podekscytowana, że mogę podzielić się tą wiadomością.

– Michael prawie mnie dzisiaj pocałował w biurowej kuchni.

Po chwili ciszy Cam podchodzi do stołu kuchennego i siada na krześle. Patrzy na mnie spod rzęs, lustrując mnie wzrokiem.

– Nie podchodź do tego niewłaściwie.

– O mój Boże. Już wszystko rujnujesz!

Ignoruje mnie, po czym przechodzi od razu do rzeczy.

– Jeśli miałabyś przyjaciółkę, która powiedziałaby ci, że jej wciąż żonaty szef prawie pocałował ją w pracy, co byś powiedziała?

Nieco powietrza ucieka z mojego michaelowego miłosnego balona.

– To, co mówisz, nie brzmi zbyt dobrze.

Wykonuje gest, który oznacza „Bo nie jest".

Nalewam sobie więcej wina.

– Dobra, ale nie słyszałeś całej historii.

Wykrzywia usta.

– Z niecierpliwości aż zapiera mi dech.

Przechodzę do wyjaśnienia wszystkiego, co się wydarzyło. Omawiam każdy szczegół: co ja powiedziałam, co powiedział Michael, jak Portia na nas wpadła, a potem telefon od Michaela, w którym przyznał, że chciał mnie pocałować. Kiedy kończę, Cam nadal mi nie przerywa.

– Co? – Ze zdenerwowania obgryzam kciuk.

– Uważasz, że jesteś stara?

Wpatruję się w niego szczerze zdezorientowana.

– Powiedziałaś, że sonet, który dla niego wyrecytowałaś, nosi tytuł „Oda do starych lasek". Jest o tobie?

Gorąco powoli opanowuje moją szyję.

– Mam trzydzieści sześć lat, McGregor.

– I uważasz, że to dużo?

– Robisz sobie ze mnie teraz jaja?

Potrząsa głową, przeczesuje włosy palcami i mamrocze coś pod nosem.

– Nieważne. Wróćmy do głównej sprawy. Żonaty szef. Samotna pracownica. Prawie pocałunek w firmowej kuchni. Możliwość spuszczenia całej twojej kariery w kiblu, jeśli tamta wredna suka postanowi na ciebie donieść do kierownictwa.

– Michael jest kierownictwem.

– Tak. A ty ubiegasz się o awans. Jak to będzie wyglądać?

Waham się, rozważając to, co zasugerował. Camowi musiał nie spodobać się mój wyraz twarzy, bo jego głos staje się ostry.

– Nie bądź naiwna. Jeśli ta kobieta zechce, może narobić ci w pracy dużych problemów. Istnieje mnóstwo sposobów na zamienienie twojego życia w piekło. Zniszczy ci reputację. Zwróci ludzi przeciwko tobie. Podważy zasadność twojej ciężkiej pracy, mówiąc, że awans jest tylko wynikiem tego, że bzykasz się z szefem. Użyj wyobraźni, dziołcha.

Myślę o Ruth z działu kadr, o tym, jak wydawała się niezadowolona, że Michael wmieszał się w naszą rozmowę, i o tym, jak głęboka wydaje się niechęć Portii do mnie, a w moim brzuchu pojawia się uczucie niepokoju. Wychylam resztę wina.

– Pech. A już chciałam przyjąć twoją ofertę nauczenia mnie, jak się całować. – Śmieję się nerwowo. – To najmniejszy z moich kłopotów!

Nalewam sobie więcej wina. Dopiero kiedy podnoszę kieliszek do ust, zauważam, że Cam znowu bezgłośnie pojawił się obok mnie.

– Stary. Serio. To przerażające. Skończ z tym.

– Właśnie przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Kolejna? To twój rekordowy tydzień.

Cam wyjmuje mi kieliszek z ręki, a następnie ostrożnie odstawia go na blat. Potem patrzy na mnie z przymkniętymi powiekami i beznamiętnym wyrazem twarzy.

– Może za ostro do tego podchodzę, dziołcha. W końcu zaproponowałem ci pomoc.

– Tak, zgadza się.

– No to dalej.

Marszczę brwi, wpatrując się w niego.

– Ale co „dalej”?

– Pocałuj mnie.

Dźwięk, jaki Pan Bingley wydaje, pochłaniając swoje jedzenie, to jedyny, jaki w tej chwili słychać w kuchni, aż Cam popędza mnie:

– No już. Zobaczmy, co potrafisz. Muszę wiedzieć, z czym mam pracować, żeby móc jakoś pomóc.

Gorąco rozlewa się po moich policzkach i szyi, potem zaczynają płonąć mi uszy.

Cam wzrusza ramionami.

– Albo nie. To nie moje zmartwienie, jeśli piękniś spróbuje cię pocałować i skończy z całą oślinioną twarzą.

Zaczyna wycofywać się do stołu, ale chwytam go za bluzkę.

– Czekaj!

Obrzuca mnie spojrzeniem.

– Mm… dobra. – Biorę głęboki wdech. – Ale nie możesz mnie dotykać.

– Rozumiem – odpowiada oschle. – Czyli to tylko nasze aury będą się całować.

– Skończ z tym sarkazmem. To poważna sprawa!

Cam wzdycha, po czym zakłada ręce na piersi.

– Dziołcha, nie wiem, ile czasu minęło, odkąd ostatnio kogoś całowałaś, ale należy w to zaangażować to coś, co się nazywa usta. Jestem całkiem pewien, że to się liczy jako dotykanie.

– Chodziło mi o ręce!

Podnosi dłonie w geście poddania.

– Gdzieżbym śmiał chociaż o tym marzyć.

Kiedy mrużę oczy, zaczyna się śmiać.

– Coś ci powiem. Stanę tutaj o tak. – Przesuwa się do przeciwległego blatu, układa ręce za plecami i przypiera je ciałem tak, że są zablokowane. – A ty możesz robić swoje, nie martwiąc się o zabłąkane dłonie.

Wygląda zupełnie nonszalancko. Ja tymczasem jestem kłębkiem wariujących emocji.

Nie powiedziałam mu, że ostatnim razem, kiedy byłam na randce – wieki temu – całus na dobranoc był taką tragedią, że do snu ukołysały mnie własne łzy. Facet odepchnął mnie i – łapiąc powietrze – powiedział:

– Tym, co przed chwilą polizałaś, były moje płuca!

Chyba byłam dość agresywna. Długa posucha może wywołać u dziewczyny desperację i najwidoczniej wepchnęłam biedakowi język tak głęboko do gardła, że zbadałam nim jego organy wewnętrzne.

Wystarczy powiedzieć, że już nigdy go nie zobaczyłam.

Z łomoczącym sercem wycieram dłonie o przód sukienki. Cam obserwuje mnie w milczeniu, wygląda na znudzonego.

– Obiecaj mi, że potem nie będzie dziwnie.

– Cóż, ty oczywiście natychmiast zakochasz się we mnie na zabój, dziołcha, ale na pewno nie będzie dziwnie z mojej strony.

Wywracam oczami, nieco mi ulżyło, kiedy zaczął drwić. Robię krok w jego stronę i zatrzymuję się.

– Masz jakieś choroby weneryczne, które mogłyby zostać przeniesione na mnie przez twoją ślinę?

Wzdycha, po czym zamyka oczy.

– Tylko się upewniam.

– Nie, ty tylko jesteś tchórzem.

– Nie jestem tchórzem!

Jego pełen niedowierzania wzrok rzuca mi wyzwanie i teraz czuję się zmobilizowana. Prostuję ramiona i unoszę podbródek.

– W porządku. Robimy to. Jeśli zaczniesz mnie obmacywać, rozwalę ci czaszkę.

Jego długi wydech przypomina ten, kiedy poirytowany rodzic musi radzić sobie z rozwrzeszczanym dzieckiem.

Robię kilka kroków i staję tuż przed nim. W szpilkach jestem osiem centymetrów wyższa, a on trochę niższy, bo opiera się o blat z rozstawionymi nogami, ale wciąż muszę odchylić głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Masz złote plamki w oczach – wypalam.

Śmieje się.

– Może powinnaś napisać sonet o mojej urodzie.

Uderzam go w ramię.

– Zamknij się.

– No dalej dziołcha, robisz z tego za duże zamieszanie. Po prostu zrób to. Nie mam całej nocy.

Patrzę na niego wilkiem.

– Przepraszam, że zajmuję tyle twojego cennego czasu, pozerze!

– Wybaczam. A teraz przyklej się do mnie, żebym mógł dać ci kilka przydatnych rad przed twoją wyprawą do krainy Pana Idealnego.

Niesamowicie zdenerwowana, wypuszczam powietrze, motywując się mentalnie.

– Dobrze, ale… Kiedy będziesz dawał mi te rady, proszę, bądź delikatny.

Brwi Cama powoli się unoszą, a na moje policzki robią się gorące.

– Nie jestem zbyt utalentowana w tej dziedzinie. Ostatniemu facetowi, z którym się całowałam, pozostały po tym trwałe, emocjonalne blizny.

Jego głos jest łagodny, gdy odpowiada.

– Obiecuję, że będę miły.

Dobrze, Joellen. Bądź dzielna. Przecież to nie tak, że któremukolwiek z was będzie się to podobać. To czysto edukacyjna sprawa. I broń Boże, żebyś to schrzaniła, jeśli Michael kiedykolwiek znowu spróbuje cię pocałować.

– Zamknij oczy.

Cam posłusznie wykonuje polecenie. Na jego ustach pojawia się słaby uśmiech, co jest zachęcające, bo uznaję to za dowód tego, że bawi go całe to ćwiczenie.

Dłonie mi drżą, biorę głęboki wdech, pochylam się, a następnie przyciskam wargi do jego ust.

Są zadziwiająco miękkie. Zaskakuje mnie też, ile ciepła bije od jego ciała. Jest tak gorący, że mogłabym uznać, iż ma temperaturę. Pachnie czystą skórą, męskością i czymś nie do zidentyfikowania, czymś mrocznym i ziemistym, tajemniczym i magicznym, jak nocny spacer po lesie.

Przepyszne.

Odrywam się z westchnięciem, a potem stoję tak, mrugając, a moje serce pędzi z prędkością miliona kilometrów na godzinę.

Cam otwiera oczy, marszcząc brwi.

– I to już?

– Tak! – krzyczę na skraju amoku. – Czemu? Było aż tak źle?

– Nie, było całkiem w porządku, dziołcha. Gdybym był twoją babcią.

Jego wargi wykrzywiają się ku górze i zaczynam rozumieć, że on się ze mnie śmieje.

– O mój Boże, jesteś niemożliwy.

Odwracam się, ale chwyta mnie za rękę i delikatnie ciągnie z powrotem.

– Byłaś zdenerwowana, dziołcha. To była dobra pierwsza próba, nie ma się czego wstydzić. Ale jeśli mógłbym coś zasugerować…

Staję przez nim, trzęsąc się z zażenowania, a policzki mam tak gorące, że aż błyszczą.

– Co?

– Nie wstrzymuj oddechu.

– Och. Robiłam tak?

Cam przytakuje.

– Po prostu spróbuj się rozluźnić. I… – Jego pauza mnie przeraża. – Do prawdziwego pocałunku potrzebny jest język.

Robię grymas.

– Będąc absolutnie szczerą, obawiam się, że mój język ma swój własny rozum. Może okazać się, że będziesz walczył z nim o życie.

Próbuje powstrzymać śmiech, który wstrząsa jego klatką piersiową, przykładając dłoń do ust, ale na nic się to nie zdaje.

– To nie jest śmieszne!

– To przekomiczne i dobrze o tym wiesz!

Patrzę w jego roziskrzone oczy i muszę przyznać, że ma rację. Jęczę.

– O Boże. Jestem taka żałosna.

Śmiech Cama znika natychmiastowo.

– Nie, do cholery, nie jesteś – warczy, a jego oczy błyszczą. – A teraz pocałuj mnie znowu, zanim zmienię zdanie i przełożę cię przez kolano za bycie taką cholerną kretynką.

Przyglądam się przez chwilę jego twarzy, zastanawiając się, dlaczego tak się wścieka, kiedy mówię tego typu rzeczy, ale potem stwierdzam, że to nie ma znaczenia.

Liczy się tylko Michael. Więc zróbmy to.

Staję między nogami Cama, zdejmuję okulary i odkładam je na blat obok niego, a potem opieram dłonie na jego piersi i, z ostatnim wydechem, przyciskam usta do jego warg.

PIĘTNAŚCIE

Jeśli myślałam, że Cameron McGregor smakował dobrze z zamkniętymi ustami, to kiedy jego wargi się rozchylają, a mój język dotyka jego, staje się najbardziej soczystą, zachwycającą feerią smaków.

Jego usta są słodkie, gorące i miękkie. Naciska nieco mocniej, lekko ssąc mój język, a z jego gardła wydobywa się niski dźwięk.

Ten dźwięk – w połączeniu ze smakiem jego ust i gorącem przyciśniętego do mnie twardego ciała – wysyła moimi żyłami prąd rozkoszy.

– Och! – podskakuję zaskoczona, po czym się odsuwam. Staję przed nim z szeroko otwartymi oczami, serce wali mi jak oszalałe, a w głowie kłębią się niebezpieczne myśli niczym wściekłe węże.

Oczy Cama otwierają się powoli.

– Spokojnie, dziołcha – mówi łagodnie, przyciągając mnie z powrotem do siebie. – Jeszcze nie skończyliśmy.

Zanim zdążę zdecydować, czy chcę to ciągnąć, on decyduje za nas oboje, ponownie atakując moje usta i wsuwając między nie język.

Kurczę, on naprawdę jest dobrym przyjacielem.

– Myśl o pięknisiu – szepcze, kiedy stoję tam sztywna jak kłoda, czując się niezręcznie, bo ten mały eksperyment podoba mi się troszeczkę za bardzo. – Wyobraź sobie, że jestem nim. Wyobraź sobie, że to jego usta dotykają twoich. Jego ciało przyciska się do twojego. Jego palce wplatają ci się we włosy.

Palce Cama są w moich włosach. Kiedy do tego doszło?

Z lekkim przerażeniem odkrywam, że nic a nic mnie to nie obchodzi, bo za bardzo mi się podoba. Przytrzymuje moją głowę w miejscu, zaciskając pięść na karku, a cała ta sytuacja jest tak obezwładniająco erotyczna, że mój umysł zaczyna wariować. Przyciskam się do niego, desperacko nabierając powietrza przez nos.

O Boże. O to. O tak, to. Zrób tak jeszcze raz. Jesteś geniuszem. Moje sutki mogłyby ciąć szkło.

Jest taki duży, twardy i gorący jak piec, ale jego usta to najdelikatniejsza rzecz na świecie. Są jak chmura. Słodka, pyszna chmurka, która upośledza moje myśli i sprawia, że moje jajniki zaczynają produkować taką ilość jajeczek, że z pewnością mogłabym przygotować omlety w hotelowej restauracji dla wszystkich gości.

Jakimś sposobem moje ręce znalazły się na jego ramionach. Jakimś sposobem jego ręce oplatają moją talię niczym żelazna obręcz. Jakimś sposobem zaczęłam wydawać z siebie desperackie odgłosy kotki w rui i ocieram się o jego ciało.

Jakimś sposobem on wydaje z siebie wilcze warknięcia, również się o mnie ocierając.

Dzwoni dzwonek do drzwi.

Odskakujemy od siebie, jakby ktoś przyłapał nas na obmyślaniu spisku obalenia rządu, po czym wpatrujemy się w siebie.

– Ktoś jest przy drzwiach. – Mój głos brzmi tak, jakbym połknęła ropuchę.

– Otworzysz? – Jego głos brzmi, jakby przełknął garść żwiru.

Oddycham świszcząco jak astmatyk.

– To może być coś ważnego. – Wzrok Cama zsuwa się na moje usta, a potem wraca do oczu. Żar w jego spojrzeniu prawie zamienia mnie w popiół.

– Ważniejsze niż to?

Hola. Czy to było trzęsienie ziemi? Nie, przecież na Manhattanie ich nie ma. Więc dlaczego podłoga się rusza?

Ktoś z irytacją dzwoni jeszcze dwa razy. Wyrywa mnie spod działania tego dziwnego zaklęcia, więc jestem w stanie odsunąć się od Cama i nabrać powietrza, zanim rzucę się na niego z powrotem, błagając, by zrobił ze mną niegrzeczne rzeczy.

Ciekawe, czy on też jest oszołomiony?

Biorę okulary, a następnie ruszam do drzwi krokiem sztywnym jak zombie. Kiedy je otwieram, stoi w nich pani Dinwiddle w królewskiej, błękitnej szacie z pawimi piórami przy lamówce u dołu oraz przy rękawach. W jednej dłoni trzyma martini, a w drugiej niezapalony

papieros w długim, czarnym uchwycie. Jej turkusowa opaska wyszywana cekinami mieni się, kiedy kobieta porusza głową.

Jestem zbyt osłupiała, żeby tracić czas na bezsensowne gadki.

– Od kiedy pani pali, pani Dinwiddle?

– Dobry *Boże*, Kaczuszko, nie *palę*!

Patrzę znacząco na papierosa w jej dłoni.

Macha nim jak Hermiona rzucająca zaklęcie.

– Och, to! Czyż nie jest *eleganckie*? Znalazłam to w *kufrze* wczoraj po południu, schowane z tyłu szafy, razem z moimi kostiumami *scenicznymi*. Wysłałam Blessicę do *sklepu* po paczkę *papierosów*, bo bez nich wyglądało dość *smutno*. Kaczuszko, *wiedziałaś*, że paczka papierosów kosztuje *trzynaście* dolarów? *Szokujące*!

Nie wygląda na zszokowaną. Jest raczej wstawiona. Zastanawiam się, które to dzisiaj martini.

– W czym mogę pomóc, pani Dinwiddle?

Przepływa obok mnie do mieszkania na chmurze Chanel N°5, rozsypując wkoło pawie pióra. Pan Bingley doskakuje i zaczyna machać na nie łapą, poruszając ogonem z ekscytacją.

– Przyszła mi do głowy *myśl*, moja droga, skoro już rozpoczęłaś swój program samodoskonalenia.

Zamykam za nią drzwi.

– Kto pani powiedział, że zaczęłam program samodoskonalenia?

Odwraca się na pięcie, podbródek uniesiony w królewskim geście, lufkę wraz z niedorzecznym, niezapalonym papierosem trzyma przed sobą. Kot skacze wokół brzegu jej szaty z obłędem w oczach.

– *Cameron*, moja droga. – Zauważa go opartego o blat w kuchni. – Och! Witaj, Cameron!

– Dzień dobry, pani Dinwiddle.

Mruży oczy, patrząc na niego.

– Wszystko w porządku, mój drogi? Twoja twarz wygląda zabawnie.

W tym samym momencie Cam i ja mówimy:

– To gazy.

Nasze spojrzenia się spotykają. Pierwsza odwracam wzrok, bo nie wiem, co może wyrażać moja twarz.

– Mam coś na to, mój drogi. Powiem, żeby Blessica *przyniosła* to wraz z moim zestawem do makijażu.

– Zestaw do makijażu? – Mam co do tego złe przeczucia.

– Zafundujemy ci *przemianę*! – woła z radością, ale potem przechodzi do rzeczy. – Teraz, kiedy Michael się *rozwodzi*, musimy działać *szybko*. I wybacz mi, Kaczuszko, ale pomyślałam, że możesz potrzebować profesjonalnej *pomocy* przy włosach i makijażu. Jest piątek wieczór, więc mamy *mnóstwo* czasu, żeby poeksperymentować z twoim *wyglądem*.

W mojej głowie formuje się przerażająca wizja mnie po przemianie, ze szkarłatnymi ustami, ciężkim, niebieskim cieniem na powiekach, wielkimi rumieńcami domalowanymi na policzkach i sztucznymi rzęsami tak długimi, że przy mruganiu wywołują instynkt łowiecki Pana Bingleya.

– Mm. To naprawdę miło z pani strony, pani Dinwiddle, ale nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

– Phi! Co za bzdury! – Macha ręką w powietrzu. Cekiny na jej opasce migoczą szaleńczo. – To *kapitalny* pomysł! Nie sądzisz, Cameron?

– Jasne. Chcemy, żeby wyglądała jak najlepiej dla Michaela, prawda?

Jego ton jest swobodny, ale szczękę ma zaciśniętą, a plecy sztywne. *Czy on ze mnie drwi?*

Pani Dinwiddle czuje się zrehabilitowana.

– *Dokładnie!*

– Cóż, w porządku. Jeśli Cam uważa, że to dobry pomysł. – Nie chciałam, żeby to zabrzmiało jak wyzwanie, ale tak właśnie się stało, więc pani Dinwiddle jest kompletnie oszołomiona. Patrzy raz na mnie, raz na niego.

– A dlaczego *nie* miałby tak uważać, Kaczuszko?

Cam i ja patrzymy po sobie. Nagłe napięcie jest nieznośne. Jestem zdezorientowana i chcę tylko, żeby wszystko było tak, jak przed tym głupim pocałunkiem. Tym niesamowitym, rozkosznym, głupim pocałunkiem.

Zostawcie to mnie, a na pewno wszystko schrzanię.

– W zasadzie, właśnie miałam robić kolację, pani Dinwiddle…

– Nie – Cam przerywa gwałtownie, odsuwając się od blatu. – Wy, dziewczyny, bawcie się dobrze. Ja mam sprawy do załatwienia.

Jego ton brzmi jak „Mam lepsze rzeczy do roboty” i teraz czuję się niedorzecznie zraniona.

Cam bez słowa wychodzi z kuchni, a następnie otwiera drzwi wejściowe i znika za nimi. Po kilku sekundach słychać trzaśnięcie, a potem jego zapomniany przez Boga rap zaczyna huczeć z pełną mocą, niczym wielki muzyczny środkowy palec wycelowany prosto w moją twarz.

Z kotem goniącym pióra pani Dinwiddle podchodzi do drzwi, po czym spokojnie je zamyka. Wychyla swoje martini, a następnie odwraca się do mnie z tajemniczym uśmiechem.

– *Zignoruj* go, Kaczuszko. Mężczyźni są jak *dzieci*.

– Niektórzy są bardziej jak młodociani przestępcy – mamroczę.

Jej uśmiech staje się szerszy.

– A teraz, skoro czekamy na *Blessicę*, przejrzyjmy twoją *garderob*ę, dobrze?

***

Wieczór był prawie tak przyjemny, jak gdyby wyrywano mi paznokcie i miażdżono palce u nóg młotkiem.

Zanim Blessica pojawiła się z zestawem do malowania i kolejnym martini dla pani Dinwiddle, dążyłam dokończyć już butelkę wina, patrząc przy tym na szok i przerażenie starszej pani wywołane przez zawartość mojej szafy. Sposób, w jaki to przeżywała, mógłby sugerować, że natknęła się na zbiorową mogiłę. Przerażone okrzyki w stylu „Dobry Boże, co *to* jest?” regularnie dobiegały z wnętrza garderoby wraz ze zdegustowanym cmokaniem i pomrukami.

Z pewnością nie była to strategia na podbudowanie mojej pewności siebie.

Potem przeżyłam niezapomniane doświadczenie, zostając poddana metamorfozie przez osobę, która pochłonęła jakieś pół tuzina kieliszków martini, więc jej ruchy nie należą do najpewniejszych. Klauni mają bardziej atrakcyjny makijaż. O

dziewiątej wieczorem moja twarz wygląda jak test plam atramentowych, a ja jestem pijana i czuję się żałośnie.

Za żadne skarby nie mogę wyrzucić z głowy tego pocałunku.

– Co *sądzisz*, Kaczuszko? – pyta pani Dinwiddle w pewnym momencie, zerkając przez moje ramię na odbicie w lustrze, wydychając opary dżinu prosto w moją twarz.

– Myślę, że jest idealnie. Gdybym grała w sztuce o wojownikach w teatrze kabuki.

W końcu Blessica zaciąga panią Dinwiddle do łóżka, a ja zasypiam w mojej niebieskiej sukience i pełnym makijażu.

Budzi mnie łomotanie do drzwi.

– Au. – W mojej czaszce też ktoś łomocze. Podnoszę rękę do głowy, krzywiąc się, kiedy dotykam czoła, bo nawet ten delikatny dotyk boli. Zegarek na stoliku nocnym pokazuje pięć minut po piątej. Zastanawiam się, czy coś się stało i ewakuują budynek.

Do łomotania dołącza dzwonek do drzwi. Zrzucam ogon Pana Bingleya z twarzy, po czym próbuję usiąść. Pokój wiruje, a ja z jękiem przyciskam rękę do brzucha.

– Joellen! Jesteś tam? Otwieraj!

O Boże. To Cam. Spóźniłam się na poranne bieganie.

Wolę umrzeć niż biegać.

Zwlekam się z łóżka, walcząc z mdłościami, po czym wytaczam się boso z sypialni. Kiedy kot zaczyna miauczeć, domagając się śniadania, czuję się, jakby ktoś wbijał mi w czaszkę metalowe pręty. Muszę użyć całej swojej siły, żeby otworzyć drzwi.

Cam odsuwa się, kiedy mnie widzi.

– Słodka Mario! Co ci się, u diabła, stało?

– Pani Dinwiddle mi się stała – burczę.

– Przegrałaś zakład?

– Ha. Odejdź, twój głos boli. – Próbuję zamknąć drzwi, ale Cam je popycha, po czym pakuje się do środka, bo jest natrętnym, okropnym wrzodem na moim tyłku.

Wlokę się z dala od niego, machając ręką ponad ramieniem.

– Bądź tak dobry i nakarm kota. Mam kaca. Wracam do łóżka.

– Na jak długo?

– Na zawsze.

– A co z naszymi ćwiczeniami?

Odwracam się, patrząc na niego zaczerwienionymi oczami.

– Gdybyś nie zauważył, nie jestem w stanie wykonywać ćwiczeń, pozerze.

Analizuje mój wygląd, walcząc ze śmiechem.

– Coś w tym jest. Pozwolenie ci na wyjście w miejsce publiczne mogłoby być niebezpieczne. Wystraszyłabyś dzieci.

Nie mogę czuć się urażona, bo to zasadne stwierdzenie.

– Jedzenie dla kota jest w spiżarni na trzeciej półce.

Nie czekając na odpowiedź, idę do sypialni, po czym wpełzam do łóżka.

Słyszę, jak Cam krząta się po kuchni, otwiera i zamyka drzwi szafek, mruczy coś do Pana Bingleya, a potem wchodzi do łazienki i odkręca wodę w zlewie.

– Co robisz? – mamroczę z zamkniętymi oczami, zirytowana jego obecnością.

Brzeg materaca ugina się pod jego ciężarem. Przyciska chłodną, mokrą szmatkę do mojego czoła.

– Pozbywam się tego gówna z twojej twarzy.

Zaczyna delikatnie ścierać makijaż, a ja leżę, zastanawiając się, czy to dziwne, że mi się to podoba.

– Przestań się marszczyć. Wyświadczam ci przysługę, dziołcha. Myślę, że twój biedny kot ma traumę przez oglądanie cię w takim stanie.

– Pani Dinwiddle miała dobre intencje.

– Albo skrycie cię nienawidzi.

Te słowa sprawiają, że się uśmiecham.

– Cieszę się, że nie uważasz tego za korzystniejszą wersję.

Szmatka znika z mojej twarzy, a potem wraca do dzieła pod żuchwą.

– Nie potrzebujesz makijażu.

Parskam, bo to, co mówi, jest absurdalne.

– Z ostatniej chwili: powinieneś pójść do okulisty. Zwykle się nie maluję, ale zdecydowanie powinnam. Moja skóra już u wielu wywołała koszmary.

Westchnienie Cama jest delikatne, ale też zniesmaczone.

– Masz głowę napakowaną bzdurami, dziołcha. Twoja skóra jest piękna.

Piękna? Nie, on nie może mieć tego na myśli. Znowu sobie ze mną pogrywa. Żal mu mnie. To takie żałosne, że musi kłamać, żeby odciągnąć mnie od mojego pożałowania godnego stanu.

Jego głos staje się ostry.

– Zawsze panikujesz, kiedy ktoś mówi ci komplement?

– Nie panikuję.

– Ach nie? Więc czemu się tak spięłaś? A oczy przesuwają się jak szalone pod powiekami? Wyglądasz, jakby ktoś poddawał cię wstrząsom elektrycznym.

Wraca do łazienki i znowu odkręca wodę, pozostawiając mnie odkrytą i bezbronną na łóżku.

Nikt nigdy nie powiedział mi, że mam piękną skórę. Nikt nigdy nie powiedział mi, że mam piękne cokolwiek. Cóż, jest doktor Sternberg, mój dentysta, który zawsze powtarza, jakie mam szczęście, że posiadam tak naturalnie proste zęby, ale na tym samym wydechu zawsze sugeruje jakiś produkt na wybielanie, więc to nie może się liczyć.

Kiedy materac znowu się ugina, uchylam jedno oko i patrzę na Cama.

– Naprawdę uważasz, że mam piękną skórę?

Robi minę, jakbym była kretynką. Cholerną kretynką. Zapewne tak by powiedział.

– Nie masz nawet porów.

– Ale jestem taka blada.

– Ha! Chcesz zobaczyć bladych ludzi, przyjedź do Szkocji.

– Och. To wszystko wyjaśnia.

Patrzy na mnie z rezerwą.

– Nie wiem, jaka bezrozumna bzdura zaraz opuści twoje usta, dziołcha, ale pozwól mi coś powiedzieć. Twoja skóra nie jest jedyną piękną rzeczą w tobie. Gdybyś nie była takim głupolem, zobaczyłabyś, jakim cudownym ptakiem jesteś.

Otwieram drugie oko i wpatruję się w niego, żałując, że nie ma tu kogoś, kto mógłby mi to wytłumaczyć.

– Mm… dzięki?

– Zamknij oczy – żąda. Wygląda na zirytowanego. – Muszę pozbyć się tego paskudztwa z twoich rzęs.

– Chyba właśnie je zerwałeś. Bądź ostrożny, był tam zaangażowany klej.

– Jezu – mamrocze. Brzmi to trochę jak „Jeesssuuu" i sprawia, że zaczynam chichotać. Cam ostrożnie ściąga mi sztuczne rzęsy, wydając przy tym odgłosy obrzydzenia. Kiedy kończy i jest zadowolony, że zmył większość paskudnego podkładu z mojej twarzy, mówi:

– Nic nie jadłaś wczoraj wieczorem, prawda?

Odwracam się od niego, a następnie zatapiam twarz w poduszce.

Jego potężne westchnienie rozwiewa mi włosy.

– W porządku, dziołcha. Zrobię ci coś do picia, a potem pozwolę pospać.

Wstaje i wychodzi. Nie wiem, jak długo go nie ma, bo odpływam w sen, ale wtedy wraca, delikatnie potrząsając mnie za ramię. Przekręcam się i odkrywam, że trzyma w dłoni szklankę z trująco wyglądającym, bursztynowym płynem.

– Co to? – pytam półprzytomnie.

– Lekarstwo na kaca domowej roboty. Wypij wszystko, prześpij się kilka godzin i wstaniesz rześka jak skowronek.

Podnoszę rękę, biorę szklankę, po czym wypijam, kaszląc na koniec, bo jest tak wstrętne, że aż łzawią mi oczy.

– Co to jest, u diabła?

Mruga do mnie.

– Dupny sok. Świeżo wyciskany dziś rano.

Delikatny posmak żółci podchodzi mi do gardła, gorący i kwaśny. Zakrywam usta dłonią.

Cam odrzuca głowę, śmiejąc się. Zabiera szklankę z mojej dłoni, następnie wstaje z łóżka, patrząc na mnie z szerokim uśmiechem.

– Do zobaczenia później, dziołszka. Słodkich snów.

Zasypiam w sekundę, uśmiechnięta.

SZESNAŚCIE

Zielenią, złotem i brązem lśnią,
Z olśniewających kolorów stworzone,
Z błyskiem, śmiechem i mądrością żywą.
Jak niczym jestem nimi poruszona,
Te oczy w twarzy tak wyjątkowej.
Tak wyraźnie są uwodzicielskie
Spojrzenie wprost ze snu cudownego
Z błyskiem jak u gwiazdy jaskrawej.
A rzęsy długie, zakręcone i ciemne
Czarne jak dusza diabła,
Wszystkie moje sprzeciwy daremne,
Kolana mam miękkie jak nowonarodzone źrebię.
Błagam cię, palące Słońce,
To biedne serce przepadnie wkrótce.

Kiedy otwieram oczy, na zewnątrz jest jasno. Umysł mam całkowicie rzeźki. Siadam ostrożnie, bojąc się, że pokój zaraz zacznie wirować, ale wszystko pozostaje stabilne. Ani śladu bólu głowy czy mdłości.

Biegnę do biurka, wyjmuję zeszyt z sonetami, po czym szybko zapisuję w nim słowa, które pojawiły się w mojej głowie.

Kiedy kończę, odczytuję całość na głos, a potem marszczę brwi, patrząc na pierwszą linijkę.

– Powinny być niebieskie. Oczy Michaela są niebieskie. – Wykreślam „zieleń, złoto i brąz", zastępując je „kobaltem, lazurem i szafirem".

Brzmi źle. I niezgrabnie. Za dużo sylab, zbyt ozdobne, po prostu za dużo. Wpisuję oryginalną wersję nad tą, którą wykreśliłam i przyglądam się.

Zielony, złoty i brązowy dają piwny. We śnie skomponowałam sonet o piwnych oczach.

– Dodał coś dziwnego do tego napoju – oskarżam zeszyt.

– Co to?

Zatrzaskuję zeszyt ze zduszonym okrzykiem, bo Cam stoi właśnie w drzwiach mojej sypialni.

– Nic! Co ty tu robisz?

– Oglądam z kotem ESPN[3]. Dlaczego krzyczysz? – Jego wzrok przesuwa się na mój zeszyt z sonetami.

– Nie krzyczę! – krzyczę, a następnie wrzucam zeszyt do górnej szuflady biurka, zatrzaskując ją tak mocno, że cały mebel drży.

– Oho. Wcale nie wyglądasz na winną.

Jego uśmiech jest jak kwas na moje nerwy. Zrywam się z krzesła, przygładzam włosy i próbuję się pozbierać.

– Myślałam, że wyszedłeś.

– Źle myślałaś.

Nadal wpatruje się w szufladę, w której schowałam zeszyt z sonetami, więc staję przed nią i zakładam ręce na piersi. Zerka na mnie, jego uśmiech staje się szerszy.

– Dobra, odpuszczę. Na razie. Jak się spało?

– W porządku. W zasadzie wspaniale. Nie powinnam czuć się tak dobrze po tej ilości wina. Co było w tym eliksirze?

– To tajemnica. Mógłbym ci powiedzieć, ale wtedy musiałbym cię zabić.

Kiedy stoję tylko, wpatrując się w niego, odpuszcza.

– Imbir, surowy miód, siemię lniane, płatki czerwonej papryki, sok z cytryny, witamina B i inne. Zmiksowane w blenderze w minutę.

– Niezły z ciebie mistrz blendera, co?

– To był przepis mojej mamy. Jak wszystkie pozostałe. – Cień smutku przemyka przez jego twarz. Odwraca wzrok, przestępując z nogi na nogę.

– Która godzina? – pytam, żeby zmienić jawnie niewygodny temat.

Przeczesuje włosy palcami, następnie potrząsa głową, jakby chciał pozbyć się złego wspomnienia.

– Dziesiąta. Masz jakieś plany na dzisiaj?

– Nie.

– Dobrze. Idziemy na zakupy. – Odwraca się, po czym znika, a ja zaczynam się martwić.

– Zakupy? – Podążam za nim do salonu. – Kupiliśmy wystarczająco dużo jedzenia na miesiąc…

– Nie po jedzenie, dziołcha. Idziemy po sukienkę na świąteczną imprezę. – Kiedy mrugam zaskoczona, wzrusza ramionami. – Chyba że nie chcesz męskiej opinii w tej kwestii. Jestem pewien, że cokolwiek wybierzesz, będzie ładne.

Myślę o tym, co włożyłam na ostatnią świąteczną imprezę i wzdrygam się. Myślałam, że żabot skutecznie ukryje obwód mojego pasa, ale na zdjęciach wyglądałam jak szalony pirat, który połknął całą załogę.

– To znaczy, jeśli nie masz nic lepszego do roboty, byłoby świetnie.

Jego oczy – cholerne, piwne oczy – prześwietlają mnie na wylot.

– Nie mam nic lepszego do roboty.

Teraz czuję się onieśmielona. Do tego dziwnie winna i zawstydzona, jakby przyłapał mnie na masturbowaniu się czy coś.

– Mm. Dobrze. Muszę wziąć prysznic.

– Pójdę się przebrać. Ile czasu potrzebujesz?

– Dwadzieścia minut.

– Tylko tyle?

– Dlaczego wydajesz się taki zaskoczony?

– Po prostu z mojego doświadczenia wynika, że kobiety zwykle potrzebują dużo więcej czasu, żeby się przygotować.

Jasne. Z jego doświadczenia z kobietami, które, gdyby przelać je na kartki, zapełniłoby jakieś siedem tysięcy pornograficznych tomów.

Przyglądając się mojej twarzy, Cam oznajmia:

– Znowu masz ten wyraz twarzy, jakby męczyły cię gazy, skarbie.

– Zapukam do ciebie, kiedy będę gotowa. – Obrzucam go gniewnym spojrzeniem, po czym wracam do sypialni, zamykając za sobą drzwi, i odsuwam od siebie ciekawość co do powodu mojej nagłej złości.

To na pewno dlatego, że nazwał mnie skarbem.

Kretyn.

***

Jeśli myślałam, że zakupy spożywcze z Cameronem McGregorem były lekcją zbiorowego pożądania wśród kobiet, to pójście z nim do centrum handlowego pełnego ludzi robiących świąteczne zakupy okazuje się lekcją zbiorowego pożądania całej ludzkiej rasy.

Wszyscy się na niego gapią. Wszyscy. Kobiety, mężczyźni, dzieci, psy. Głowy odwracają się w jego stronę jak wiatrowskazy w wietrzny dzień. Szczęki opadają. Ludzie zatrzymują się i gapią.

To takie przerażające, że po kilku godzinach mam ochotę wyskoczyć z własnej skóry.

– Boże, jak ty to znosisz? – pytam po cichu, przybliżając się do niego, kiedy w naszą stronę zmierzają dwie kobiety z wybałuszonymi oczami. Od dobrych dwudziestu minut krążą wokół nas jak sępy. Szepcząc do siebie, podążają za nami od wieszaka do wieszaka w dziale z sukienkami Saks.

– Co znoszę? – pyta Cam, przeszukując wieszaki z miną eksperta. Co jakiś czas wyciąga jakieś ubranie, a potem odwiesza po krótkich oględzinach i przechodzi dalej. Widocznie ma w głowie konkretnie sprecyzowane, czego szuka.

– To pożeranie cię wzrokiem. – Szturcham go łokciem.

Podnosi wzrok, zauważając kobiety. Kiedy uśmiecha się do nich, zamierają. Potem robią komiczny w tył zwrot i oddalają się, chichocząc histerycznie jak para nastolatek, chociaż widać, że obie są po pięćdziesiątce.

– Już tego praktycznie nie zauważam – mówi, wzruszając ramionami, a potem zdejmuje z wieszaka czerwoną sukienkę i warczy z zadowoleniem. – Ta. – Rzuca nią we mnie, po czym rusza dalej.

Przekładam sukienkę przez ramię, patrząc, jak kontynuuje swoją misję.

– A tak na serio, to musi być irytujące! Nie przeszkadza ci ilość uwagi, jaką przykuwasz?

– Wszystko to jest w pakiecie, dziołcha. Taka rzadka, nadzwyczajna uroda ma swoją cenę. – Mruga do mnie, a ja wywracam oczami.

– Boże, cieszę się, że nie jestem piękna. Zostałabym pustelniczką, gdybym musiała znosić coś takiego za każdym razem, kiedy gdzieś

wyjdę.

Dotykam dekolt sukienki, którą mam na ramieniu i nagle wpadam prosto na Cama, ponieważ niespodziewanie się zatrzymał. Zaskoczona, patrzę w parę piwnych oczu, intensywnych i nieruchomych.

– Jedynym powodem, dla którego nie musisz tego znosić, jest fakt, że tego nie zauważasz – mówi ściszonym głosem. – A jedynym powodem, dla którego tego nie zauważasz, jest fakt, że twój umysł zafiksował się na myśleniu, że jesteś gruba i brzydka.

Moje wargi rozchylają się, ale jestem zbyt zszokowana, żeby sformułować zdanie. Kiedy zdaje sobie sprawę, że nic nie powiem, kontynuuje.

– Odkąd weszliśmy do sklepu, zauważyłem przynajmniej pół tuzina mężczyzn, którzy patrzyli na ciebie. Tak, na ciebie – powtarza, kiedy już zaczynam protestować. – Jeśli chcesz przykład tego, o czym mówię, popatrz w prawo. Na trzeciej. Koleś w skórzanej kurtce i czerwonym szaliku. Patrz.

Podnosi wzrok, a ja podążam za jego spojrzeniem. Rzeczywiście, po drugiej stronie stoi facet w skórzanej kurtce, z czerwonym szalikiem i patrzy prosto na mnie. Wysoki z fajnymi włosami i miłą twarzą. W zasadzie całkiem uroczy.

Kiedy zauważa, że oboje na niego patrzymy, odwraca wzrok, a jego policzki pąsowieją. Nagle zaczyna udawać, że wybiera coś ze sterty poskładanych swetrów.

– To na pewno przez ciebie – mówię zdumiona. – Pławię się w twoim blasku. Jak księżyc, który odbija promienie słoneczne. Gdyby słońce tak jasno nie świeciło, księżyc wyglądałby na niebie jak kupa kamieni.

Cam wzdycha smutno.

– Niech to szlag trafi – mamrocze, po czym rusza do następnego wieszaka. Podążam za nim w bezpiecznej odległości, obserwując, jak narasta w nim wściekłość. Kiedy przeczesuje wieszak, jego wzrok jest mroczny, usta zaciśnięte, a całe ciało najeżone.

Młody mężczyzna w garniturze ze złotą plakietką na klapie wpatruje się z uwielbieniem w Cama zza najbliższego kontuaru, z serduszkami w oczach jak w kreskówce. Kiedy zauważa, że na niego

patrzę, przygryza wargę, a następnie przykłada dłoń do gardła, jakby pytał: „Jasny gwint, dziewczyno, czy ta wielka, majestatyczna bestia jest twoja?”.

Powinnam przedstawić mu Cama. Byliby uroczą parą.

Z uśmiechem zbliżam się do Góry, zamierzając rozwiać chmury burzowe, które zebrały się nad jego głową.

– Nie zauważyłeś, że w moim komentarzu znajdował się ukryty komplement dla ciebie.

Spogląda na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– Nie mów do mnie teraz. Jestem na ciebie zły. – Gwałtownie zrywa sukienkę z wieszaka, przesuwa po niej swoje mroczne spojrzenie, a następnie rzuca w moją stronę. Muszę podbiec kilka kroków, żeby uratować ją przed upadkiem.

– Och, dobrze – mówię, zachowując się zwyczajnie. Tak zwyczajnie, jak to możliwe, kiedy stoi się u podnóża wybuchającego wulkanu. – Więc nie obchodzi cię to, że nazwałam cię pięknym.

Zatrzymuje się, mrużąc oczy.

– Wcale nie.

– Nie? – Przechodzę do następnego wieszaka. Cam depcze mi po piętach, co przewidziałam, że zrobi, bo nie ma nic bardziej zniewalającego dla jego ego niż odwrócenie się do niego plecami.

– Kiedy? – żąda, przerywając mi, gdy sięgam po świecącą, srebrną marynarkę.

– Użyj tego swojego wielkiego mózgu i pomyśl. – Obchodzę go wkoło, podziwiając rękaw marynarki, ale potem stwierdzam, że wyglądałabym w niej jak kula dyskotekowa, więc odpuszczam.

Cam znowu staje przede mną.

– Powiedziałaś, że cieszysz się, że nie jesteś piękna. Jak to może być komplement dla mnie?

– Bo sugeruje, że ty jesteś.

Zaciska wargi, zerkając na mnie z ukosa.

– Nie. Zaprzeczenie się nie liczy. Nie mogę udowodnić negacji.

To oczywiste, co chce, żebym powiedziała, ale wiem, że jeśli powiem mu, że jest piękny, nigdy nie da mi o tym zapomnieć. Do tego budynek mógłby eksplodować, gdyby jego ego zrobiło się

jeszcze większe, więc tylko wzruszam ramionami i znowu się oddalam.

Cam zaskakuje mnie, chwytając za ramię i delikatnie przyciągając do swojej piersi.

– Czyli chciałaś powiedzieć, że uważasz mnie za przystojnego?

Staram się odpowiedzieć swobodnym, nonszalanckim tonem, który nie zdradzi nagłego łomotania mojego serca.

– Cóż… nie jesteś taki znowu najgorszy.

Jest poważny i skupiony. Patrzy na mnie, jakby chciał przepalić mnie laserem, nie ma nawet cienia uśmiechu w jego oczach czy na twarzy.

– To pytanie zamknięte, Joellen. Więc tak, czy nie?

Gorąco zaczyna pełznąć w górę mojej szyi.

– Dobrze wiesz, jak wyglądasz, McGregor.

– Nie uniwersalnej wersji piękna, każdemu podoba się co innego, dziołcha. Nie wiem, jak wyglądam w twoich oczach.

Szorstkość jego głosu zaskakuje mnie, zupełnie tak, jak intensywność spojrzenia. *Czy moje przekomarzanie zraniło jego uczucia?*

Aż zapiera mi dech ze wstydu, gdy zdaję sobie sprawę, że za każdym razem, kiedy mówiłam do niego z sarkazmem, on mógł rzeczywiście brać to do siebie. Nie każdy ceni sobie ostry język albo to, że osoba, która go używa, jest zwykle wielkim tchórzem, traktującym sarkazm jako tarczę.

O mój Boże, ale ze mnie franca. Złośliwa, małostkowa franca, która sprawiła człowiekowi przykrość.

Patrząc mu w oczy, mówię cicho:

– Dla mnie wyglądasz jak człowiek, którego nikt nie docenia, którego wszyscy traktują jak rzecz i oceniają tylko po wyglądzie. Widzę troskliwego, wnikliwego i uprzejmego mężczyznę, który ma nadzieję, że nikt tego nie zauważy, bo mogłoby zostać uznane za przejaw słabości. Mężczyznę, który ukrywa swój ból za uśmiechami, topi go, sypiając z kobietami, i z całych sił próbuje zapomnieć o tym, co go rani, ale nie może, bo ma miękkie serce i łatwo go skrzywdzić, ale nikt nigdy nie przyjrzał się na tyle uważnie, żeby to zauważyć.

Na jego twarzy pojawia się wyraz udręki. Jego palce zaciskają się na moim ramieniu. Przełyka ślinę, a mięsień na jego szczęce porusza się.

Nagły trzask i błysk sprawiają, że oboje się odwracamy.

Po drugiej stronie alejki stoi mężczyzna z aparatem. To jeden z tych aparatów z długim obiektywem, jakich używają paparazzi.

Z piersi Cama wydobywa się warkot, tak gwałtowny i zwierzęcy, że włosy stają mi dęba i dostaję gęsiej skórki.

Fotograf też robi w majtki ze strachu. Odwraca się, a następnie pędzi w przeciwnym kierunku, wpadając na ludzi.

Cam rzuca pod nosem serię przekleństw tak ostrych, że mogłyby zedrzeć farbę ze ściany

– Czy to był…

– Tak. Chodź.

Trzymając moje ramię, Cam wyprowadza mnie z alejki przez dział z sukienkami, aż do przymierzalni na tyłach. Stoi tam młoda sprzedawczyni, przydzielając klientom kabiny. Kiedy nas zauważa, jej oczy robią się okrągłe.

– Ona chce przymierzyć ubrania – warczy Cam – a ja muszę porozmawiać z waszym menedżerem.

Żadna z nas nie śmie się sprzeciwić. W obecnym stanie jest zbyt onieśmielający, żeby mu odmówić. Dziewczyna szybko wprowadza mnie do kabiny, gdzie pozostaję sama z drżącymi dłońmi i skręconym żołądkiem, zastanawiając się, co on zamierza.

I co wydarzyłoby się, gdyby fotograf nam nie przerwał.

Czy chciał mnie pocałować?

– Odbija ci, Joellen – szepczę do swojego odbicia w lustrze. Widzę w nim tylko dzikie oczy i zarumienione policzki. Wyglądam jak wystraszony ptak, który zerwał się do lotu. – Weź się w garść. Twoja wyobraźnia znowu wymyka ci się spod kontroli.

Ale nie wyobraziłam sobie tego, kiedy myślałam, że Michael chciał mnie pocałować…

Z poirytowanym jękiem rzucam torebkę na krzesło w rogu, przewieszam sukienki przez poręcz na ścianie, po czym zrywam z siebie płaszcz. Długo mocuję się z ubraniami, żeby je z siebie

ściągnąć, tak jestem zdenerwowana, więc zanim staję tam w samej bieliźnie, nie mogę złapać tchu.

– Głupia – mamroczę, zdejmując czerwoną sukienkę z wieszaka. – Głupia, głupia, głupia. Jeden facet okazuje ci trochę zainteresowania i zaraz myślisz, że wszyscy cię pragną. Cam nie zamierzał cię pocałować! I pewnie zapłacił temu facetowi w skórzanej kurtce, żeby się na ciebie gapił, ponieważ jest miły!

Odpinam suwak z boku sukienki, po czym zakładam ją, zauważając z roztargnieniem, że jest idealnie w moim rozmiarze. Miał fart.

– Bądź wdzięczna, że ten biedak ci pomaga, na litość boską, i przestań zachowywać się jak głupek!

Wkładam ręce w rękawy sukienki, układam piersi na miejsce, potem zapinam suwak i z sapnięciem prostuję się, by przejrzeć się w lustrze.

– Och. – Właściwie to wszystko, co przychodzi mi do głowy.

Powoli obracam się w lewo, potem w prawo. Tej sukienki nigdy nie wybrałabym dla siebie, ale – jakimś cudem – pasuje do mojej figury. Ona wielbi moją figurę.

Gorset jest wycięty w niskie V, ukazując sporo dekoltu. Przy talii materiał jest zmarszczony z jednej strony, spięty maleńką, świecącą broszką. Krój jest obcisły, ale wyszczuplający. Jest tak dobrze wycięta, że nie ma żadnych luk ani fałdek, żadnych szpetnych wypukłości, po prostu dużo udrapowanego, szkarłatnego materiału, który faluje atrakcyjnie przy każdym moim ruchu.

Nawet kolor jest twarzowy. Sprawia, że moja blada skóra wygląda bardziej świetliście, moje mysie włosy zyskują cieplejszą barwę, a zielone oczy nabierają tajemniczego blasku.

– Zdecydowanie powinnaś częściej chodzić w czerwonym – mówię do swojego odbicia, które zgadza się entuzjastycznym skinieniem.

Słyszę delikatne pukanie do drzwi kabiny.

– Wszystko w porządku, proszę pani? Może podać inny rozmiar?

Lekko uchylam drzwi i ostrożnie wyglądam na zewnątrz.

– Mm, macie może jakieś szpilki, które mogłabym do tego przymierzyć?

Sprzedawczyni mierzy mnie wzrokiem z góry do dołu.

– Wow, wygląda jak szyta na panią! Jaki rozmiar buta?

Odpowiadam, a ona znika. Po niecałej minucie wraca, niosąc parę złotych sandałków na szpilce.

– Złamię w nich nogę – mówię z powątpiewaniem, zauważając wysokość obcasów.

– Jak szaleć to szaleć, nawet jeśli można się przy tym połamać. Oczywiście metaforycznie.

Ma rację, coś w tym jest. Zdejmuję buty i skarpetki, wkładam stopy w szpilki, a wtedy ponownie oceniam swoje odbicie. Następnie zdejmuję gumkę z włosów, po czym przeczesuję je palcami, żeby spływały mi na ramiona i plecy.

– Pani chłopak będzie zachwycony – mówi sprzedawczyni z szerokim uśmiechem.

– Och, on nie jest moim…

Ale ona wyciąga mnie z przymierzalni, bez wątpienia już myśląc o prowizji, którą dostanie, jeśli przekona nas do kupna tej sukienki.

Cam stoi tuż przed wejściem do przymierzalni, plecami do nas, ręce ma założone na piersi.

Kiedy sprzedawczyni woła:

– Oto ona! – Cam odwraca się przez ramię. Aż odskakuje, z szeroko otwartymi oczami i opuszczoną szczęką.

Wodzi wzrokiem w górę i w dół mojego ciała, a następnie mówi słabym głosem:

– Jasna cholera. – Po czym opada na najbliższe krzesło.

SIEDEMNAŚCIE

W pierwszym odruchu chcę zakryć się rękami. Cokolwiek wywołuje ten zdumiony wyraz jego twarzy, musi być naprawdę straszne. Ale potem dociera do mnie, że jego twarz nie wyraża obrzydzenia.

– Jest… w porządku?

Jego mrugnięcie wydaje się trwać nienaturalnie długo. Odchrząkuje, a następnie rzuca tylko krótkie:

– Tak.

– Tak? I tyle? – Spoglądam w dół, już żałując, że założyłam te szpilki. *Może wyglądam zdzirowato. Może pokazuję za dużo cycków. O Boże, może myliłam się co do koloru…*

– Joellen.

Ostry ton Cama wyrywa mnie z moich myśli, przywracając do rzeczywistości.

– Hmm? – Wpatruję się w niego, wykręcając ręce.

Utrzymuje moje spojrzenie, po czym powoli i łagodnie, akcentując każde słowo, mówi:

– Wyglądasz. Seksownie. Jak. Cholera.

Moja twarz obleka się szkarłatem. Zawstydzona patrzę w podłogę, podczas gdy sprzedawczyni klaszcze radośnie, piszcząc z podniecenia.

– Prawda? Powiedziałam to samo! To znaczy, nie dokładnie to samo – śmieje się, brzmiąc przy tym jak ryczący osioł – ale wiedzą państwo, co mam na myśli. Wygląda fantastycznie!

Zerkam na Cama spod rzęs. Zacisnął palce na podłokietnikach z taką siłą, że zbielały mu knykcie.

To bardzo dezorientujące.

– Więc… mm… myślisz, że Michaelowi się spodoba?

W chwili, gdy wypowiadam imię Michaela, radosny pisk sprzedawczyni umiera nagłą śmiercią. Spogląda na Cama, a potem

wycofuje się naprędce, widząc chmury burzowe, które zbierają się nad jego głową.

– Muszę państwa przeprosić, ktoś potrzebuje mojej pomocy…

I już jej nie ma. Po chwili nieznośnej ciszy, Cam mówi głosem bez wyrazu:

– Tak, spodoba mu się.

– Znowu jesteś zły?

– Nie bądź niemądra, dziołcha. Dlaczego miałbym być zły?

Wpatruje się we mnie, szczękę ma zaciśniętą, brwi opuszczone, wygląda, jakby miał za chwilę wybuchnąć.

– Po prostu… wyglądasz, jakbyś był trochę zły.

Zaciska zęby, po czym bierze długi, powolny wdech przez nos.

– Nie. Jestem. Do. Cholery, Zły.

O kurczę. Jest mega zły. Lepiej pójdę się przebrać. Bez słowa odwracam się, a następnie czmycham do przymierzalni, gdzie zamykam za sobą drzwi i opadam na krzesło, dokładnie na moją torebkę.

Siedzę tam przez minutę, próbując zrozumieć, co tu dokładnie zaszło, kiedy słyszę cichy głos Cama za drzwiami.

– Dziołcha.

– Tak?

– Przymierz jeszcze tę czarną.

Przygryzam paznokieć.

– Może powinniśmy po prostu iść…

– Przymierz jeszcze tę czarną, kobieto! – warczy. Jego kroki oddalają się.

– Nie będziesz mną rządził – mruczę, obrzucając morderczym spojrzeniem drzwi.

Z przymierzalni obok dobiega mnie kobiecy głos.

– Ja z chęcią pozwoliłabym, żeby mną rządził!

Wzdycham, porzucając nadzieję zrozumienia czegokolwiek. Potem przebieram się z czerwonej sukienki w czarną i znowu przedstawiam się do inspekcji.

Wystukując powolny rytm palcem o podłokietnik, Cam powoli lustruje moją figurę. Jego oczy przesuwają się po każdym

centymetrze mojego ciała, każdej krągłości i wypukłości. To takie zawstydzające, że zakrywam twarz dłońmi.

– Przestań się ukrywać, dziołcha. Nie masz dziesięciu lat.

– Uch.

– Spójrz na mnie.

Zbieram całą odwagę i patrzę na niego, ale nadal się wiercę.

– Co się dzieje?

– Sprawiasz, że czuję się skrępowana.

– Dlaczego?

– Bo wyglądasz, jakbyś zaraz miał zwymiotować!

Wpatruje się we mnie długo w przeszywającej, okropnej ciszy. Jego oczy są ciemne, brwi zsunięte razem, a ten spastyczny mięsień w jego szczęce podskakuje jak oszalały.

– Dziołcha.

– Co?

– Twoja wiedza o mężczyznach nie wypełniłaby nawet łyżeczki.

Zakładam ręce na piersi, po czym wpatruję się w niego, podnosząc podbródek w udawanym pokazie odwagi.

– Nie wiem, co to miało znaczyć.

Ściska nasadę nosa, a następnie ciężko wypuszcza powietrze, zamykając oczy.

– Na miłość wszystkiego, co święte, co za kobieta – mamrocze.

– Przepraszam pana, chciał mnie pan widzieć?

Uśmiechnięty mężczyzna w garniturze staje po mojej prawej, patrząc wyczekująco na Cama. Sprzedawczyni czai się kilka kroków za nim.

Cam wstaje.

– Tak. Porozmawiajmy tam.

Odchodzą, a ja wbiegam z powrotem do przymierzalni, prawie łamiąc kostkę po drodze, kiedy potykam się o niewidzialne zagięcie dywanu.

Nie – przypomina mi mój mózg – *to tylko twoje wielkie stopy*.

Teraz pamiętam, dlaczego nienawidzę zakupów.

***

W taksówce w drodze do domu Cam jest milczący. Kilka razy próbuję zagaić rozmowę, ale kiedy odpowiada tylko półsłówkami, odpuszczam i skupiam się na patrzeniu przez okno.

Ostatecznie kupiłam czerwoną sukienkę. Leży w torbie pomiędzy nami, prawdopodobnie równie zdezorientowana jak ja tym, że wszyscy są tak spięci.

Kiedy jedziemy windą na górę, dziękuję Camowi za pomoc. Wydaje się myśleć, że to naprawdę zabawne, ale nie mam pojęcia dlaczego.

Kiedy pytam, czy chciałby zjeść kolację ze mną i panią Dinwiddle – bo to od dawna nasza tradycja w sobotnie wieczory – uprzejmie odmawia, mówiąc, że ma już plany spotkania się z kimś w Village.

Czuję się niemądrze urażona tymi wieściami, ale z uśmiechem życzę mu udanej randki.

Spojrzenie, jakim obdarza mnie w odpowiedzi, mogłoby zamrozić lawę.

Gdy mówię mu do widzenia, cicho zamyka drzwi mieszkania, a ja pozostaję sama, zastanawiając się, co zrobiłam źle, raz za razem odtwarzając w głowie cały dzień.

Nie wiem, co się stało, ale jestem zdeterminowana, by to naprawić, cokolwiek by to nie było.

***

Kolację z panią Dinwiddle pamiętam jak przez mgłę. Kiedy wychodzę, wręcza mi torbę pełną kosmetyków i mówi, że muszę wypróbować odżywki do włosów na gorące powietrze albo będę musiała zaopiekować się Fee, Fi i Fo, kiedy ona wiosną pojedzie w odwiedziny do siostry, do Kornwalii. Zgadzam się szybko, bo chociaż jej psy są słodkie, mają też zapędy psychopatyczne.

Śpię spokojnie, nie mam żadnych snów. Budzę się jeszcze przed budzikiem o 4.30, zaskoczona tym, że nie mogę doczekać się codziennego biegania. Oczywiście nadal jest piekłem, ale mimo tego, że moje ciało jest potem całe obolałe, pomaga mi to zrzucić wagę, a dodatkowo mam jaśniejszy umysł.

Gdyby kilka tygodni temu ktoś powiedział mi, że naprawdę zacznę lubić ćwiczenia, kazałabym mu poszukać pomocy psychiatry. A

jednak polubiłam.

Dzięki Camowi.

Ale on nie puka do moich drzwi o piątej, ani pięć po, a nawet dziesięć. Kwadrans po piątej jestem już zaniepokojona.

– Co sądzisz, Panie Bingley? Powinnam tam pójść?

Pan Bingley milczy w tej kwestii, stwierdzając, że ważniejszą kwestią jest wylizanie swojego ogona niż udzielenie odpowiedzi, więc decyduję sama i ruszam w stronę mieszkania Cama.

Kiedy widzę, że drzwi są uchylone, serce zaczyna mi łomotać jak oszalałe.

– Cam? – pukam do drzwi, a to sprawia, że otwierają się odrobinę bardziej.

Świeci się tylko światło w kuchni, ale to wystarczy, żeby zobaczyć, że w wejściu leży para dżinsów, a obok nich jeden czarny but. Jego towarzysz leży spory kawałek dalej, wkopany pod ławkę. Wsuwam głowę do mieszkania, wołając Cama ponownie, ale nie ma żadnej odpowiedzi. Zauważam jednak jedno z krzeseł przewrócone na bok i szklankę roztrzaskaną o ścianę nad stołem.

Teraz zaczynam już panikować. Okradziono go? Porwano? Wpadł w zasadzkę? Leży teraz w kałuży własnej krwi na podłodze w łazience?

Bez tchu wchodzę do środka i gorączkowo wołam go po imieniu. Nie otrzymuję żadnej odpowiedzi. Drzwi do sypialni są otwarte. Popycham je tak mocno, że uderzają o ścianę.

Staję w miejscu przerażona.

Cam leży na plecach na łóżku, ręce i nogi ma rozłożone szeroko, oczy zamknięte, jego pierś porusza się w górę i w dół, w powolnym rytmie. Śpi.

I jest nagi.

On jest nagi!

Odkręcam się na pięcie z sapnięciem, przyciskając dłoń do ust, tak zawstydzona, że moja twarz płonie. Przez chwilę oddycham głęboko, desperacko próbując pozbyć się z głowy obrazu jego wielkiego, wytatuowanego, nagiego ciała. Bezskutecznie.

Tylko to mam przed oczami. Obraz wypalił się na moich siatkówkach i będzie mnie nawiedzał aż do śmierci.

Mój Boże. Nic dziwnego, że jest tak popularny wśród kobiet. Powinien mieć własny reality show o życiu kolosalnego, dobrze wyposażonego singla.

Zaczynam wycofywać się na palcach, ale zostaję przyłapana.

– Dziołcha.

Jego głos jest szorstki po przebudzeniu. Dodając do tego gorący obraz w mojej głowie, prawie upadam na twarz. Hormony, o których nawet nie wiedziałam, że je mam, teraz urządziły sobie jakąś dziką imprezę w moich intymnych rejonach ciała, włącznie z głośną muzyką, pulsującymi światłami i laserami.

Roztrzęsiona, szepczę tylko:

– Mm.

Słyszę za sobą szelest pościeli. Nie mogę się ruszyć. Jestem jak zamrożona. Stałam się słupem soli, jak żona Lota, kiedy odwróciła się, by spojrzeć na Sodomę.

Cam odchrząkuje. To z pewnością najbardziej męski odgłos, jaki miałam okazję słyszeć w całej moim dotychczasowym życiu na tej planecie.

– Dziołcha, jesteś w mojej sypialni.

Nie wydaje się być zły, ani nawet szczególnie zaskoczony. Ja za to aż pulsuję z upokorzenia i oddałabym duszę za wymazanie ostatnich sześćdziesięciu sekund mojej egzystencji.

– Ja… uch… cholera. Bardzo przepraszam. Myślałam, że zostałeś obrabowany.

– Obrabowany?

– O Boże. Ale ze mnie kretynka. Już wychodzę.

– Stój tam, gdzie stoisz – warczy. Kiedy słyszę skrzypnięcie materaca, prawie mdleję.

Obraz w mojej głowie… niech to szlag. Będę potrzebowała terapii hipnozą. Albo prania mózgu. Nie, lepiej dołączę do programu ochrony świadków i zmienię tożsamość, bo nie ma mowy, żebym mogła żyć dalej tak, jak żyłam, udając, że nie widziałam Tego, Co Widziałam.

Przykładam obie dłonie do twarzy, po czym wydaję z siebie żałosny jęk. Przez palce widzę zbliżające się nagie stopy i nogi, ciągnące za sobą prześcieradło. Stopy zatrzymują się przede mną.

– Dlaczego sądziłaś, że zostałem obrabowany?

Nadal słychać senność w jego głosie, który jest przez to głębszy i bardziej burkliwy. W połączeniu z akcentem jest obezwładniający.

– Drzwi do mieszkania były otwarte. Na podłodze leżały jakieś ubrania… potłuczone szkło…

Nie mogę mówić dalej. Po prostu nie jestem w stanie wykrztusić z siebie kolejnego słowa. W życiu pełnym zawstydzających momentów, ten zasługuje na olimpijskie złoto.

Teraz jego głos staje się ciepły od śmiechu.

– Owinąłem się prześcieradłem, dziołcha. Możesz już przestać się chować.

Potrząsam głową.

– Jestem zajęta obmyślaniem sposobu zniknięcia. Myślisz, że Jane Smith to dobre nazwisko dla nowej tożsamości?

Śmieje się. Czuję jego zapach. Dobry Boże, cudowna, senna, męska woń w swojej pierwotnej formie – gdyby ją zabutelkować i sprzedawać kobietom, można by zostać miliarderem.

– Zbyt oczywiste – oznajmia. – Powinnaś zdecydować się na coś bardziej egzotycznego. Może Beatrix. Albo Seraphina. Tak, Seraphina Snufflebottom. – Puka mnie w ramię.

Zerkam na niego przez palce. Uśmiecha się, ma półprzymknięte powieki, włosy w nieładzie, a na szczęce widać delikatny zarost. Ten słaby dźwięk, który słyszę, to moje mdlejące jajniki.

– Nie zostałem obrabowany, Seraphino.

– No nie gadaj.

Pociera pięścią oko, co wygląda zarówno dziecinnie, jak i uroczo.

– Musiałem wczoraj za dużo wypić. Pewnie odleciałem. Nie bardzo pamiętam.

Zauważam, że drzwi do łazienki są zamknięte, ale świeci się światło i to wydaje mi się dziwne. Dlaczego drzwi są zamknięte? Był tak pijany, że nawet nie zamknął drzwi wejściowych…

Nagle dociera do mnie kilka rzeczy na raz i łączą się w coś okropnego.

Cam miał wczoraj randkę. Za dużo wypił. Spał nago… bo nie był sam.

Słodki Jezu, w łazience McGregora jest kobieta.

Czuję mdłości. Nie wiem, dlaczego, ale tak właśnie jest. Bez słowa odwracam się, po czym opuszczam pokój z dłonią przyciśniętą do ust i łomoczącym sercem.

– Gdzie tak pędzisz, Seraphino?

– Pobiegać. Do zobaczenia. Jeszcze raz przepraszam, to był wypadek. Ja tylko… Jestem taką…

Idiotką. Kretynką. Debilem.

Opuszczam jego mieszkanie, zbiegam po schodach po dwa stopnie i wpadam prosto w zimny, mroczny poranek tak szybko, jak tylko mogę. Nie zatrzymuję się, żeby złapać oddech, dopóki budynek nie zostaje daleko w tyle, a mroźne powietrze odbiera resztkę ciepła moim policzkom.

OSIEMNAŚCIE

Biegnę, aż mięśnie moich ud zaczynają krzyczeć, a potem wlokę się do domu w zimnie i ciemności, zdeterminowana, żeby zapomnieć o całym tym głupim zdarzeniu.

Muszę zachowywać się dojrzale. Mam trzydzieści sześć lat, nie szesnaście. Wpadłam na Cama, kiedy spał, to był wypadek, a nie koniec świata. Zobaczenie go nago nie jest końcem świata. Zdecydowanie, on spędzający noc z jakąś kobietą to nie koniec świata, ani mój interes. Po prostu jeszcze raz szczerze przeproszę i na tym koniec. Nigdy więcej o tym nie wspomnimy.

Kiedy docieram do domu, czuję się już lepiej. Aż dostrzegam kartkę przyczepioną do moich drzwi.

Moja droga panno Snufflebottom,

Jesteś smutna. Dlaczego? Wiem, że nie z powodu rzucenia okiem na moją majestatyczną męskość, choć akurat przez to każda rozsądna kobieta mogłaby oszaleć.

Jeśli mnie okłamiesz, przysięgam, że spełnię swoją groźbę przełożenia cię przez kolano.

Twój, dopóki słońce nie zgaśnie, a życie na Ziemi nie przestanie istnieć,

Pozer

Wiedziałam, że nie powinnam mu mówić o moim zamiłowaniu do pisania sonetów.

Zgniatam kartkę w dłoni, po czym wchodzę do mieszkania, zatrzaskując za sobą drzwi. Wrzucam liścik do śmietnika pod stolikiem w przedpokoju i zaczynam mamrotać do siebie jak wariatka, kiedy wchodzę do kuchni, żeby nakarmić kota.

– Och, przełożysz mnie przez kolano, tak? Phi. Przypuszczam, że to dość popularne miejsce. Mam nadzieję, że masz pod ręką jakiś silnie działający środek odkażający, bo nie ma mowy, żebym bez tego chociaż zbliżyła się do twoich kolan! Życzę powodzenia, stary! Czekaj. O czym ja gadam? W ogóle nie zamierzam dać się przełożyć przez kolano! Ty cholerna męska dziwko!

Zatrzymuję się, po czym powoli wypuszczam powietrze, sama na siebie kręcąc głową za to, że jestem taka krytykancka. Żyj i pozwól żyć, to moje osobiste motto. Nie moja sprawa, co dwoje świadomych, dorosłych ludzi robi ze sobą, nawet jeśli potem potrzebne są zastrzyki przeciwtężcowe i krem antybakteryjny.

– Nie, żebym naprawdę mogła cię winić – ciągnę skołowana. – Jesteś sam, młody, sławny… duży. – Moja twarz robi się czerwona. – Dlaczego nie miałbyś korzystać z okazji? Bądźmy szczerzy, dlaczego nie miałbyś sypiać z kim popadnie? To znaczy, gdyby mężczyźni rzucali mi się do stóp co trzy kroki, jestem pewna, że też byłabym dziwką!

– Doprawdy? – Słyszę za sobą głos przeciągający sylaby.

Wrzeszczę, podskakuję i odwracam się, rzucając przy tym puszką z kocim jedzeniem.

Cam siedzi przy kuchennym stole z leniwym uśmiechem na ustach i kotem na kolanach.

– Co, u diabła, McGregor?

Z przeszywającym spojrzeniem odpowiada spokojnie:

– Pomyślałaś, że w mojej łazience była kobieta, prawda?

Moje serce pędzi tak szybko, że nie mogę złapać oddechu. Zaczynam rzęzić i trząść się, wściekła, ale także – znowu – potwornie zażenowana.

– Ty… ty kretynie! Nie możesz tak po prostu wkraczać tu bez zapowiedzi, kiedy ci się podoba! To mój dom! Mój prywatny dom!

– Z tego, co pamiętam, ty wkroczyłaś do mojego mieszkania bez zapowiedzi zaledwie kilka godzin temu. Ty przynajmniej jesteś ubrana.

Uśmiecha się szelmowsko, a ja mam ochotę go zabić.

– Wyjdź!

– Nie.

– Tak! – Tupię nogą, wskazując na drzwi. – Wyjdź!

Unosi brwi, ale nie przesuwa się ani o centymetr.

– Mam pytanie, panno Snufflebottom. Dlaczego miałoby cię obchodzić, czy w mojej łazience rzeczywiście była kobieta?

– Nie miałoby! Nie obchodziło! I nie obchodzi!

Jego spokojny wzrok nie odrywa się mnie ani na chwilę.

– Co powiedziałem ci o okłamywaniu mnie? – mówi łagodnie.

Wstaje, a moje serce przestaje bić. Kiedy robi krok w moją stronę, ja zaczynam się cofać, wyciągając ręce przed siebie. Jakby to mogło w czymkolwiek pomóc.

– Cam. Przestań. Cokolwiek sobie myślisz…

– Wiesz dokładnie, co myślę, dziołcha. – Oczy mu błyszczą, a kąciki ust uniosły się.

To, co dzieje się z moim ciałem, kiedy słyszę jego ton i widzę, jak na mnie patrzy, jest nie do opisania. Chcę rzucić w niego czymś ostrym i ciężkim, a zarazem chciałabym, żeby to coś było mną.

Kiedy robi kolejny krok w moją stronę, odskakuję do rogu, dysząc.

– Przestań! To nie jest śmieszne!

– Przestałbym, gdybym sądził, że naprawdę się boisz. – Jego oczy płoną, kiedy robi kolejny krok. – Boisz się, dziołcha? Powiedz prawdę.

W panice wydaję z siebie odgłos przypominający drzwi, którym potrzebne jest smarowanie zawiasów. Śmieje się.

– To nie było tak.

Zbliża się do mojej twarzy, opiera dłonie o blat po obu moich stronach, a następnie patrzy mi głęboko w oczy. Kurczę się i odsuwam jak tylko mogę, aż tyłem głowy uderzam w szafkę. Stoi tak blisko, że słyszę bicie jego serca.

Po chwili, kiedy nic nie robi, szepczę:

– W zasadzie trochę się boję.

Zerka na moje usta, zanim jego oczy znowu spotykają moje.

– Ale nie na sto procent.

Zamykam oczy, przełykając ślinę.

– O co ci chodzi?

Jego ciepły oddech owiewa moje ucho, wywołując gęsią skórkę na ramionach.

– Chodzi o to… na ile procent?

Przygryzam wargę, by powstrzymać jęk, który chce wyrwać się z mojej piersi i znowu przełykam.

– Dwanaście.

– Dwanaście?

Słyszę w jego głosie śmiech, więc otwieram oczy. Kiedy widzę, że się szczerzy, warczę:

– Tak, dwanaście! Zadowolony?

Jego uśmiech szybko blednie, a głos staje się chropowaty.

– Nie, dziołcha. Ani trochę. Jeszcze nie. – Oblizuje wargi, po czym zatapia zęby w dolnej.

„Chooooooleeeera" mówi moja macica, wachlując się.

Właśnie kiedy myślę, że kolana odmówią mi posłuszeństwa i osunę się na podłogę, Cam odsuwa się ode mnie, po czym wychodzi z kuchni. Przez ramię woła jeszcze:

– Wczoraj wieczorem miałem spotkanie z jednym z moich prawników, dziołcha. Wróciłem do domu sam. Nie żeby cię to obchodziło, prawda?

Drzwi wejściowe trzaskają i już go nie ma.

Dobrze, że Pan Bingley jest głuchy, bo mój sfrustrowany wrzask wystraszyłby go na śmierć.

***

Resztę dnia spędzam w domu z drzwiami zamkniętymi na klucz. Sprawdzam trzy razy, żeby się upewnić. Robię pranie, sprzątam, bawię się kilkoma kosmetykami, które dała mi pani Dinwiddle i staram się trzymać Camerona McGregora z dala od mojej głowy. Jednak będąc irytującym, nieliczącym się z przestrzenią prywatną osobnikiem, wcale nie współpracuje, więc utknęłam z zadowolonym z siebie obrazem Cama w myślach, leżącym nago na materacu, z jedną nogą kołyszącą się tam i z powrotem.

Punktualnie o szóstej po południu rap zaczyna rozrywać ściany.

Książę Ściągacz Majtek dopomina się swojej kolacji.

Mamrocząc pod nosem wymyślone klątwy voodoo, zaczynam krzątać się po kuchni, przyrządzając mu coś do zjedzenia. Kiedy

pukam do jego drzwi, muzyka natychmiast cichnie.

– No witam cię, dziołszka – mówi, otwierając. – Co cię sprowadza? – Uśmiecha się szeroko oparty o framugę drzwi, z ramionami skrzyżowanymi na piersi tak, że jego bicepsy uwypuklają się wszędzie, równie zadowolone z siebie jak on sam.

Opieram się chęci kopnięcia go w goleń i tylko się uśmiecham.

– Nie zapomniałam o naszej umowie. – Podnoszę tacę, którą trzymam w rękach. – Makaron primavera z sałatką wiosenną. Proszę.

Patrzy na talerz, a potem znowu na mnie.

– Proszę? Ale gdzie proszę?

Mój uśmiech nieco blednie.

– Zabieraj swoje jedzenie, pozerze.

– Och nie. Nie, nie, nie. Umowa była taka, że ty przygotowujesz jedzenie, a ja jem u ciebie. Czterdzieści pięć minut, pamiętasz? – Otwiera szerzej drzwi, a rap wypełnia korytarz. – Chyba że wolałabyś spędzić wieczór z moim dobrym przyjacielem, Ol' Dirty Bastardem?

Wpatruje się we mnie wyzywająco, jego uśmiech staje się szerszy odwrotnie proporcjonalnie do tego, jak mój się zmniejsza.

Bez słowa odwracam się, maszerując z powrotem do mieszkania. Zostawiam otwarte drzwi, bo on i tak dostanie się do środka, czy tego chcę, czy nie. Ten facet jest gorszy niż plaga termitów.

Ale nie tylko on ma ukryte asy w rękawie.

Zostawiam tacę z jedzeniem na stole kuchennym. Gdy tylko słyszę, że Cam wyłącza muzykę, wycofuję się do swojej sypialni wraz z kotem, po czym zamykam drzwi.

Na klucz.

Potem dzwonię do matki. Odbiera po drugim sygnale.

– Halo?

– Cześć mamo. Tu Joellen. – Zawsze czuję potrzebę przypomnieć jej, kim jestem, na wypadek, gdyby zapomniała od naszej ostatniej rozmowy, że ma dwie córki.

– Och, cześć, skarbie! Właśnie o tobie myślałam!

– Dlaczego? Co się stało?

Śmieje się.

– Nic się nie stało, głuptasie. Po prostu pomyślałam, że dzisiaj do ciebie zadzwonię. Jak się masz?

Zza drzwi sypialni dobiega mnie głos Cama:

– Lepiej żebyś nie odpuszczała sobie kolacji, dziołcha!

Wystawiam język w stronę drzwi.

– W porządku. W zasadzie świetnie. Dostałam podwyżkę w pracy.

– Och, skarbie, to cudownie!

Wydaje się naprawdę podekscytowana, więc uśmiecham się.

– A do tego ubiegam się o awans.

– Awans też?

– Tak, na stanowisko zastępcy redaktora naczelnego. Już złożyłam podanie. Czekam tylko na odpowiedź.

– To fantastycznie! Kiedy spodziewasz się odpowiedzi?

Cam puka do drzwi.

– To twoja mama, dziołcha? Pozdrów ją ode mnie!

Wpatruję się przez zmrużone powieki, pragnąc mieć supermoc, która pozwoliłaby mi strzelać laserami z oczu, przebijać się przez twarde przedmioty i palić ludzi na popiół.

– Zapewne szybko, może już w przyszłym tygodniu? Zadzwonię, jak tylko się dowiem. A co u taty?

– Kto jest z tobą?

Cholera! Matczyny słuch znowu działa. Odwracam się i wchodzę do łazienki, zamykając za sobą drzwi, więc teraz jestem podwójnie oddzielona od Niesamowicie Irytującego Faceta.

– Hmm?

– Słyszałam czyjś głos, skarbie.

– To z telewizora. Mam włączone wiadomości.

– Więc to nie Cameron McGregor?

Nadzieja w jej głosie wywołuje u mnie mdłości.

– Nie, mamo, to nie Cameron McGregor.

Dobiega mnie słaby głos.

– Słyszę, że o mnie mówisz!

Ci ludzie powinni pracować dla CIA! Odkręcam prysznic na pełną moc, podchodzę do szafki, po czym kucam przy koszu na brudną bieliznę, czując się jak uciekinier z reżimu totalitarnego. Co wcale nie jest aż tak dalekie od prawdy.

– Posłuchaj, chciałam cię przeprosić za to, co powiedziałam o nim podczas naszej ostatniej rozmowy.

Wzdycham, pocierając twarz dłonią.

– Daj spokój, mamo. Za bardzo się tym przejęłam.

Następuje krótka przerwa.

– Wydaje mi się, że rozmawiamy o dwóch różnych rzeczach – mówi moja matka po chwili.

– Ja mówię o tym, że mężczyzna taki, jak on, nie mógłby zakochać się w takiej dziewczynie jak ja.

Wzdycha z rozczarowaniem.

– Och, skarbie, nie wracajmy już do tego. Taka jest rzeczywistość. Każdy musi walczyć w swojej kategorii wagowej, jak powiedziałby twój ojciec. Swój do swego i tak dalej. Ja mówię o tym, jak nazwałam go obiektem seksualnym. To było trochę… – Śmieje się niezręcznie. – Nie mogłabym nazwać się feministką, gdybym czuła się winna za zrobienie czegoś, co mężczyźni zawsze robią kobietom. To znaczy uprzedmiotawiają je.

Trudno mi nadążać za jej logiką, bo właśnie zaczynam gotować się z wściekłości. Jest jej przykro za to, że nazwała mężczyznę, którego nigdy nie spotkała, obiektem seksualnym, ale nie jest jej przykro, że uznała własną córkę za niewartą miłości odnoszącego sukcesy, atrakcyjnego mężczyzny. Dwa razy.

– Mamo.

– Tak, skarbie?

– Wiem, że nie jestem tak piękna jak ty i Jacqueline, ale czasem sprawiasz, że czuję się z tym naprawdę gównianie.

Wydaje się zaskoczona.

– O czym ty mówisz?

Czy ona umyślnie stara się być ignorantką*?* Lata ciągłej frustracji z powodu bycia brzydkim kaczątkiem w rodzinie łabędzi zaczynają zbierać żniwo.

– Mówię o walczeniu w swojej kategorii wagowej! Mówię o tym, jak lubisz sobie „żartować”, że nie noszę rozmiaru 34, jak wy! Nazywanie mnie „pączuszkiem” nie jest miłym zdrobnieniem, ale osobistym przytykiem! A to, że nie jestem wysoką, smukłą blondynką nie oznacza, że nigdy nie poczuję dotyku mężczyzny…

– Joellen!

– … ani nie zasłużę na miłość…

– Chwileczkę!

– … ani nie będę traktowana z szacunkiem przez własną rodzinę, przez tych, którym powinnam móc zaufać i być przy nich sobą. Obcy ludzie mówili mi milsze rzeczy niż wy! Ktoś ostatnio powiedział mi, że mam piękną skórę, a ja prawie zemdlałam z zaskoczenia!

– Oczywiście, że masz piękną skórę, skarbie! Masz to po mnie! – Zaczyna się bronić. I zupełnie zbacza z tematu. Mogłabym równie dobrze rozmawiać o swoich uczuciach ze ścianą, bo na pewno u matki nie znajdę zrozumienia.

Ta sama stara śpiewka. Uczucia, które wypracowałam, ulatują gdzieś, a ja zostaję, czując się pusta.

– Dobra. Fajnie się rozmawiało, mamo. Na razie.

Rozłączam się, opieram głowę na kolanach, a następnie wzdycham. Pan Bingley pociera swoją futrzaną twarzą o moją nogę.

– Ty kochasz mnie bez względu na to, jak wyglądam, prawda, Panie Bingley?

Jego głośne mruczenie zapewnia mnie, że tak właśnie jest.

Głaszczę kota przez kilka minut, zanim zbieram się w sobie, żeby stanąć twarzą w twarz z Camem. Wstaję z podłogi, zakręcam prysznic, a potem ruszam do salonu z kotem depczącym mi po piętach.

Cam siedzi przy stole kuchennym i jest w trakcie posiłku, ale jedno spojrzenie na moją twarz wystarcza, żeby odłożył widelec.

– Co się dzieje?

Zajmuję miejsce naprzeciwko niego, próbując nie czuć się odrzucona, kiedy Pan Bingley wskakuje na kolana Cama, zamiast na moje.

– Mogę zadać ci poważne pytanie?

– Oczywiście, dziołcha. Pytaj, o co chcesz.

– Czy życie jest łatwiejsze, kiedy jest się pięknym?

Wpatruje się we mnie w ciszy tak długo, że zaczynam czuć się niezręcznie.

– Tak, w porządku, przyznaję, że uważam cię za pięknego. – Macham ręką w stronę jego ciała, w geście obrzydzenia. – Wyglądasz, jakbyś został wykuty z idealnego bloku marmuru przez mistrza rzeźbiarstwa. Zadowolony?

Siedzi nieruchomo, aż naprawdę zaczynam czuć się niekomfortowo. W końcu pyta cicho:

– Z kim rozmawiałaś przez telefon?

– Z matką. Odpowiesz na moje pytanie?

Mięsień w jego szczęce zaczyna drgać. Czuję, że jest zły, ale nie sądzę, że na mnie.

– W porządku. Oto odpowiedź: moje życie nigdy nie było łatwe.

Mój śmiech brzmi jak dźwięk, który można by usłyszeć na pogrzebie.

– Naprawdę? Bo z mojego punktu widzenia wygląda całkiem dobrze.

Jego oczy płoną.

– Tak? Niby czemu?

– No dalej, McGregor. Jesteś sławny. Jesteś przystojny. Pewnie jesteś też super bogaty. Możesz wybierać w kobietach… i mężczyznach, z tego, co zauważyłam. Dla ciebie świat jest tylko wielkim bufetem.

– Czyżby?

– A nie?

Wpatrujemy się w siebie. Temperatura w pomieszczeniu chyba wzrosła o kilka stopni. Patrząc mi w oczy, pyta:

– Co powiedziała tym razem, że tak zraniła twoje uczucia?

Kładzie trochę większy nacisk na słowo „tym”. Nie podoba mi się to podkreślenie i wszystko, co sugeruje. Nie podoba mi się bardziej niż sama sugestia. Ale najbardziej nie podoba mi się, że on tak łatwo zgadł, o co chodzi w tej rozmowie, bo ten cholernik ma rentgen w oczach i potrafi prześwietlić mnie na wylot.

Odwracam wzrok, zawstydzona, że zostałam przyłapana.

– Joellen?

Zamykam oczy, zaciskając je na gorących łzach, które zostały wywołane przez łagodność w jego głosie. *Jest mu mnie żal. Boże, jestem żałosna.*

Wtedy on wstaje i podnosi mnie za nadgarstki. Zanim mogę zareagować, zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku.

Z silnymi ramionami owiniętymi wokół mojej talii, głowę opierając tuż przy mojej, mówi:

– Ludzie potrafią być prawdziwymi dupkami. Czasami okazuje się, że ci najgorsi są rodziną. To do kitu, ale nie znaczy, że musisz wierzyć w bzdury, które wygadują. Bzdury twojej matki to jej problem, nie twój. Jesteś idealna taka, jaka jesteś, dziołcha. Każdy, kto mówi inaczej, jest cholernym, głupim padalcem.

Moje gardło się zaciska, a twarz zaczyna wykrzywiać. Głęboko w piersi rośnie jęk, którego nie zdołam powstrzymać. *O nie. Nie płacz. Nie płacz, na miłość boską…*

Wybucham płaczem, wczepiając się w jego pierś – głośnym, okropnym płaczem, razem ze szlochaniem i smarkaniem, całe moje ciało drży, a palce zaciskają się na jego koszulce.

Powoli wypuszcza powietrze, przyciskając mnie jeszcze mocniej do siebie. Następne słowa wypowiada cicho i spokojnie, jakby miały być przysięgą.

– Ach, dziołszka. Gdyby ktokolwiek, poza rodziną, doprowadził cię do takiego płaczu, już odwoziliby go karetką.

Nie wiem dlaczego, ale przez to płaczę jeszcze mocniej.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Wyswobadzam się z jego objęć, chcąc przestać już być takim smutnym widowiskiem. Lata złości, bólu i samotności wypływają ze mnie, jakby ktoś odkręcił kran. Płaczę tak długo, aż czuję się wyczerpana, pociągam nosem i czkam, drżąc z zażenowania.

Wtedy Cam dokonuje cudu i bierze mnie na ręce.

Zaczęłabym protestować, ale jestem zbyt zmęczona, więc pozwalam mu, żeby zaniósł mnie na kanapę, zdumiona, jak swobodne wydaje się w jego wykonaniu uniesienie ciężaru słoniątka.

Układa mnie na kanapie, wsuwa mi poduszkę pod głowę, okrywa kocem aż pod brodę, a następnie odsuwa pasmo włosów z mojego wilgotnego czoła.

– Zaraz wracam.

Kiedy wychodzi, moszczę się pod kocem, podciągam nogi pod siebie i chowam twarz. Tę mokrą, zapewne usianą plamami i opuchniętą twarz.

Niektóre kobiety potrafią ładnie płakać, wylewają delikatne kobiece łzy i wydają z siebie eleganckie odgłosy rozpaczy. Ale ja nie jestem jedną z tych kobiet. Płaczę dokładnie tak samo, jak jem: niechlujnie, głośno i z zapamiętaniem.

Jestem nieokiełznana, jeśli chodzi o emocje i apetyt. Tak wiele czasu w dorosłym życiu spędziłam, starając się nie być krnąbrną, za to być mniejszą, bardziej opanowaną, bardziej akceptowalną, ale pod tym wszystkich wciąż pozostaję sobą. Wszystkie pasje, pragnienia i burzliwe potrzeby, wszystkie chęci, urazy i żale, wszystkie brzydkie i cudowne rzeczy… Jestem niesforna, dziwna i wykończona udawaniem, że jest inaczej.

Przynajmniej przy Camie nie muszę.

Ten wraca ze swojego mieszkania po kilku minutach, przynosząc prezenty.

Podnosi moje nogi, siadając na kanapie, po czym układa je na swoich udach.

– No dalej, dziołszka. Mam smakołyki.

Odsuwam brzeg koca, wyglądając zza niego. Cam patrzy na mnie wyczekująco. Uśmiechając się, wyciąga w moją stronę białą, ceramiczną miskę.

– Smakołyki? – Podnoszę się. Czuję, że od razu mi lepiej.

– Lody czekoladowe z likierem kawowym.

Sapię z ekscytacją. Wyciągam przed siebie ręce i przebieram palcami.

– Dawaj.

– Nie, podzielimy się. – Nabiera łyżeczkę lodów, po czym zjada je, patrząc, jak oblizuję wargi. Potem nabiera kolejną i wyciąga w moją stronę.

Pozwalam, żeby mnie nakarmił, czując się przy tym dziwnie, ale też zaopiekowana, jak wtedy, gdy w wieku dziesięciu lat miałam zapalenie gardła, a mama karmiła mnie zupą. To chyba ostatni raz, jaki pamiętam, kiedy jej mina nie wyrażała dezaprobaty co do mojego sposobu jedzenia.

– Naprawdę dobre – mówię z ustami pełnymi zimnych pyszności. – Ale nie ma tego w mojej diecie.

– Właśnie dlatego nazywamy to smakołykami. – Bierze kolejną łyżkę, delektując się nią, liże jakby to było kobiece udo. A może to tylko moja wyobraźnia. Patrzenie, jak je, jest wyjątkowo zmysłowym doświadczeniem. – Jedzenie to paliwo, ale też radość. Problem pojawia się, kiedy bardziej skupiasz się na przyjemności, niż na dostarczaniu paliwa. Ale przyjemność można też mieć z przytulania.

Podaje mi kolejną porcję lodów, a ja z każdą sekundą czuję się lepiej.

– Tak przy okazji, przytulanie świetnie ci wychodzi.

– Wiem.

Uśmiechamy się do siebie.

– Ale czy równie dobrze idzie mi całowanie? To jest właściwe pytanie, dziołcha. – Je kolejną porcję lodów, z uniesionymi brwiami czekając na moją odpowiedź.

– Czekałeś aż będę w żałosnym stanie, żeby o to zapytać, co?

– Nie jestem taki przebiegły. Proszę. – Wyciąga łyżkę w moją stronę.

Delektuję się kremową pysznością, próbując przedłużyć tę chwilę, jak tylko to możliwe, a w międzyczasie przeczesuję mój mózg w poszukiwaniu neutralnej odpowiedzi, aby nie ujawniać, jak termonuklearny był nasz pocałunek. Decyduję się na:

– Wydajesz się naprawdę doświadczony.

Wyraz twarzy Cama zmienia się.

– To okropnie bezduszne.

– Och, wybacz, czy twoje ego dostało właśnie napadu histerii, bo nie powiedziałam, że to był najgorętszy pocałunek w całym moim życiu?

Już ma umieścić kolejną łyżeczkę lodów w ustach, ale zatrzymuje się.

– A był?

Te cholerne, przeszywające, piwne oczy… Opuszczam wzrok na koc, po czym zaczynam ciągnąć za jakieś wystające włókno.

– No może… tak jakby.

Kiedy nic nie odpowiada, zerkam na niego spod rzęs i widzę, że się uśmiecha.

– Och, zamknij się, pozerze – mamroczę.

Pochłania łyżeczkę lodów, oblizując wargi.

– Żeby była jasność – dla mnie tak jakby może też.

Jestem tak zaskoczona, że mrugam zawzięcie, niczym oszalała sowa.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Mrużę oczy.

– Próbujesz tylko poprawić mi humor.

– Czyżby? – Zjada kolejną łyżkę lodów, uśmiechając się przy tym.

Opadam na poduszki, a następnie naciągam sobie koc na twarz.

Słyszę śmiech, niski i zadowolony.

– Mówię prawdę, dziołcha. Jesteś mistrzynią w całowaniu. Bardzo w porządku. Ale nie tak „w porządku”, jak mówicie wy, Jankesi. W porządku w sensie „znakomicie”.

Uchylam rąbek koca, po czym zerkam na niego.

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało, jakby nie było już nic innego, czego mógłbym cię nauczyć – mówi swobodnie, oblizując łyżkę. Spogląda na mnie kątem oka. – Oczywiście dla Michaela.

Przygryzam wargę.

– Na przykład co?

– Chcesz listę?

Teraz jestem oburzona.

– Listę? Aż tyle trzeba poprawić? Chyba dopiero co powiedziałeś, że jest w porządku, w sensie znakomicie.

Wzrusza ramieniem tak nonszalancko, jak to możliwe. Mam ochotę przyłożyć mu poduszką w twarz, ale pewnie zrzuciłabym przy tym lody. Jego głupia twarz nie jest warta zmarnowanej miski lodów.

Wzdycham, po czym podsuwam się do góry, zdejmując nogi z jego ud.

– Dobra. Dawaj. I niczego nie pomijaj. Chcę poznać całą paskudną prawdę.

Patrzy w sufit, delikatnie stukając łyżką w brzeg miski.

– W zasadzie nie jest to jedna z tych rzeczy, które można po prostu opowiedzieć.

Martwię się coraz bardziej i marszczę brwi.

– Więc jak mam to poprawić?

Odwraca się do mnie. Wyraz jego twarzy jest poważny i współczujący, jakby był lekarzem, który właśnie zamierza mi przekazać, że mam w głowie nieoperacyjny guz.

– Praktyka.

Nie czekając na moją reakcję, nabiera kolejną łyżkę lodów, a następnie mi ją podsuwa. Potem patrzy swoim wilczym wzrokiem, jak wsuwam łyżkę do ust i przełykam.

Zbieram się w sobie, po czym zagajam:

– Więc mówisz… że chcesz mnie znowu pocałować.

– Chcę pomóc ci zdobyć tego, którego pragnie twoje serce, dziołcha – odpowiada dziarsko. – Czyli Michaela, prawda?

Znowu posyła mi to wilcze spojrzenie. Zaczynam czuć się zdezorientowana.

– Mm. Tak. To… Michael.

Jego oczy rozbłyskują, ale przytakuje, widocznie zadowolony, że postawił na swoim.

– Właśnie. Pomyśl o tym, jak o treningu. Gdybyś miała przebiec maraton, nie poprzestałabyś na jednorazowym przebiegnięciu dwudziestu kilometrów w ramach przygotowań. Dochodziłabyś do tego stopniowo. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, po trochu, aż osiągnęłabyś optymalną formę do tego wielkiego wydarzenia.

Kiedy siedzę w ciszy zbyt długo, po prostu na niego patrząc, Cam potrząsa głową.

– Masz rację. To kiepski pomysł. Zaangażujesz się i zrobi się między nami niezręcznie. Będziesz przybita. Ja poczuję się niezręcznie. Może tego nie wiesz, ale nie jest mi łatwo łamać serca dziołchom. Ile błagania może znieść człowiek…

– Do jasnej cholery, McGregor!

Wygląda na zmieszanego, słysząc u mnie takie słownictwo.

– Chcę tylko oszczędzić ci złamanego serca, dziołszka. Zgadzam się z tobą, to kiepski pomysł.

– Nie zakocham się w tobie, McGregor. Ani od całowania, ani od niczego innego.

Niewzruszony moim wybuchem najzwyczajniej w świecie konsumuje lody, zerkając na mnie kątem oka.

– Och, tak, już pamiętam. Mówiłaś, że nie jestem w twoim typie.

– Dokładnie. – Podkreślam to słowo, niepewna, czy to jego chcę przekonać, czy siebie.

Cam przytakuje.

– Dokładnie. Więc nie ma żadnego problemu.

Wzdycham, zdejmuję okulary, po czym pocieram dłońmi twarz. Idę do kuchni, odkręcam wodę w kranie, opryskuję twarz, a następnie wycieram ręcznikiem kuchennym. Później z powrotem nakładam okulary, odwracam się i zerkam na McGregora siedzącego na mojej kanapie ze stopami zarzuconymi na stolik kawowy. Je sobie lody, jakby był na wakacjach w nadmorskim kurorcie. Znowu wzdycham.

– W porządku. Ale to ze względów czystko… edukacyjnych. I nie chcę o tym rozmawiać po dzisiejszym wieczorze. Zgoda?

Cam nawet się nie odwraca, tylko wzrusza ramionami.

– Cokolwiek chcesz, dziołcha. Jestem tu tylko po to, żeby pomóc.

Ta nonszalancja w jego głosie i ten kompletny brak zainteresowania w końcu mnie przekonują.

– Dobra. Zróbmy to.

– Jasne. – Nie rusza się z kanapy.

– Idziesz czy nie?

– Tutaj mi wygodnie.

– Och. Mm. Dobrze. – Wracam do salonu i siadam na brzegu kanapy, wciskając dłonie między uda. Nigdy nie wiem, co robić z rękami, kiedy się z kimś całuję, więc bezpieczniej przytrzymać je w miejscu.

– No to wskakuj – oznajmia Cam.

– Co?

Łyżeczką wskazuje na swoje kolana.

– Stary! Nie ma mowy! Nie będę cię ujeżdżać!

Uśmiecha się pod nosem.

– Boisz się, że za bardzo się rozgrzejesz i zedrzesz ze mnie koszulkę, dziołcha?

– To niedorzeczne.

– Czyli martwi cię, że ja się podniecę?

Wizja jego monstrualnej męskości pojawia się w mojej głowie.

– C-co? Nie! Jezu! – jąkam się.

– Dobrze, bo tak się nie stanie. Przestań kombinować. Muszę wcześnie iść spać, bo rano jestem z kimś umówiony na bieganie.

Czuję się nieracjonalnie zraniona, zarówno sugestią, że nie mogłabym go podniecić, jak i tym, że zaplanował ćwiczenia z kimś innym, nie ze mną.

– Z kim?

Cam przygląda się mojej twarzy, unosząc jeden kącik ust, w jego spojrzeniu widzę dziwną satysfakcję.

– Z tobą.

– Och. Racja. To znaczy… wiem.

Drugi kącik jego ust unosi się i teraz uśmiecha się do mnie szeroko.

– Wyglądasz uroczo, kiedy jesteś zazdrosna.

Sapię głośno i energicznie.

– Nie jestem zazdrosna.

Cam pochyla się do przodu, odstawia miskę z lodami na stolik, chwyta mnie za ramię, po czym wciąga na swoje kolana, gdzie znowu sapię, no bo co innego miałabym zrobić?

Nie co dzień dziewczynie udaje się dosiąść Godzillę.

Cam rzuca szorstko:

– Dobrze. Ustalone. Nie jesteś zazdrosna. Nie jestem w twoim typie, a ty nie interesujesz się nikim, poza pięknisiem Michaelem. A teraz przestań mielić językiem, kobieto, bo mam dla niego inne zadanie.

I… *O Boże, rzeczywiście ma.*

Wpija się w moje usta prawie wściekle, jedną ręką obejmuje mnie za kark, a drugą przytrzymuje ramię. Jego usta są gorące i wymagające. Kiedy jego język rozchyla mi wargi i dotyka mojego, przechodzi przeze mnie prąd, jakbym nadepnęła na odkryty kabel.

Kładę dłonie na jego piersi i odsuwam się.

– Czekaj!

Wpatruje się we mnie z zaciśniętą szczęką, oddychając urywanie.

– Co?

Zdejmuję okulary, a potem odkładam je na poduszkę obok nas.

Tym razem podchodzi do mnie wolniej. Z większym namysłem i kontrolą. Wsuwa palce w moje włosy, następnie przechyla mnie w swoją stronę, zatrzymując się tuż przy moich wargach.

– Pamiętaj o oddychaniu – szepcze.

– Pocałuj mnie w końcu – odszeptuję, zaskoczona tym, jak bardzo mój głos przypomina błaganie.

– Nadal masz otwarte oczy.

Natychmiast je zamykam.

Jego łagodny śmiech wywołuje dreszcz na moim kręgosłupie.

– Żebyś tylko zawsze była taka posłuszna, dziołcha. – Delikatnie przygryza moją dolną wargę, co stanowi mroczną, pyszną, małą obietnicę.

Moje dłonie. Co mam z nimi zrobić? Leżą płasko na jego piersi, ale to wydaje się słabe, więc przesuwam je na jego szyję, po czym docieram do jego włosów. *Dobry Boże.* Grube, lśniące pasma włosów przesuwają się między moimi palcami jak jedwab. Ma dłuższe włosy niż jakikolwiek mężczyzna w biurze, dużo dłuższe niż Michael.

Sięgają aż za kołnierzyk koszulki, ciemne i falujące. Są niesłychanie miękkie.

Kiedy jego język zaczyna powoli penetrować moje usta, pociągam za te cudowne pukle, zapominając, że nie powinno mi się to podobać.

Przyciskam się do niego. Rozpływając się i mięknąc, oddycham głęboko przez nos, gdy pocałunek się pogłębia i zaczyna palić. To nie był żart, kiedy powiedziałam, że on ma doświadczenie. Wie dokładnie, co robić, jak sprawić, że moja krew zaczyna wrzeć, serce łomotać w piersi, a wszystkie te pornograficzne obrazy jego nagiego ciała, rozłożonego jak najlepszy prezent gwiazdkowy, jaki kiedykolwiek dostałam, pulsują w mojej głowie niczym neon.

Twardnieją mi sutki. Między nogami czuję nowy ciężar, ale to nie on, to ja, spragniona i obolała. Każde pociągnięcie jego warg wysyła falę gorąca do tego miejsca w moim ciele, którego staję się nieznośnie świadoma, bo zaczyna wydawać z siebie nieme zawodzenia.

Odrywam się, żeby sprawdzić, co się dzieje, zanim kompletnie się zatracę i uduszę go swoim zwinnym językiem.

– Jak mi idzie? – mamroczę bez tchu, z wypiekami na twarzy.

Jego oczy otwierają się. Gorące i mroczne, zatrzymują mnie w miejscu.

– Przysięgli nie wydali jeszcze werdyktu – mówi zachrypniętym głosem. – Potrzebuję więcej dowodów.

Utonę w rozkoszy jego ust. Umrę na tej kanapie, a pani Dinwiddle znajdzie moje ciało, bez palców u rąk i stóp, które odgryzie mi głodujący kot.

Pocałunek staje się nieprzyzwoity. Grzeszny. Wydaję z siebie jęk. Ten zdesperowany dźwięk, który narasta w moim gardle, wywołuje u Cama ciekawą reakcję.

Całe jego ciało sztywnieje.

Ujmuje moją twarz w obie dłonie, przerywa pocałunek, a następnie odwraca twarz. Przez kilka chwil oddycha chrapliwie, nozdrza mu falują, a szczękę ma jak wykutą z marmuru. Z palcami przyciśniętymi do mojej głowy, mówi ostro:

– Nie możesz wydawać z siebie takich dźwięków.

O Boże. Brzmię jak guziec. Jak osioł. Jak tresowana świnia, przeszukująca torfowisko w poszukiwaniu trufli.

– Dobrze.

Upokorzenie w moim głosie sprawia, że od razu patrzy mi w oczy.

– To nic złego. Tylko… rozprasza.

Rozprasza?

Delikatnie przesuwa się na kanapie i wszystko staje się jasne.

Przygryzam wargę tak mocno, że chyba przebiłam się do krwi. Moje serce jest jak koliber szamoczący się w klatce.

– Mówiłeś, że się nie podniecisz – szepczę.

Patrzy na moje usta jak dowódca na królestwo, które właśnie podbił.

– Kłamałem.

Znowu pocałunek, niebezpieczny, jakbym stała nad klifem, patrząc w dół, a spod moich stóp sypały się kamienie i żwir. Moje palce wplatają się w jego włosy. Jego dłonie przesuwają moją głowę w prawo i w lewo, jak mu się żywnie podoba. W uszach słyszę pulsowanie. Jestem tak podniecona, że czuję się oszalała i nieobliczalna.

Poczwarka przemienia się w motyla. Kokon pęka, skrzydła prostują się, czuję wiatr pod brzuchem. Płynę na fali. Uderzam skrzydłami, lecę wolno.

Cam przerywa pocałunek nagle i gwałtownie, jakby ktoś stłukł szybę. Skołowana, skamlę z powodu utraty jego ust.

– Kurwa. Joellen. Kurwa.

Dyszy, jego głos jest desperackim chrypieniem. Żar bije od niego jak z pieca. Nawet jego dłonie na mojej głowie są tak gorące, jakby miały przepalić mi czaszkę.

Czując jego zapach, ciepło otulające moje ciało i serce bijące przy moim, jestem w innym miejscu. Jestem kimś innym. Cyganką rzucającą zaklęcia. Ciemnooką piosenkarką w zadymionym klubie jazzowym. *Femme fatale* z filmu noir, długonogą, uśmiechniętą, z gardłowym głosem przypominającym mruczenie.

– Nie przestawaj – mówię swoim nowym głosem. – Tak dobrze smakujesz.

Patrzy prosto na mnie, jego oczy płoną intensywnie. Oczy tygrysa. Oczy wilka. Oczy drapieżnika, który zaraz dopadnie ofiarę.

– Lubisz mój smak? – warczy.

W tym pytaniu da się wyczuć wyzwanie. Poza urywanymi oddechami, siedzi nieruchomo, a całe jego ciało jest spięte.

Co się dzieje?

Gwałtownie dochodzę do siebie. W jednej chwili uświadamiam sobie, jak daleko zaszedł ten mały eksperyment, jak niebezpiecznie blisko znaleźliśmy się punktu, z którego nie ma odwrotu, oraz to, że kot siedzi na stole i zjada resztki kolacji Cama.

O cholera. Moja twarz płonie.

Nie jestem cyganką. Nie jestem *femme fatale*. Jestem dziwną samotną kobietą, siedzącą na kolanach najsławniejszego sportowca na tej planecie i robiącą z siebie kretynkę.

– Przepraszam – mówię cicho sztywnym głosem. Odchrząkuję. – Chyba trochę mnie poniosło.

Podnoszę okulary, po czym zeskakuję z jego kolan, jakby ktoś mnie katapultował. Czmycham do kuchni, gdzie nagle zabieram się za sprzątanie po kolacji, starając się zapobiec rychłemu atakowi serca. Przez dłuższy czas z salonu nie dobiega żaden odgłos. Kiedy decyduję się zerknąć przez ramię, Cam siedzi z łokciami opartymi na kolanach i przytrzymując głowę dłońmi, wpatruje się w podłogę.

– Czyli do zobaczenia rano? – staram się, żeby mój głos brzmiał normalnie.

Robi wydech, brzmiący jak chrapliwy śmiech, tylko ostrzejszy. Powoli wstaje.

– Tak. Do zobaczenia rano.

Wychodzi, nie oglądając się na mnie. Jego krok jest dziwnie sztywny.

Próbuję wytłumaczyć sobie, że to moja waga musiała odciąć mu krążenie w nogach, ale ciężko w to uwierzyć, zważywszy na wszystkie dowody. W końcu jestem zmuszona zaakceptować prawdę.

Cameron McGregor był tak samo jak ja podniecony tym pocałunkiem.

Nie mogę stwierdzić, czy to najlepszy możliwy rozwój wypadków czy najgorszy.

DWADZIEŚCIA

Rano zachowujemy się tak, jakby nic się nie stało.

Biegniemy wzdłuż ośnieżonych ulic, rozmawiamy o rugby, Szkocji, najlepszych restauracjach na Manhattanie, o wszystkim lekkim i bezpiecznym. Bardzo chciałabym porozmawiać o pocałunku, ale wiem, że lepiej odpuścić. Poza tym, co miałabym powiedzieć? „Hej, wczorajsze całowanie było nieziemskie, co? Wow, nie dało się nie zauważyć tego pytona królewskiego w twoich spodniach! Musiałam iść do łóżka i sama sobie pomóc… a ty?".

Nie ma opcji.

W pracy muszę stanąć twarzą w twarz ze zwłokami. Róże, które Cam przysłał mi w zeszły piątek, przez weekend popełniły samobójstwo i teraz okrutnie śmierdzą w moim boksie. Wszędzie wkoło leżą wyschnięte płatki i liście. Rozważam wyrzucenie ich do kosza w kuchni, ale pojemnik jest tylko odrobinę większy niż ten pod moim biurkiem, więc nie zdoła pomieścić szczątek stu róż. Do tego pewnie po drodze potknęłabym się i upadła, rozlewając ohydną, gnijącą wodę z kwiatów po całym dywanie, wzbudzając tym gniew Portii, która zdążyła już kilka razy minąć moje biurko, jak rekin bawiący się z foką, którą zamierza zjeść.

Dzwonię więc po pomoc.

Denny przybywa z jednym z tych wielkich przemysłowych pojemników na kółkach.

– Ups! – mówi z szerokim uśmiechem. – Czy to te róże czy może jadłaś wczoraj na kolację fasolkę i chili?

Nawet kiedy nie opowiada dowcipów o bąkach, nadal pozostaje w temacie pierdzenia.

– Pomóc ci?

– Nie, dzieciaku, dam radę. Dzięki. Chcesz zatrzymać wazon?

Odmawiam. Szybko radzi sobie z różami, wkładając całość do pojemnika, po czym usuwa wyschnięte liście przy pomocy miotły i

szufelki.

Wtedy, zza dzielącej nas ściany, słyszę głos Shasty.

– O mój Boże. Co do… Joellen? Czy to ty*?*

Wystawiam głowę i widzę ją, jak siedzi przy biurku, wpatrując się w ekran komputera. Jej oczy robią się wielkie z niedowierzania, a wyraz twarzy sprawia, że w moim brzuchu rośnie panika.

– „Czy to ja" gdzie?

– W TMZ[4]. – Spogląda na mnie, mrugając. – Jesteś w TMZ.

– Ja? – Śmieję się z uczuciem ulgi. – Nie sądzę.

Patrzy na ekran komputera, potem na mnie i znowu na ekran.

– Więc masz bliźniaczkę, o której nie wiesz, bo wygląda dokładnie jak ty.

Marszczę brwi, przechodzę do jej boksu, a potem pochylam się nad jej ramieniem, żeby zobaczyć, na co patrzy. Na ekranie widnieje moje zdjęcie z Camem. Stoimy w dziale z sukienkami Sake, patrząc sobie w oczy.

Żadne z nas się nie uśmiecha. Jego wielka dłoń zaborczo ściska moje ramię. Sukienki na wieszakach są ściśnięte między nami. To intymny i bardzo intensywny moment, wygląda jakbyśmy albo byli w trakcie kłótni… albo zaraz mieli zacząć się całować.

Nagłówek krzyczy: „Cameron McGregor i tajemnicza kobieta przyłapani na zakupach!".

Jasna cholera. Facet z aparatem sprzedał nasze zdjęcie TMZ.

Zmrożona z przerażenia, mówię pierwsze, co przychodzi mi do głowy.

– Czy moje włosy naprawdę tak wyglądają?

Shasta piszczy.

– Więc to ty!

– Ćśś! – Wystawiam głowę ponad ścianę boksu, ale wydaje się, że nikt nie słyszał. Znowu się pochylam, po czym przechodzę w tryb totalnej paniki, włącznie z pocącymi się dłońmi i palpitacją serca. – O Boże. Co ja mam zrobić?

– Dziewczyno! – grzmi Shasta, aż podskakuję. – W pierwszej kolejności powinnaś powiedzieć mi, co, u diabła, jest między tobą a Cameronem McGregorem! – Kiedy się krzywię, błagając ją, żeby

mówiła ciszej, ona tylko zarzuca mnie pytaniami, a każde jest bardziej natarczywe niż poprzednie.

– Jak go poznałaś? Jak mogłaś utrzymywać to w tajemnicy? Jest coś między wami? Jest niesamowity w łóżku? O kurczę, założę się, że jest szalony w łóżku. Jest dobrze wyposażony? Musisz coś zdradzić… och! Jak długo daje radę? Jest namiętny? Mogę się założyć, że jest mega namiętny, co? – Lubieżnie porusza brwiami i już ma kontynuować swoją tyradę, kiedy przerywa jej znajomy głos. Obie zamieramy.

– Drogie panie, ciężko pracujecie, tak?

Shasta i ja przełykamy głośno, gapiąc się na siebie. Powoli prostuję się, a następnie odwracam, przesuwając się o kilka centymetrów, żeby zakryć ekran komputera Shasty.

– Mm. Dzień dobry, panie Maddox.

Zerka na Shastę, ukrywającą się za mną, potem na ekran, który zapewne jest wciąż przynajmniej częściowo widoczny, po czym przenosi wzrok na mnie.

– Dzień dobry.

Odpowiada gładko, w jego głosie nie ma cienia emocji, ale jego oczy wirują jak u szaleńca i właśnie stąd wiem, że mam totalnie przekichane. On już wie o wszystkim.

Shasta rzuca cicho:

– Hej – po czym wraca do ukrywania się za moim wielkim tyłkiem.

– Joellen. Mam pytanie do twojego podania. – Spogląda znacząco na Shastę, a ja już rozumiem, o co chodzi. – Chodź ze mną.

Odwraca się, a następnie odchodzi, nie czekając na odpowiedź, bo oczywiście nie musi czekać. On jest pięknym dyrektorem, a ja tylko zwykłą służącą, która z radością będzie skrobać za nim podłogę przez całą wieczność, żeby tylko poświęcił jej odrobinę czasu i uwagi.

Ruszam za nim, pocąc się obficie.

Ma długie nogi i nadał intensywne tempo, więc trudno mi za nim nadążyć. Wydaje się, jakbyśmy przed kimś uciekali. Zżera mnie poczucie winy jedynie z powodu, że wygląda jakbym powinna czuć się winna, kiedy tak pędzimy korytarzem na złamanie karku.

– Więc jesteś w wiadomościach.

Jego głos jest oschły, szczęka zaciśnięta, a oczy rozbiegane, jakby wypatrywał nadciągających pocisków rakietowych. Jest mi trochę lepiej z tym, że on również czuje się niekomfortowo.

– Mm… tak. Gdzie o tym usłyszałeś?

– Wieści szybko się roznoszą. To on był tą randką, o której mówiłaś?

– Nie! – odpowiadam zbyt głośno. – To tylko mój sąsiad!

Kilkoro ludzi przygląda się nam ze swoich boksów, kiedy pędzimy obok nich. Kiwa głową jednej osobie, resztę ignoruje.

– Tak mówiłaś.

Nie mam na to żadnej odpowiedzi, bo nie rozumiałam, czy on to podważa. *Uważa, że kłamię?*

– On tylko pomaga mi przy… mm… projekcie. Między nami nic nie ma.

Wychodzimy za róg i prawie zderzamy się z kimś idącym z naprzeciwka, ale szybko zaczynamy kontynuować nasz dziwny marszobieg, patrząc wprost przed siebie.

– Czyli pogodziliście się?

– Hm? – Jestem olśniewającą krynicą mądrości.

– Jego muzyka. Mówiłaś, że przeszkadzał ci głośną muzyką.

– Och. Racja. To. Tak, pogodziliśmy się. – To brzmi zbyt ckliwie, jak pojednanie kochanków, więc szybko poprawiam. – To znaczy, zakopaliśmy topór wojenny. A potem, yy, on potrzebował pomocy przy kupowaniu prezentu dla swojej dziewczyny. W Szkocji. Na gwiazdkę.

Na miłość boską, Joellen, po prostu wpakuj sobie całą nogę do buzi i przestań wreszcie gadać!

Michael poprawia krawat, ciągnąc za niego, jakby ten miał go udusić. Ma na sobie pięknie dopasowany, granatowy garnitur, jego skóra błyszczy zdrowo w świetle lamp fluorescencyjnych, twarz ma gładko ogoloną, a włosy idealne. Wszystko w nim jest perfekcyjne.

Zbyt perfekcyjne?

Zmieszana swoją zdradą, lekko się potykam, ale szybko staję prosto.

– Wyjdź ze mną na drinka po pracy.

Teraz prawie upadam na twarz.

– O szóstej. W Liquid Kitty na Piątej.

Nie zauważył mojej nagłej katatonii. Nie czekając na odpowiedź, gwałtownie odwraca się w prawo, a następnie rusza drugim korytarzem, pozostawiając mnie gapiącą się za nim.

Czy to randka? Czy Michael Maddox właśnie zaprosił mnie na randkę?

Zanim zemdleję i zamienię się w galaretowatą kupę kończyn, zauważam, że Portia zmierza w moją stronę. Moje serce zamiera. Za późno, żeby uciec, bo już nawiązałyśmy kontakt wzrokowy, więc udaję, że wracam z jakiegoś fikcyjnego spotkania i ruszam naprzód z przyklejonym do twarzy uśmiechem, udając, że istnieje cel dla mojej przechadzki.

Zatrzymuje mnie akurat, kiedy mam wyjść za róg, stając przede mną tak, że mam zablokowaną drogę.

Chwyta mnie za przedramię, wbijając w nie palce.

– Bądź ostrożna – mówi łagodnie, a jej błękitne oczy lśnią. – Bądź bardzo ostrożna, Joellen.

Zanim zdołam coś odpowiedzieć, już jej nie ma. Słyszę tylko stukot oddalających się dziesięciocentymetrowych szpilek. Uderza mnie to, że jej słowa nie brzmiały jak groźba ze strony wroga, ale jak przyjacielskie ostrzeżenie.

***

Przez resztę dnia jestem przerażona. Wyczerpuję cały antyperspirant i zastanawiam się, czy mogłabym w tej chwili paść i umrzeć. Moje nadnercza histerycznie pompują hormony stresu, więc potrzebuję niebotycznej ilości samokontroli, żeby nie wypuścić z gardła szaleńczego wrzasku.

Kiedy docieram do domu, jestem wrakiem człowieka.

– Mam tylko trzydzieści minut, żeby się przygotować – mówię bez tchu do kota, wyrzucając mu jedzenie do miski. – Co mam ubrać? Powinnam ogolić nogi? – Pan Bingley wpatruje się we mnie krytycznie. – Masz rację, to tylko proszenie się o kłopoty. Ale czekaj… ja chcę kłopotów, prawda? Przecież mówimy tu o Michaelu Maddoksie. Chcę wszystkich możliwych kłopotów! – Oczy kota

zwężają się w szparki. – Nie, masz rację, trzeba to rozegrać na chłodno. Nie mogę wyglądać na zbyt rozochoconą, muszę skupić się na dalszym rozwinięciu sytuacji. Jeśli przelecę go w toalecie baru o nazwie Liquid Kitty za pierwszym razem, nigdy nie będę mogła opowiedzieć nikomu historii naszej pierwszej randki.

To świadczy o szaleństwie mojego umysłu, że widzę już siebie i Michaela jako małżeństwo z dziećmi, rzucające sobie przebiegłe spojrzenia przy kolacji, kiedy musimy wymyślać kłamstwo, które przekażemy wścibskim krewnym, chcącym posłuchać o naszej pierwszej randce.

Biorę prysznic, ubieram się, po czym próbuję wysuszyć włosy, ale ostatecznie spinam je w niechlujnego koka, bo moje dłonie trzęsą się tak bardzo, że nie mogę utrzymać suszarki. Nakładam tusz do rzęs, który pani Dinwiddle dała mi wraz z torbą kosmetyków, potem rozważam pomalowanie ust, ale stwierdzam, że pomadka pewnie skończy na moich górnych zębach, sprawiając, że będę wyglądać, jakbym zjadła kredkę. Odkładam ją i zamiast tego nakładam warstwę bezbarwnego błyszczyka.

Patrzę na swoje odbicie w lustrze.

Jestem zarumieniona. Mam dzikie spojrzenie. Kilka niesfornych kosmyków uciekło z koka i okalają moją twarz jak pierzasta chmurka. Wyglądam, jakbym właśnie uciekła z zakładu dla obłąkanych.

– Pieprzyć to – mamroczę. – Właśnie tak wyglądam. Jeśli Michaelowi się nie spodoba, może iść się bujać.

Przemowy Cama o pozytywnym podejściu do swojego ciała zapewne wreszcie odniosły jakiś efekt, bo jeszcze kilka tygodni temu takie słowa byłyby herezją.

Nie mam dość czasu, żeby jechać metrem, więc zamawiam taksówkę. Podczas jazdy staram się oddychać głęboko, ale to nic nie daje, jedynie sprawia, że kierowca wygląda na zaniepokojonego. Kiedy wysadza mnie przed umówionym miejscem, jestem już na skraju histerii.

To chwila, o której marzyłam od dekady. Od dziesięciu lat jestem zakochana w Michaelu Maddoksie. Od dziesięciu lat cierpię, marzę i

pragnę, żeby mnie dostrzegł, a teraz jestem tutaj, stoję na chodniku przed barem, do którego zaprosił mnie na drinka.

Cóż, technicznie rzecz biorąc, kazał mi, żebym przyszła na spotkanie, ale to nie czas, żeby roztrząsać takie rzeczy.

Odźwierny w kapeluszu i fraku otwiera dla mnie drzwi, kiwając uroczyście głową, kiedy przechodzę. Wchodzę do ciemnej poczekalni, oświetlonej krzykliwym, czerwonym żyrandolem, który rzuca czerwoną poświatę na gładkie, czarne ściany. Efekt zatrważająco przypomina stróżki krwi.

Wydaje się, że Liquid Kitty jest w rzeczywistości portalem do piekła.

– Dobry wieczór – słyszę głos z prawej strony. Prawie wyskakuję ze skóry.

– Och. Witaj.

Wysoki, łysy mężczyzna, z ramionami jak futbolista, ubrany we frak, materializuje się nagle za czarną, satynową kurtyną. Szybko lustruje mnie swoim oceniającym wzrokiem.

– Przyszła tu pani na spotkanie z członkiem?

Sprawdziłam adres w telefonie, ale nie zdawałam sobie sprawy, że to klub. Myślałam, że to tylko zwykły stary bar. Głuptas.

– Mm… Michael Maddox.

Przekrzywia głowę.

– Bardzo dobrze. Proszę pozwolić, że wezmę pani płaszcz. – Wyciąga dłoń wielkości talerza obiadowego.

– Dziękuję. – Zsuwam płaszcz i podaję mu go, a potem przyciskam torebkę do piersi, jakby była kołem ratunkowym.

Facet we fraku uśmiecha się, rozbawiony moim skrępowaniem. Na chwilę znika za zasłoną, po czym wraca bez mojego płaszcza.

– Tędy, młoda damo.

Pokazuje, żebym podążyła za nim. Ruszam, zadowolona, że nazwał mnie „młodą damą”, a nie „panią”. To taki drobiazg.

Przechodzimy przez kolejną czarną zasłonę do wielkiego pomieszczenia, udekorowanego przez kogoś ze słabością do dziewiętnastowiecznych francuskich burdeli. Czerwone, welwetowe dywany, wykończone frędzlami, zostały rozłożone wszędzie wkoło.

Bogato dekorowane złote lustra zdobią ściany. Ogień strzela w kominku, spowijając całe pomieszczenie ciepłą poświatą.

Staram się zignorować obraz olejny nad kominkiem, przedstawiający lubieżnie wyglądającą, nagą kobietę na kanapie, z białym psem, ale jest tak wielki, że to praktycznie niemożliwe. Jej zmysłowy uśmiech jest wyjątkowo niepokojący.

Przemierzamy to puste pomieszczenie, po czym kierujemy się w stronę kolejnej kotary, a ja zaczynam się zastanawiać, czy dekorator wnętrz dostał jakiś rabat na welwetowe tkaniny.

Mijamy bar i salon, który wygląda jak żywcem wyjęty z powieści Edith Wharton. Wszystko w miękkich skórach, lśniącym drewnie i polerowanych antykach. Trąci wyższymi sferami. Zupełnie jak klientela: dobrze ubrani dżentelmeni i damy, obracający się w towarzystwie z drinkami w dłoniach, śmieją się cicho albo są pogrążeni w rozmowach. Nikt nie zwraca na nas uwagi, kiedy przechodzimy, za co jestem wdzięczna, bo czuję się zażenowana z powodu mojego stroju.

Jestem pewna, że jako jedyna tutaj kupuję w sieciówkach.

W końcu wchodzimy do ogromnej jadalni. Na wielkiej powierzchni rozstawione zostały tuziny stołów, każdy z czterema krzesłami. Na końcu pomieszczenia znajduje się scena. Na pozostałych trzech ścianach rozstawiono prywatne loże w karminowej skórze, stanowiące wielkie nisze z zasłonami przewiązanymi po obu stronach złotymi sznurami.

W jednej z lóż siedzi Michael. Trzyma drinka w dłoni, obserwując drzwi.

Nasze spojrzenia spotykają się, a serce podchodzi mi do gardła i znowu czuję przerażenie.

Boże, jeśli lubisz mnie chociaż trochę, proszę, nie pozwól mi tego schrzanić.

DWADZIEŚCIA JEDEN

– Proszę – mówi facet w smokingu, kłaniając się. Kiedy wskazuje w stronę Michaela, domyślam się, że resztę drogi do stolika muszę pokonać sama.

Weź się w garść – ostrzegam samą siebie, idąc na sztywnych nogach w stronę stołu Michaela. *Nie palnij niczego głupiego. Niech on mówi, a ty po prostu słuchaj.*

Nie odrywa ode mnie wzroku, kiedy idę. Zanim do niego docieram, moja twarz pulsuje od gorąca.

– Hej – mówię nieśmiało.

Wstaje, całuje mnie w oba policzki, po czym się uśmiecha.

– No hej. Usiądź.

Siadam, choć bardziej przypomina to upadek. *Pocałował mnie! W oba policzki!*

– Lubisz whisky? – Popycha swojego drinka w moją stronę.

Nie. Ohyda.

– Tak! Uwielbiam! – Czując ulgę, że wreszcie mam coś do roboty poza ślinieniem się na jego widok, wychylam drinka. Od razu tego żałuję.

Kaszlę, a opary docierają do nosa i gardła. Mój grymas obrzydzenia mógłby zdobyć jakąś nagrodę.

Michael śmieje się.

– A może wolisz kieliszek wina?

Jestem tak zażenowana, że mogłabym owinąć się jedną z tych głupich zasłon i przez resztę wieczności leżeć pod stołem w kokonie, ale przytakuję, bo oczekuje ode mnie racjonalnej odpowiedzi.

– Dzięki.

Michael macha na kelnera, który materializuje się znikąd.

– Dobry wieczór, w czym mogę pomóc?

– Butelkę Romanée-Conti z 2000 roku.

Kelner kłania się tak nisko, że to aż komiczne. Wygląda, jakby ćwiczył jogę.

– Tak jest, proszę pana.

Znika tak szybko, jak się pojawił, pozostawiając mnie, Michaela i moją rozszalałą niepewność samych.

Michael rozpiera się na siedzeniu, układa jedną rękę na oparciu, a następnie uśmiecha się.

– Przyszłaś.

Wiem, że to tylko moja wyobraźnia, ale zabrzmiał super seksownie.

– Mm. Tak. P–przyszłam.

Wpatruje się we mnie, aż chcę zacząć się wiercić. Potem wyciąga rękę i delikatnie dotyka mojego policzka.

– Twoje policzki płoną, Joellen.

Zupełnie jak moje majtki, proszę pana.

– Jestem trochę… to wszystko trochę… zaskakujące. – Martwię się, że powiedziałam coś złego, bo jego uśmiech blednie. Przeczesuje włosy palcami, opiera oba łokcie na stole i wpatruje się w obrus. Ma na sobie marynarkę, która pasuje do koloru jego oczu, białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, beżowe spodnie i ogromny, złoty zegarek, który mieni się w świetle lamp. Chyba jest wysadzany diamentami.

Cam pewnie nabijałby się z faceta, który nosi zegarek z diamentami.

Dlaczego w ogóle myślę o Camie?

Siadam prosto, wyrzucam McGregora z głowy, po czym skupiam się wyłącznie na Michaelu. Pięknym, eleganckim Michaelu, który teraz wygląda, jakby miał się rozpłakać.

– Michael? Wszystko w porządku?

Odchrząkuje, a potem patrzy na mnie z uśmiechem, który wydaje się wymuszony.

– Przepraszam. Będziesz musiała mi wybaczyć… miałem ostatnio ciężkie tygodnie. Rozwód… – Macha ręką, jakby chciał odgonić ten temat. – Dość o mnie i moich problemach. Porozmawiajmy o tobie.

Nie chcę rozmawiać o mnie, bo jestem nudna, ale głównie dlatego, że jego pokaz emocji zbił mnie z tropu. Wiedziona impulsem, dotykam jego ramienia.

– To zupełnie normalne, że jesteś zdołowany, przechodząc przez rozwód. Nie musisz udawać, że wszystko jest w porządku.

Kim teraz jestem, doktorem Philem?

Michael wpatruje się we mnie z koncentracją, między jego brwiami pojawiła się maleńka zmarszczka.

– Dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony. Zawsze to w tobie lubiłem, Joellen. Jesteś miła.

Delikatnie kładzie palce na mojej dłoni, a ja zmuszam się do powstrzymania pożądliwego westchnienia, które przeze mnie przepływa.

Wpatrujemy się w siebie w ciszy, dopóki nie wraca kelner, a wtedy zrywamy się, jakby ktoś przyłapał nas na seksie w miejscu publicznym.

Wachluję się serwetką, podczas gdy kelner otwiera butelkę i wlewa wino do dwóch kieliszków. To piekło dla moich nerwów. Jeśli wyjdę dziś z tego klubu bez kompletnego załamania nerwowego, uznam, że miałam wyjątkowe szczęście.

Kiedy kelner odchodzi, Michael unosi kieliszek.

– Toast.

Również unoszę swój.

– Za co pijemy?

Wargi Michaela wykrzywiają się w niewielkim, uwodzicielskim uśmiechu.

– Za nowy początek.

Z moich ust wydobywa się słaby świst. Powtarzam:

– Za nowy początek. – Mówię to zduszonym głosem, po czym opróżniam kieliszek kilkoma krótkimi łykami.

Nie wygląda na ani trochę zaniepokojonego tym, co większość ludzi uznałaby za mocny dowód na problem z alkoholem. Po prostu upija łyk ze swojego kieliszka, a potem napełnia mój.

– Denerwujesz się. – Spogląda na mnie kątem oka, nalewając.

Wypuszczam powietrze, a następnie zamykam oczy.

– To takie ewidentne?

– Nie wstydź się. Czuję się zaszczycony.

Otwieram oczy i z niedowierzaniem wpatruję się w jego przystojny profil.

– Ty czujesz się zaszczycony?

– To – mówi ze śmiechem, jakby na coś wskazywał. – Naprawdę to lubię.

Teraz jestem zdezorientowana.

– Co?

Odstawia butelkę na stół, a następnie odwraca się w moją stronę, atakując mnie paraliżującym blaskiem swoich błękitnych oczu.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jak czarująca jesteś. To bardzo pociągające.

Tylko tyle mogę zrobić, żeby nie paść trupem. Upijam kolejny łyk wina, po czym szepczę drżącym głosem:

– Dziękuję.

Po chwili, kiedy nie chcę na niego spojrzeć, bo za bardzo boję się tego, co może zobaczyć na mojej twarzy, pyta:

– Uważasz, że jestem atrakcyjny?

Wydaję z siebie odgłos, który pasowałby do kopniętej gęsi.

– Atrakcyjny? Żartujesz? Myślę, że jesteś najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam!

Poza Camem.

Chciałabym przyłożyć komuś w mojej głowie, do kogo należy ten głos, ale nie mam czasu o tym myśleć, bo Michael właśnie położył dłoń na moim kolanie, sprawiając, że moja noga stanęła w płomieniach.

Założyłam spódniczkę, jedną z niewielu, jakie posiadam. Jest prosta i czarna, ale dobrze leży. W końcu ogoliłam nogi, bo uznałam, że co mi tam, jeśli będziemy się bzykać w toalecie Liquid Kitty, moje życie stanie się kompletne.

Ale teraz, kiedy Michael trzyma rękę na mojej nagiej skórze – moja zdzirowata strona sprawiła, że nie założyłam rajstop – myślę, że to mógł być zły pomysł, bo to co czuję przez jego ciepłą dłoń na moim kolanie, przypomina mi doznania trzech mędrców, gdy pierwszy raz ujrzeli dzieciątko Jezus w żłobie.

Czyli zachwyt.

– Dziękuję – mówi Michael, ochrypłym głosem, jego wzrok spoczywa na moich ustach. – Też uważam, że jesteś bardzo atrakcyjna.

Pochyla się, aż czuję jego oddech, słodki i aromatyczny, z nutką wina. *Pocałuje mnie. O Boże. O cholera. To naprawdę się stanie!*

Ale to się jednak nie dzieje, bo kładę dłoń na jego piersi, po czym odsuwam go od siebie.

Wpatruję się w niego. On wpatruje się we mnie. Oboje nie jesteśmy pewni, co się dzieje.

– Mm… technicznie rzecz biorąc, nadal jesteś żonaty, prawda?

Mruga. Marszczy brwi. Potrząsa głową.

– Złożyliśmy pozew o rozwód.

Racja! Jest wolnym strzelcem! Bierz go, dziewczyno!

Moja wewnętrzna zdzira wydaje się nie mieć zahamowań, ale ja najwidoczniej mam.

– To znaczy… przecież to dopiero co się wydarzyło. Jakiś tydzień temu. Może powinieneś… dać sobie chwilę… na przystosowanie.

Jego serce łomocze mocno pod moją dłonią. Uważam to za niezwykle erotyczne. Mam też ochotę walnąć się prosto w twarz.

– Pewnie masz rację – odpowiada z wahaniem, jakby w ogóle nie sądził, że mam rację. Powoli odsuwa się, w jego oczach widać zmieszanie.

Jestem pewna, że temu człowiekowi nigdy w życiu nikt niczego nie odmówił, ale z jakiegoś powodu oto znajdujemy się w alternatywnej rzeczywistości, gdzie dla dziewczyny takiej jak ja ma sens odrzucenie mężczyzny takiego jak on.

– Nie, masz absolutną rację. – Potrząsa głową, jakby chciał oczyścić umysł, i teraz wygląda na przerażonego. – Dobry Boże, naprawdę przepraszam. Nie wiem, co sobie myślałem. Ciągle stawiam cię w takich niekomfortowych sytuacjach. Teraz pewnie pomyślisz sobie, że jestem jakimś rozpustnym świrem, który oczekuje czegoś w zamian za awans!

Ta myśl nigdy nie przyszła mi do głowy, ale teraz jest w niej Cam, który stoi i wpatruje się we mnie z ramionami założonymi na piersi, tupiąc nogą, jakby zaznaczał „A nie mówiłem?”.

– Nie bądź śmieszny! – krzyczę, a Michael wygląda na wystraszonego. Postanawiam, że to czas, by napić się wina i tak też czynię.

Wraca kelner z pytaniem, czy chcielibyśmy zamówić coś do jedzenia.

Michael przejmuje kontrolę.

– Tak, poproszę po jednym steku z polędwicy, krwistym. I podzielimy się sałatką Cezar. Do tego jeszcze jedną butelkę wina.

– Oczywiście.

Kelner kłania się i odchodzi, Michael sięga po swój kieliszek, a ja siedzę załamana, zastanawiając się, jakim cudem tak szybko wszystko się zepsuło.

Nie cierpię krwistego mięsa. Jestem uczulona na sardele. Kiedy mężczyzna zamawia dla mnie jedzenie, nie pytając, na co mam ochotę, nie czuję, że się o mnie troszczy. Przeciwnie, czuję, że mnie nie szanuje i, szczerze mówiąc, nachodzą mnie mordercze myśli. Do tego nie mogę przestać myśleć o Camie, przez co czuję zażenowanie, skrępowanie i irytację samą sobą. Ta trójca negatywnych emocji tylko wzmaga moją chęć ucieczki.

O nie. Zaraz zrobię coś bardzo głupiego.

Odwracam się do Michaela ze słabym uśmiechem.

– Pójdę już. Dzięki za wino.

– Co? Już idziesz? Dopiero co przyszłaś!

Wyskakuję z loży, zanim zmienię zdanie.

– Przepraszam – mamroczę. – Naprawdę przepraszam. Do zobaczenia w pracy.

– Joellen, czekaj! Nie idź! Proszę, po prostu usiądź i porozmawiaj ze mną.

Waham się, bo to pierwszy raz, kiedy użył słowa „proszę". Wszystko inne było rozkazem. Zerkam z powrotem na niego. Stoi przy stole, wygląda na skruszonego, zdezorientowanego i druzgocąco uroczego.

Ale coś tu nadal jest nie tak.

– Bardzo dziękuję, że mnie tu zaprosiłeś i jeszcze raz dziękuję za wino, ale nie mogę zostać na kolacji… mam już inne plany.

Wygląda na tak przybitego, że czuję się winna. Więc szybko podchodzę do niego i całuję w policzek, zanim zdążę zmienić zdanie. Kiedy się odsuwam, chwyta mnie za nadgarstek, po czym przyciąga do swojej piersi.

– Chcę jeszcze porozmawiać. Mogę zadzwonić później?

Jego ciepły oddech na mojej szyi sprawia, że zaciskam powieki. Mamroczę szybkie „tak”, a następnie pytam, czy ma długopis, żebym mogła zapisać mu numer.

– To nie będzie konieczne. Już go mam.

Marszczę brwi, spoglądając na niego.

– Naprawdę?

Uśmiecha się do mnie łagodnie, nadal trzymając za mój nadgarstek, jakby był smyczą.

– Cóż, technicznie rzecz biorąc, mam numery wszystkich moich pracowników.

– Och. Racja. – Śmieję się nerwowo. – Oczywiście, że tak.

Jego spojrzenie przesuwa się na moje usta, a uśmiech blednie. Pochyla się, żeby mnie pocałować, ale odwracam twarz, więc jego usta trafiają na mój policzek. Jego ochrypły śmiech sprawia, że po plecach przechodzi mi dreszcz.

– Dobra. Rozumiem. Dajesz mi czas na przystosowanie. – Chwyta mój drugi nadgarstek, a następnie pochyla głowę do mojej szyi. Zaciąga się moim zapachem, jego usta muskają delikatną skórę pod uchem.

Szepcze:

– Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

Lekko przyciska usta do mojego pulsu, a potem puszcza mnie tak gwałtownie, że zataczam się do tyłu.

Jego spojrzenie jest elektryzujące. Przeszywa powietrze między nami tak, że może ono w każdej chwili stanąć w płomieniach.

Bez słowa odwracam się i wybiegam.

***

Krążę po salonie, kiedy dobiega mnie pukanie do drzwi.

– Otwarte – wołam, wiedząc już, kto to.

Mogłabym poznać pukanie Camerona McGregora nawet na rozpoznaniu policyjnym. Jest bardzo charakterystyczne, tak jak cały Cam.

Wchodzi swoim zwykłym, dumnym krokiem, pytając, gdzie jest jego kolacja, ale staje jak wryty, kiedy widzi moją twarz. Ściąga brwi.

– Znowu rozmawiałaś z mamą?

– Poszłam na drinka z Michaelem. Próbował mnie pocałować. Dwa razy.

Cam stoi tam przez chwilę, patrząc, jak chodzę tam i z powrotem.

– Próbował?

Przytakuję i przygryzam kciuk, a potem odwracam się i maszeruję w drugą stronę.

Cam powoli zamyka drzwi, mija mnie, a następnie siada na kanapie. Ale tym razem nie kładzie nóg na stoliku kawowym, jak to ma w zwyczaju. Pochyla się do przodu, opierając łokcie na kolanach, składa ręce i patrzy. W jego postawie widać napięcie, gotowość, jakby w każdej chwili miał skoczyć na równe nogi. Ma wzrok jak jastrząb.

– Chcesz mi powiedzieć, co się stało?

Mówię mu wszystko, od naszego sprintu po korytarzach firmy dziś rano aż po najkrótszą i najdziwniejszą randkę w historii randkowania. Kiedy kończę, Cam milczy.

– Co myślisz?

Powoli odchyla się, układa dłonie na udach, po czym wypuszcza powietrze przez nos.

– Myślę, że to było mądre.

Przestaję chodzić i patrzę na niego.

– Mądre? Która część?

– Całość. Dobrze rozegrane. Opóźnienie sprawi, że zapragnie cię jeszcze bardziej.

– Cam, ja z nim nie pogrywałam!

Przechyla głowę, przypatrując się mojej twarzy.

– Więc nie chciałaś go pocałować?

W jego głosie słyszę niedowierzanie, co tylko mnie wkurza.

– Jakbyś nie zauważył, dla mnie to nie jest gra!

– Nie unikaj pytania.

Warczę z irytacji, zrywam gumkę z włosów, a następnie znowu zaczynam dreptać.

– To po prostu nie wydawało się właściwe. Wszystko było jakieś dziwne. Takie niespodziewane.

Głos Cama jest oschły.

– Pożądasz tego gościa od dekady, dziołcha. Ciężko to nazwać niespodziewanym.

– Niespodziewane z jego strony! Nigdy mnie nie zauważał, aż do niedawna, a teraz pijemy razem wino w prywatnym klubie w chwili, gdy jego żona składa pozew o rozwód?

– Skąd wiesz, że wcześniej cię nie zauważał? Powiedział ci o tym?

Zatrzymuję się i zastanawiam nad tym.

– Cóż… nie.

– Był żonaty przez cały czas, kiedy się znacie, tak?

– Tak.

– Więc nie mógł powiedzieć ci, jeśli mu się podobałaś. Dopiero teraz miał szansę.

Przeczesuję włosy palcami – nadal są wilgotne po prysznicu – rozważając jego sugestię. W końcu siadam obok niego na kanapie i wzdycham, pocierając czoło.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, co myśleć. Zachowywałam się, jakbym przechodziła załamanie nerwowe. Byłam kompletnym wrakiem. Prawdopodobnie to schrzaniłam.

– Ale powiedział, że chce do ciebie zadzwonić.

Potrząsam głową, nieprzekonana i niespokojna.

– Jakie wino zamówił?

Podnoszę głowę i wpatruję się w niego.

– A jakie to ma znaczenie?

– Ma. Pamiętasz nazwę?

Myślę intensywnie.

– Romany Conty? Coś takiego?

Cam wygląda, jakby był pod wrażeniem.

– Jezu. Musi naprawdę cię lubić.

– Znasz je? Myślałam, że nie pijesz wina.

– To nie znaczy, że nie rozpoznaję jednego z najdroższych burgundów na świecie. Kosztują przynajmniej kilka tysięcy dolarów za butelkę.

Szczęka mi opada. Wypuszczam z siebie świst pełen niedowierzania.

– Wróćmy do tego, że nie chciałaś go pocałować. O co tu chodzi?

Zastanawiam się nad tym pytaniem, ale nie znajduję dobrej odpowiedzi.

– Chyba… byłam po prostu zbyt zdenerwowana.

Po chwili Cam mówi:

– Hmm.

Zanim zdążę zapytać, co, u diabła, ma na myśli przez to enigmatyczne „hmm”, telefon zaczyna dzwonić. Zamieram z przerażenia.

– O mój Boże. Myślisz, że to on?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, dziołcha. Odbierz.

Zaczynam panikować.

– A co, jeśli powiem coś naprawdę głupiego? Co, jeśli wszystko zepsuję? To może być moja ostatnia szansa!

Cam patrzy w sufit, wzdychając, ale ignoruję jego irytację, bo wpadam na genialny pomysł. Chwytam go i potrząsam za ramię.

– Podnieś przenośną słuchawkę w sypialni i przeprowadź mnie przez to!

Marszczy nos.

– Nie bądź głupia. Nie będę czaił się obok, kiedy ty i piękniś urządzicie sobie seks przez telefon.

– Nie będziemy uprawiać seksu przez telefon! – Telefon nadal dzwoni i już teraz mam palpitacje serca. Zrywam się na nogi, po czym popycham Cama go w stronę sypialni. – Odbierz! Idź, idź, idź! – Pędzę do kuchni i zrywam słuchawkę ze ściany, biorę głęboki wdech i mówię spokojnie:

– Słucham?

– Joellen. Tu Michael.

– Och. Cześć. – Udaje mi się brzmieć nonszalancko. W międzyczasie bezgłośnie wrzeszczę na Cama i macham dziko rękami, pokazując mu, żeby poszedł do sypialni.

Potrząsa głową, jakby nie mógł uwierzyć, że dał się w to wrobić, a następnie podnosi się z kanapy i znika w sypialni. Sekundę później słyszę delikatne kliknięcie, więc wiem, że podniósł słuchawkę.

Niskim, zachrypniętym głosem, Michael mówi:

– Jestem w samochodzie. Nie mogłem czekać do powrotu do domu, żeby do ciebie zadzwonić.

Moją odpowiedzią jest kiepskie i zupełnie niepotrzebne przypomnienie.

– Mam nadzieję, że masz słuchawki. To niebezpieczne i niedozwolone prowadzić, rozmawiając przez telefon, jeśli nie masz wolnych rąk.

Cam pojawia się w drzwiach do sypialni, trzymając przenośną słuchawkę przy uchu i krzywi się z obrzydzeniem. Bezgłośnie mówi: „Jesteś beznadziejna".

Macham ręką, żeby dołączył do mnie w kuchni.

Michael oznajmia:

– Nie ja prowadzę, tylko mój kierowca.

– Och. – *No raczej*.

– Ale dziękuję, że się martwisz. – W jego głosie słychać nutę rozbawienia. – Cieszę się, że myślisz o moim bezpieczeństwie.

Cam idzie w moją stronę, kręcąc ręką, co oznacza, że mam kontynuować rozmowę.

– Więc, mm… jeszcze raz przepraszam, że tak od ciebie uciekłam. Chyba po prostu byłam zdenerwowana.

Cam wchodzi do kuchni i opiera się o blat. Wygląda na znudzonego. Aż do chwili, kiedy Michael znowu się odzywa.

– Nie musisz przepraszać. Chociaż muszę przyznać, kiedy powiedziałaś, że masz już plany na kolację, trochę się zmartwiłem. Mówiłaś, że nie ma nic między tobą i tym idiotą, Cameronem McGregorem, ale mam nadzieję, że nie mam żadnych innych rywali!

Cam sztywnieje. Jego nozdrza drgają. Przesuwa na mnie swój wzrok i widzę w nim zagładę.

Może to jednak nie był taki dobry pomysł.

DWADZIEŚCIA DWA

Zanim Góra Wezuwiusz wybuchnie, szybko kładę palec na ustach Cama i napominam Michaela.

– On nie jest idiotą. To naprawdę świetny facet.

Michael prycha z lekkim niedowierzaniem.

– Uważasz tak tylko dlatego, że jesteś miła, Joellen. Uwierz mi, ten facet to absolutne zwierzę.

Cam przeszywa mnie spojrzeniem. Tak ścisnął telefon, że może zmienić się w pył w każdej chwili.

– Skąd możesz wiedzieć? Nawet go nie znasz!

Następuje chwila ciszy, po czym Michael odchrząkuje.

– Masz rację, nie znam go. Ale jeśli choćby połowa tego, co o nim piszą jest prawdą…

– Nie wierz we wszystko, co jest napisane w gazetach.

Cam wygląda na usatysfakcjonowanego, że staję w jego obronie, ale widzę, że nadal ma ochotę coś złamać. Przeklinam się za cały ten pomysł, pokazując mu, że powinien się rozłączyć. Z zaciśniętymi wargami potrząsa głową.

Cudownie.

– Dość mocno go bronisz.

Słyszę podtekst, pewną niezbyt subtelną sugestię, żeby zepchnąć Cama z klifu i zapewnić Michaela, że tylko on mnie interesuje. Z jakiegoś powodu to mnie naprawdę irytuje.

– Chyba tak. Jest moim… przyjacielem.

Cam i ja wpatrujemy się w siebie, a między nami buduje się jakieś dziwne, nienazwane napięcie, podczas gdy Michael wzdycha ciężko.

– Naprawdę? Zaprzyjaźniłaś się z mężczyzną, który zapłodnił nastolatkę i uchyla się od jakiejkolwiek odpowiedzialności?

Żołądek mi się zaciska. Szczęka opada. Wpatruję się w Cama z przerażeniem.

Cam gwałtownie wciska przycisk zakończenia rozmowy na przenośnym telefonie. Potem wyjmuje mi słuchawkę z ręki i odkłada ją na widełki na ścianie, rozłączając mnie z Michaelem. Odwraca się do mnie z zaciśniętą szczęką i opuszczonymi brwiami, jego oczy są czarne od gniewu.

– Wierzysz mu?

– Przede wszystkim, dlaczego mnie rozłączyłeś?

– Oddzwoni za dziesięć sekund. Nie wierzysz?

Myślę o imprezie z rozbieranym pokerem w pierwszą noc, o anonimowej kobiecie, którą poderwał w barze i uprawiał seks na stojąco przy drzwiach do mieszkania Kellena, o tym jak Michael zdradził mi ksywkę Cama. Książę Ściągacz Majtek.

Robi mi się niedobrze, kiedy myślę, że niektóre z tych majtek mogły należeć do nieletnich dziewczyn.

Zakładam ręce na piersi, po czym sztywno rzucam:

– To przecież nie moja sprawa, prawda?

Cam robi krok w moją stronę, więc teraz znajdujemy się bardzo blisko siebie. Kipiąc z gniewu, mówi przez zaciśnięte zęby:

– Więc osądzasz mnie za to, a nawet nie znasz prawdy?

Telefon dzwoni. Oboje go ignorujemy.

– Nie osądzam cię.

– Pieprzenie.

Wpatrujemy się w siebie gniewnie, a telefon wciąż dzwoni.

– Więc to prawda?

„Nie” wypowiedziane przez Cama jest twarde i ostateczne, nawet nie mruga, kiedy to mówi. Czuję ulgę, ale nie rozumiem dlaczego.

– A jaka jest prawda?

Telefon wciąż dzwoni.

– Zamierzasz odebrać?

– Teraz rozmawiam z tobą. Z nim pomówię później.

Cam porusza szczęką, jakby chciał coś powiedzieć, jednak milczy, aż telefon przestaje dzwonić. Całe jego ciało jest spięte, widać ścięgna na szyi. Bierze powolny wdech, rozprostowuje palce, po czym wypuszcza powietrze. Widzę, że próbuje się uspokoić, ale bez skutku.

Jest wściekły, ale nie boję się go ani trochę. Niezależnie, co jeszcze może okazać się faktem na jego temat, to że nigdy mnie nie

skrzywdził, jest prawdą, której jestem absolutnie pewna.

Po dłuższym czasie pyta cicho:

– Czy to ma jakieś znaczenie, Joellen?

W tym pytaniu skrywa się inne, ale nie wiem jakie.

– Tak, oczywiście, że ma.

Jego odpowiedź jest natychmiastowa.

– Dlaczego?

– Bo… – Miotam się, żeby znaleźć odpowiedź, nie do końca rozumiejąc samą siebie. – Bo jesteśmy przyjaciółmi.

Jego śmiech jest krótki i gorzki.

– Twoja umiejętność okłamywania samej siebie jest zadziwiająca, dziołcha.

Czuję się zraniona i wściekła przez jego słowa oraz ton, który sugeruje, że jestem kompletną kretynką.

– Co to miało znaczyć?

Pochyla się do mnie tak blisko, że stoimy nos w nos. Oznajmia mi łagodnie, ale z pasją:

– To znaczy, że my nigdy nie będziemy przyjaciółmi.

Okręca się na pięcie, a potem wychodzi, pozostawiając mnie czerwoną na twarzy od furii i upokorzenia, gdy moje drzwi wejściowe zatrzaskują się za nim.

***

Tej nocy nie śpię. Podczas gdy Pan Bingley chrapie i wierci się na mojej piersi, we śnie goniąc myszy, ja wpatruję się w sufit, analizując wszystko, co wydarzyło się, odkąd poznałam Cama. Każdą rozmowę, każde poranne bieganie, każdą głupią kolację.

Ostatecznie stwierdzam, że on ma rację. Nie jesteśmy przyjaciółmi. Ja jestem projektem, który ma służyć jego rozrywce w trakcie wakacji, a on jest dla mnie środkiem do celu. Celu, którym jest Michael, ale prawdopodobnie doszczętnie to schrzaniłam. Po tym, jak Cam się rozłączył, zadzwonił tylko raz.

Rano wstaję, gdy jeszcze jest ciemno. Zakładam ubrania do ćwiczeń, mając nowe postanowienie. Jeśli Michael naprawdę jest zainteresowany, jedna, dziwna rozmowa telefoniczna nie powinna

tego zniszczyć. A jeśli nie jest, lepiej dowiedzieć się teraz, niż zmarnować kolejne lata życia. Powiem mu, że przerwało połączenie, bo w budynku wysiadł prąd. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Kiedy otwieram drzwi, żeby iść pobiegać, z zaskoczeniem dostrzegam na korytarzu Cama, który już się rozgrzewa. Nie zapukał, więc uznałam, że poszedł beze mnie.

– Och. Hej.

W ciszy podaje mi butelkę zielonej brei, po czym wraca do rozciągania. Wpatruję się w niego przez chwilę, niepewna, co powiedzieć albo zrobić, ale od razu stwierdzam, że nie będę w stanie zrobić czegokolwiek, jeśli nie oczyścimy atmosfery.

– Rozumiem, o co ci chodziło, kiedy mówiłeś, że nigdy nie będziemy przyjaciółmi. I dla mnie to w porządku.

Przerywa, a następnie wpatruje się we mnie. Mimo że jest w swoich zwykłych dresach i bluzie, nadal w jakiś sposób wydaje się odległy. To pewnie przez tę ścianę, która nagle wyrosła między nami.

– To znaczy, wolałabym, żebyśmy się przyjaźnili, ale jeśli tego nie chcesz, możemy pozostać na stopie zawodowej, w porządku. Będziesz tu mieszkał jeszcze przez jakiś czas i byłoby łatwiej, gdybyśmy zachowywali się wobec siebie w cywilizowany sposób. Naprawdę nie chcę musieć znowu męczyć się z twoim rapem. I nadal chciałabym, żebyś pomagał mi w sprawie Michaela, jeśli ty też jesteś wciąć zainteresowany.

Jego milczenie trwa niewygodnie długo.

– Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

Dlaczego stoi tak nieruchomo?

– O którą część pytasz?

– Michaela. Jego właśnie chcesz?

Jego oczy są zagadkowe, nieprzeniknione, zupełnie jak wyraz twarzy.

– Tak.

Przytakuje, jego powieki przymykają się, jak okiennice, gdy nadchodzi burza.

– W porządku, dziołcha, pij. Ruszamy.

Biegniemy w ciszy. To okropne. Całe nasze przekomarzanie się zniknęło, wszystkie lekkie rozmowy umarły i zostały zakopane trzy

metry pod ziemią. Bardzo chcę powiedzieć coś, co poprawiłoby atmosferę, ale nie wiem, dlaczego w ogóle tak się popsuła.

Kiedy wracamy do budynku, zostawia mnie przy drzwiach, przekazując wskazówkę.

– Jeśli będziesz dzisiaj rozmawiała z pięknisiem, nie przekonuj go.

– O czym?

– O niczym. O mnie, tym innym „konkurencie", o którym wspomniał, o tym jak poszła twoja nie-randka. Po prostu rozegraj to tak, jakby nic z tego nie miało znaczenia. To doprowadzi go do szaleństwa. Dobrze?

– Dobrze. I dzięki.

Wpatruje się we mnie bez uśmiechu.

– Nie ma za co. – Wchodzi do swojego mieszkania, po czym zamyka drzwi.

Biorę prysznic, ubieram się, po czym ruszam do pracy. Całą drogę moje myśli zaprząta Cam i wyraz jego twarzy, kiedy zapytał, czy to właśnie Michaela pragnę.

***

Kiedy docieram do pracy, na moim biurku leży liścik, wsunięty pod klawiaturę tak, że wystaje tylko jeden róg. Znajduje się w zapieczętowanej kopercie z moim imieniem wydrukowanym na wierzchu. Zaciekawiona, rozrywam papier, zanim jeszcze pozbędę się płaszcza.

Przepraszam, że cię zdenerwowałem. Ostatni wieczór nie potoczył się tak, jak chciałem. Mam nadzieję, że wybaczysz mi bycie takim dupkiem.

Bardzo długo nie randkowałem i chyba już zapomniałem, jak to jest.

M.

Pod spodem zapisany jest numer jego komórki.

Powoli wypuszczam powietrze, wsuwam kartkę z powrotem do koperty, po czym wkładam ją do torebki. Następnie siadam na krześle i wpatruję się w ciemny ekran komputera, sprzeczając się

sama ze sobą, czy powinnam wysłać email do Michaela czy może jednak zadzwonić.

Ostatecznie postanawiam posłuchać rady Cama i udawać, że to nie ma znaczenia. Na kolejne kilka godzin zatapiam się w pracy, aż telefon na moim biurku zaczyna dzwonić.

– Joellen Bixby przy telefonie.

– Dzisiejszy poranek był do kitu.

Głos Cama jest przepełniony napięciem, ale i tak od razu czuję ulgę.

– Ubiegła noc też. Nie mogłam spać.

Po chwili napiętego milczenia wypuszcza powietrze.

– Ja też nie.

– Nadal jesteś na mnie zły?

– Nigdy nie byłem na ciebie zły, dziołcha – odpowiada cicho. – Jesteś bardzo upartą kobietą.

Dzięki Bogu, pogodziliśmy się. Jestem skołowana.

– To dobrze, bo gdybym musiała znowu słuchać twojej muzyki, rzuciłabym się z okna.

Śmieje się.

– To trochę zbyt dramatyczne, nie sądzisz?

– Do tego jestem ci winna jeszcze dwa domowe posiłki.

– Naprawdę? Liczyłaś?

Jego głos to klasyczny McGregor w stylu: „wiem, że jesteś we mnie zakochana".

– Ty również – rzucam zaczepnie. – I nawet nie próbuj zaprzeczać, pozerze. Moje klopsy to najlepszy moment twojego dnia.

– Tak, dziołcha. Są prawie tak dobre jak zapiekanka.

Uśmiecham się, skręcając kabel telefonu między palcami.

– A skoro już o tym mówimy, jakieś życzenia w kwestii ostatnich dwóch posiłków?

Głos Cama zmienia się, staje się nieco bardziej szorstki.

– No oczywiście, że chcę zapiekankę, dziołcha. Uwielbiam ją. To najlepsze, co kiedykolwiek miałem w ustach.

Po całym moim ciele przepływa fala gorąca. Wyraz jego twarzy, kiedy przerwał pocałunek na kanapie, pojawia się w mojej głowie,

sprawiając, że zaczynam wiercić się na krześle. Potrzebujemy nowego tematu albo będę musiała zmienić majtki.

– W internecie jest nasze zdjęcie. Na portalu plotkarskim.

Klnie pod nosem.

– Przepraszam. Wszystko w porządku?

– Tak, nic mi nie jest, nie musisz przepraszać. Chyba już rozeszło się po biurze. Dziewczyna, która siedzi obok mnie, traktuje mnie teraz jak Beyoncé. A kilku facetów z księgowości powiedziało mi dzisiaj „cześć" w windzie. Myślę, że teraz poproszą mnie o twój autograf.

Cam wzdycha.

– To nie mną interesują się kolesie z księgowości, ty durny uparciuchu.

To poprawia mi nastrój. Gdybym miała przed sobą lustro, teraz wdzięczyłabym się do niego i przyklepywała włosy jak końską grzywę.

– Dobrze działasz na moje ego, wiesz?

Parska.

– Cóż, ty na moje beznadziejnie, więc przynajmniej jedno z nas jest szczęśliwe.

Jest nieszczęśliwy? Nie chcę, żeby był nieszczęśliwy, zwłaszcza przeze mnie.

– Nie zapominaj, że nazwałam cię pięknym, pozerze. – Kiedy nie odpowiada, szybko ciągnę dalej, bo martwię się, że uzna, iż kłamię. – I naprawdę tak myślę. Jesteś wielkim, cudownym, atrakcyjnym fizycznie mężczyzną z górą mięśni, który ma przy tym świetne poczucie humoru i wyśmienite słownictwo. Jesteś ciachem.

Jego przedłużające się milczenie mnie przeraża. Właśnie, kiedy mam zapytać, czy wciąż tam jest, mówi:

– Wygląda na to, że zasługuję na sonet. Zatytułujemy go *Człowiek Góra*. Co się rymuje z „olbrzymie mięśnie"?

Śmieję się. Ulżyło mi, że się odezwałam, a nie siedziałam cicho jak zawsze.

– Już napisałam o tobie sonet. Ale nie jest o mięśniach, tylko o twoich oczach.

Kiedy tylko te słowa opuszczają moje usta, mam ochotę popełnić *seppuku*[5] przy pomocy metalowego noża do kopert, który stoi w pojemniku na długopisy obok komputera. Zamykam oczy, a następnie delikatnie uderzam czołem o biurko.

Śmiech Cama wywołuje u mnie konsternację.

– Jasne, dziołcha.

Nie wierzy mi. Dzięki Bogu. Bo jaki powód mogłabym mieć, żeby pisać sonet o jego oczach? Nie ma takiego. Przynajmniej

żadnego racjonalnego. To po prostu… się stało. Nie mogę ponosić odpowiedzialności za działanie mojego natchnienia!

– Dlaczego tak dziwnie oddychasz? – pyta Cam, kiedy nic nie mówię. – Znowu dokuczają ci gazy? Mam wstąpić do sklepu i kupić ci węgiel?

– Ha. – Oddycham głęboko, próbując zebrać się w sobie.

– Czekaj. – Milczy przez sekundę. – Nie mów, że naprawdę napisałaś o mnie sonet.

Mój jęk przypomina kogoś, kto patrzy, jak opuszczają trumnę do ziemi.

– Dziołszka. Wiesz, co się stanie, jeśli mnie okłamiesz.

Boże, ta mroczna obietnica w jego głosie. Dlaczego, u diabła, tak bardzo mi się to podoba?

– Tak, wiem, co się stanie, pozerze. Przełożysz mnie przez kolano.

– Zgadza się.

– Ale… jeśli po prostu nie potwierdzę czegoś, to w zasadzie nie jest kłamstwo.

– To niedopowiedzenie. A więc wciąż kłamstwo.

– Boże, to brzmi tak, jakbyś szukał wymówki, żeby dać mi klapsa!

– Chciałbym mieć wymówki, żeby robić z tobą wiele brzydkich rzeczy, skarbie. Nawet nie masz pojęcia.

Ton jego głosu… o kurczę. Niski, chrapliwy i śmiertelnie poważny, czuję mrowienie w sporej części zakończeń nerwowych. Dobra, we wszystkich zakończeniach nerwowych.

Pewnie przez wszystkie te głupie ciarki mówię właśnie to, co mówię:

– Na przykład jakie? – Wstrzymuję oddech, czekając na odpowiedź, ale jego nastrój w mgnieniu oka zmienia się z mrocznego i rozżarzonego w lekki i kpiący.

– Ach, chciałabyś wiedzieć! A ty czasem nie masz pracy, leniuchu?

– Hej, to ty do mnie zadzwoniłeś.

– Tak. A teraz się rozłączę. I nie zapomnij dzisiaj o moim jedzonku, skarbie. – Jego głos staje się niższy. – I ma być ekstra gorące.

Potem kończy połączenie. Odkładając słuchawkę na widełki, zaskoczona zauważam, że ręce mi drżą.

DWADZIEŚCIA TRZY

Punktualnie o szóstej po południu Cam wkracza bez pukania do mojego mieszkania. Jestem w kuchni i przygotowuję – oczywiście – zapiekankę pasterską.

– Lojalnie uprzedzam wszystkich mieszkańców tego domostwa, przybył Cameron McGregor! – woła, zamykając za sobą drzwi.

Pan Bingley zawzięcie wylizuje swoje futerko na kuchennym krześle, ale czując wibracje zamykanych drzwi, zamiera, otwiera szeroko oczy, a następnie pędzi do salonu z ogonem uniesionym w wyrazie ekscytacji.

– Cześć, ty mały skubańcu bez jajek – słyszę przyjazny głos Cama. – Gdzie twoja mamusia?

– Tutaj!

Po chwili Cam wyłania się zza rogu z Panem Bingleyem rozłożonym na jego ramionach jak etola.

– Dziołszka – rzuca z wypiętą piersią – co sądzisz o moim nowym futrze?

Potrząsam głową z niedowierzaniem, widząc obrazek, jaki sobą prezentują.

– Myślę, że ten zwierzak jest w tobie prawie tak zakochany jak ty sam.

– Tak. Bystry z niego koleś. Jak tam w pracy? – Podkrada się do kuchenki i wciąga aromat, który wydobywa się z podsmażanego przeze mnie mięsa.

Odgarniam koci ogon ze swojej twarzy.

– Dobrze. I dziwnie. Michael zostawił mi liścik z przeprosinami na biurku razem ze swoim numerem telefonu. Portia ciągle patrzy na mnie, jakby planowała mnie porwać i zamordować. A dziewczyna, która siedzi obok mnie, nie przestaje dopytywać o rozmiar twojego interesu. Według niej zdjęcie w TMZ to dowód, że się bzykamy.

– Już rozmawialiśmy o tym, że okazujesz brak szacunku klejnotom rodowym, nazywając je interesem, skarbie.

Łokciem odsuwa mnie z drogi, żeby móc wykraść trochę mięsa z patelni, jak zwykle palcami.

– Hej! – Uderzam go w nadgarstek. – Wiesz, że nie lubię, kiedy to robisz!

– To moja kolacja, dziołcha. Zjem ją tak, jak mi się podoba. – Zjada kawałek, oblizuje usta, wzdycha z zadowolenia, a potem podstawia swoje palce Panu Bingleyowi, który z radością zlizuje z nich resztki sosu.

Wywracam oczami, po czym wracam do mieszania.

– Nie powinieneś jeść niedogotowanego mięsa, pozerze. Złapiesz salmonellę.

– Pff. Tak jakby bakteria miała czelność zadzierać ze mną. Musisz wiedzieć, że ja nigdy nie choruję.

– Przydaj się na coś i nakryj do stołu, zanim rozbiję tę patelnię na czubku twojej grubej czaszki.

– Więc powiedziałaś jej, tak?

Patrzę na niego. Uśmiecha się do mnie, tak zadowolony z siebie, że już bardziej się nie da. Kot ułożył głowę na ramieniu Cama i zamknął oczy. Mogłabym przysiąc, że on też się uśmiecha.

– Powiedziałam co komu?

– Powiedziałaś tej dziewczynie z pracy o majestacie i bogactwie moich klejnotów rodowych.

Policzki zaczynają mi płonąć. Odwracam się z powrotem do patelni.

– Nie.

– Dlaczego nie? Nie żebyś tego nie wiedziała.

Gorąco rozlewa się po mojej szyi.

– Nakryjesz do stołu czy nie?

Cam pochyla się, po czym mówi mi prosto do ucha:

– Powiedz jej, że dwadzieścia osiem centymetrów. – Kiedy widzi, że oczy wychodzą mi z orbit, dodaje ze śmiechem: – Albo możesz powiedzieć jej prawdę i zobaczyć, czy zemdleje.

Gdy na niego zerkam, wykonuje gest kciukiem, wskazując, że w rzeczywistości jest jeszcze więcej.

– Pomińmy to – mówię ochryple, a potem przerywam, żeby odchrząknąć. *Spokojnie. Joellen. Spokojnie.* – Co sądzisz o liściku Michaela?

Widzę, że Cama bawi moja niezdarna zmiana tematu, ale odpuszcza.

– Dzwoniłaś do niego?

– Nie.

– Napisałaś maila?

– Nie.

– Widziałaś się z nim w biurze?

– Nie.

– Więc sądzę, że możesz spodziewać się dziś telefonu.

Mój żołądek skręca się z niepokoju.

– Naprawdę?

– Tak. Powinniśmy omówić strategię.

– Strategię. Mówisz tak, jakbyśmy szli na wojnę.

Uśmiech Cama wydaje się normalny, ale jego oczy płoną zaskakująco intensywnie.

– Miłość jest wojną, skarbie. To jedyne w świecie, za co warto przelać krew.

Odwraca się, a następnie podchodzi do szafki, żeby wyjąć talerze, podczas gdy ja gapię się na patelnię z mięsem, zastanawiając się, dlaczego to stwierdzenie brzmiało tak złowrogo.

Przekładam mięso oraz warzywa do naczynia żaroodpornego, a na koniec układam na wierzch tłuczone ziemniaki. Wkładam całość do piekarnika, ustawiam czas, po czym nalewam sobie kieliszek wina.

Kiedy stawiam piwo przed Camem, który siedzi teraz przy kuchennym stole z kotem na kolanach, marszczy brwi.

– To ciemne piwo.

– Wiem. Mówiłeś, że takie właśnie lubisz. – Kiedy patrzy na mnie bez komentarza, czuję, że muszę się bronić. – Jest importowane.

Cam nic nie mówi.

– Facet w sklepie powiedział mi, że jest dobre. Kosztowało więcej niż mięso!

– Nie ma potrzeby krzyczeć, dziołszka – mówi. Jego głos jest tak łagodny jak jego uśmiech. – Słyszę cię głośno i wyraźnie.

Kolejne stwierdzenie, które wydaje się dwuznaczne. Spod jego powierzchni wyziera dodatkowa niewidzialna warstwa. Doprowadza mnie to do szału! Ostatnim, czego teraz potrzebuję, to jeszcze więcej tajemnic w moim życiu!

– Jesteś niemożliwy – jęczę.

– Niemożliwie wspaniały, wiem. Wróćmy do strategii.

Dołączam do niego przy stole, próbując się nie uśmiechać, kiedy słyszę jego nieustające samouwielbienie, bo nie chcę go jeszcze zachęcać. Chociaż muszę przyznać, że jestem trochę zazdrosna. To musi być miłe iść przez życie z przekonaniem, że jesteś boskim darem dla ludzkości.

– W porządku. Strategia. Powiedz mi, jak powinnam się zachowywać, kiedy zadzwoni.

– Tak samo, jak zachowujesz się przy mnie.

Krzywię się.

– Nie mogę przy nim zachowywać się tak, jak przy tobie!

– Czyli być sobą?

– Dokładnie! Nigdy mnie nie polubi, jeśli będę sobą! Jestem beznadziejna!

Cam patrz na mnie spode łba, po czym bierze długi łyk piwa. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś przełykał ze złością, ale najwidoczniej da się.

– Pomijając, jak szalony jest fakt, że chcesz być z mężczyzną, który nie polubiłby cię takiej, jaką jesteś, chodziło mi o to, żebyś nie spełniała jego zachcianek. Nie zmieniaj się, żeby tylko sprawić mu przyjemność. Traktuj go jak młodszego brata: czasami uroczy, ale głównie irytujący.

Gapię się na Cama, jakby oszalał.

– Jakim cudem traktowanie mężczyzny, jakby był irytujący, może być uznane za atrakcyjne przez rzeczonego mężczyznę?

– To nie działa na wszystkich facetów. Ale na kolesi jak on, bogatych i ślicznych, którzy przywykli, że kobiety padają im do stóp, to działa jak zaklęcie. Bo stajesz się wyzwaniem. Może uganiać się za tobą, co samo w sobie jest fajne, ale też zwiększa twoją wartość. Nie podasz mu się na tacy. Kiedy mężczyzna musi się bardzo postarać,

żeby coś zdobyć, docenia to podwójnie. Stajesz się nagrodą, na którą zasłużył, a nie prezentem.

Rozważam to przez chwilę, przyglądając się wszystkim moim dotychczasowym interakcjom z Michaelem, i muszę przyznać, że Cam może mieć słuszność.

– Dobra, to ma sens.

Zatrzymuje butelkę w połowie drogi do ust i zaczyna się śmiać.

– Przepraszam, czy mogłabyś powtórzyć? Przyznałaś właśnie, że mogę mieć rację?

– Zamknij się. Co jeszcze?

Pociąga kolejny łyk piwa. Obserwuję jego gardło, kiedy przełyka, a jabłko Adama przesuwa się w górę i w dół. Podziwiam, jak mocną ma szyję. Przenoszę spojrzenie na jego ramiona i wszystkie te głupie mięśnie, które rozciągają materiał koszulki. Patrzę na jego uda, jak pnie drzew, odziane w błękitne dżinsy, następnie na brzuch i kaloryfer mięśni odznaczający się pod cienką bawełną jak reklama efektów chodzenia na siłownię.

Wszystko w nim jest mocne, od ciała, przez ego, aż po zęby… które teraz są w pełni widoczne, bo uśmiecha się do mnie.

– Co? – Czuję się zdezorientowana przez ten nagły, olśniewający uśmiech.

– Nic. Tylko może chciałabyś popracować nad swoją pokerową twarzą, dziołszka. Jeśli będziesz tak pożerać wzrokiem Michaela, od razu załapie, co się święci.

– Nie pożerałam cię wzrokiem!

– Mogę zdjąć koszulkę, jeśli chcesz. Pozwolę ci nawet pogłaskać biceps, ale to tyle, bo nie jestem tylko przystojnym, wartym sonetów Człowiekiem Górą, wiesz. Jestem istotą ludzką. Mam uczucia.

Wypuszczam powietrze z zażenowaniem. Potem upijam łyk wina, żeby zyskać na czasie, bo rzeczywiście pożerałam go wzrokiem, a on przyłapał mnie na gorącym uczynku.

– Zabawny jesteś – wyduszam w końcu, siląc się na nonszalancki ton. – Możemy wrócić do strategii?

Przysięgam, że jego uśmiech można by zobaczyć z przestrzeni kosmicznej.

– Jesteś urocza, kiedy się wstydzisz. Te różowe policzki.

Wstaję, a potem podchodzę do piekarnika, zaglądając do środka, jakbym mogła tam znaleźć lek na swoje udręczenie. Ale jest tam tylko zapiekanka pasterska, która w mojej wyobraźni właśnie śmieje się ze mnie.

Chyba robi mu się mnie żal, bo odpuszcza.

– Dobra, przejdźmy dalej. Zasada numer jeden – nazwiemy ją złotą zasadą – spraw, że on będzie gonił za tobą. Im dłużej, tym lepiej. Ale do tej zasady jest wiele wytycznych. A wszystkie dotyczą sztuki oddawania siebie.

– Jakoś nieprzyjemnie kojarzy mi się to z prostytucją.

– Pomyśl o tym tak, jakbyś zostawiała za sobą ścieżkę z okruszków. Maleńkich, przepysznych okruszków, Joellen. Trochę tu, trochę tam, akurat żeby wzmóc jego głód, ale nie dość by go zaspokoić.

Wracam do stołu i siadam, zaczynam czuć się rozczarowana.

– To wszystko jest bardzo skomplikowane.

– To najłatwiejsza rzecz na świecie, skarbie. Nazywa się uwodzeniem i jest grą, w której każdy wygrywa. – Po chwili dodaje: – Z jakiego powodu było to smętne westchnienie?

– Wszystko byłoby dużo łatwiejsze, gdyby po prostu mogło być tak, jak między nami.

Cam milczy przez chwilę. Kończy swoje piwo, po czym mówi ochryple:

– Czyli gdybyście mogli być przyjaciółmi.

Nie jestem pewna, co przez to rozumiem, bo sama jestem zaskoczona swoim stwierdzeniem. Nie planowałam tego, ale muszę przyznać, że to prawda. Nie muszę myśleć, kiedy jestem z Camem. Mogę po prostu być sobą, bo nie staram się mu zaimponować.

– Och! – Zaskakuje mnie nagły przebłysk inspiracji. Siadam prosto.

– Co?

Patrzę na Cama z przekonaniem, że jestem geniuszem.

– Będę udawać, że on jest tobą!

Cam wpatruje się we mnie. Jego szczęka pracuje. Przekręca się na krześle, a kot, niezbyt zadowolony, zeskakuje z jego kolan.

– Możesz powtórzyć?

– Tak, jak kazałeś mi zrobić, kiedy się całowaliśmy… udawać, że jesteś nim!

– I robiłaś to? – rzuca cicho, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć oczywiste „tak”. Ale słowo zamiera na moich ustach, bo odpowiedź oczywista, nie jest tą właściwą. To nieprawda.

Przy obu pocałunkach z Camem ani razu nie pomyślałam o Michaelu.

Natychmiast zaczynam panikować, mój puls skacze pod niebiosa, a dłonie zaczynają drżeć.

– Mm…

– No dalej – mówi Cam łagodnie. – Okłam mnie.

Wpatrujemy się w siebie, a moje serce uznaje, że ma dość tego bzdurnego bicia i zamiera mi w piersi. Kiedy dzwoni telefon, prawie mdleję.

Cam rusza pierwszy. Podchodzi do telefonu, podnosi słuchawkę, przynosi mi ją, wyciąga w moją stronę, a potem w milczeniu patrzy, jak przykładam ją do ucha.

Wiem, że widzi, jak drżą mi ręce. Wiem, że widzi kolor moich policzków. Wiem, że widzi, jak nieregularny stał się mój oddech, bo analizuje to wszystko. Jego wzrok przesuwa się po mojej twarzy, kiedy piszczę do telefonu:

– Halo?

– Joellen. Tu Michael.

Cam i ja stoimy oddaleni o krok, nie odrywając od siebie oczu. Mam wrażenie, że moja krew płonie.

– Czy to dobry moment, żebyśmy porozmawiali?

– W zasadzie, Michael – przełykam ślinę – mam towarzystwo.

Cam zbliża się minimalnie, pochyla nieznacznie w moją stronę, choć nie przesuwa stóp.

– Towarzystwo? – Jego głos jest ostry. Zbyt ostry.

Sytuacja zmieniła się tak, jakbym nigdy tego nie podejrzewała i wykpiłabym każdego, kto śmiałby to zasugerować. Michael Maddox mnie irytuje.

– Tak – mówię pewnie, prostując ramiona. – Towarzystwo. Oddzwonię do ciebie.

Michael brzmi, jakby był na mnie zły, ale próbuje to ukryć przy pomocy uprzejmych słówek.

– Oczywiście. Jestem wolny przez resztę wieczora. Dzwoń o każdej porze.

– W porządku. Dzięki.

– Cześć.

– Pa.

Bez słowa wyciągam słuchawkę w stronę Cama. Bierze ją z moich rąk, wpatruje się we mnie przez chwilę, po czym odkłada na widełki, a całe jego ciało promieniuje napięciem.

Nie wiem, co się dzieje, ale wydaje się ważne.

– To było dobre – mówi do ściany. – Brzmiało bardzo naturalnie. Kiedy do niego oddzwonisz, nie rozmawiajcie dłużej niż dziesięć minut i upewnij się, że to ty zakończysz rozmowę.

– Nie zamierzam do niego oddzwaniać.

Cam odwraca się powoli. Nasze spojrzenia spotykają się.

– Nie?

– Mam gościa na kolacji. Porozmawiam z nim jutro.

Mięsień w szczęce Cama wykonuje niesamowitą serię ćwiczeń.

– Czekałaś na niego przez dziesięć lat, dziołszka.

– Więc jeszcze jeden dzień nie zaszkodzi. Poza tym muszę poćwiczyć złotą zasadę. Rzucam okruszki, tak?

– No nie wiem, Joellen. To właśnie robisz?

Jego głos jest chrapliwy, tak szorstki jak mój oddech… i ma trochę racji.

Co ja robię?

Jakby na zawołanie, zegar piekarnika zaczyna dzwonić. *Uratowana przez dzwonek!* Przełykam histeryczny śmiech, który rośnie mi w gardle, po czym podchodzę do kuchenki. Zanim zdążę tam dotrzeć, chwyta mnie para wielkich dłoni.

Wtedy zostaję przyparta do ściany. Wpatruję się w twarz Cama, jego mroczną, niebezpiecznie intensywną twarz.

Chwyta mnie za ramiona, patrzy mi w oczy, a następnie mówi cicho:

– Cokolwiek robisz, lepiej, żebyś była tego pewna. Daj sobie czas. Rozgryź to. Ale bądź pewna. Jesteś to sobie winna.

Puszcza mnie, po czym rusza z powrotem do stołu. Siada, zarzuca stopy na drugie krzesło, splata palce na brzuchu i uśmiecha się.

– A teraz daj mi tę przeklętą zapiekankę, kobieto. Umieram z głodu.

Wyraz jego twarzy i głos są nonszalanckie, ale oczy… Och, jego oczy.

Płoną żywym ogniem.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Nigdzie dziewczyno
Tak długotrwała dysfunkcja
Serce rozpostarte
Ból jak ciosy wagi ciężkiej
Chaos skrzydeł
W mojej głowie
Słodkogorzkie rzeczy
Śpią w moim łóżku
Dziesięć lat, jedna nadzieja, niemożliwe marzenie
I wtedy przemówił, ale jak to możliwe
Słowa z jego ust niewłaściwe, złe
Może problemem jestem właśnie ja?
Mój głód urósł do niebotycznych rozmiarów
Jestem kobietą niemającą nic do stracenia.

Jest środa. Jestem w pracy, siedzę przy biurku i robię to, w czym jestem najlepsza.

Popadam w obsesję.

Sonetowi, który skomponowałam, nadaję tytuł *Głód*, zapisuję go na dysku w komputerze, po czym zamykam program tekstowy. Wtedy robię coś, z czym mój umysł siłował się przez ostatnie kilka godzin – googluję Camerona McGregora.

Jestem oszołomiona, kiedy wyszukiwanie daje ponad czterdzieści pięć milionów rezultatów.

Są tam jego strona na Wikipedii, media społecznościowe, niezliczone artykuły, wywiady i zdjęcia. To szokujące widzieć go w akcji na stadionie do rugby, bo nie wygląda ani trochę jak mężczyzna, którego poznałam.

Wygląda dziko. Zaciekle. Przerażająco. Jakby wypuścili go z więzienia o zaostrzonym rygorze na krótką przepustkę, tylko na czas

gry. Na żadnym zdjęciu się nie uśmiecha.

Poza stadionem albo „boiskiem”, jak się dowiedziałam, że je nazywają, sytuacja wygląda jeszcze gorzej. Kiedy jest w Europie, paparazzi najwidoczniej śledzą go na każdym kroku, bo nie ma chwili z jego życia nieudokumentowanej na filmie. Nagrali go chyba pod każdym kątem, czy to wytaczającego się z pubu, czy pyszniącego się drogim samochodem.

Są też kobiety.

Wszystkie młode, z dużymi biustami i piękne, uwieszone na nim praktycznie na każdym zdjęciu. Na imprezach, wydarzeniach, przy linii bocznej boiska, prawie zawsze jest oblepiony kobietami, jakby był lepem, a one muchami.

Trochę zaczyna mnie od tego mdlić, aż uświadamiam sobie, że Cam nie uśmiecha się na żadnym z tych zdjęć. I nigdy nie sfotografowano go dwa razy z tą samą kobietą.

Raz i wystarczy, co, pozerze? Uważnie przeglądam zdjęcia i z każdą mijającą minutą zyskuję coraz większą pewność, że oglądam montaż wyjątkowo nieszczęśliwego życia. Nawet otoczony adorującym go tłumem, wygląda na wściekłego i samotnego. Nasza rozmowa w salonie zaczyna mnie nawiedzać.

– Czy życie jest łatwiejsze, kiedy jest się pięknym?

– Moje życie nigdy nie było łatwe.

– Dla ciebie życie to jeden, wielki bufet pełen wyborów.

– Czyżby?

Gdybym miała przyjąć za dowód wszystkie te zdjęcia, musiałabym przyznać, że to, co uważałam za bufet, dla niego wygląda bardziej jak stypa.

Klikam na jego stronę w Wikipedii i czytam listę osiągnięć zawodowych, nagród i tytułów, po czym przechodzę do sekcji *Wczesne życie*.

Urodzony w biedzie, jako dziecko samotnej nastolatki, w Edynburgu, w Szkocji, Cameron Christopher McGregor od początku musiał radzić sobie z przeciwnościami. Przyszedł na świat dziewięć tygodni przed terminem, z powodu przemocy fizycznej, której jego matka doświadczała z ręki ojca, Duncana. Przy urodzeniu ważył zaledwie półtora kilograma. Miał niewykształcone płuca, musiał mieć podawany tlen, ale szybko

wykształcił się pozasoczewkowy rozrost włóknisty jako efekt terapii tlenowej, skutkujący odwarstwieniem siatkówki, która później musiała zostać skorygowana operacyjnie.

– O mój Boże – szepczę przerażona, łapiąc się za gardło. Czytam dalej, a każde kolejne zdanie jeszcze bardziej mnie przybija.

Skazany na osiem lat więzienia za pobicie swojej ciężarnej dziewczyny, Duncan McGregor powiesił się w celi po zaledwie dziesięciu dniach odbywania kary. Przez pierwsze kilka lat życia Camerona jego matka musiała egzystować za zaledwie 180 funtów od rządu. Z uwagi na swoje wcześniactwo i zażywanie przez matkę narkotyków w okresie ciąży, Cameron cierpiał z powodu serii problemów zdrowotnych w dzieciństwie, w tym powolny rozwój fizyczny, problemy w nauce i zespół nadpobudliwości ruchowej z deficytem uwagi (zwany również ADHD).

W wywiadach opowiadał, jak okrutnie był szykanowany w szkole ze względu na wątłą posturę i problemy w nauce. Po jednym z takich incydentów wylądował w szpitalu ze złamaną żuchwą i rozległym krwotokiem wewnętrznym po tym, jak został pobity do nieprzytomności przez grupę starszych chłopców.

Zaczynam gwałtownie mrugać, żeby pozbyć się łez, które zamazują mi widok. Nie działa, więc biorę kilka chusteczek z górnej szuflady, po czym osuszam kąciki oczu, aż znowu zaczynam widzieć.

Kiedy Cameron miał dwanaście lat, jego matka znalazła pracę w ramach rządowego programu, który miał na celu pomóc sprawnym obywatelom na zasiłku wrócić na rynek pracy. Otrzymała stanowisko gosposi w domu Sir Francisa Gladstone'a, członka Parlamentu. Sir Gladstone miał trzech synów, w wieku miedzy piętnaście a dwadzieścia lat, wszyscy byli poważanymi, amatorskimi graczami w rugby. To za ich sprawą Cameron zaangażował się w sport.

Cameron i jego matka żyli z Sir Gladstonem aż do jej samobójstwa, kiedy Cameron miał osiemnaście lat, w tym samym roku, gdy został zwerbowany do Red Devils. Plotki głosiły, że Sir Gladstone i Catherine

McGregor pozostawali w romantycznej relacji w momencie jej śmierci, ale on temu zaprzeczył.

Wpatruję się w ekran zszokowana.

Oboje rodzice popełnili samobójstwo. W wieku osiemnastu lat był sierotą. Był biedny, słaby, bity i szykanowany, dosłownie pokrzywdzony, a jednak jakoś udało mu się znaleźć siłę, by zostać jednym z czołowych sportowców świata.

Czuję się jak przejechana przez walec. Nic, co myślałam o Cameronie McGregorze, nie jest prawdą.

– Joellen.

Aż podskakuję na dźwięk głosu Cama, sądząc, że popadam w paranoję. Ale kiedy się odwracam, on stoi w wejściu do mojego boksu, a recepcjonistka nerwowo przestępuje z nogi na nogę tuż za nim.

– Ten dżentelmen powiedział, że go oczekujesz – mówi recepcjonistka, Kim, słodka dziewczyna z tikiem nerwowym lewej powieki. Zawsze wygląda, jakby mrugała konspiracyjnie.

– Nie mów, że zapomniałaś o naszej randce podczas lunchu – rzuca mój gość, kiedy siedzę skamieniała, zdziwiona jego obecnością.

– Randka podczas lunchu? – pytam osłupiała. Kiedy widzę, że oczy Kim rozszerzają się ze strachu, szybko się wycofuję. – Och! Tak! Przepraszam, byłam tak zaabsorbowana pracą, że straciłam poczucie czasu!

Wzrok Cama przesuwa się na ekran mojego komputera.

Skaczę na równe nogi, jakby moje krzesło stanęło w płomieniach i tak mocno uderzam we włącznik, że prawie zrzucam ekran z biurka. Potem bez tchu odwracam się i uśmiecham maniakalnie jak klaun cyrkowy.

– Dobra! Wszystko ustalone! – Kim odchodzi ze zdezorientowanym wyrazem twarzy, podczas gdy Cam stoi spokojnie, zagarniając całą przestrzeń.

Kątem oka widzę czubek głowy Shasty wyłaniający się ponad ścianką boksu. Wszędzie wokół nas rozlegają się szepty, bo McGregor

jest ogromny, przystojny i nie da się go nie zauważyć. Jego ramiona są prawie tak szerokie jak moje biurko.

Z szalonym uśmiechem przyklejonym do twarzy pytam przez zaciśnięte zęby:

– Co ty tu robisz?

– Mógłbym zapytać cię o to samo, dziołcha. – Jego uśmiech jest prawie tak samo absurdalny jak mój, ale podczas gdy mój jest histeryczny, jego ewidentnie wygląda szelmowsko.

Jest bardziej ubrany, niż kiedykolwiek go widziałam, co oznacza, że założył czarną, skórzaną kurtkę do dżinsów i koszulki. Do tego podbródek z zarostem i ciężkie buty, dzięki czemu uzyskał ogólny efekt niewymuszonego luzu. Wygląda świetnie i dobrze o tym wie.

Podobnie jak wszystkie kobiety na piętrze, które właśnie zbiorowo moczą majtki. Oczy Shasty wystające ponad ścianką boksu są jak spodki.

A potem wydarza się najgorsza z możliwych rzeczy.

– Cóż, to dopiero niespodzianka. Rozpoznaję cię z tabloidów. Cameron McGregor, zgadza się?

Odwracamy się w stronę Michaela, który zatrzymał się w korytarzu kilka kroków od nas. Patrzy na mojego przyjaciela, jakby ten był robakiem, którego ma ochotę zmiażdżyć pod podeszwą swojego mokasyna z cielęcej skóry od Hermèsa.

Cam spogląda na mojego szefa, posyłając mu jeden ze swoich popisowych, drwiących uśmiechów.

– Tak jest. Pewnie chciałbyś autograf, ale musisz mi wybaczyć, kolego. Właśnie wybieram się na lunch z Joellen.

Michael – olśniewający w szytym na miarę garniturze Brioni w kolorze, jaki przybierają oczy McGregora, gdy ten jest wyjątkowo wściekły – prostuje ramiona.

– Nie prosiłem o autograf.

Rzucają sobie spojrzenia, a ja tymczasem walczę z chęcią zanurkowania pod biurko i zwinięcia się w kłębek, dopóki nie ustąpi łomotanie w mojej piersi. Widzę, że Cam również doskonale wie, z kim rozmawia, ale udaje, że nie ma pojęcia, i że bierze Maddoxa tylko za kolejnego fana, zachwyconego jego obecnością.

Jeśli chce doprowadzić go do szału, wybrał idealny sposób. Szyja mojego szefa przybrała właśnie barwę głębokiej czerwieni.

„Wiem dokładnie, co rozwścieczy pięknisia" – powiedział mi kiedyś. Oto niepodważalny dowód.

Sytuacja zmienia się wręcz w melodramatyczną, kiedy za dyrektorem pojawia się Portia, zakradająca się jak lis do kurnika. Lustruje mojego gościa z góry do dołu, a jej lisi nos aż drga, czując świeże mięso.

– Och. Proszę wybaczyć – mruczy. – Przeszkadzam?

Boże, pomiędzy tą trójką czuję się jak w Trójkącie Bermudzkim.

– Właśnie wychodziliśmy na lunch! – rzucam nerwowo.

Wzrok Portii przenosi się na mnie. Z zaskoczeniem dostrzegam w jej oczach zaciekawienie, a nie zwykłą wrogość. Patrzy na obu mężczyzn, potem znowu na mnie, ale nic nie mówi.

Michael zauważa sztywno:

– Trochę wcześnie jak na lunch, nie sądzicie? Jest ledwo po jedenastej.

Cam odpowiada znaczącym śmiechem.

– Joellen nie mogła się doczekać. Zadzwoniła i poprosiła, żebym przyszedł wcześniej.

Rumieniec z szyi Michaela przechodzi aż do uszu, ale, co ciekawsze, zainteresowanie w spojrzeniu Portii zmienia się w coś innego. Ulga? Nie, to nie miałoby sensu. Ale nie mam czasu tego rozważać, bo zostaję kompletnie zbita z tropu, kiedy Portia uśmiecha się i mówi:

– Jak miło! Tak ciężko pracujesz, Joellen. Zasługujesz na długi lunch. Porozmawiamy po południu. Chciałam tylko omówić z tobą aktualny nakład pracy. To może poczekać. Panowie. – Spogląda na jednego mężczyznę, następnie na drugiego, po czym odchodzi sprężystym krokiem.

Gapię się na jej plecy, przekonana, że musiałam paść ofiarą wypadku i mam uszkodzony mózg. Nie ma mowy, żeby to właśnie się wydarzyło.

– Chodź, dziołcha. Wiem, jaka się robisz, kiedy jesteś głodna. – W głosie Cama słychać poufałość, co sprawia, że usta Michaela wykrzywiają się z bezwzględnością. To dziwna reakcja, która

zdecydowanie mi się nie podoba. To pierwszy raz, kiedy widzę, żeby jego twarz była tak daleka od piękna.

Przyłapuje mnie na tym, że na niego patrzę i twardy wyraz twarzy znika tak szybko, jak się pojawił. Uśmiecha się. Wygląda tak słodko, że zaczynam się zastanawiać, czy sobie wszystkiego nie wyobraziłam.

– Życzę miłego lunchu. Do zobaczenia. Panie McGregor – na twarzy Michaela maluje się ten sam dobrotliwy uśmiech – bardzo miło było poznać.

Słyszę sarkastyczny podtekst, ale jeśli Cam również, nie okazuje tego. Uśmiecha się szeroko i promiennie.

– Często to słyszę.

Michael poprawia krawat, ewidentnie żałując, że nie zaciska go na szyi mojego gościa. Odwraca się, po czym szybko odchodzi.

Wypuszczam powietrze, choć nawet nie zdawałam sobie sprawy, że je wstrzymuję.

– Jasna cholera – mówię drżącym głosem. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Cam patrzy, jak mój szef się oddala.

– Jasne, że tak. Wywołuję wojnę. – Kiedy na niego patrzę, puszcza oczko. – Jeśli ten nadęty sztywniak nie był jeszcze w tobie zakochany, to na pewno teraz już jest. Nie ma nic, czego tacy jak on nienawidzą bardziej, niż kiedy jakiś koleś z niższych sfer zaczyna się puszyć i kładzie rękę na ich własności.

– Nie bądź śmieszny, McGregor. Michael nie uważa mnie za swoją własność.

– A właśnie, że tak, dziołcha. Pytanie brzmi, czy tobie się to spodoba, kiedy dowiesz się już, jak to jest być własnością mężczyzny takiego jak on.

Bierze z biurka moją torebkę, przerzuca sobie przez ramię, a następnie spacerowym krokiem rusza korytarzem, nie pozostawiając mi innego wyboru, jak tylko podążyć za nim.

Ignoruję desperacki syk Shasty:

– Stara, co do cholery?

Wychodzę.

***

Idziemy do małej włoskiej knajpki, którą tak bardzo chciałam odwiedzić. Prowadzi ją dwoje ludzi, którzy poznali się podczas randki w ciemno i od razu się w sobie zakochali. Kiedy zajmujemy miejsca przy stoliku, wzdycham ze szczęścia, rozglądając się po przytulnym, wygodnym wnętrzu, które jest idealną repliką włoskiej restauracji, w której para się poznała.

Uważam całą tę historię za niesłychanie romantyczną. Mam słabość do opowieści o przeznaczonych sobie kochankach.

– Kocham włoską kuchnię – mówię Camowi, głaszcząc obrus w biało-czerwoną kratę.

– Wiem. – Rozkłada sobie na kolanach białą, lnianą serwetkę. Kiedy patrzę na niego zaskoczona, dodaje: – Pani Dinwiddle powiedziała mi, że to twoje ulubione jedzenie.

Śmieję się.

– Tak, zawsze próbuję przekonać ją, żeby spróbowała mojej lazanii, ale za każdym razem, kiedy to sugeruję, patrzy na mnie, jakbym puściła bąka w kościele.

– Brytyjczycy z natury nie lubią eksperymentować z jedzeniem.

– Trudno nazwać makaron i sos pomidorowy eksperymentem.

Cam uśmiecha się.

– Nie jesteś Brytyjką.

– Tu mnie masz.

– Ale piękniś zdecydowanie jest. Mógłby dorównać Księciu Walii w kategorii drętwości i sztywności.

Uśmiecham się na oschłą ocenę Cama.

– Jest po prostu wycofany.

– Chyba niezaspokojony.

Wywracam oczami, po czym wkładam sobie do ust kawałek puszystego, wciąż ciepłego chleba. Aż jęczę, czując, jaki jest pyszny. To pierwszy kawałek chleba, który jem chyba od wieków.

– Węglowodany to dowód, że Bóg nas kocha, nie sądzisz?

– Myślę, że Benjamin Franklin powiedział coś takiego o winie.

Patrzy przez chwilę jak jem, aż zaczynam czuć się niezręcznie.

– Gapisz się.

– Lubię patrzeć, jak jesz. Twoja radość z jedzenia jest oczywista. Nieczęsto kobieta pozwala sobie publicznie na taką przyjemność.

Policzki mnie pieką. Przełykam chleb z całą gracją, na jaką mnie stać, obawiając się, że wyglądam przy tym jak jakieś zwierzę gospodarskie.

Cam śmieje się, widząc wyraz mojej twarzy.

– Nie wstydź się. To seksowne.

Jestem wdzięczna kelnerowi, który w tej chwili pojawia się przy stoliku, pozwalając mi wymigać się od układania odpowiedzi na to, że Cameron McGregor znowu nazwał mnie seksowną. Wątpię, czy mój mózg ma dość komórek, żeby to przetworzyć.

Zamawiamy napoje. Kiedy kelner odchodzi, Cam mówi:

– Więc?

– Więc?

Jego uśmiech jest powolny i rozgrzewający.

– Chcesz najpierw porozmawiać o swoim małym projekcie poszukiwawczym w internecie czy może o pięknisiu?

Wpycham sobie do ust kolejny kawałek chleba.

– Dobra. No to pięknisiu. Nie, czekaj, najpierw powiedz mi, kim była kobieta, która zatrzymała się przy twoim biurku?

– To była Portia.

Unosi brew.

– Nie wydawała się ani trochę tak zła, jak ją opisywałaś.

– Wiem. To dziwne. Przez chwilę prawie wydawała się człowiekiem. – Wzruszam ramionami, bo wiem, że nigdy nie rozwiążę tej konkretnej tajemnicy. – Pewnie była po prostu oszołomiona i zachowywała się jak człowiek, nie jak wiedźma, bo jej mózg właśnie brał miłą, ciepłą kąpiel w dopaminie wytworzonej dzięki przebywaniu tak blisko ciebie.

Oczy Cama błyszczą od śmiechu.

– O? Czy to właśnie dzieje się z kobietami, kiedy wchodzę do pomieszczenia?

Macham na niego.

– Och, proszę, McGregor. Wiesz, jaki masz wpływ na kobiety. Jesteś jak jeden z tych magików, którzy używają zbiorowej hipnozy, sprawiając, że wszyscy na widowni pieją jak koguty.

Wpatruje się we mnie przez chwilę.

– Nie wszyscy.

Kelner wraca z naszymi napojami: wodą dla mnie i piwem dla Cama. Przyjmuje zamówienia na jedzenie, po czym odchodzi, a mój towarzysz miłosiernie zmienia temat.

– Pięknie zapyta cię, co jest między nami, kiedy tylko będzie miał okazję.

– Już mu powiedziałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Będziesz musiała powiedzieć znowu. Ale nie wdawaj się w długą dyskusję. Pomachaj tak, jak przed chwilą do mnie i zmień temat. Jeśli będzie nalegał, powiedz mu, że nie jestem w twoim typie. – Jego głos staje się mroczniejszy. – Nie będziesz musiała zbytnio go przekonywać, żeby uwierzył.

– Dlaczego tak mówisz?

Cam bierze łyk piwa, a następnie wygląda przez okno.

– Bo niezależnie od tego, ile mam pieniędzy, dla niego i tak jestem tylko robolem.

– Robolem?

– Śmieciem. Który nie jest wart, żeby przebywać w jego obecności, a tym bardziej nie zasługuje na uwagę kobiety, która się mu podoba.

Zastanawiam się, ile z jego opinii o Michaelu jest skutkiem doświadczeń z mieszkania w domu Sir Gladstone'a. Jestem ciekawa, jak przeżył dorastanie bez ojca. Wiedząc, że ten popełnił samobójstwo, a wcześniej bił matkę tak bardzo, że zaczęła rodzić przedwcześnie.

Niezależnie od przewin moich rodziców, zawsze czułam się bezpiecznie. Zadbana. Chciana. Nie mogę wyobrazić sobie demonów, z którymi Cam musiał zmagać się przez całe życie.

– Wyrzuć to z siebie, dziołcha.

Podnoszę wzrok i widzę, że przygląda mi się uważnie.

Kiedy zaczynam wiercić się lekko pod wpływem jego intensywnego spojrzenia, mówi łagodnie:

– Mówiłem już, że możesz zapytać mnie o cokolwiek.

Skupiam się na wykręcaniu brzegu obrusa, bo czuję się zbyt wścibska, kiedy na niego patrzę. A może po prostu jestem tchórzem.

Ciężko mi być świadkiem bólu innych ludzi, a wydaje mi się, że ta rozmowa zaraz stanie się bardzo osobista.

– Jestem ci winna przeprosiny za założenie, że twoje życie było usłane różami. Czuję się beznadziejnie, bo pewnie często tego doświadczasz. Wydawania opinii na twój temat. Osądzania.

Cam bębni palcami o stół.

– Dziękuję. Ale to nie było pytanie.

Skąd on wie, że chcę o coś zapytać? Pewnie stąd, skąd wie wiele innych rzeczy: jest dobrym obserwatorem.

Chcę go zapytać, czy jest szczęśliwy. Chcę zapytać, czy ma jakichś prawdziwych przyjaciół. Czy właśnie to miał na myśli, kiedy mówił, że nigdy nie będziemy przyjaciółmi – bo każdy coś od niego chce, włącznie ze mną.

Jak mogę szczerze twierdzić, że chcę być jego przyjaciółką? Prawdziwa przyjaźń nie bazuje na tym, co możesz dzięki niej zyskać. Chodzi w niej o to, by szanować człowieka na tyle, żeby pozwolić mu być tym, kim naprawdę jest. Prawdziwy przyjaciel to ktoś, kto mówi: „Jestem tu dla ciebie", i potrafi to udowodnić.

Dociera do mnie, że Cam jest prawdopodobnie najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałam.

– Dziołcha – rzuca ostro.

Kłuje mnie pod powiekami. Potrząsam głową, po czym biorę głęboki wdech, starając się uspokoić emocje.

– Daj mi chwilę – chrypię i biorę łyk wody. Po kilku minutach gwałtownego mrugania i wyrównywania oddechu znajduję w sobie siłę, żeby spojrzeć mu w oczy. Gdyby tylko jeszcze mój głos miał dość przyzwoitości, żeby nie drżeć.

– Uważam, że jesteś niesamowitym człowiekiem. Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Ta cała sprawa z Michaelem… to wiele znaczy. Nie przyjmuję twojej pomocy za pewnik. I przepraszam za wszystkie te głupie rzeczy, które ci powiedziałam, kiedy byłam sarkastyczna i niepoważna. Nie chciałam być złośliwa. Ja tylko…

– Po prostu byłaś sobą – kończy cicho Cam, kiedy wiję się w poszukiwaniu właściwych słów.

Kiedy przytakuję żałośnie, uśmiecha się do mnie.

– Możesz już przestać się biczować, dziołcha. Wiem, że mnie doceniasz. I uwielbiam ten twój cięty język. Uwielbiam to, że czujesz się przy mnie na tyle swobodnie, żeby porządnie dołożyć mi do pieca. Wiesz, czasem tego potrzebuję. Kogoś, kto wbije szpilkę w mój balon, kiedy za bardzo się nadmie.

Z mojego gardła wyrywa się drżący śmiech.

– Twój balon musi mieć sporo dziur odkąd mnie poznałeś.

On też się śmieje, łagodnie i z satysfakcją.

– Tak. Ale prawdziwy przyjaciel to ktoś, kto dźga z przodu.

– To Oscar Wilde.

– Nie bądź taka zdziwiona, dziołcha. Czytałem Oscara Wilde'a. Nie myślałaś chyba, że mam tylko ładną buzię, co?

Wymieniamy uśmiechy ponad obrusem w kratę.

– Więc jesteśmy przyjaciółmi.

Potrząsa głową ze śmiechem.

– Dlaczego to dla ciebie takie ważne, żeby nazwać naszą relację?

Bo alternatywą dla przyjaciół są albo wrogowie, albo kochankowie.

Uśmiecham się z napięciem, ale nie odpowiadam, bo w głębi serca wiem, że wolałabym umrzeć niż stać się wrogiem tego mężczyzny.

Skoro nie jesteśmy ani przyjaciółmi, ani wrogami, pozostaje tylko jedna opcja.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Cam i ja korzystamy z długiego lunchu, ciesząc się swoim towarzystwem i rozmawiając o wszystkim i o niczym. On daje mi kolejne rady w sprawie Michaela, ja zasypuję go pytaniami o Szkocję, on informuje mnie, że zmieniamy nasze ćwiczenia i do ścisłych ćwiczeń kardio dodajemy trening siłowy, ja mówię mu, że znowu zrzuciłam kilka kilogramów. Spędzamy w restauracji prawie dwie godziny.

Tłumaczę sobie, że przecież Portia dała mi więcej czasu, ale w rzeczywistości zwlekam z powrotem do biura. Zbyt dobrze się bawię. Powłóczę nogami, ciągle zadaję Camowi pytania, aż zaczyna się ze mnie śmiać, pytając, czy zamierzam napisać nieautoryzowaną biografię.

– Tak, zatytułuję ją *Człowiek Góra zdemaskowany*. Momentalnie stanie się bestsellerem.

– Dobra. Zaakceptuję ją, ale tylko jeśli dołączysz do niej sonet o moich oczach.

Nasze spojrzenia się spotykają. Pierwsza odwracam wzrok, rumieniąc się.

Kiedy docieramy do budynku firmy, pyta, czy chcę, żeby wjechał ze mną na górę, ale odmawiam. Mam już przed oczami wizję kolejki śliniących się kobiet przy recepcji, czekających tylko, żeby wyłonił się z windy, by mogły omdleć.

Żegnamy się na chodniku, po czym odjeżdża. Stoję, machając za jego taksówką, aż znika za rogiem. Potem wlokę się do budynku i wjeżdżam windą, obawiając się, co może mnie czekać na trzydziestym trzecim piętrze.

To krwawa łaźnia.

Najpierw zostaję zaatakowana przez recepcjonistkę Kim. Wyskakuje zza swojego biurka, kiedy tylko otwierają się drzwi windy

i pędzi do mnie, wymachując rękami, a tik w jej powiece jest tak szybki, że wygląda wręcz boleśnie.

– O kurczę, Joellen, nie wiedziałam, kim on jest, kiedy przyszedł. Wiedziałam tylko, że był duży i przystojny, i och! – Przygryza pięść. – Taki gorący! Ale wtedy Shasta powiedziała mi, kto to i pokazała wasze zdjęcie na TMZ i jejku, spotykasz się z nim? Jak długo to trwa?

– To mój sąsiad – mówię ostrożnie, kierując się w stronę swojego biurka. Kim rusza za mną, z ekscytacji podskakując co kilka kroków.

– Więc nie spotykasz się z nim? O rany, jaka szkoda, ten facet jest po prostu – wachluje się dłonią – gorący! Ale mówisz, że jest twoim sąsiadem? Może mogłabym czasem do ciebie wpaść, no wiesz, na przykład dzisiaj? Jesteś wolna?

Shasta, kiedy tylko mnie zauważa, wypada ze swojego boksu, jakby ją wypluł. Gna korytarzem w moją stronę, a ja już przygotowuję się na uderzenie.

– Joellen! – skrzeczy, chwytając mnie za ramię. – Ja pierdzielę, ten facet jest dziesięć razy bardziej gorący na żywo, niż na zdjęciach! I jest ogromny!

– Nie pytaj mnie o jego inte…

– Musisz mi powiedzieć, jak wygląda nago! Proszę? Ślicznie proszę? Chociaż daj mi wskazówkę, jak duży jest! Taki? – Rozkłada dłonie na odległość około trzydziestu centymetrów, po czym dodaje jeszcze kilka. – Taki?

Zirytowana jej wulgarnym pytaniem, patrzę na nią gniewnie.

– Jesteś nienormalna, Shasta. On nie jest kawałkiem mięsa. Odpuść.

Rzucam torebkę na podłogę, siadam na krześle, a następnie zaczynam układać rzeczy na biurku, udając, że jestem zajęta, ale wiszą nade mną dwie samice w rui, które nie zamierzają spuścić mnie z oka, dopóki nie powiem im czegoś więcej o ich nowo znalezionym reproduktorze. Ich pełne ekscytacji gdakanie i machanie skrzydłami przyciąga pozostałe kwoki z kurnika i nagle okazuje się, że w moim boksie znajduje się tłum kobiet, gderających jak opętane.

Sue Wong, ta z równo przyciętą grzywką i godnymi pozazdroszczenia dołeczkami, chce wiedzieć, jak poznaliśmy się z

Camem. Inna redaktorka, Bethany, pyta, czy Cam ma brata. Pytania dobiegają mnie z wszystkich stron, aż zaczyna kręcić mi się w głowie.

– Dziewczyny! – przekrzykuję ten zgiełk. – Wyluzujcie! To tylko mój sąsiad!

– Co się tutaj dzieje?

Lodowaty głos Portii przeszywa powietrze jak samurajski miecz. Kwoki umykają w popłochu, aż zostajemy tylko ja i Portia. Wpatrujemy się w siebie w milczeniu.

Portia ma na sobie uroczą, obcisłą sukienkę w kolorze nowiutkiego pensa. Z jej idealnymi, złocistymi włosami i stalowymi, srebrno-niebieskimi oczami wygląda, jakby dopiero co wyszła z mennicy.

– Przepraszam za to. Ja, uch, myślę, że wszyscy byli trochę… zbyt podekscytowani moim gościem.

Cień uśmiechu łagodzi jej zwykle ściągnięte usta.

– Trudno je winić. Ostatnio mężczyzna odwiedził trzydzieste trzecie piętro, kiedy Theodore Scanlon przyszedł negocjować swój nowy kontrakt.

Theodore Scanlon to jeden z najbardziej niesławnych autorów Maddox Publishing. Jest starszy od węgla, jego oddech mógłby zabić dorosłego mężczyznę z odległości dziesięciu kroków i wyniósł zaglądanie w dekolty do rangi sportu. Jego powieści kryminalne – które świetnie się sprzedają – zawierają niepokojąco dużo przypadków seksu pomiędzy rodzeństwem. A to sprawia, że stara, wydawnicza maksyma „pisz o tym, co znasz” nabiera nowego, obrzydliwego znaczenia.

– Lunch się udał?

Przyglądam się Portii z niepokojem, nie ufając jej niewinnemu pytaniu oraz bezbarwnemu, niejędzowatemu uśmiechowi.

– Tak, dzięki.

– Cieszę się. Mówiłam poważnie, że na to zasługujesz, Joellen. Naprawdę.

To takie dziwne. Dlaczego jest taka miła? Co ona knuje?

Odwraca się, żeby odejść, ale wołam za nią:

– Portio, nie chciałaś porozmawiać ze mną o moim nakładzie pracy?

Mruga, widocznie zdezorientowana, ale potem jej spojrzenie się wyostrza. Odpowiada beztrosko:

– Och, to nieważne. Znalazłam to, czego szukałam. Po prostu… poprzestawiałam pewne sprawy.

Odchodzi, nie wyjaśniając znaczenia tych tajemniczych słów. Analizuję jej zachowanie, aż dociera do mnie coś tak okropnego, że zapiera mi dech w piersi.

Portia jest zakochana w Michaelu.

O Boże. Musi chodzić o to! Zachowywała się wobec mnie jak bezduszna suka przez dziesięć lat, zawsze obserwowała mnie niczym jastrząb, zawsze pojawiała się nagle wtedy, gdy zjawiał się Michael, jakby ciągle miała go na oku. Jakby zgadła, co do niego czuję. To nie mogło być trudne – łaziłam za nim jak cielę za matką. I wtedy, pewnego dnia pojawia się mężczyzna, by zabrać mnie na lunch, a ona robi zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i jest miła – bo przestałam być zagrożeniem, skoro mam chłopaka.

Przez wszystkie te lata Portia była zakochana w Michaelu, widziała, że ja też się w nim kocham i nienawidziła mnie za to.

A teraz on się rozwodzi.

I mnie podrywa.

Mam przechlapane.

***

Kiedy wieczorem docieram do domu, słyszę dzwonek telefonu, zanim jeszcze zdążę otworzyć drzwi. Wpadam do środka, po czym odbieram, nie zdejmując nawet zimowego płaszcza i wełnianego szalika.

– Słucham?

– Cześć, Joellen.

Przechodzi mnie lekki dreszcz na dźwięk jego głosu.

– Cześć, Michael!

– Czy to dobry moment na rozmowę?

Rozglądam się po kuchni i stwierdzam, że Pan Bingley może poczekać kilka minut na jedzenie, mimo że wpatruje się we mnie z

kąta, w którym stoi jego pusta miska. Gdyby mógł założyć ręce na piersi, właśnie by to zrobił.

– Tak, to świetny moment. Jak się masz? – Siadam przy kuchennym stole i zdejmuję szalik.

– Dobrze, dziękuję. Cieszę się, że w końcu mamy okazję porozmawiać. Wydaje się, że zawsze trafiam na kiepski moment.

Jego głos jest ciepły, więc wiem, że nie ma pretensji. Czuję ulgę. Myślałam, że będę musiała się sporo tłumaczyć po tym, co wydarzyło się dziś w biurze. Nie widziałam go przez resztę dnia, a byłam zbyt wielkim tchórzem, żeby napisać do niego maila, ale jakoś bezpieczniej jest rozmawiać tak, jak teraz, niż twarzą w twarz.

– Przepraszam, że wczoraj nie oddzwoniłam. Kolacja trochę się przedłużyła, a nie byłam pewna, o której zwykle kładziesz się spać.

– Możesz dzwonić o każdej porze. Naprawdę. W dzień czy w nocy, nie wahaj się.

– Dobrze. – Czuję się zaskoczona, zadowolona i szczęśliwa, że nie wypytywał o to, z kim jadłam kolację. – Dzięki. Mm, jesteś teraz u siebie?

– Tak. Dogadaliśmy się, że ona zostanie w domu, dopóki prawnicy nie ustalą, co będzie należało do kogo. Wynająłem mieszkanie z widokiem na Central Park. Jest naprawdę spektakularny. Spodobałby ci się.

To trochę dziwne, że unika wypowiadania imienia żony, a zamiast tego mówi per „ona”, ale jestem zbyt zaabsorbowana zastanawianiem się, czy właśnie zaprosił mnie do siebie, żeby się tym przejąć.

– Z pewnością. Brzmi świetnie.

Przez chwilę milczymy, słychać tylko niezręczne westchnienia, aż Michael mówi:

– Dobra, muszę to z siebie wyrzucić.

O Boże. To nie brzmi dobrze.

– O co chodzi?

Wydaje z siebie cichy, zakłopotany śmiech.

– Jestem zazdrosny o twojego gracza w rugby.

Wiem, że czeka na moje zapewnienie, ale zamiast czuć irytację, stwierdzam, że to wyznanie jest dość urocze. Właśnie przyznał, że

Cam jest kimś wartym zazdrości – co dowodzi, że nie jest takim snobem, za jakiego ma go Cam – a jednocześnie pokazał wrażliwość. Dla mężczyzny, który ma wszystko i przywykł, że każdy kłania się przed nim i denerwuje w jego obecności, to nie łatwe, żeby przyznać, że inny mężczyzna budzi zazdrość.

Notowania Michaela właśnie podskoczyły o kilka stopni na mojej skali.

– Nie musisz być o niego zazdrosny. Mówiłam prawdę, że jesteśmy przyjaciółmi. Między nami naprawdę nic nie ma.

Michael oddycha z ulgą.

– Dobrze to słyszeć. Wiem, że nie mam prawa być zazdrosny, ale szczerze mówiąc, myślę o tobie od tak dawna, że prawdopodobnie pękłoby mi serce, gdyby okazało się, że jesteś zajęta w chwili, gdy ja odzyskałem wolność.

Mówi o rozwodzie jak o zwolnieniu z więzienia, ale rozprasza mnie coś dużo ważniejszego.

– Myślałeś o mnie? – szepczę, a moje serce tańczy radośnie w piersi.

On również ścisza głos.

– Na pewno wiedziałaś. Mój Boże, cały ten czas, który spędziłem, gapiąc się na ciebie, bałem się, że wszyscy wiedzą.

Czuję, że jest mi słabo. Zamykam oczy. To naprawdę się dzieje. Naprawdę. Tyle nocy śniłam o tym, jak wypowiada te słowa, a teraz to już nie sen… To rzeczywistość.

– Nic nie mówisz.

– Przepraszam, ja tylko… próbuję to wszystko przetworzyć. – Śmieję się bez tchu, bo całe powietrze uciekło mi z płuc. – Trudno mi w to uwierzyć.

– A nie powinno. Jesteś piękną dziewczyną, Joellen. Zawsze tak uważałem.

Gdyby asteroida wpadła teraz przez sufit i zniszczyła moje mieszkanie, a mnie wraz z nim, umarłabym jako szczęśliwa kobieta, bo moje życie jest teraz kompletne.

Michael Maddox nazwał mnie piękną. Albo siedzi teraz w swoim mieszkaniu za pierdyliard dolarów z widokiem na Central Park i jest

na totalnym haju przez jakieś grzybki, albo mówi prawdę. Nikt nigdy nie powiedział mi niczego tak cudownego jak on.

Jesteś idealna taka, jaka jesteś, dziołcha.

Gwałtownie otwieram oczy. Co, u diabła, robi w mojej głowie McGregor? W takiej chwili, nie ma mowy!

– Wciąż tam jesteś? – pyta Michael.

Wyrzucam z siebie pierwsze, co przychodzi mi do głowy, bo jestem tak zaaferowana tym, że Góra przerwał mój wyjątkowy moment z Michaelem.

– Po prostu myślałam o Portii.

Michael wydaje się zdziwiony moją nagłą zmianą tematu.

– Portia? A co z nią?

– Myślę, że jest w tobie zakochana.

Michael zaczyna się śmiać, długo i serdecznie.

– Chyba ją przeceniasz. Gdyby była we mnie zakochana to oznaczałoby, że ma serce!

Muszę się uśmiechnąć, bo to rzeczywiście prawda.

– Poza tym, nie jestem odpowiednio wyposażony – dodaje Michael.

Marszczę brwi.

– Słucham?

– Portia woli dziewczyny.

Gapię się na kota, który wpatruje się we mnie, jakby rozmyślał, czy podbiec i wycharczeć kłaczek na moje buty.

– Dziewczyny? Portia woli dziewczyny?

– Tak, jest lesbijką. Nie mów, że nie wiedziałaś.

Najwidoczniej lista rzeczy, których nie wiem, jest długa i spektakularna.

– Nie miałam pojęcia! A skąd ty wiesz?

– Poznałem jej dziewczynę. Są ze sobą od lat. Portia i moja żona są razem w zarządzie narodowej organizacji literackiej. Wiele razy spotykaliśmy się na różnych wydarzeniach.

Cieszę się, że siedzę, bo gdybym stała, pewnie już bym upadła i roztrzaskała sobie czaszkę.

Portia jest lesbijką. A to znaczy, że nie jest zakochana w Michaelu. Co z kolei oznacza, że moja teoria o tym, dlaczego była dla mnie

wredną suką, jest tak daleka od prawdy, że nawet nie znajduje się w tym samym sąsiedztwie.

– Wow. Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia. Ciekawe, czemu nigdy nie przyprowadziła swojej dziewczyny na imprezy świąteczne ani pikniki firmowe latem?

Następuje chwila przerwy.

– Myślę, że martwiła się, jak to może zostać odebrane.

– Co rozumiesz przez „odebrane”? Sądzisz, że obawia się dyskryminacji?

– Cóż, oczywiście.

– Nie rozumiem. Dlaczego „oczywiście”? Znam z tuzin osób w biurze, które oficjalnie mówią o swojej homoseksualnej orientacji i nikt nie ma nic przeciwko. Kultura pracy w firmie obejmuje wszystkich, ale nawet gdyby tak nie było, w regulaminie wydawnictwa jest zapis zabraniający dyskryminacji. Jest też prawo federalne…

– Nikt z zarządu nigdy nie przyznał się do homoseksualizmu.

Oschłość jego tonu sprawia, że przerywam.

– To prawda – mówię powoli, próbując zrozumieć, co mi umyka. Dlaczego brzmi na zirytowanego?

Kiedy Michael znowu się odzywa, jego głos wraca do normalności.

– Oczywiście namawiałem ją, żeby zdecydowała się ujawnić jako pierwsza, ale nie czuła się z tym komfortowo. Nie chciałem na nią naciskać. Szanuję, że chce zatrzymać życie prywatne dla siebie.

– Tak, oczywiście, jeśli nie czuje się komfortowo…

– Ale dość o Portii – przerywa. – Porozmawiajmy o tobie. Ćwiczyłaś ostatnio? Bo zauważyłem, że wyglądasz na trochę bardziej wysportowaną.

Więc tego muszę się spodziewać, kiedy wreszcie dopadnie mnie menopauza. To uderzenie gorąca mogłoby spalić całą kuchnię. W ciągu kilku sekund jestem cała zarumieniona i ociekam potem.

– Tak, od niedawna trenuję – przyznaję nieśmiało. – To ten projekt, o którym ci mówiłam. Cam mi pomaga. Postanowiłam zacząć się ruszać i lepiej odżywiać, wiesz, a on jest profesjonalnym sportowcem.

– To świetnie, Joellen! – Nie wiem, czy ten entuzjazm wynika z faktu, że podoba mu się pomysł, że ćwiczę, czy ulżyło mu, że w końcu pojął podstawę mojej relacji z Camem. – Naprawdę bardzo się cieszę. Ja też przepadam za sportem. Może moglibyśmy porobić coś razem! Lubisz squasha?

– Och, jasne… uwielbiam.

Mam nadzieję, że to nic trudnego, bo nie mam pojęcia, o czym on mówi.

– Wspaniale! Kiedy wrócę z Londynu, zabiorę cię do mojego klubu.

– Jedziesz do Londynu?

– Tak. Wylatuję jutro. Chciałem ci powiedzieć, ale nie było okazji. Mam spotkania z europejskimi dystrybutorami, ale wracam w sobotę dwudziestego trzeciego.

Nagle przepełnia mnie zimny niepokój.

– Tego dnia jest impreza. Zdążysz?

Jego głos jest ciepły.

– Nie przegapiłbym tego za żadne skarby.

O Boże. To chyba znak.

– Dobrze. Mm… może moglibyśmy pisać do siebie maile, kiedy cię nie będzie? Wiesz, żeby pozostać w kontakcie?

– To świetny pomysł – mruczy. – Bardzo mi się podoba. Joellen?

– Tak?

– Bardzo się cieszę, że w końcu mogliśmy porozmawiać.

– Ja też – szepczę.

Pan Bingley, zmęczony czekaniem na swoją kolację, wydaje z siebie dźwięk, jakby ktoś obdzierał go żywcem ze skóry. Śmieję się jak szalona, czuję się na haju, lekko i niebezpiecznie radośnie, jak Ikar, który wzleciał zbyt blisko słońca.

Ale nie zamierzam myśleć o tym, co stało się temu idiocie. Kończę rozmowę, a następnie karmię moje wymagające zwierzę, myśląc tylko o tym, ile dni musi minąć, żebym znowu mogła ujrzeć Michaela, i ile kilogramów lżejsza będę do tego czasu.

„Chude ciało, chude serce, chuda miłość” niech idzie w zapomnienie. Muszę być chuda, żeby zrobić oszałamiające wrażenie na świątecznej imprezie i niech Bóg ma w swojej opiece głupca, który spróbuje stanąć mi na drodze.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Siedzę zaabsorbowana poszukiwaniem w internecie instrukcji gry w squasha, kiedy Cam wkracza przez drzwi frontowe z wielkim bukietem słoneczników zawiniętych w celofan i papier. Widzi mnie przy stoliku kawowym z laptopem i uśmiecha się szeroko.

– Znowu wyszukujesz informacji o mnie, dziołcha? To już zaczyna przeradzać się w obsesję!

– Opanuj się, pozerze. Wszędzie wkoło jest wielki świat, który nie kręci się wokół ciebie. Próbuję dowiedzieć się, jak grać w squasha. Dla kogo te kwiaty?

Patrzy w lewo, w prawo, a potem za siebie.

– Czy w tym mieszkaniu jest ktoś jeszcze?

Zaskoczona i wzruszona, wstaję.

– Są dla mnie? Naprawdę?

Potrząsa głową, wzdychając dramatycznie.

– Chryste, pani Snufflebottom, jest pani beznadziejna. Zabieraj te cholerstwa, zanim dostaniesz nimi po głowie.

Podchodzę i wyjmuję z jego ręki ogromny bukiet.

– To moje ulubione. – Z uśmiechem dotykam jasnożółtych płatków. Kiedy dorastałam, moja mama co piątek kupowała świeże słoneczniki od farmera.

– Wiem.

Patrzę na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Przeglądałeś moje śmieci, czy co?

Uśmiecha się.

– Pani Dinwiddle lubi sobie poplotkować.

Śmieję się.

– Prawda. Ale…

Widzi moją dezorientację, więc mi odpuszcza.

– To nasza ostatnia wieczerza, dziołcha. Kwiaty wydawały się odpowiednie na taką okazję.

– Jakoś dziwnie zalatuje mi to Biblią, ale dzięki. – Przyglądam się jego twarzy, świeżo ogolonej i błyszczącej. – Chyba odkryłeś, że posiadasz maszynkę do golenia.

Przesuwa dłonią po żuchwie.

– Tak. Zaczynałem trochę za bardzo przypominać jaskiniowca. – Patrzy mi w oczy. – Lubisz wygląd ugłaskanego pięknisia, więc pomyślałem, że trochę się wysilę na specjalną okazję.

– Zarost bardziej ci pasuje – odpowiadam bez zastanowienia. – Jesteś zbyt męski na przesadne dbanie o siebie. Cała ta surowość jest dużo bardziej… – Cam uśmiecha się do mnie jak kot, który właśnie upolował soczystego, tłuściutkiego kanarka. Wydaję z siebie poirytowane westchnienie. – Och, zamknij się, pozerze – mamroczę, wychodząc do kuchni po wazon.

– Nie licz na to, dziołcha – rzuca drwiąco, po czym rusza za mną. – Przynajmniej dopóki nie powiesz mi, jak kończy się to zdanie. – Siada przy kuchennym stole, splata dłonie na karku i uśmiecha się do mnie promiennie.

– Kończy się tym, że wbijam ostry przedmiot w twoje oko. – Przeszukuję spiżarnię i szafkę pod zlewem, aż znajduję wazon wystarczająco wysoki, żeby włożyć do niego słoneczniki, a potem skupiam się na układaniu ich, cały czas świadoma zadowolonego z siebie, wycelowanego we mnie uśmieszku.

– Gorąca? Seksowna? Rozbrajająca? – podrzuca głośno, widocznie ciesząc się moim zażenowaniem. – Hmm. Ona milczy, czyli muszę być blisko.

– Jesteś coraz bliżej zapewnienia sobie poważnego uszkodzenia ciała. Bądź cicho.

Śmieje się z zadowoleniem. Zerkam na niego i uderza mnie, jak inny jest w tej chwili niż na wszystkich tych zdjęciach, które widziałam w internecie. Wygląda na szczęśliwego i wyluzowanego, jakby nie miał żadnych trosk. Jakby właśnie tu, na krześle przy stole w mojej kuchni, było jego miejsce.

– Jak to jest, że nigdy nie uśmiechasz się do zdjęć?

Jego śmiech zamiera, uśmiech blednie, a w oczach pojawia się dziwna twardość. Czuję, że weszłam na pole minowe, ale już tu jestem. Równie dobrze mogę wskoczyć w sam środek.

– No wiesz, ciągle widzę cię roześmianego albo uśmiechniętego, dokładnie jak w tej chwili, ale na zdjęciach zawsze wyglądasz trochę… smutno.

W ciszy Cam wpatruje się we mnie przez całą wieczność. Potem mówi:

– Nie możesz być aż tak naiwna.

Jego szorstki ton zaskakuje mnie tak samo jak słowa.

– Co masz na myśli?

– To, żebyś poświęciła trochę czasu na zastanowienie się nad tym, o co właśnie zapytałaś, kobieto, a znajdziesz swoją cholerną odpowiedź.

Nie pozwalam, żeby mnie onieśmielił i posyłam mu takie samo wściekłe spojrzenie, jakim on właśnie mnie obrzuca.

– Dlaczego jesteś na mnie zły? Mówiłeś, że mogę pytać o wszystko!

Nasze spojrzenia zderzają się jak ostrza mieczy, ale on zranił moje uczucia, więc nie zamierzam pierwsza odwrócić wzroku. Nie zrobiłam nic złego, zadałam jedynie niewinne pytanie. To nie moja wina, że jego nastrój zmienia się szybciej niż pogoda.

– Ach, dziołszka. – Pociera twarz dłońmi. Jego cichy śmiech brzmi niezwykle smutno. – Wpędzisz mnie do grobu.

– Tak, możliwe. Jeśli dalej będziesz zachowywał się jak palant. Gdybyś nie zauważył, właśnie trzymam w dłoni sekator.

Zaczyna się śmiać, najpierw cicho, na bazie tego smutnego śmiechu, ale po chwili rechocze już na całe gardło, odrzuca głowę i jedną pięścią uderza w stół.

– Jesteś totalnie dziwny – burczę, dalej układając kwiaty.

– A ty nie widzisz nic poza czubkiem własnego nosa, ale proszę, i tak tu jesteśmy.

– Ty i twoje niejednoznaczne stwierdzenia wpędzicie mnie do grobu, pozerze. A mówiąc już o kiepskim wzroku, mam pytanie.

Kiedy się odwracam, widzę, że się uśmiecha.

– Oczywiście, że masz.

– Myślisz, że powinnam pozbyć się okularów?

– I co będziesz nosić? Monokl?

– Tak, monokl – mówię sarkastycznie. – Są takie modne. Możesz być chociaż przez chwilę poważny? To ważne.

Zmienia wyraz twarzy na śmiertelnie poważny.

– Tak. Właśnie jestem poważny. Widać po brwiach.

Kiedy patrzę na niego z kwaśną miną, jego sztuczna powaga znika na rzecz kolejnego olśniewającego uśmiechu.

– Dobra, dobra. Tylko nie rzuć na mnie uroku. Pytasz, czy powinnaś pozbyć się okularów?

– Tak brzmiało pytanie.

Przekrzywia głowę, a następnie zaciska usta, tak długo przyglądając się mojej twarzy, że zaczynam się rumienić.

– Zrób sobie zdjęcie, pozerze, bo to nie potrwa już dłużej – mamroczę zażenowana.

– Zastanawiam się, jak sformułować odpowiedź, żeby nie urazić twoich paniusiowatych nerwów.

– Paniusiowatych? Istnieje w ogóle takie słowo?

Cam wygląda na pewnego siebie.

– Och, czyżby pani redaktor nie słyszała o jakimś słowie?

Kiedy nadal obrzucam go gniewnym spojrzeniem, wyjaśnia.

– To znaczy wrażliwe. Delikatne. Pruderyjne.

– Nazywasz mnie pruderyjną?

Jego oczy błyszczą łobuzersko.

– Żaden mężczyzna, który kiedykolwiek cię całował, nie nazwałby cię pruderyjną, skarbie. Mówię tylko, że jesteś bardzo wyczulona w kwestii swojego wyglądu. Jedno niewłaściwe słowo i zamkniesz się w pokoju, żeby spisać listę wszystkiego, co jest w tobie brzydkie.

Potrzebuję chwili, żeby to przetworzyć.

Pierwsze zdanie mogłoby być niesamowitym komplementem albo mogło mu chodzić o to, że istnieją dużo gorsze przymiotniki, niż pruderyjny, którymi całujący mnie mężczyźni mogliby mnie określić. Jak „koszmarna” albo „przyprawiająca o mdłości”.

Jest też jego obserwacja o mojej wrażliwości na punkcie wyglądu. Chociaż prawdopodobnie nie zamknęłabym się w pokoju, żeby sporządzić listę wszystkiego, co jest we mnie brzydkie, to z łatwością mogę sobie wyobrazić, jak robię to przy kuchennym stole. W zasadzie jestem całkiem pewna, że gdzieś w moim mieszkaniu jest

kartka zatytułowana *Rzeczy wymagające poprawy*, która zawiera moje niedostatki, takie jak „grube kostki” i „dziwne pieprzyki”.

A to oznacza, że Cameron McGregor przejrzał mnie na wylot. Jeśli mam być ze sobą szczera, przejrzał mnie od samego początku.

– Nie łam sobie głowy przesadnym analizowaniem tego, Joellen – mówi sucho.

– Nic nie mogę na to poradzić. Mój mózg jest zaprogramowany, by analizować do upadłego.

Wykrzywia wargi.

– No nie mów.

Zamykam oczy, wzdycham, a wtedy słyszę, że się śmieje.

– W porządku. Oto, co myślę o twojej rezygnacji z okularów.

Otwieram oczy i czekam na ciąg dalszy, przygryzając kciuk z nerwów.

– Sądzę, że nie powinnaś tego robić.

Czy mi ulżyło? Jestem rozczarowana? Zirytowana? Boże, ten facet okręca mnie sobie wokół palca.

– Mam soczewki kontaktowe, ale nigdy ich nie noszę, bo mam po nich zaczerwienione oczy.

– Dzięki, że się tym ze mną podzieliłaś – drwi. – Zapytaj, dlaczego uważam, że nie powinnaś rezygnować z okularów.

– Dlaczego uważasz, że nie powinnam rezygnować z okularów?

– Bo dzięki nim wyglądasz na mądrą i seksowną. Poza tym, sprawiasz wrażenie, jakby nic cię one nie obchodziły, co również jest seksowne.

– Och. – Nie mogę wymyślić nic innego.

Znowu nazwał mnie seksowną. To już coś.

– Nie skończyłem.

To brzmi dość niepokojąco, więc zaczynam zagryzać kciuk z nowym zapałem.

– Głównym powodem, dla którego uważam, że nie powinnaś pozbywać się okularów, jest fakt, że je lubisz. Gdyby tak nie było, nosiłabyś soczewki albo zdecydowała się na korekcję laserową. Ale ty wolisz swoje okulary i właśnie dlatego powinnaś je nosić.

– Ale… czy większość facetów nie uważa, że wyglądają głupio?

– W ogóle nie powinno cię to obchodzić, dziołcha. Każdy wybór, którego dokonujesz w kwestii swojego wyglądu, powinien opierać się na tym, że ty czujesz się z tym dobrze, a nie na tym co sądzi jakiś przypadkowy koleś albo twoja matka. Nie rezygnuj dla nikogo ze swoich preferencji.

Jest śmiertelnie poważny, wszystkie ślady drwin zniknęły. Nie jestem pewna, jak odpowiedzieć na tę nagłą zmianę nastroju, ale on jeszcze nie skończył mówić.

– I jeszcze jedno. Naucz się przestać mówić „Przepraszam", a zamiast tego mów „Nie przerywaj mi". Naucz się mówić „Nie" i „Nie twój interes". Naucz się nie przepraszać za to, kim jesteś i co lubisz, ani za swoje opinie. Wiem, że myślisz, że jeśli inni ludzie będą uważać cię za piękną, wszystkie twoje problemy zostaną rozwiązane, ale wtedy po prostu będziesz miała inne problemy. A one nadal będą kręciły się wokół faktu, że w głębi duszy wciąż sądzisz, że jesteś niewystarczająca. To kłamstwo, którego się nauczyłaś i możesz się oduczyć, ale musisz zacząć pracę nad sobą. Musisz w końcu zaakceptować siebie. To banał, ale naprawdę musisz pokochać siebie, zanim zakochasz się w kimś innym.

Przerywa, żeby nabrać powoli powietrza, jego oczy płoną. Kiedy znowu zaczyna mówić, jego głos jest niski.

– Moja matka była jedną z najpiękniejszych kobiet, jaką kiedykolwiek widziałem, ale zabiła się przez mężczyznę, który nie był wart nawet oddychać tym samym powietrzem, co ona. Pieprzone marnotrawstwo. A wszystko dlatego, że nie uważała się za dość wartościową. Kłamstwo, które wpoiło jej życie, a którego nigdy się nie oduczyła.

– Mówisz o Sir Gladstone'ie?

Teraz jego ton staje się brutalnie zgorzkniały.

– Tak. Ta bezwartościowa kupa gówna. Myślał, że może mieszać wszystkich z błotem tylko dlatego, że jest bogaty. Traktował personel jak niewolników, nie dając im prawa głosu, żadnej władzy, ani odrobiny wdzięczności. Chyba że było się ładnym, wtedy otrzymywało się ten rodzaj uwagi, który złamana dusza mogła pomylić z miłością. Wykorzystywał ją przez lata, aż pojawiła się młodsza pokojówka. Wtedy zaczął się zachowywać, jakby nigdy nie

znał mojej matki. Została wymieniona, ot tak. – Pstryka palcami. – Przewidziałem to wszystko, ale ona nigdy nie chciała słyszeć o nim złego słowa. Myślała, że skoro przychodził do jej pokoju kilka nocy w tygodniu i pozwalał mi grać w rugby ze swoimi pieprzonymi, rozpuszczonymi dzieciakami, to znaczyło, że ją kochał. Ale tak nie było. A kiedy wreszcie zrozumiała, to ją zabiło. Weszła na dach, a następnie rzuciła się z niego, bez słowa pożegnania.

Twarz mi się marszczy. Czuję to wraz z łomotaniem serca i zaciskającym się gardłem.

– Och, Cam. Tak mi przykro.

Odwraca wzrok, przeczesuje włosy palcami, po czym ciężko wzdycha.

– Tak. Mnie też.

Wygląda na tak zdruzgotanego, tak smutnego i samotnego, że porzucam słoneczniki i podchodzę do niego.

– Wstań – żądam, ciągnąc go za rękaw. – Teraz cię przytulę.

Wstaje, a ja wspinam się na palce, zarzucam mu ręce na ramiona, a następnie chowam twarz w jego szyi. Owija ramiona wokół mojej talii i prostuje się tak, że nogi zwisają mi nad podłogą.

Opieram się pokusie skomentowania, jak silny musi być, żeby dać sobie radę z moją wagą i po prostu oddycham w jego szyję z zamkniętymi oczami, czując, jak jego serce łomocze przy mojej piersi, a ramiona zaciskają się wokół mnie jak imadło.

– Obiecaj mi coś – szepcze w moje włosy.

– Co?

– Niezależnie od tego, co wydarzy się z Michaelem, nadal będziemy przyjaciółmi.

– Myślałam, że nie chcesz być moim przyjacielem.

Jego westchnienie jest wielkim haustem powietrza.

– Boże, ale z ciebie kretynka.

– Chyba nie powinieneś mówić czegoś takiego człowiekowi z niską samooceną – drwię.

Opiera skroń o moją, po czym znowu wzdycha, ale tym razem to brzmi okropnie smutno.

– Tak, ale wiesz, że mówię to z miłością, dziołcha. Zawsze z miłością.

Moja twarz znowu zaczyna się marszczyć. Przytakuję, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa.

Stoimy tak, aż Pan Bingley stwierdza, że robi się dziwnie, więc zaczyna uderzać łapkami w moje zwisające nogi. Cam delikatnie odstawia mnie na podłogę. Resztę wieczora spędzamy, udając, że to wcale nie miało miejsca, jemy kolację, rozmawiamy i wirujemy wokół słowa miłość, które wisi w powietrzu między nami.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Od: Michael Maddox
Do: Joellen Bixby
Data: 15 grudnia
Temat: Squash

Jestem na spotkaniu z przewodniczącym europejskich dystrybutorów, facetem, który sprawia, że oglądanie, jak farba schnie na ścianie, wydaje się fascynujące. Wypiłem już trzy filiżanki kawy, żeby nie zasnąć. Jedyne, co mnie napędza, to myśl o tobie w jednej z tych maleńkich spódniczek na korcie do squasha. Przychodzi mi do głowy słowo „falbanka". Między innymi.

M.

Od: Joellen Bixby
Do: Michael Maddox
Data: 15 grudnia
Temat: Re: Squash

Bardzo mi przykro z powodu twojego spotkania, ale bycie dyrektorem to nie tylko dobra zabawa, co byłoby niesprawiedliwie, zważywszy na tę nieprzyzwoitą ilość pieniędzy, jakie zarabiasz. Niestety muszę cię rozczarować, ale maleńkie spódniczki i ja nie jesteśmy w najlepszych relacjach. Może leginsy?

Mam nadzieję, że wszystko w porządku w starej, dobrej Anglii. Wyjechałeś w odpowiednim momencie: Denny wprowadził do repertuaru świątecznie dowcipy o bąkach ku uciesze wszystkich. Nie miałam pojęcia, że dzieciątko Jezus miało takie problemy z gazami.

Od: Michael Maddox
Do: Joellen Bixby

Data: 16 grudnia
Temat: Leginsy

Z premedytacją jesteś okrutna. Leginsy pokazują jeszcze więcej niż maleńkie spódniczki. Straciłem prawie pięć godzin snu zeszłej nocy, wyobrażając sobie twój tyłek w lycrze.

Skąd wiesz, ile pieniędzy zarabiam? Może pracuję tu tylko ze względu na pewne korzyści. Przecież z tego co ci wiadomo, możliwe, że poświęcam cały czas na wypatrywanie cię w biurze. Wymianę uśmiechów przy ekspresie do kawy. Patrzenie, jak uparcie ignorujesz mnie przez ostatnie dziesięć lat.

M.

Od: Joellen Bixby
Do: Michael Maddox
Data: 16 grudnia
Temat: Re: Leginsy

Ha! Ma pan świetne poczucie humoru. Dołączam zdjęcie mojej twarzy tuż po tym, jak przeczytałam ostatni email. Tak, widzisz właśnie, jak wywracam oczami. Zrobiłam to tak zamaszyście, że chyba coś sobie naciągnęłam. Nie wiem, ile zarabiasz, ale wiem, że samo twoje strzyżenie kosztuje więcej niż moje miesięczne zakupy spożywcze, a jest tego sporo.

Nie ignorowałam cię. Podziwiałam z oddali. Sprawdź sobie w słowniku definicję słowa „nieodwzajemniony". Możesz się zdziwić, kiedy zobaczysz obok niej moje zdjęcie.

Od: Michael Maddox
Do: Joellen Bixby
Data: 16 grudnia
Temat: Zabijasz mnie

Przestań nazywać mnie panem. Nie tylko czuję się przez to jak mój dziadek, ale też niejasno przypomina mi to *Pięćdziesiąt twarzy Greya* i kwestię dominacji, co sieje spustoszenie w moich nerwach. Jeśli

powiesz mi, że to celowe, mogę mieć zawał. (Ale na pewno złapię pierwszy samolot do domu).

Nie muszę sprawdzać definicji słowa „nieodwzajemniony", żeby wiedzieć, że nie pasuje ono do naszej sytuacji. Sugeruje, że druga osoba nie czuje podobnie.

„Ledwo panujący nad sobą" to dużo właściwszy opis, przynajmniej z mojej strony.

M.

Od: Joellen Bixby
Do: Michael Maddox
Data: 17 grudnia
Temat: Re: Zabijasz mnie

Właśnie odpowiadam na twój email, chociaż mój mózg jest kompletnie pusty przez szok spowodowany twoim ostatnim zdaniem. I pomyśleć, że przez wszystkie te lata myślałam, że to jednostronna relacja… proszę pana.

Od: Michael Maddox
Do: Joellen Bixby
Data: 17 grudnia
Temat: Re: Re: Zabijasz mnie

!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

Masz szczęście, że jestem prawie pięć tysięcy kilometrów od ciebie. Wyślij mi kolejne zdjęcie.

M.

Od: Michael Maddox
Do: Joellen Bixby
Data: 18 grudnia
Temat: GDZIE MOJE ZDJĘCIE?

Nie każ mi nadużywać stanowiska i wlepić ci pisemnej nagany za niesubordynację.

M.

Od: Joellen Bixby
Do: Michael Maddox
Data: 18 grudnia
Temat: Wedle życzenia

Jako osoba niedoświadczona w sztuce sextingu, przesyłam zdjęcie mojej lewej stopy. Myślę, że jest dość dobre. Właściwe oświetlenie i w ogóle. Próbowałam wykonać kilka innych, „ryzykownych" ujęć, ale przedni obiektyw w moim iPhonie został skonstruowany, żeby zabijać ludzkie dusze. Obawiam się, że będziesz musiał poczekać do powrotu, żeby zobaczyć całe to dobro na żywo. Że się tak wyrażę.

Od: Michael Maddox
Do: Joellen Bixby
Data: 19 grudnia
Temat: Grrr…

Przednie obiektywy to nie jedyne, co potrafi zabić ludzką duszę. Świetnie radzą sobie z tym również nieposłuszne redaktorki. Chociaż twoja stopa jest śliczna – te krzywizny, musisz być z nich bardzo dumna – miałem nadzieję na coś troszkę bardziej intymnego. Kolano? Wnętrze nadgarstka? Biodro? Nawet płatek ucha byłby satysfakcjonujący w tym momencie. Nie miałem pojęcia, że tak przywykłem do oglądania cię w biurze. Aż wstyd przyznać, ale w nocy, leżąc w łóżku, z utęsknieniem wpatrywałem się w zdjęcie, na którym wywracasz oczami.

Myślałaś kiedyś o soczewkach kontaktowych? Masz takie piękne oczy, ale są nieco zakryte tymi okularami. Zawsze zastanawiałem się, jak wyglądałabyś bez nich. I kilku innych części garderoby.

M.

Od: Joellen Bixby
Do: Michael Maddox
Data: 19 grudnia
Temat: Coś, co pozwoli ci przetrwać.

W załączniku zdjęcie płatka mojego ucha. Będziesz miał niemały kłopot, próbując rozstrzygnąć, czy to lewe, czy prawe. Ach, te tajemnice. Jestem mistrzynią uwodzenia, nieprawdaż?

Z innych nowości: Portia najwidoczniej ma siostrę bliźniaczkę, która nie zionie ogniem i nie pożera małych dzieci. Nie wiem, czy przyjmuje jakieś nowe leki, ale ostatnio zachowuje się jak człowiek. Jak się nad tym zastanowić, odkąd wyjechałeś.

Soczewki sprawiają, że bolą mnie oczy, ale myślałam o tym, żeby założyć je na świąteczną imprezę. Nawet kupiłam sobie nową sukienkę. Jest obcisła, czerwona, sprawia, że moje cycki wyglądają na większe, a talia na węższą. Poprosiłam ją, żeby się ze mną ożeniła, ale udaje niedostępną i milczy. Taka jest miłość.

Od: Michael Maddox
Do: Joellen Bixby
Data: 20 grudnia
Temat: Mówiłem ci już, że jesteś zniewalająca?

Od: Joellen Bixby
Do: Michael Maddox
Data: 20 grudnia
Temat: Użyłeś słowa „czarująca". „Zniewalająca" jeszcze nie zostało wprowadzone.

Od: Michael Maddox
Do: Joellen Bixby
Data: 21 grudnia
Temat: Uznaj je za wprowadzone.

Dodaj do tego jeszcze „pociągająca, zachwycająca, urocza, zabawna i urzekająca". Szczerze mówiąc, nie ma wystarczająco dużo przymiotników. Jesteś wspaniała. I te łuki! Te płatki uszu!

Nie mogę się doczekać, kiedy znowu cię zobaczę.

M.

Od: Joellen Bixby

Do: Michael Maddox
Data: 21 grudnia
Temat: W kwestii zobaczenia mnie znowu…

Mam dość niezręczne, ale ważne pytanie: tak naprawdę nie wolno nam się spotykać, prawda? To znaczy, zgodnie z polityką firmy. Chciałam to sprawdzić online, ale pomyślałam, że mogłabym tym kogoś zaalarmować. Kto wie, jak uważnie Ruth z kadr monitoruje wszystko. Może ma bota, który informuje ją od razu, kiedy ktoś wpisze: „Czy mogę przelecieć dyrektora i nie wylecieć z pracy?".

Więc… mogę?

Od: Michael Maddox
Do: Joellen Bixby
Data: 21 grudnia
Temat: Re: W kwestii zobaczenia mnie znowu…

Może pomyślisz, że jestem dziwny, ale twój ostatni email wywołał u mnie erekcję. Myśl o tobie, siedzącej przy biurku i rozważającej, jakie niegrzeczne rzeczy moglibyśmy robić razem tak, żeby nikt nas nie przyłapał… dobry Boże, znowu. Ciekawe, czy dam radę pisać jedną ręka. (Przepraszam, wewnętrzne przemyślenia).

Odpowiadając na twoje pytanie poważnie – tak, polityka firmy zabrania romantycznych czy seksualnych związków pomiędzy przełożonymi a podwładnymi. Niestety, skoro jestem dyrektorem, można by twierdzić, że każdy jest moim podwładnym. To rodzinna firma, ale ja nadal odpowiadam przed zarządem.

Krótko mówiąc, to duże ryzyko. Będę najzupełniej szczery: oboje możemy liczyć się z utratą pracy, jeśli zostaniemy nakryci. Całkowicie zrozumiem, jeśli nie będziesz chciała podjąć takiego ryzyka.

Ja jednak zdecydowanie chcę.

Pomyśl o tym. Wracam za kilka dni. Zobaczymy się na imprezie. Możesz wtedy dać mi odpowiedź. Tak czy inaczej, już poinformowałem kadry, że zostałaś wybrana na stanowisko zastępcy redaktora naczelnego. Nie zostanie to oficjalnie ogłoszone aż do

naszego powrotu z przerwy między świętami a Nowym Rokiem, więc, proszę, na razie zatrzymaj to dla siebie.

Niezależnie, co zdecydujesz w naszej sprawie, zawsze będę życzył ci jak najlepiej i pozostanę twoim przyjacielem.

Mam nadzieję, że twój

M.

DWADZIEŚCIA OSIEM

– Jasna cholera – szepczę, wpatrując się w ekran komputera z niedowierzaniem. – Dostałam to stanowisko!

Wyskakuję z łóżka, w którym siedziałam z laptopem, a następnie biegnę przez mieszkanie i wypadam na korytarz. Łomoczę w drzwi Cama, jakbym była właścicielem bloku, a on zalegał z czynszem trzy miesiące.

– Cam! Jesteś w domu? Otwieraj!

Słyszę stłumione:

– Chwila! – a potem otwiera drzwi. Jest boso, ma na sobie tylko coś, co wygląda jak damski szlafrok. Zrobiony z różowego materiału frotte, jakieś dziesięć rozmiarów za mały, przy nadgarstkach i kołnierzyku ozdobiony jest białą koronką.

– Mm…

– Co? – Patrzy w dół na siebie. – A, to? Było w szafie Kellena. Wyglądało na wygodne. – Wzrusza ramionami. – Cóż, jest wygodne.

– Doceniam, że jak na tak męskiego faceta, jesteś bardzo otwarty w kwestii ubrań przeznaczonych dla danej płci.

Prycha.

– Ktokolwiek stwierdził, że róż jest tylko dla dziewczyn, był głupi. Musisz wiedzieć, że różowy bardzo pasuje do mojej cery.

Rzeczywiście tak jest, ale nie mam czasu na tę rozmowę.

– Przechodząc do sedna… dostałam awans! Patrzysz właśnie na nowego zastępcę redaktora naczelnego w Maddox Publishing! – Podskakuję ze szczęścia, wykonując pląsy wkoło i machając rękami jak mim na haju.

– Naprawdę? To fantastycznie, dziołcha! Świetna wiadomość! Właśnie się dowiedziałaś?

– Tak, Michael napisał mi o tym w mailu! Nie powinnam mówić nikomu aż do nowego roku, kiedy ogłoszą to oficjalnie, ale tobie

musiałam powiedzieć. O Boże, czekaj, aż dowie się moja matka. Na pewno zwariuje!

– Powiedziałaś mi, zanim zadzwoniłaś do matki?

Przestaję podskakiwać i robię do niego minę.

– Dlaczego przeczuwam, że zaraz czeka mnie wykład o tym, jak bardzo jestem w tobie zakochana, ale jeszcze sobie z tego nie zdaję sprawy?

– Bo dokładnie tak jest. – Zamyka drzwi swojego mieszkania, a następnie mnie wymija. – To kwalifikuje się na świętowanie. Masz jeszcze to ciemne piwo, które dla mnie kupiłaś?

Wkracza do mojego mieszkania. Podążam za nim, potrząsając głową na to, jak się prezentuje. Niezależnie, co ma na sobie – albo nie – ten mężczyzna nie ma w sobie za grosz nieśmiałości.

– Twoje ego jest twoją supermocą, wiesz o tym, pozerze?

Cam rzuca się na kanapę, po czym układa się wygodnie, krzyżując nogi w kostkach. Wygląda jak zapaśnik MMA, który przebrał się w strój księżniczki swojej córki.

– Och nie, dziołcha, to nie jest moja supermoc. – Uśmiecha się do mnie, mrugając.

– Nigdy nie pozwolisz mi zapomnieć, że widziałam cię nago, prawda?

– Zapomnę o tym dokładnie wtedy, kiedy ty. A więc owszem, nigdy.

Ignoruję go i ruszam do kuchni. Wyjmuję piwo z lodówki, otwieram je, a następnie wlewam do szklanki. Potem nalewam sobie kieliszek wina i wracam do salonu. Podaję Camowi piwo, siadam na drugim końcu kanapy przy jego stopach, splatając nogi pod sobą.

– Dlaczego jeszcze nie przebrałaś się do spania? – Obrzuca spojrzeniem moje dżinsy i koszulkę. – Jest prawie dziesiąta w środku tygodnia. Musisz się wyspać.

To wywołuje mój uśmiech.

– Kiedyś będziesz dobrym ojcem, wiesz? Rządzisz się, ale w bardzo uroczy sposób.

Kiedy unosi brew, słysząc ten komplement, wyciągam dłoń przed siebie.

– Nie jestem w tobie zakochana. Poczyniłam tylko obserwację.

– Cóż, dziękuję. Zawsze chciałem być ojcem.

– Masz mnóstwo czasu. Jesteś chyba krótko po trzydziestce, prawda?

– Nie mów, że nie wyszukałaś tego w trakcie swojego małego śledztwa. – Jedną rękę trzymając za głową, bierze łyk piwa, a potem mnie obserwuje.

– Uch. Sprawdzałam cię tylko ten jeden raz i nie zwróciłam uwagi na datę urodzenia. Więc… zamierzasz mi powiedzieć czy to tajemnica narodowa?

– Dwadzieścia dziewięć.

Wbiło mnie w podłogę. Wydaje się o wiele starszy. Bardziej dojrzały. Dwadzieścia dziewięć to praktycznie dziecko! Nagle czuję się jak Matuzalem, prawie tysiąc lat, a czas wciąż płynie.

– O-oł – mówi oschle, obserwując moją skupioną twarz. – Ona myśli. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Zbyt gwałtownie wypuszczam powietrze, przez co moje usta wydają bardzo nieatrakcyjny odgłos. Ale nic mnie to nie obchodzi, bo to Cam, który widział mnie już w gorszym wydaniu.

– Pamiętam, jak miałam dwadzieścia dziewięć lat. W zasadzie było gorzej niż przy trzydziestce. Kiedy już przeskoczyłam tę granicę, zaakceptowałam, że nigdy więcej nie będę młoda.

– Wszystko jest względne, dziołcha. Jest tam gdzieś sześćdziesięcioletnia babcia, która dałaby sobie powyrywać zęby, żeby znowu mieć trzydzieści sześć lat.

– Och, dziękuję ci za ten przebłysk geniuszu. Jakie to pocieszające, że staruszki są o mnie zazdrosne.

– Sześćdziesiątka to nie staruszka.

– Stary. Bądź poważny. Skoro szacowana długość życia to trochę powyżej siedemdziesięciu, sześćdziesiąt lat to już praktycznie pukanie do wrót śmierci.

– Jedna z moich babć dożyła stu czternastu lat.

– Co? Kłamiesz!

– Nie. A druga ma sto dziesięć lat. Wciąż żyje.

Mrużę oczy, patrząc na niego.

– Teraz po prostu próbujesz poprawić mi nastrój.

– Nie wkręcam cię! Klan McGregorów ma wyjątkowe geny, dziołcha. Nikt w mojej rodzinie nawet nie myśli o emeryturze, zanim nie stuknie mu dziewięćdziesiątka.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Jeśli kiedyś przyjedziesz do Szkocji, zabiorę cię do babuni O'Shea. To mama mojej mamy. Wy dwie dogadałybyście się świetnie. Ten sam cięty język i żadnego szacunku dla mężczyzn z rodu McGregorów. – Uśmiecha się na jakieś wspomnienie, po czym upija kolejny łyk piwa, a ja myślę sobie, jak fajnie byłoby poznać jego wiekową, pyskatą, szkocką babcię.

– Matka mojego ojca ma osiemdziesiąt lat. Nazywamy ją babcia Gums[6], bo uwielbia przerażać ludzi, jakby przez przypadek wyjmując sztuczną szczękę w trakcie rozmowy. Ma lekką demencję, więc często się powtarza, ale poza tym jest w całkiem dobrej kondycji. Moja druga babcia jest zdrowa jak rydz, ale nie domyśliłbyś się tego po jej zachowaniu. Kiedy skończyła pięćdziesiąt lat, urządziła sobie stypę, bo myślała, że może kopnąć w kalendarz w każdej chwili. Była modelką jak moja mama.

Biorę długi łyk wina, myśląc o wszystkich tych chwilach, kiedy moja mama i babcia debatowały o starzeniu się, nawet kiedy byłam dzieckiem, a one nawet nie zbliżały się do starości. Każde święta i zjazdy rodzinne zmieniały się w „Żałobę nad Przemijającym Pięknem".

– Ci ludzie nie starzeją się z gracją i nie mówię tu o zmarszczkach.

Cam siada, a następnie wyciąga piwo w moją stronę, jakby chciał wznieść toast.

– Co?

– Stuknij się ze mną, dziołcha. To pierwszy raz, kiedy powiedziałaś coś rozsądnego o wieku, wyglądzie albo swojej rodzinie.

– Może w końcu masz na mnie jakiś wpływ. – Wznosimy toast i pijemy, a potem Cam oblizuje wargi, spoglądając tęsknie w stronę kuchni.

Ten facet jest tak subtelny jak taran.

– Mam trochę kurczaka i warzyw z kolacji. Mogę odgrzać, jeśli jesteś głodny.

Bawi się koronką przy rękawie, opuścił nieśmiało rzęsy.

– Tylko jeśli to nie problem, dziołcha. Nie chcę cię zatrzymywać.

Kopię jego stopy i uśmiecham się.

– Och, zamknij się, ty wielki dzieciaku.

Kiedy uśmiecha się nieśmiało, a jego usta wykrzywiają się, bo nie umie przyznać, że chce, żebym dla niego gotowała, uderza mnie nagła, nieopisana emocja. Jest dziwna, delikatna, potężna, obca i sprawia, że moje serce zatrzymuje się na kilka uderzeń.

Wstaję tak gwałtownie, że rozlewam wino na dywan.

Cam spogląda na mnie, ale odwracam się, bo nie chcę, żeby jego przenikliwy wzrok miał szansę dostrzec coś na mojej twarzy. W oszołomieniu wchodzę do kuchni, po czym zaczynam napełniać talerz resztkami z lodówki.

Co to było? Co się ze mną dzieje? Może coś złapałam? Przykładam wierzch dłoni do czoła, ale jest chłodne i suche, ani śladu gorączki.

– Więc co jeszcze piękniś napisał w mailu? – woła z salonu.

Jestem zbyt rozproszona, żeby podać mu szczegóły.

– Mój laptop leży na łóżku, jeśli chcesz, to sam zobacz.

Po kilku chwilach wkracza do kuchni z laptopem, siada przy stole i zaczyna czytać. Prawie natychmiast robi miny.

– Co jest?

– Bardziej lubię go w mailach niż osobiście.

Słysząc to, śmieję się w głos.

– Oho! Więc przyznajesz, że Pan Niezaspokojony ma też uroczą stronę!

Mój śmiech sprawia, że staje się zrzędliwy.

– Nic takiego nie powiedziałem. Nie zapędzajmy się, dziołcha. Przyznaję tylko, że może mieć pewien urok w komunikacji elektronicznej, który nie przekłada się na prawdziwe życie. – Jego głos twardnieje. – Nawet jeśli próbował wmanewrować cię w wysyłanie nagich zdjęć.

– Tak, pamiętam, co mówiłeś o rzucaniu okruszków, więc poszłam za twoją radą i zamiast tego wysłałam mu zdjęcie płatka ucha.

– Wygląda na to, że zadziałało. Piękniś wychodzi z siebie. – Milczy przez chwilę, a potem mówi ostro. – Czytałaś tę część o polityce firmy zakazującej związków przełożonych i podwładnych?

Wzdycham, po czym wkładam talerz do mikrofalówki, żeby podgrzać jedzenie.

– Tak, niezła wtopa. Ale pewnie po prostu będziemy musieli bardzo uważać.

– Bardzo uważać, czyli nie wysyłać takich maili przez firmowy serwer?

Zamieram z przerażenia.

– O cholera.

– Tak, właśnie, o cholera. Debil.

Wściekła odwracam się i patrzę na niego.

– Czy ty właśnie powiedziałeś o mnie debil?

– Jego nazywam debilem, bo właśnie nim jest. Powinien, do cholery, wiedzieć lepiej! Jest dyrektorem, na miłość boską!

– Ja też powinnam wiedzieć lepiej!

Cam wzdycha, przeczesując włosy palcami.

– Tak. Ale ty jesteś zakochaną kobietą. Zawsze jesteś ślepa jak cholerny nietoperz. – Zerka na mnie. – Przepraszam. Nie chcę wrzucać cię do jednego worka z pozostałymi przedstawicielkami twojej płci, ale z mojego doświadczenia wynika, że kobieta traci cholerny rozum, kiedy się zakochuje. A w większości przypadków zatraca również siebie w tym procesie.

Jego spojrzenie jest trochę zbyt przeszywające, żebym czuła się z nim komfortowo. Odwracam się, skupiając na obserwowaniu talerza kręcącego się wkoło w mikrofalówce.

– Później wszystko skasuję. Dopilnuję, żeby on zrobił to samo. Nie sądzę, żeby było tam coś zbyt obciążającego. Nie przyznajemy, że jesteśmy w związku, rozmawiamy tylko o możliwościach. Poza tym to nie będzie problem, o ile ktoś nie zacznie czegoś szukać, a tak się nie stało.

Jeszcze.

Myśląc o wszystkich komplikacjach, jakie wywoła romans z Michaelem, pocieram czoło dłonią. Wcześniej to był tylko piękny sen, ale teraz wkrada się rzeczywistość i zaczyna wyglądać dużo mniej pięknie.

Mogłabym stracić pracę.

Jest tego wart. Ochroni cię.

Czyżby? Jeśli jego posada zostanie położona na szali?

To dobry człowiek. Możesz mu zaufać. Wszystko będzie dobrze.

Jesteś za stara na tak niepraktyczne podejście. Nie masz doświadczenia w żadnej innej pracy. Jeśli wyleją cię z Maddox Publishing, skończysz jako recepcjonistka albo w ciągu kilku miesięcy wrócisz do rodziców.

Opieram czoło o drzwiczki mikrofalówki i jęczę.

– Przechodzisz załamanie nerwowe, dziołszka? Dzwonić po karetkę?

– Nie. Po prostu zaczynam zdawać sobie sprawę, że to z Michaelem może być bardziej skomplikowane, niż myślałam. – Mój śmiech jest żałosny. – Albo nie myślałam. Wcześniej nigdy nie rozpatrywałam tego jako możliwość, nie naprawdę. Ale teraz…

Po chwili Cam mówi:

– Rzeczywistość cię dogoniła.

– Pomyślałam dokładnie to samo jakieś dwie minuty temu.

– Wybitne umysły myślą tak samo. Moja kolacja już gotowa?

Pomimo zmartwień, nie mogę się nie uśmiechnąć.

– Tak, okrutny władco, twoja kolacja jest gotowa. – Wyjmuję jedzenie z mikrofalówki, sprawdzam, czy nic nie jest zimne, po czym ustawiam przed nim talerz wraz z nożem i widelcem. – Dlaczego w ogóle jesz tak późno? Mówiłeś, że nie powinnam jeść po siódmej wieczorem.

Zabiera się za jedzenie bez żadnego wstępu. Odcina kawałek kurczaka i wkłada sobie do ust. Jemy dokładnie tak samo: błyskające sztućce i westchnienie przyjemności, delektujemy się każdym kęsem, jakby był naszym ostatnim posiłkiem przed krzesłem elektrycznym. Nigdy nie zrozumiem, jak może podobać mu się patrzenie, jak jem. Chociaż muszę przyznać, że mam niemałą frajdę, kiedy patrzę, jak on pochłania swojego kurczaka.

Fakt, że tak bardzo lubi moją kuchnię, daje mi dziwne poczucie radości, mały promyk słońca, który rozbłyskuje w mojej piersi.

– Nie jadłem dzisiaj nic oprócz lunchu – mówi z pełnymi ustami, skupiając się na talerzu. – Nie mam w mieszkaniu zbyt wiele, poza produktami do naszych porannych koktajli i dziwnych kanapek.

– Więc idź na zakupy! Co robiłeś na kolację po tym, jak ostatni raz dla ciebie gotowałam?

Wzrusza ramieniem.

– Nic.

Jestem przerażona.

– Nie jadłeś? Skąd masz energię na poranne ćwiczenia?

Zerka na mnie, puszczając oczko.

– To myśl o tobie mnie napędza, dziołcha.

Wywracam oczami w wręcz ekstrawagancki sposób.

– Dobra. Dość tego. Wracamy do naszych wspólnych kolacji. Nie mogę pozwolić, żeby mój trener padł trupem z głodu… jestem prawie w połowie drogi do pożądanej wagi.

Cam przestaje przeżuwać i wpatruje się we mnie. Przełyka, a następnie wyciera usta wierzchem dłoni.

– Masz na myśli jakąś konkretną ilość kilogramów do zrzucenia?

– Tak. Osiemnaście. A co? Myślałeś, że to wszystko z miłości do jarmużu i porannego biegania w ujemnych temperaturach?

– Osiemnaście kilo? Myślałem, że chcesz tylko poprawić kondycję?

– Bo tak jest!

Rozsiada się na krześle, po czym przygląda mi się uważnie, a między jego brwiami formuje się zmarszczka.

– Co to za spojrzenie? Przez ciebie się denerwuję.

– Chodzi o twoje ciało, dziołcha. Jeśli chcesz się skurczyć, to twoja sprawa. Ale jeśli mógłbym wyrazić opinię…

– Jasne. Śmiało.

Mówi łagodnym głosem:

– Wyglądasz świetnie. Naprawdę. Gdybyś płaciła mi za trenowanie, doradziłbym ci, żebyś przestała starać się zrzucić wagę, a skupiła się na zdrowych nawykach żywieniowych, wzmocnieniu siły, wytrzymałości i elastyczności podczas ćwiczeń. A, co najważniejsze, powinnaś ćwiczyć wdzięczność za ciało, które masz.

– Ćwiczyć wdzięczność – powtarzam z powątpiewaniem.

Przytakuje.

– Jesteś zdrowa. Jesteś całością. Twoje ciało robi wszystko, o co je poprosisz. Są miliony ludzi, którzy żyją z chronicznym bólem albo niepełnosprawnością fizyczną i z chęcią zamieniliby się z tobą.

Kiedy wykrzywiam twarz po tej krótkiej przemowie, Cam wzdycha.

– Twoje ciało nie jest rzeczą, na którą można patrzeć i oceniać według jakichś standardów piękna, które tak naprawdę nie istnieją. To naczynie, które prowadzi cię przez życie, pozwalając doświadczyć wszystkich pięknych rzeczy, jakie życie ma do zaoferowania. Jedzenie. Seks. Zachody słońca. Muzyka. Przytulanie. Śmiech. Zdrowe ciało to dar. Nie przyjmuj tego za pewnik. Nie traktuj go jak jakiejś taniej, jednonocnej przygody. Podchodź do niego jak do miłości swojego życia. Traktuj je z szacunkiem i łagodnością, ale przede wszystkim z wdzięcznością. – Przerywa, ale po chwili kontynuuje: – A także ze zdrową dozą czci. Twoje ciało zostało stworzone z odłamków gwiazd po ogromnym wybuchu w galaktyce. Co kilka lat całość odbudowuje się dzięki regeneracji komórek, ale masz w sobie rzeczy tak stare jak wszechświat. Dosłownie jesteśmy gwiezdnym pyłem. Każde z nas jest małym cudem. Ty jesteś cudem, Joellen. Pomyśl o tym następnym razem, kiedy staniesz naga przed lustrem i zechcesz skupić się na jakimś przypadkowym dołeczku, który ci się nie podoba.

Znowu zabiera się za jedzenie, jakby właśnie nie wywrócił mojego świata do góry nogami.

Ja jestem cudem? Kto mówi takie rzeczy?

– Znowu myślisz, dziołcha – mówi Cam, przeżuwając. – Słyszę przesuwające się trybiki.

– Nie ma mowy, żebyś miał tylko dwadzieścia dziewięć lat.

Uśmiecha się, z ustami pełnymi kurczaka.

– Dlaczego? Bo jestem tak oświecony? Może jestem najnowszą reinkarnacją Buddy, myślałaś kiedyś o tym?

– Och tak. Jesteś bardzo oświecony. Widać to głównie po tym różowym szlafroczku.

Cam spogląda na mnie, jego piwne oczy błyszczą.

– Dokładnie – oznajmia. – Świetny tytuł na kolejny sonet o mnie, nie sądzisz? *Mężczyzna w dziewczyńskim różowym szlafroku*. Już to widzę. Przepełniony czułością wobec mojego niezwykłego uroku. Możesz popracować nad tym jutro i pokazać mi przy kolacji.

Uśmiechamy się do siebie, Pan Bingley wskakuje na kolana Cama, zwijając się w kłębek, a ja odpycham głos, który szepcze w mojej

głowie, że ten mężczyzna w dziewczyńskim różowym szlafroku wkrótce zniknie z mojego życia na zawsze.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Mężczyzna w dziewczyńskim różowym szlafroku i ja
Siedzimy na ławce w parku, rozmawiając o pogodzie.
On mówi o gwiezdnym pyle i cudach, a wzdycham ja,
Dziwiąc się, jak bez wysiłku przychodzi nam być razem w zgodzie.
Z kimś tak różnym ode mnie, a jednak takim samym
Wokół jedzenia i śmiechu nasza przyjaźń krąży,
Lecz gdy zdejmiemy zbroję uśmiechu – co pozostanie?
Dwa serca w mroku, wypełnione tęsknotą nie do zniesienia
Różowy szlafrok potrafi zamaskować ból tak jak waga
Można ich użyć jako kryjówki.
Przy każdym spotkaniu porusza mnie od nowa
Jego elokwencja, piękno i duma.
Mężczyzna w dziewczyńskim różowym szlafroku jest jak dom
Najbezpieczniejszy, najmocniejszy, najlepszy jaki miałam.

– Chyba zbliża mi się okres – mamroczę, zawzięcie ocierając łzy z oczu. – To niedorzeczne.

Wstaję, chowam zeszyt z sonetami do górnej szuflady biurka w mojej sypialni, po czym wyglądam przez okno. Pada śnieg. Płatki wirują za szybą, zbierając się w białych kupkach, jakby ktoś zgarnął cukier w róg parapetu.

Jest sobota, dwudziestego trzeciego. Biurowa impreza świąteczna zaczyna się za trzy godziny.

Oficjalnie panikuję.

W ogóle nie spałam ubiegłej nocy. Ani noc wcześniej. Tę jeszcze wcześniej również nie. Kolacja z Camem kilka dni temu zasiała we mnie niepokój, którego się nie spodziewałam i nie wyczułam od razu. Dopiero kiedy wyszedł tamtego wieczora, zaczęłam zastanawiać się nad tym, co powiedział o wdzięczności wobec mojego ciała zamiast traktowania go jako jednonocną przygodę.

Z jakiegoś powodu to odbiło się we mnie echem.

Pierwszy raz, kiedy zdecydowałam się na dietę, miałam dwanaście lat. Nawet jeszcze nie dostałam pierwszej miesiączki. Z kolei moja matka dopiero co skończyła czterdzieści lat i była niepocieszona. Jej żal spowodowany przekroczeniem tej granicy wieku był jak czarny woal wiszący nad naszym domem. Prawie przez miesiąc wszyscy mówili ściszonym głosem i chodzili po domu na palcach, jakby ktoś umarł.

Pewnego wieczora przy kolacji, kiedy sięgnęłam po bułkę z koszyka na chleb, który stał na środku stołu, moja matka uderzyła mnie w rękę.

– Już dość zjadłaś – powiedziała beznamiętnie, spoglądając na moją talię.

Moja siostra – piękna nawet jako dziewięciolatka – parsknęła.

Tyle wystarczyło. Bardzo wyraźnie pamiętam tę chwilę. To był ostatni raz, kiedy włożyłam coś do ust bez poczucia winy.

Od tamtego momentu każdy billboard, każda reklama, strony w każdym ilustrowanym magazynie pokazywały mi z całą dobitnością, że nie wyglądam tak, jak powinnam. Wtedy nie było zdjęć zmysłowych kobiet o ponętnych kształtach albo różnorodnej urodzie. Wszystkie miały blond włosy, były chude i idealne. Jednakowe. Jeśli byłaś europejską supermodelką, mogłaś od biedy być brunetką, ale broń Boże, żebyś wyglądała zbyt „etnicznie”. To oznaczało koniec wszystkiego.

Co gorsza, mieszkałam na plaży w Południowej Kalifornii. Blondwłose, szczupłe, idealne kobiety są w tym regionie produkowane na masową skalę. Jeśli nie miałaś prostych zębów, zakładałaś aparat. Nie byłaś szczupła, zaczynałaś się głodzić. Nie byłaś blondynką, farbowałaś włosy. Nie byłaś opalona, kładłaś się do urządzenia w kształcie trumny, które wtłaczało rakotwórcze promienie UV w twoją skórę, dopóki się nie dostosowała i nie nabrała akceptowalnego odcienia złotego brązu.

Albo, jak moja, od razu robiła się spalona i pokryta piegami.

Nikt nigdy nie powiedział mi, że mogę po prostu być sobą. Wszystkie moje koleżanki były na diecie, odkąd pamiętam. Wszystkie tonęłyśmy w nienawiści do samych siebie.

Żałuję, że teraz nie jestem tak gruba, jak widziałam siebie wtedy. Smutno mi, kiedy myślę, jak długo i jak zawzięcie usiłowałam stać się kimś, kim nie jestem.

Moje odbicie patrzy na mnie z szyby. Dziewczyna w oknie jest blada, nieuśmiechnięta, jej włosy tworzą ciemną chmurę wokół głowy. Wygląda, jakby widziała rzeczy, których nigdy nie chciałaby zobaczyć.

Nagle przepełnia mnie gniew.

– Wiesz co? Pewna mądra kobieta powiedziała kiedyś „Pieprzyć to gówno", a potem żyła długo i szczęśliwie.

Moje odbicie wygląda, jakby było pod wrażeniem. I trochę przestraszone.

W przypływie determinacji ruszam do łazienki, żeby przygotować się na imprezę.

***

Dwie godziny później moja determinacja zdążyła wyparować, a ja spanikowana wykręcam ręce, siedząc w zamkniętej sypialni.

– Nie spiesz się, dziołcha. Najwyżej wszyscy umrzemy, zanim stamtąd wyjdziesz!

Cam i pani Dinwiddle zebrali się w salonie, by zobaczyć efekt moich przygotowań. Musieli umówić się między sobą, bo nie zapraszałam ich, ale i tak tu są. Zaczynam żałować, że dałam pani Dinwiddle zapasowy klucz.

Biorę ostatni głęboki wdech, wygładzam sukienkę w talii, a następnie otwieram drzwi. Kiedy wchodzę do salonu, pani Dinwiddle skacze na równe nogi z teatralnym westchnieniem.

– *Na Boga*, Kaczuszko! Jesteś *piękna*!

Wiem, że powinno mi to schlebiać, ale mogłaby nie brzmieć na tak piekielnie zszokowaną.

– Jak włosy? – Przygładzam je nerwowo. – Użyłam tej kuracji gorącymi olejkami.

Pani Dinwiddle podchodzi do mnie, a z jej ust ciągle dobiegają niewielkie westchnienia, gdy ogląda mnie z góry do dołu.

– Och, moja *droga*, są po prostu idealne. *Idealne*! Jak je tak podpięłaś? Cóż za uroczy, szykowny *splot*!

– YouTube – przyznaję nieśmiało. – Mają naprawdę świetne przewodniki.

Cam siedzi na kanapie z piwem, nic nie mówiąc. Tylko na mnie patrzy. Naprawdę patrzy.

Podczas gdy pani Dinwiddle krąży wokół mnie, zdejmując z sukienki niewidzialne nitki i wzdychając z zachwytu jak jakaś histeryczna wróżka chrzestna, pozwalam Camowi przyglądać się, aż nie mogę tego dłużej znieść.

– No i?

Niskim, ochrypłym głosem mówi:

– Powiedzmy po prostu: cieszę się, że już siedzę.

Zadowolona uśmiecham się do siebie.

– Uznaję to za komplement.

– Tak. To komplement. Ale gdybyś wiedziała, co naprawdę pomyślałem, uciekłabyś z powrotem do tej sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Kiedy na niego spoglądam, nie uśmiecha się. Podnosi piwo w toaście, a potem opróżnia całą butelkę na raz. Moja twarz zaczyna płonąć.

– Ale musimy to nieco zwęzić, Kaczuszko. Tutaj jest trochę za *luźna*! – Pani Dinwiddle patrzy na moją talię ze zmarszczonymi brwiami, trzymając między palcami kawałek materiału.

– Racja. Schudłam, odkąd ją kupiłam. Kurczę.

– Nic się nie *martw*, moja droga, po prostu ją *zdejmij* na chwilkę, a ja to wszystko naprawię. Jestem ekspertem krawiectwa, *oczywiście*. Przez wszystkie te lata na *scenie*, zdobyłam coś więcej, niż tylko *mężczyzn*. Moje umiejętności użycia igły i nitki są wręcz *legendarne*. Już, już, do środka, *zdejmij* to, nałóż szlafrok, a ja *zaraz* wracam!

Przegania mnie do sypialni, jakby odganiała stado gołębi od swojego lunchu. Zdejmuję sukienkę, uważając, żeby nie popsuć fryzury ani makijażu, po czym nakładam puchaty, biały szlafrok i wracam do salonu z sukienką w ramionach.

– Wracam za *minutkę*!

Pani Dinwiddle opuszcza mieszkanie, zostawiając mnie z Camem sam na sam.

– Nie założyłaś okularów.

Brzmi to jak oskarżenie, więc od razu zaczynam się bronić.

– Mam soczewki. Postanowiłam pójść na całość z tą transformacją. Chcę, żeby nikt mnie nie rozpoznał, kiedy wejdę na imprezę. Chcę wymiatać.

– Och, będziesz wymiatać, dziołcha. Bez wątpienia. Ale tak naprawdę, to piękniś chciał zobaczyć cię bez nich, prawda?

Moje serce zamiera na chwilę. Przełykam nerwowo ślinę, czuję niepokój i dyskomfort, niepewna, dlaczego odczuwam którąkolwiek z tych rzeczy.

– To źle?

Wciąga powietrze przez nos, długo, jakby gryzł się w język albo próbował opanować emocje. Potem wstaje i odstawia pustą butelkę po piwie na stół. Podchodzi do mnie, ujmując moją twarz w dłonie.

– Nie – mówi łagodnie, patrząc mi w oczy. – To nic złego. Chcesz zadowolić swojego mężczyznę, rozumiem. Tylko nie zapominaj, kim jesteś. Nie zapominaj, jaka jesteś, Joellen. Dla nikogo.

Moje serce bije teraz niczym tętent stada dzikich ogierów galopujących przez otwarte prerie.

– Jaka jestem? – szepczę, bojąc się odpowiedzi.

– Idealna.

Pochyla głowę, po czym całuje mnie, najdelikatniejszym, najsłodszym muśnięciem ust. Potem odwraca się i wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi.

Zatapiam się w kanapie z miękkimi kolanami, a następnie przez następne piętnaście minut doświadczam hiperwentylacji, aż pani Dinwiddle pojawia się z moją sukienką.

***

W taksówce w drodze na przyjęcie nie widzę zaśnieżonych ulic, które mijam. Nie widzę samochodów i świateł, nie słyszę też świątecznych piosenek płynących z głośnika.

Widzę tylko twarz Cama. Słyszę tylko jego głos, kiedy mówi mi, że jestem idealna. Cóż, słyszę też krytyczny głos w głowie, który podpowiada, że Cam musiał ostro się naćpać, skoro sądzi, że jestem choćby bliska perfekcji, ale spycham ten głos do ciemnego kąta w umyśle, pozwalając sobie myśleć, że może nie muszę naprawdę być idealna. Może w zupełności wystarczy, że choć jedna osoba mnie za taką uważa.

Może jego wiara we mnie może być ziarnem, które zapuści korzenie w upartym, nienawidzącym siebie brudzie, który pokrywa mój umysł, i wyrośnie z niego ogród samoakceptacji.

A może jestem stuknięta.

– Boże, naprawdę potrzebuję drinka – mówię na głos.

Z siedzenia kierowcy taksówkarz wyciąga w moją stronę srebrną flaszeczkę.

– Lubi pani whisky?

Muszę się uśmiechnąć. *Cholera, kocham Nowy Jork*.

– Ani trochę.

***

Doroczne przyjęcie świąteczne Maddox Publishing zostało zorganizowane w sali balowej Broad Street, byłej głównej siedzibie Bank of America, przekształconej w luksusowe miejsce spotkań. W tym roku tematem imprezy jest Zimowa Kraina Czarów, bo najwidoczniej nikt z organizatorów imprezy nie posiada ani krzty oryginalności.

Wysiadam z taksówki. Uderza we mnie przenikliwy wiatr, więc pędzę schodami w stronę drzwi, podciągam kołnierz płaszcza aż na uszy, mając nadzieję, że fryzura nie zniszczy mi się doszczętnie. Wciąż pada śnieg, a na chodniku jest lód.

Wchodzę do środka, gdzie czuć ciepło i mieszaninę zapachów – gorący wosk, lilie i damskie perfumy. Dziewczyna przy kontuarze bierze mój płaszcz, a następnie daje mi bilecik, po czym ruszam eleganckim korytarzem w stronę sali balowej, pragnąc, żeby ręce przestały mi drżeć. Nie chcą współpracować.

Zza rogu słyszę muzykę i śmiechy. Dźwięk kostek lodu w szklankach. Mijam lustro, ale nie patrzę na siebie, wiedząc, że krytyczny głosik czeka w gotowości, żeby tylko wkroczyć do akcji.

Docieram do wielkich podwójnych drzwi prowadzących do sali. Biorę głęboki wdech, a następnie wkraczam do środka.

TRZYDZIEŚCI

Jak gdybym przeżywała doświadczenie poza swoim ciałem, widzę wszystko naraz, włącznie z sobą.

Stoliki koktajlowe oświetlone delikatnym światłem świec woskowych. Stoły do kolacji otaczające ogromny parkiet. Dekoracje z białych gałęzi ozdobionych łańcuszkami sztucznych kryształków, które łapią i odbijają światło. Dziesięcioosobowy zespół we frakach na podwyższeniu. Ludzie przechadzają się, rozmawiają i śmieją z drinkami w dłoniach.

Ja, stojąca w drzwiach, w zniewalającej czerwonej sukience, która kosztowała połowę mojej miesięcznej pensji i w błyszczących, wysokich do nieba szpilkach, które sprawiają, że moje nogi wyglądają fantastycznie, i moje tanie, codzienne okulary w czarnych, plastikowych oprawkach.

Ponieważ jestem cholernie idealna, ot co.

W drodze do barku w rogu mija mnie Shasta, nawet nie zaszczycając spojrzeniem.

– Shasta.

Odwraca się, rozglądając, po czym wpatruje się we mnie z zaskoczeniem.

– Joellen? To ty?

– Przecież nie mam na sobie stroju maskującego.

Podchodzi bliżej, gapiąc się na mnie.

– Równie dobrze mogłabyś mieć, stara! Ale z ciebie petarda. Kto by powiedział, że masz takie cycuszki schowane pod tymi okropnymi swetrami.

Nic nie mogę na to poradzić. Muszę się zaśmiać.

– Chodźmy po drinka.

Biorę ją pod ramię, po czym ruszamy w stronę baru, a w międzyczasie odnotowuję, kto już jest, a kto jeszcze się nie pojawił. Portia stoi pogrążona w rozmowie z kimś z marketingu obok kępy

palm w doniczkach. Sue Wong wiedzie prym przy jednym ze stolików koktajlowych pośród młodszych edytorów, którzy spijają każde słowo z jej ust. Grupka facetów z księgowości okupuje bufet z jedzeniem, kłócąc się o to, kto będzie siedział plecami do parkietu.

Michaela nigdzie nie widać.

– Poproszę kieliszek czerwonego wina – mówię barmanowi, który wygląda jak bezdomny. Kiedy podaje mi zamówienie, wrzucam dwudziestkę do jego słoika na napiwki, mimo że drinki są za darmo. On potrzebuje tych pieniędzy bardziej niż ja.

– Wódka rządzi – oznajmia mu Shasta. Z niewielkim uśmiechem skierowanym do mnie nalewa jej porcję alkoholu, która znieczuliłaby nawet niedźwiedzia.

Patrzę zaniepokojona, jak od razu wychyla całość.

– Spokojnie, kilerze! Wieczór jeszcze młody.

– Zerwałam z chłopakiem – mówi, biorąc głęboki wdech. – Nakryłam skurczybyka z inną dziewczyną.

– Och, Shasta, tak mi przykro!

Wzrusza ramionami.

– Wiedziałam, że to nie przetrwa, kiedy polecieliśmy na Bermudy na Święto Dziękczynienia, a on zaczął klaskać przy lądowaniu samolotu. Żadna szanująca się kobieta nie ożeni się z takich facetem.

Unoszę kieliszek wina.

– Za bycie singielką.

– Za bycie singielką – powtarza. – Następnym razem pomyślę, żeby zostać lesbijką.

– Coś mi się wydaje, że to tak nie działa.

Ponownie wzrusza ramionami i obie pijemy. Kiedy przełykam wino, zauważam Michaela.

Stoi po drugiej stronie parkietu z trojgiem ludzi. Jednym z nich jest jego ojciec, który odszedł na emeryturę ponad dziesięć lat temu. Kolejna osoba to obecny dyrektor operacyjny. A trzecia to jego żona.

Jego wysoka, piękna, elegancka żona, która trzyma dłoń na jego ramieniu i uśmiecha się do niego.

Mój żołądek skręca się w supeł. Odstawiam kieliszek wina na bar, bo wiem, że jeśli tego nie zrobię, to go upuszczę. Shasta coś mówi,

ale ja słyszę tylko jakiś wysoki dźwięk w uszach, jakby ktoś krzyczał. Nie zdziwiłabym się, gdybym tym kimś była ja.

– Muszę iść do łazienki. – Nie czekam, żeby zobaczyć, czy Shasta mnie usłyszała, po prostu wypadam z sali tak szybko, jak to możliwe.

Wydostawszy się na zewnątrz, biegnę korytarzem w poszukiwaniu damskiej toalety. Na szczęście w takich miejscach one zawsze są w pobliżu. Osuwam się na drzwi, dysząc, po czym zataczam się do środka. Zamykam się w kabinie, oplatam ramionami i siadam na toalecie, wpatrując się w fugę między kafelkami, aż wreszcie najgorszy ból mija, a ja znowu mogę oddychać.

– Nie rozumiem – szepczę drżącym głosem. – Nie rozumiem.

Mówił, że się rozwodzi. Powiedział, że dzisiaj porozmawiamy i dam mu znać, co postanowiłam w naszej sprawie. Jak on mógł przyjść tutaj ze swoją żoną?

Proste, kłamał – mówi pragmatyczny głos w mojej głowie.

Drzwi otwierają się, czyjeś kroki odbijają się echem. Potem słyszę głos.

– Joellen?

Skaczę na równe nogi ogarnięta furią.

– Gdybyś nie zauważył, to damska toaleta, ty dupku!

Głośne westchnienie Michaela wydaje się jeszcze bardziej donośne, kiedy odbija się od kafelków.

– Jesteś zła.

– A ty jesteś tu z żoną. Ciekawe, jak te dwie rzeczy mogą być z sobą powiązane?

– Mogłabyś wyjść? Nie chcę prowadzić tej rozmowy przez drzwi toalety.

Jestem wdzięczna temu aniołowi stróżowi, który pomaga mi być bardziej wściekłą niż zdruzgotaną, bo gniew pomoże mi przetrwać kolejne kilka minut, akurat na tyle długo, by zachować godność, zanim rozpadnę się na milion kawałków w taksówce w drodze do domu.

Otwieram drzwi, po czym piorunuję go spojrzeniem.

Wygląda pięknie, to oczywiste. Ma idealnie ułożone włosy. Garnitur jest cudowny. Buty wypolerowane na błysk. Mam ochotę podpalić mu twarz, a potem ugasić ją łopatą.

– Proszę. – Gestem pokazuje, żebym wyszła z kabiny. Potem patrzy z niepokojem, jak się wyłaniam, a z moich nozdrzy buchają płomienie.

Staję obok umywalek, po czym krzyżuję ręce na piersi.

– Masz dokładnie dziesięć sekund, żeby powiedzieć to, co masz do powiedzenia, a potem zamierzam kopnąć cię w jaja. Dawaj.

Cień uśmiechu unosi kąciki jego warg.

– To nie tak, jak myślisz.

Wyrzucam ręce w powietrze.

– Naprawdę? Spodziewasz się, że w to uwierzę?

– Po prostu mnie wysłuchaj. Mówiłem ci, że nasz rozwód ma przebiec polubownie…

– Nie. Właśnie tego mi nie powiedziałeś. Mówiłeś, że ona mieszka w domu, a ty wynająłeś sobie mieszkanie na czas, kiedy prawnicy ustalają szczegóły. Na tym polegały twoje wyjaśnienia.

Unosi dłoń, jakby w geście poddania.

– Przepraszam. Powinienem był wyrazić się jaśniej. Nasz rozwód ma odbyć się polubownie.

– Tak, to już wiem. Przejdź do tej ważniejszej części, w której przychodzicie na imprezę świąteczną razem, wyglądając na bardzo szczęśliwe małżeństwo.

Ma zbolały wyraz twarzy.

– Mój ojciec pomyślał, że to będzie dobrze postrzegane. Wiesz, żeby pracownicy widzieli, że między nami panują przyjazne relacje. W wielu takich przypadkach rodzinne firmy upadają przy okazji zaciekłych rozwodów.

Kiedy wpatruję się w niego, nadal niepewna, czy mówi prawdę, ale zdecydowanie pewna, że nie imponuje mi to, jak słucha rad tatusia w sprawie życia osobistego, dodaje ostrożnie:

– Nie mamy podziału majątku. Jeśli Elizabeth będzie nalegać, może doprowadzić do sprzedaży firmy, żeby wszystko podzielić po równo.

To sprawia, że mój gniew nieco maleje.

– Ale przecież firma działa od wieków! Dużo dłużej niż wasze małżeństwo!

Michael przytakuje.

– Tak. Zgadza się. Ale odkąd przejąłem stanowisko dyrektora, potroiliśmy zasięg i przy tym zyski. Mogłaby kłócić się w sądzie, że te zyski wchodzą w skład majątku wspólnego. Oczywiście będę walczył, ale jeśli przegram, będę musiał ją spłacić za kwotę ponad stu milionów dolarów. Nie mam takich pieniędzy. Jedynym sposobem byłaby sprzedaż.

Nie wiem, jak na to zareagować. Przyglądam się jego twarzy, ale wydaje się szczery.

Podchodzi krok bliżej.

– Nie chcę zmieniać tematu, ale wyglądasz niesamowicie.

Wiem, że powinnam coś powiedzieć. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to zwykłe:

– Dzięki.

– Przepraszam – mówi łagodnie, robiąc kolejny krok w moją stronę. – Wiem, że to musiał być dla ciebie szok, kiedy zobaczyłaś nas w takiej sytuacji. Naprawdę aż do późnego popołudnia nie wiedziałem, że ona tu przyjdzie.

Sporo czasu, żeby wykonać telefon. Wzdycham. Wyciąga rękę i głaszcze moje ramię, po czym podchodzi jeszcze kawałek tak, że teraz stoimy na tyle blisko, że czuję jego wodę kolońską. A w oddechu whisky, której zapach jest zaskakująco mocny.

– Naprawdę wyglądasz niesamowicie – mruczy. – Ta sukienka jest… wow. A twoje włosy. Mój Boże, Joellen. Jesteś olśniewająca.

Walczę z uśmiechem, bo jestem zirytowana, ale jego twarz wygląda zbyt uroczo, żebym mogła długo się gniewać.

– Cieszę się, że ci się podoba.

Zaciska palce na moich ramionach, a następnie przyciąga do siebie.

– Nie tylko mi się podoba. Jestem zachwycony. Sprawiłaś, że jestem twoim niewolnikiem. – Pochyla się, przesuwając nosem po mojej szczęce, a maleńkie włoski na moim karku unoszą się. – Gdybyś tylko pozbyła się tych okularów, byłabyś idealna.

To stwierdzenie zapiera mi dech w piersi. Jestem zszokowana, jakby właśnie uderzył mnie w twarz. Wyobrażam nas sobie siedzących rano przy śniadaniu, w jakiejś odległej przyszłości. On

czyta gazetę, ignorując mnie, a kiedy sięgam po kolejnego croissanta, on uderza mnie w rękę, warcząc:

– Już dość zjadłaś.

Nigdy nie uzna, że jestem idealna tak po prostu. Nigdy nie powie mi, że jestem cudem. Przy nim zawsze będę musiała udawać, próbować dorównać jakimś niedoścignionym standardom, nigdy będę mogła się zrelaksować i być sobą.

Coś nieoczekiwanie przeskakuje w mojej głowie i nagle wprost nie mogę się doczekać, żeby stąd wyjść.

– Powinniśmy już iść. Ktoś może tu wejść w każdej chwili.

– Dzięki temu to jeszcze bardziej ekscytujące, nie sądzisz?

Wącha moją szyję, wydając z siebie niski pomruk zadowolenia. Kiedy przyciąga mnie do siebie, z przerażeniem wyczuwam wybrzuszenie poniżej jego talii, które zapewne nie jest portfelem.

– Hej, dobra. Opanuj się…

– Podczas wyjazdu nie mogłem przestać o tobie myśleć – przerywa, a jego głos staje się głębszy. Przesuwa ustami w dół mojej szyi, skubiąc co jakiś czas, jakby próbował mnie posmakować. Zjeść mnie. Napiera, aż docieram do zlewu i nie mam dalej dokąd się wycofać. – Podobało ci się droczenie ze mną w mailach, co? Wysłałaś mi to zdjęcie ucha. – Śmieje się jak złoczyńca z komiksu. – Sprytne. Jeśli planowałaś wywołać we mnie obsesję, zadziałało.

Zaczynam panikować, bo zachowuje się naprawdę dziwnie.

– Nie, naprawdę nie miałam żadnego planu…

Łapie mnie za włosy, odchyla głowę, a następnie przyciska usta do mojego gardła jak wampir. To takie niespodziewane, że aż podskakuję, kompletnie zszokowana, a potem skamlę, kiedy chwyta mnie za pierś i ściska.

– Michael! Robisz mi krzywdę!

Miażdży moje usta swoimi.

Odpycham go, dysząc, po czym przykładam dłoń do piekących warg.

– Koleś! Opanuj się! Nie zamierzam bzykać się z tobą w toalecie! Może mnie nie słyszałeś, ale powiedziałam, żebyś się opanował!

Jest tak, jakby moja odmowa jeszcze go nakręcała. W jednej chwili jest tym znajomym mężczyzną o nienagannych manierach, a w

kolejnej znika, zastąpiony przez jakiegoś przypadkowego psychopatę z kiepskiego filmu.

Chwyta mnie za ramię, popycha na zlew i znowu dziko całuje, a jego zęby zatapiają się w mojej wrażliwej, dolnej wardze. Przechyla mnie do tyłu tak bardzo, że uderzam głową w lustro.

Reaguję instynktownie i gryzę go.

– Au! – odsuwa się na sekundę, oddychając ciężko. Jest zdumiony. Przykłada palec do ust, a kiedy dostrzega krew, uśmiecha się.

Patrzy na mnie tym psychopatycznym wzrokiem, mrożąc mi krew w żyłach. Próbuję zeskoczyć z blatu, ale trzyma mnie w miejscu. Przez ten głupi squash ma silne ręce.

– Puść mnie!

– Lubisz na ostro. – Wykręca mi rękę za plecy. – Ja też.

Śmieje mi się do ucha, a ja znowu czuję alkohol w jego oddechu, od tych oparów robi mi się niedobrze. *Ile on musiał wypić?*

– Przestań. Michael, przestań!

– Och, no dalej, Joellen, nie bądź taką cnotką. Oboje wiemy, co robimy. Chcesz dostać awans, prawda? Myślałaś, że rozdaję je za darmo?

Całuje moją szyję, po czym przyciska krocze do mojego, podciągając do góry sukienkę, by chwycić nagie udo. Moje serce łomocze na równi ze strachu i z furii, przepełnione kompletnym niedowierzaniem.

– Żartujesz sobie ze mnie? Powiedziałam: przestań!

– Przestanę, kiedy będzie mi się podobało. – Jego głos przechodzi w warknięcie. Wsuwa palce pod materiał moich majtek na biodrze.

Właśnie kiedy zamierzam zacząć wrzeszczeć na całe gardło, drzwi otwierają się. Dociera do nas odgłos muzyki. Michael i ja zamieramy, oglądając się, by zobaczyć, kto wszedł.

To Portia.

Stoi w drzwiach jak posąg, ma szeroko otwarte oczy, a usta układa w przerażone O, widząc, co robię z Michaelem na blacie.

Włosy mam potargane. Oboje ciężko dyszymy. Moja pomadka rozmazała się na jego wargach. Nogę mam zgięta przy jego talii, a sukienkę podciągniętą tak, że widać całe udo i majtki.

Wiem dokładnie, jak to dla niej wygląda i mam ochotę zwymiotować.

Portia odwraca się bez słowa, po czym wychodzi. Drzwi zamykają się za nią.

Używając całej siły, odpycham Michaela. Nadal rozproszony wtargnięciem Portii, zatacza się do tyłu, mrugając. Zsuwam się z blatu, poprawiam sukienkę, a potem ruszam do miejsca, gdzie stoi, obok toalety, z której wcześniej wyszłam, i z całej siły uderzam go w twarz.

– Możesz wsadzić sobie ten awans w dupę!

Wybiegam z damskiej toalety, wzrok rozmywa mi się od łez płynących z oczu. Pędzę przez elegancki korytarz, żeby zabrać swój płaszcz. Wypadam na chodnik, a następnie wołam taksówkę. Powietrze w płucach zamarza, ale uszy palą zbyt mocno, żeby poczuć zimno.

Dopiero kiedy siedzę bezpiecznie w taksówce i podaję kierowcy adres, załamuję się i zaczynam płakać.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Kiedy Cam otwiera drzwi, rzucam mu się w ramiona i chowam twarz w jego szyi.

– Joellen! Co się stało? Dlaczego już wróciłaś?

Nie mogąc nic powiedzieć, żeby znowu nie zalać się łzami, po prostu potrząsam głową. Całe moje ciało drży. Jestem tak załamana, że czuję, jakby w moim brzuchu wybuchła bomba i wyrwała we mnie wielką dziurę.

Wszystko, o czym fantazjowałam przez ostatnie dziesięć lat, było dokładnie tylko tym: fantazją. Michael nie jest rycerzem w lśniącej zbroi, który przybędzie, żeby mnie uratować. Jest jabłkiem, które wiedźma podarowała Królewnie Śnieżce – idealny, lśniący i przesiąknięty trucizną.

– Spokojnie. Oddychaj, dziołcha. Wejdź i porozmawiaj ze mną.

Uspokaja mnie kojącymi słowami, uścisk jego silnych ramion działa pocieszająco. Bosą stopą zatrzaskuje drzwi.

– Co się stało z twoimi włosami? I dlaczego płakałaś?

– Michael – szepczę. – On… on…

Cam sztywnieje. Jego głos staje się niski i niepokojąco twardy.

– On co, dziołcha?

Boję się mu powiedzieć, co dokładnie zaszło, bo po jego tonie, pozie i wyrazie twarzy wnioskuję, że może zaraz wyjść z mieszkania, znaleźć Michaela i sprawić, że pożałuje dnia swoich narodzin. Zamiast tego decyduję się na uogólnienie.

– Jest dupkiem!

Ujmuje moją twarz w dłonie, a następnie zmusza, żebym na niego spojrzała. Warczy:

– Jeśli przystawiał się do ciebie, połamię mu cholerne kolana!

Chociaż chce mi się płakać, po tych słowach lekko się uśmiecham.

– Przystawiał do mnie? Jakie to słodkie, babciu.

– Przysięgam na Boga, lepiej powiedz mi, co zrobił, że doprowadził cię do takiego stanu, albo zacznę zakładać najgorsze, a wtedy wytropię tego gnoja i urwę mu jaja. Mów.

Cichutkim głosem pytam:

– Dlaczego tak ciężko ci założyć koszulę, pozerze? Ta rozmowa byłaby dużo łatwiejsza, gdybym nie musiała udawać, że nie jesteś półnagi.

Chociaż jego twarz jest spięta ze zmartwienia, na dźwięk tych słów w oczach pojawia się zawadiacki błysk. Przesuwa kciukiem po moim policzku, prawdopodobnie ścierając rozmazany tusz do rzęs.

– Mięśnie znowu cię rozpraszają, co?

Prawdę mówiąc, tak. Jest wielki i muskularny, pokryty tatuażami. Jest dokładnym przeciwieństwem Michaela, praktycznie w każdym aspekcie.

I Cam nigdy nie „przystawiał się" do mnie. Żartował, flirtował i drwił sobie ze mnie bezlitośnie, ale wiem, że mężczyzna, którego Michael kiedyś opisał jako „totalne zwierzę", prędzej odrąbałby sobie rękę, niż zrobił cokolwiek, czym okazałby mi brak szacunku.

Jak na przykład rzucenie się na mnie w damskiej toalecie w zamian za awans.

– Dziołcha – mówi, patrząc, jak myślę ze zmarszczonymi brwiami – nie wiem, co dzieje się w tej twojej głowie, ale…

Wspinam się na palce, po czym go całuję.

Zaskoczony bierze głęboki wdech, ale kradnę mu go, całując jeszcze mocniej. Pozwala na to, przyjmując mój język z cichym jękiem, ale prawie natychmiast odbiera mi kontrolę, odwraca głowę i przerywa pocałunek. Stoimy tak przez chwilę, oddychając urywanie, a cisza z każdym uderzeniem zegara staje się jeszcze bardziej przejmująca.

– Co to było? – pyta szorstkim głosem.

– To był pocałunek.

Nadal oplatam go ramionami. Jego ręce wciąż spoczywają na moich plecach. Nasze klatki piersiowe są tak ciasno przyciśnięte do siebie, że czuję, jak jego serce łomocze zawzięcie przy mojej piersi.

– Chodzi ci o pocałunek z zemsty? Bo nie sądzę, żeby tak naprawdę chodziło o mnie.

Z jękiem zamykam oczy, po czym opuszczam głowę na jego pierś.

– Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. Zranił cię?

– Tylko moje ego – przyznaję żałośnie. – I może też wiarę w ludzkość.

Oraz oczywiście moje biedne, głupie serce, które opłakuje śmierć pięknego snu. Nie tylko straciłam Michaela, ale moja kariera jest zrujnowana. Nawet jeśli Michael mnie nie zwolni, Portia doniesie na mnie za niestosowne relacje z dyrektorem, a to będzie koniec. Już raz wpadła na nas w kuchni i pewnie notowała sobie każdy moment, kiedy widziała nas razem w biurze. Nawet jeśli wyprę się wszystkiego, wystarczy, że sprawdzą maile, a znajdą dość dowodów, żeby położyć moją głowę na pieńku.

Mogę się już pożegnać z pracą.

– Miałeś dobre przeczucia wobec niego. Był na imprezie ze swoją żoną. Jestem taka głupia.

Unosi moją głowę, wkładając knykcie pod mój podbródek.

– Nie jesteś głupia – mruczy. – Już zapomniałaś, co powiedziałem ci, zanim wyszłaś?

– Nie, ale twoja opinia jest tendencyjna, bo jesteś we mnie zakochany.

Cam przestaje oddychać. Powietrze staje się naelektryzowane. Tylko zażartowałam, tak jak on zawsze żartuje o tym, że jestem w nim zakochana, ale wyraz jego twarzy… o Boże. Ile razy pragnęłam, żeby Michael patrzył na mnie z takim bezbrzeżnym pragnieniem. Całe miasta mogłyby spłonąć do cna pod jego spojrzeniem.

Następuje sekunda zawahania, a potem ruszamy w tym samym momencie, z tą samą potrzebą. Nasze serca wystukują ten sam szaleńczy rytm. Nasze usta łączą się jak dwa puzzle, które trafiły we właściwe miejsce.

Pocałunek jest głęboki i gorący, ale także niemożliwie czuły. Zostaję odsłonięta, warstwa po warstwie, aż do najwrażliwszej części mojego wnętrza. Na imprezie wypiłam tylko łyk wina, mimo tego czuję się pijana. Zdezorientowana. Jakby cały mój świat zadrżał w posadach, a ja spadam w głąb ciemnej króliczej nory w kierunku wnętrza ziemi.

To nie miało się wydarzyć. Nie z nim.

Cam bez słowa bierze mnie na ręce, po czym kieruje się w stronę sypialni. Jego kroki są długie i szybkie. Kiedy tam docieramy, kładzie mnie na łóżku, układa dłonie po obu stronach mojej głowy, a następnie patrzy mi w oczy.

– Teraz cię rozbiorę. Potem będę się z tobą kochał. Wtedy powiesz mi, czy następnym razem chcesz słodko i delikatnie, czy może mocno i ostro.

Jego głos to szept, wywołujący ciarki swoją intensywnością i kontrolą. Nie istnieje mężczyzna, który potrafiłby sprawić, że te słowa zabrzmią jak groźba, a jednocześnie ekscytująco. Czuję się, jakbym stała nad klifem, patrząc w otchłań, podczas gdy wiatr owiewa mi włosy i twarz.

Nie wiem, co zdarzy się dalej. I szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to.

Całuje mnie mocno, jego włosy łaskoczą moje policzki. Potem przesuwa usta na moją szyję, jego zarost drapie delikatną skórę pod uchem. Wargi są ciepłe i miękkie, oddech urywany jak mój. Widzę, że stara się działać powoli, ale jego dłonie drżą przy mojej głowie.

Zaczynam rozumieć, że oboje zbyt długo na to czekaliśmy, żeby zaczynać delikatnie.

– Zapomnij o kochaniu się ze mną, McGregor – mówię. Krew w moich żyłach płonie. – Zróbmy to mocno i ostro.

Oddycha z ulgą.

– Dzięki Bogu. – Łapie mnie za włosy i ponownie całuje, jakby miał umrzeć, jeśli tego nie zrobi.

Wydaje z siebie gardłowy odgłos, przypominający zwierzęce warknięcie. Jego wewnętrzny wilk wkracza do akcji. To sprawia, że przez całe moje ciało przechodzi dziwny dreszcz, który kumuluje się między nogami. Przyciągam go do siebie za szlufki dżinsów, desperacko pragnąc poczuć jego ciężar. Rozkładam uda, a następnie oplatam go w pasie. Już jest dla mnie twardy. Ocieram się o tę twardość, czując taką desperację jak nigdy wcześniej.

Podnosi się sprawnie, po czym wpatruje we mnie wzrokiem przepełnionym dzikim pożądaniem. Zdejmuje mi buty i każdy z nich rzuca przez ramię na podłogę, a potem przesuwa dłonie od kolan po wewnętrznej stronie nagich ud, ściskając je. I wtedy, zanim zdążę

zrozumieć, co robi, pochyla się między moimi nogami i odsuwa materiał majtek.

Krzyczę zszokowana, bo jego usta – jego gorące, wspaniałe usta – znajdują się właśnie tam.

Dreszcze przebiegają po całym moim ciele. Wszystko mnie boli. Moja skóra rumieni się i płonie.

– O Boże. Nie przestawaj, to niesamowite, to…

Przerywam z jękiem godnym gwiazdy porno, kiedy wsuwa we mnie palec. Jestem całkowicie otwarta. Mam wrażenie, że moja klatka piersiowa stała się zupełnie pusta, jakby ktoś wyrwał mi wszystkie wnętrzności i pozostało tylko to, dotyk jego języka i dźwięki, które z siebie wydaje – głębokie chrząknięcia, seksowne, sprośne i gorące. Brzmi tak, jakby nie mógł nasycić się moim smakiem, jakby był tak bardzo spragniony mnie jak ja jego.

Kiedy uda zaczynają mi drżeć, a oddech rwie się, bo jestem już blisko, tak blisko tego, czego najbardziej pragnę, nagle przerywa i zawisa nade mną.

Wbijając we mnie wzrok, odpina dżinsy, wyślizguje się z nich, a potem ściąga bokserki. Patrzę, jak zsuwają się po jego nogach i opadają do kostek. Wydaję przy tym bezwolny dźwięk pełen pożądania. Cam bierze w dłoń swój sterczący członek, jednocześnie obserwując moją twarz.

Siadam, odpycham jego rękę, owijam palce wokół penisa, a następnie biorę go do ust.

Jęk rozkoszy sprawia, że czuję się jak bogini.

Zatapia palce w moich włosach, kiedy go ssę, ugniatając jądra jedną dłonią, a drugą przesuwając po grubym trzonie. Czuję się jeszcze bardziej jak bogini, gdy zaczyna kląć pod nosem.

– Jasna cholera, te piekielne, słodkie usta – szepcze, poruszając biodrami. – Kocham te usta. Kocham…

Sapie, kiedy przyjmuję go tak głęboko, jak mogę.

I wtedy ląduję na brzuchu, przerzucona z prędkością światła. Cam unosi mój tyłek, wsuwając rękę pod biodra, ustawia mnie na kolanach, podciąga sukienkę i eksponuje pośladki. Następne, co czuję, to zatapiające się w nich zęby. Zaskoczona wciągam powietrze.

Zaciskam dłonie w pięści na kocu. Czuję ciepły oddech na skórze, kiedy Cam chrypi:

– Chciałem to zrobić od chwili, kiedy pojawiłaś się przy moich drzwiach, w tym brzydkim zielonym swetrze, taka nakręcona i pyskata, każąc mi ściszyć muzykę.

Gryzie mnie ponownie, nie dość mocno, żeby przebić skórę, ale wystarczająco, by zabolało, po czym warczy. Prawie mdleję. Adrenalina płynie żyłami. Ledwo mogę złapać oddech.

Nadal mnie podgryza, wsuwając dłoń między nogi, by mnie tam stymulować, podczas gdy przesuwa się do drugiego pośladka, aż cały tyłek zaczyna mnie piec, a ja kołyszę się przy jego dużej dłoni. Dyszę w prześcieradło, umieram.

Tak, umieram. On mnie zabije. Szczypie moją łechtaczkę i gryzie w tyłek, a ja jestem w niebie.

– Muszę pozbyć się tej sukienki. – Zaczyna niecierpliwie ciągnąć za suwak, ale nie mam na to czasu.

– Zostaw ją – mówię, dysząc. – Po prostu zostaw i pieprz mnie.

Nie muszę dwa razy powtarzać. Otwiera szufladę przy łóżku. Słyszę rozdzieranie folii, więc uchylam powieki, by cieszyć wzrok tą niesamowitą przyjemnością patrzenia, jak rozwija prezerwatywę na całej długości swojego wielkiego, wspaniałego przyrodzenia.

Następnie opada na kolana tuż za mną i podtrzymuje się na moim biodrze. W kolejnej sekundzie przykłada członek do mojego wejścia, a potem rozpiera mnie i rozciąga, aż brakuje mi tchu.

Chwyta pełną garść moich włosów, po czym owija je wokół swojego nadgarstka tak, że muszę odchylić głowę, a potem porusza biodrami, wbijając się we mnie.

Krzyczę. Znowu pcha. Jęczę, czując go w sobie. Jest gwałtowny i natarczywy. Otacza mnie jego niesamowite ciepło, również w środku, a zapach jego skóry uderza w moje nozdrza. Pieprzy mnie długimi, mocnymi pchnięciami, przytrzymując w miejscu dla własnej przyjemności, jedną ręką opartą na biodrze, drugą zaciśniętą na włosach, jakby były smyczą.

Klepie mnie w tyłek. Mocno. Śmieję się jak wariatka, tak bardzo mi się to podoba.

On wie. Oczywiście, że wie, co lubię. Naprzemiennie klepie mnie w tyłek i sięga, by pieścić moją nabrzmiałą łechtaczkę, aż jęczę, stękam i kompletnie tracę rozum. Odpowiadając na każde jego pchnięcie, nieuchronnie zbliżam się do orgazmu.

Wyciąga rękę, następnie ściska twardy sutek przez materiał sukienki, a ja zaczynam drżeć wokół niego.

– Kurwa – szepcze ochryple. – Dochodzisz. O cholera, Joellen…

Przerywa z jękiem, kiedy dochodzę. Wszystko w moim wnętrzu zaciska się i rozwiera wściekłymi falami. *Jest dobrze, tak dobrze, o Boże, tak dobrze.*

Nie zdaję sobie sprawy, że powiedziałam to na głos, dopóki Cam nie odpowiada, zgadzając się ze mną.

– Wiedziałem, że będzie nam razem idealnie.

Przerzuca mnie na plecy, ale pozostaje na kolanach. Podciąga mnie tak, że głowa i ramiona trafiają na poduszkę, ale całą resztę ciała podtrzymuje w górze, wsuwając ręce pod mój tyłek. Opieram dłonie na zagłówku, kiedy wchodzi we mnie w takiej pozycji. Jego oddech jest ciężki, włosy opadają mu na oczy, każdy mięsień klatki piersiowej i brzucha jest napięty jak struna.

Jest taki piękny, że czuję się, jakbym uprawiała seks z dziełem sztuki.

W porównaniu z nim moje ciało jest jak gąbka, ale to nie ma znaczenia. Wpatruje się we mnie, pożera każdy fragment mojego ciała, jakby pierwszy raz w życiu spojrzał na słońce.

Podnosi jedną z moich nóg, po czym opiera kostkę na swoim ramieniu. Teraz jest we mnie tak głęboko, jak to tylko możliwe, a ja wydaję z siebie odgłosy, o jakie nigdy się nie podejrzewałam, zwierzęce, ponaglające go. Odwraca głowę i całuje moją kostkę. To tak uroczy gest, że moją pierś przeszywa ból, jakby ktoś przebił ją strzałą.

Zaciskam powieki, ale nie potrafię powstrzymać niezrozumiałego dźwięku przepełnionego rozpaczą, który wyrywa mi się z piersi. Mimo że zbliżam się do kolejnego orgazmu, walczę z nagłym przypływem emocji, bo wiem, że niezależnie jak dobrze jest, to nie może wyjść poza tę jedną noc.

Sięgam po jego ręce, przyciągam go do siebie, po czym oplatam ramionami i nogami. Chowając twarz w jego szyi, wdycham zapach. Próbuję wyryć tę chwilę w swojej pamięci. Drży i jęczy cicho. Jego pchnięcia stają się szybsze. Mocniejsze. Oddech ma tak przyspieszony jak rytm mojego serca.

– Dziołcha – sapie.

– Proszę – skamlę, bo też jestem blisko.

Dochodzimy razem, sztywniejemy i krzyczymy. Wyginam się w łuk pod nim, odrzucam głowę w tył. Cam szarpie się, zaciskając palce na moich włosach. Dziki i kompletnie pozbawiony kontroli zatraca się w moim ciele, a ostatni strzęp mojego zaprzeczenia pęka i ulatnia się.

Czuję coś do Camerona McGregora.

Boże, to będzie boleć.

TRZYDZIEŚCI DWA

Jest późno – albo wcześnie, nie wiem dokładnie. Leżę w łóżku, w objęciach Cama, śledząc palcami wszystkie tatuaże na jego piersi, bo chcę zapamiętać każdy szczegół, kiedy już go nie będzie.

Będę potrzebowała czegoś, co pozwoli mi przetrwać kolejne pięćdziesiąt lat celibatu.

– Nigdy nie zapytałam cię, dlaczego właściwie zamieniliście się na mieszkania z Kellenem – mamroczę. Mam ciężkie kończyny i jestem obolała w różnych miejscach, dzięki niesamowitej wytrzymałości Cama. W ciągu ostatnich dwóch godzin uprawialiśmy seks trzy razy – dwa w łóżku i raz pod prysznicem.

Cam przesuwa palcem po moim kręgosłupie i całuje mnie w skroń.

– Mój trener uznał, że zmiana otoczenia dobrze mi zrobi.

Podnoszę głowę, po czym spoglądam na niego z uśmiechem.

– I zrobiła?

Jego uśmiech jest delikatny i słodki.

– Tak. – Przerywa na chwilę, a jego uśmiech blednie. – I nie.

Wiem, co ma na myśli. Oboje słyszymy tykanie zegara, czas zbliża się do końca.

– Dlaczego potrzebowałeś zmiany otoczenia?

Po kolejnej chwili ciszy, wzdycha ciężko.

– Moje życie stało się… nieznośne.

Od razu przychodzi mi do głowy ta ciężarna, nieletnia dziewczyna, o której mówił Michael. Boję się o tym wspominać, bo nie chcę zrujnować tego pięknego momentu. Ale jeśli mam tylko kilka dni, żeby dowiedzieć się wszystkiego, co mogę o Cameronie McGregorze, zrobię to.

– Mówisz o tej nastolatce.

– Tak. Między innymi. O wiele za dużo piłem. Naskakiwałem na każdego. Nigdy nie byłem dobry w konstruktywnym radzeniu sobie z gniewem, nawet po latach terapii.

– Byłeś na terapii? Przez lata?

– Pracowałem nad głową tak samo ciężko jak nad ciałem. Nie mogę powiedzieć, żeby efekt był takim samym sukcesem, ale tak. Terapia. Zważywszy na to, jak moja mama miała skopaną głowę przez życie, zawsze stawiałem na samodoskonalenie. Również dużo czytam. W zasadzie wszystko, od biografii po historię i politykę. Nie chodziłem do college'u, przebrnięcie przez szkołę średnią z problemami z nauką było już wystarczająco trudne, ale kocham czytać.

Jest taki cudowny i w dodatku kocha czytać. Dlaczego, wszechświecie? Dlaczego dajesz mi to wszystko z kimś, kto ma swoje życie po drugiej stronie świata? Przytulam się, a następnie zaciągam tym wspaniałym, ciepłym zapachem, przełykając gulę w gardle.

– Jak dla mnie nie wyglądasz na specjalnie wściekłego, pozerze.

Śmieje się, zatapiając nos w moich włosach.

– Przypuszczam, że to piękno poskramia dziką bestię.

Moje serce rośnie, kiedy słyszę, że nazwał mnie piękną, ale nie znoszę myśli, że mógłby być nieszczęśliwy. Mój instynkt macierzyński krzyczy, żebym przytuliła go do piersi i walczyła dla niego z całą watahą wilków, ale inny instynkt podpowiada, że wszystkie te wilki są w nim, nie na zewnątrz.

– Takie maleńkie pytanie.

Jego pierś drży od wstrzymywanego śmiechu.

– Dobra. Dawaj.

– Ten proces, w którym uczestniczysz, o którym rozmowę telefoniczną podsłuchałam. Ma coś wspólnego z tą ciężarną nastolatką?

Przytakuje.

– Pozywa mnie o ustalenie ojcostwa.

Kiedy sapię, dodaje szybko:

– Nie jestem ojcem, dziołcha. Może żaden ze mnie wzór moralności, ale wiem dostatecznie dużo, żeby trzymać się z daleka od nieletnich.

– Wiem. Uwierzyłam ci już wtedy, kiedy powiedziałeś, że to nieprawda. Ile ona ma lat?

– Szesnaście.

– O mój Boże! To jeszcze dziecko!

Jego głos staje się oschły.

– Nie powiedziałabyś tak, gdybyś zobaczyła jej zdjęcie. Albo zajrzała do jej głowy. To przebiegła mała spryciula. Chce zdobyć uwagę i wie, jak to osiągnąć.

– Lepiej opowiedz mi całą historię, Cam, bo teraz w mojej głowie pojawiają się jakieś bardzo przerażające scenariusze.

Bezmyślnie przeczesuje moje włosy palcami, kiedy mówi.

– W skrócie chodzi o to, że stałem się celem. Wielkim, durnym środkiem tarczy. Nie pomogłem sobie swoim zachowaniem: picie i naruszanie porządku, historia mojego „randkowania", że się tak wyrażę. Mój obrońca uważa za cud, że nie miałem więcej takich spraw. – Jego śmiech jest mroczny. – Szczęściarz ze mnie.

Czekam, wstrzymując oddech, aż zacznie mówić dalej.

– Urządziłem imprezę w moim domu. Zawsze robiłem imprezy. Otaczanie się ludźmi poprawia mi nastrój. Czuję się mniej… nerwowy. W moim domu zawsze było pełno ludzi. Przyjaciele, jeśli można ich tak nazwać, koledzy z drużyny, obcy, ktokolwiek.

Myślę o tej imprezie z rozbieranym pokerem, którą urządził pierwszego wieczora, o anonimowej dziewczynie, którą poderwał w barze i aż drżę na myśl, co by się wydarzyło, gdybym mieszkała na innym piętrze i byśmy się nie spotkali. Jakaś przypadkowa kobieta mogłaby oskarżyć go o ojcostwo jej nienarodzonego dziecka również tutaj.

Może tym razem naprawdę.

– Pewnej nocy latem jeden koleś przyprowadził siostrę. Wyglądała na przynajmniej dwadzieścia lat. Pełen makijaż, wysokie szpilki i tak dalej. Impreza się rozkręciła. Przed trzecią rano odleciałem na trawniku za domem. Kiedy się obudziłem, cały dom był w ruinie, a wszyscy dawno wyszli, oprócz tej dziewczyny, którą znalazłem zapłakaną w kuchni. Wyglądała okropnie. Zapytałem, co się stało, na co odparła, że jej brat wyszedł, a ona nie ma jak wrócić do domu. Więc, głupi ja, zaproponowałem, że ją odwiozę. I tyle. Tylko to zrobiłem: odwiozłem ją do domu. Tydzień później odwiedziła mnie policja, by przedyskutować moje przyznanie się do stosunku z osobą nieletnią.

Czuję mdłości. Może wysłuchanie tej historii wcale nie było takim dobrym pomysłem.

– Więc ona twierdzi, że uprawialiście seks?

– Tak. Byłem pijany, ale, cholera, nie aż tak, żeby tego nie pamiętać. Nie widziałem jej po tym, jak weszła do domu. Moi prawnicy przesłuchali wszystkich uczestników imprezy i nikt nie przyznał, że widział ją ze mną w którymkolwiek momencie. Ponieważ nie było też żadnych fizycznych dowodów, a ona nie miała świadków, oskarżenia zostały oddalone. Ale do tego czasu prasa już podchwyciła całą historię. Nazywano mnie różnie, od pedofila do gwałciciela.

Przerywa, żeby wziąć oddech. Napięcie rozchodzi się falami po jego ciele.

– Takiego smrodu nie da się łatwo pozbyć.

– Och, Cam. To okropne.

– To nawet nie jest najgorsza część. Dwa miesiące później dowiedziała się, że jest w ciąży i pozwała mnie o ustalenie ojcostwa.

– Ale wystarczyłby test DNA, żeby udowodnić, że nie jesteś ojcem!

– Tak. Któremu ona nie chce się poddać, twierdząc, że może zaszkodzić nienarodzonemu dziecku. Więc teraz muszę czekać, aż urodzi, żeby zrobić ten cholerny test i udowodnić, że jestem niewinny. W międzyczasie ona pojawia się we wszystkich wiadomościach, wypłakując sobie oczy, jak to ją wykorzystałem.

Jestem wściekła w jego imieniu.

– Przecież to niesprawiedliwe! Ona kłamie!

Brzmi na znużonego, kiedy odpowiada.

– To cena, którą muszę zapłacić za to, że odmawiam pójścia na ugodę. Moi prawnicy zaproponowali mi układ, żeby ją uciszyć, ale odmówiłem, bo to przekupstwo. Wszystko wyjdzie w praniu, kiedy dziecko się urodzi, ale do tej pory to prawdziwy cyrk, ze mną w roli głównej.

– A nie możesz pozwać jej za zniesławienie?

Mówi łagodnie:

– Jedyną osobą, którą należy winić za to zniesławienie, dziołcha, jestem ja sam. A ona jest tylko dzieckiem, któremu ktoś poważnie namieszał w głowie. Co by to dało?

To wszystko jest bardzo przygnębiające.

– Chciałabym móc ci jakoś pomóc. Nie mogę znieść myśli, że przechodzisz przez to sam.

Odwraca twarz w stronę moich włosów, po czym oddycha głęboko.

– Już pomogłaś, dziołcha. Nie masz pojęcia jak bardzo.

Jego głos, ochrypły od emocji, głęboki i surowy, wywołuje gorące łzy pod moimi powiekami. Leżymy w ciszy przez kilka chwil, aż znowu zaczyna mówić.

– To zabrzmi cholernie dziwnie.

– Już się martwię.

Wciąga głęboko powietrze, a następnie wypala:

– Przypominasz mi moją matkę.

– To rzeczywiście brzmi dziwnie! Postaram się nie czuć dyskomfortu z powodu tego stwierdzenia, dzięki. Nie mogłeś doczekać się, żeby odpalić tę bombę, kiedy będziemy nadzy w łóżku?

Śmieje się.

– Wiem. Przepraszam. Chodziło mi o to… – Przez chwilę stara się znaleźć właściwe słowa. – Tak naturalnie przychodzi ci zajmowanie się innymi. Potrafisz sprawić, że ludzie czują się dobrze, a nawet nie musisz się starać. Zawsze jesteś szczera. – Jego głos staje się niższy. – Przy tobie można poczuć się jak w domu.

Zamykam oczy, a następnie robię serię głębokich wdechów i wydechów, co wcale nie sprawia, że mój głos się nie łamie, kiedy mówię:

– Rozwalasz mnie, pozerze.

Przyciąga mnie bliżej siebie i przytula tymi swoimi umięśnionymi ramionami.

– Porozmawiamy na ten poważny temat?

Wiem, o czym mówi, ale staram się obrócić to w żart, bo jeśli jestem w czymś dobra, to w unikaniu trudnych rozmów i emocjonalnych chwil przy pomocy kiepskiego humoru.

– Może go jakoś nazwiemy? Miałam na myśli Godzillę.

– Nie mówię o moim fiucie, dziołcha, i dobrze o tym wiesz.

Odsuwam się kawałek, chowając twarz w jego klatce piersiowej.

– Wspominałam kiedyś, że masz piękne piersi? Bo tak jest. Męskie piersi są niedoceniane.

Głębokie westchnienie Cama rozwiewa mi włosy.

– Muszę wrócić do Szkocji trzeciego.

Jego słowa zawisają w powietrzu, jak broń wycelowana w nasz świeżutki związek, który ledwo zaczyna kiełkować. Kiedy nic nie mówię, dodaje:

– Treningi do nowego sezonu zaczynają się szóstego, inaczej zostałbym dłużej…

– Nie – przerywam. Mój głos jest stłumiony przez jego skórę. – Nie możesz zostać. Musisz wrócić do swojego życia.

A ja muszę przemyśleć swoje. To, co z niego zostało. *Ciekawe, czy praca w McDonald's albo Starbucksie lepiej pasowałaby do moich umiejętności?*

Jego głos jest przepełniony emocjami, kiedy mówi:

– Jedź ze mną.

Moje serce zaczyna galopować jak oszalałe, pozostawiając mnie bez tchu. Momentalnie tracę zdolność mówienia, co w zasadzie jest dobre, bo mój stan mentalny można teraz opisać jako: „Stoję na brzegu przepaści".

– Kupię ci bilet z otwartą datą powrotu, będziesz mogła zostać, jak długo zechcesz. Zrób sobie wakacje, zobacz, czy spodoba ci się w Szkocji… Dlaczego kręcisz głową?

– Wiesz, że to niemożliwe – szepczę i nienawidzę się za to, jak płaczliwie brzmię. Takie chwile wymagają hartu ducha, którego nie posiadam. Jestem całkiem pewna, że za chwilę będę musiała zetrzeć swoje smarki z jego piersi.

– Dziołcha…

– Mam trzydzieści sześć lat, Cam. Ty dwadzieścia dziewięć. Moja nerwica jest starsza od ciebie. Ty jesteś wspaniałym, znanym człowiekiem, którego dom zawsze wypełniają ludzie i imprezy, a ja jestem domatorką, która jedyne kontakty towarzyskie utrzymuje z kotem. Ty w końcu zaczniesz mnie nie znosić, a ja będę tęsknić za domem i stanę się dla ciebie ciężarem. Oboje mamy dość poważne problemy, którymi musimy się zająć w życiu, a używanie siebie nawzajem jako kuli spowoduje tylko jeszcze większy chaos.

Po długiej, napiętej ciszy, Cam mówi:

– Wow. To było cholernie przygnębiające. Spróbuj jeszcze raz. Ale tym razem skróć tę wypowiedź i po prostu powiedz „tak”.

Jęczę, po czym przekręcam się na drugi bok. Jeśli pomyślałam, że to skutecznie zakończy rozmowę, Cam szybko wyprowadza mnie z błędu. Łapie w talii i przyciąga z powrotem do siebie.

Przykłada wargi do mojego ucha, mówiąc łagodnie i powoli, jak należałoby mówić do wystraszonego, dzikiego zwierzęcia. Albo kogoś naprawdę głupiego.

– Po pierwsze, mam głęboko w dupie różnicę wieku. Ty też powinnaś. Po drugie, mój dom jest zawsze wypełniony ludźmi, ponieważ jestem samotny, a nie dlatego, że kocham imprezy. Dwa B, moje życie nie jest wspaniałe. Zanim cię poznałem, było jak samochód pędzący sto kilometrów na godzinę w stronę klifu. Po trzecie, jedyne czego w tobie nie znoszę, to twoje nieustanne próby zdyskredytowania samej siebie. Nie mam odpowiedzi na możliwość, że będziesz tęsknić za domem, ale jestem cholernie pewny, że zrobiłbym co w mojej mocy, żebyś poczuła się w moim domu tak samo dobrze jak tutaj. I, cholera, po czwarte, jakiekolwiek problemy mamy w życiu, na pewno wszystko stanie się znacząco lepsze, jeśli będziemy przebywać z jedyną osobą, której możemy zaufać. Nie jesteś dla mnie kulą, Joellen. Jesteś darem. Jeśli nie chcesz jechać do Szkocji, bo po prostu nie chcesz być ze mną, miej odwagę to przyznać, ale nie wciskaj mi tutaj jakichś wymówek. I przestań trzymać się kurczowo najgorszego możliwego scenariusza co do sytuacji między nami… Opanuj to negatywne pieprzenie.

Następuje długa, okropna cisza, w której wpatruję się przez okno w płatki śniegu i z całych sił próbuję się trzymać, pomimo że właśnie kompletnie mnie rozwalił.

Normalnie w takiej chwili zalałabym się łzami i uciekła do domu, żeby zajeść stres. Nie… to nieprawda. „Normalnie” nie istnieje taki wszechświat, w którym gorący, noszący różowy szlafrok, sławny sportowiec właśnie bzykał się z durną mną, po czym zaprosił do przeprowadzki do Europy. Najwidoczniej jednak to jest moja nowa normalność, więc po prostu będę musiała to przyswoić i poradzić sobie najlepiej, jak potrafię.

– Założę się, że w domu masz tylko waniliowe lody.

Cam zaczyna się śmiać, z początku lekko, ale potem poddaje się temu, opada na łóżko, a cały materac drży od jego salw śmiechu.

– Cicho, pozerze. Jesteś beznadziejny w złoszczeniu się na kogoś, wiesz?

– Nie, dziołcha.

Wciąga mnie na siebie – unosi w ten cudowny sposób, który sprawia, że czuję się maleńka, kobieca i wdzięczna za to, że z takim poświęceniem zbudował te mięśnie – i spogląda na mnie z uśmiechem.

– Po prostu jesteś zbyt dziwna i cudowna, żeby złościć się na ciebie zbyt długo.

Całuje mnie z uśmiechem na twarzy, a potem wplata palce w moje włosy. Przyciska mnie do swojej piersi, a ja słucham bicia jego serca i oddechu, który wyrównuje się, gdy zapada w sen.

Leżę obok i oddycham nim jeszcze jeden, ostatni, raz, tłumacząc sobie, że tak będzie lepiej. Jeśli wyjdę zanim się obudzi, będziemy mogli uniknąć nieuchronnej, dziwnej sytuacji rano.

Zbieram sukienkę i buty, po czym wychodzę na palcach, cichutko zamykając za sobą drzwi.

TRZYDZIEŚCI TRZY

Jest Wigilia, trzeci najbardziej przygnębiający dzień w roku, zaraz po Bożym Narodzeniu i Walentynkach. Ten rok jest nawet gorszy niż wcześniejsze, bo nie tylko Michael Maddox mnie nie kocha, to jeszcze ten fakt wcale mnie nie obchodzi, bo zakochałam się w innym mężczyźnie, z którym też nie mam przyszłości.

Chyba po prostu tak już mam.

Leżę w łóżku z Panem Bingleyem, wpatruję się w sufit i zaczyna być mi siebie żal, kiedy słyszę pukanie do drzwi. Jego pukanie. Pewnie właśnie się obudził, bo na dworze wciąż jest ciemno.

– Nie otworzę – mówię kotu, który obrzuca mnie spojrzeniem pełnym odrazy, sprawiającym, że zaczynam się bronić. – Po co od razu mnie oceniasz?

Wyraz jego pyszczka mówi mi, że dokładnie wie, co zrobiłam źle i powinnam się wstydzić. Teraz czuję się jeszcze gorzej, bo nawet głupi kot jest mądrzejszy ode mnie.

Pukanie Cama staje się jeszcze głośniejsze, aż w końcu słyszę przez drzwi jego głos.

– Wiem, że tam jesteś. Nie obchodzi mnie, jak długo będę musiał czekać, nie ruszę się stąd, dopóki nie otworzysz.

Wzdycham, przekonując się, że lepiej zakończyć to jak najszybciej, żebym mogła wrócić do łóżka. Wlokę się do drzwi owinięta kocem.

– Joellen!

– Jestem tu, pozerze – mówię przez drzwi. – Nie budź całego budynku.

– Otwieraj.

Opieram czoło o drzwi.

– Nie mogę, Jestem zajęta kopaniem samej siebie.

– Jaja sobie robisz? Otwórz te cholerne drzwi.

Jest wściekły. Patrzę przez wizjer wprost w piwne oczy wpatrujące się we mnie gniewnie.

– Widzę twoją głowę, dziołcha. Już to przerabialiśmy.

Biorę głęboki, uspokajający wdech, po czym otwieram drzwi. Cam popycha je, przy okazji usuwając mnie z drogi. W połowie drogi do salonu odwraca się na pięcie, a następnie piorunuje mnie wzrokiem.

– Powiedz, że nie wymknęłaś się bez pożegnania po tym, jak uprawialiśmy seks cztery razy i odbyliśmy bardzo poważną rozmowę. Powiedz, że przyszłaś tylko nakarmić kota i właśnie miałaś wrócić, kiedy zapukałem.

Wzdrygam się, ciaśniej owijając kocem.

– Mm.

Wygląda na zdumionego, urażonego i kompletnie wkurzonego.

– Olałaś mnie, do cholery.

– Wcale nie.

– A właśnie, że tak!

– Nie, olewa się kogoś, kiedy spotykasz się z nim, a potem zrywasz i znikasz z jego życia bez słowa wyjaśnienia. Moje wcześniejsze wyjście było… – Szukam właściwego słowa. – Korzystne.

Rumieniec wypływa na jego szyję. Oczy błyszczą gniewem.

– Korzystne?

– W sensie praktyczne.

To tylko złości go jeszcze bardziej.

Uciskam palcami nasadę nosa. Czuję mdłości i zbliżającą się migrenę.

– Cam. Już to przerabialiśmy. Wyjeżdżasz za kilka dni. Mieszkasz w innym kraju. Masz tam swoje życie, a ja tutaj swoje.

– Naprawdę? – pyta, a jego głos ocieka sarkazmem. – I jak ci się układa to życie, Joellen?

Teraz nie tylko on jest wściekły.

– Auć, pozerze.

– Masz cholerną rację, auć. Teraz wiesz, jak się poczułem, kiedy obudziłem się sam. Jestem zaskoczony, że nie zostawiłaś pieniędzy na komodzie jako zapłaty za usługę.

Przełykam, bo w moim gardle nagle urosła gula.

– Przepraszam. Nie chciałam, żebyś poczuł się źle. To był błąd.

Reaguje tak, jakbym kopnęła go w brzuch. Odsuwa się, krew odpływa mu z twarzy, otwiera szeroko usta i oczy.

– Błąd?

Od razu zdaję sobie sprawę, że prawdziwym błędem było użycie tego słowa, które w oczywisty sposób było bardzo złym wyborem.

– Nie… Cam, posłuchaj, nie miałam tego na myśli…

– Wiem dokładnie, co miałaś na myśli, dziołcha – mówi gorzko, po czym wymija mnie. Wychodzi z mieszkania, przemierza korytarz, a następnie zatrzaskuje swoje drzwi, zanim zdążę znaleźć w głowie jakiekolwiek słowo.

Stoję w miejscu przez dłuższy czas, walcząc z potrzebą przebiegnięcia przez korytarz i rzucenia mu się w ramiona, ale ostatecznie poddaję się nieuniknionej realności tej sytuacji i wracam do łóżka, zarzucając kołdrę na głowę.

Pan Bingley zeskakuje, bo nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

***

O piątej po południu nadal leżę w łóżku, kiedy dzwoni telefon. Odbieram go niemrawo.

– Halo?

– Cześć, skarbie! Wesołych Świąt!

– Cześć, mamo. Wesołej Wigilii.

Śmieje się. W tym dźwięku słychać Kalifornię: jest pogodny, piękny i zwiewny.

– Wiem, że dzwonię dzień wcześniej, ale jutro rano jedziemy do twojej siostry i zostajemy tam. Wiesz, jakie u niej panuje szaleństwo przy dzieciach. Pewnie nie będziemy mieli okazji zadzwonić.

Wiem, że nie stara się być złośliwa, ale w takich chwilach muszę gryźć się w język, żeby nie powiedzieć czegoś wrednego w stylu „Chciałaś powiedzieć, że nie znajdziecie czasu, żeby zadzwonić”.

Jacqueline i jej mąż Jack mają dwuletnie bliźnięta. Ich imiona także zaczynają się na J, bo astrolog mojej siostry powiedział jej, że to przyniesie dobrą energię. Nie sądziłam, że Szatan może nawiedzić dwa ciała naraz, ale kurczę, byłam w wielkim błędzie. Ilość wymiocin i zielonych smarków, jakie produkują te dzieci, kwalifikuje się na egzorcyzmy. Tak jak ich krzyki, które sprawiają, że farba schodzi ze ścian. Nie mam pojęcia, dlaczego moja matka tak desperacko pragnie

więcej takich małych potworów w naszej rodzinie, ale hołduje opinii, że nie będę szczęśliwa ani spełniona, jeśli nie zostanę matką.

Albo nie będę nosić bliźniaków.

– Och, wczoraj dostaliśmy twoje paczki, skarbie! Dziękuję za ten uroczy moherowy szal.

Uroczy to jej zakodowane określenie na ohydny. Lubimy wysyłać sobie prezenty, które z góry wiemy, że nie spodobają się obdarowanemu, bo relacje matki z córką to pole minowe, sceny morderstwa i inne takie fajne rzeczy.

– A, dzięki za nowy kalendarz z Grumpy Cat[7], który mi wysłałaś, mamo. Już nie mogę się doczekać, aż przypnę go do ściany i kolejny rok będę patrzeć na tę minę, jakby cierpiał na zaparcia.

– To mi o czymś przypomina, skarbie… masz jakieś wieści o swoim awansie?

Żołądek mi się ściska, bo wiem, że zacznie panikować, kiedy dowie się, że mnie zwolnią. Ale wtedy, ni stąd, ni zowąd, przeżywam objawienie. Kolejne odkrycie w stylu „pieprzyć to", tyle, że dużo większe.

Naprawdę nie ma znaczenia, co moja matka myśli o czymkolwiek.

Wow, nie zdawałam sobie sprawy, jak ciężkie było to brzemię, dopóki go z siebie nie zrzuciłam.

– Tak, w tej kwestii kiepskie wieści – mówię. – Mój szef… pamiętasz Michaela? Tego, o którym mówiłam ci, że kocham się w nim od lat, a ty powiedziałaś, że byłby idealny dla Jacqueline? Okazał się totalnym palantem i próbował mnie przelecieć w damskiej toalecie na imprezie świątecznej. Najwidoczniej ten awans miał być pewnego rodzaju obopólną korzyścią, a ja w to nie weszłam. Biuro jest zamknięte do nowego roku, bo trwa przerwa świąteczna, ale jestem całkiem pewna, że zostanę zwolniona, kiedy tylko wrócę.

– Co? – skrzeczy moja matka.

– Słabo, co? Może będziesz musiała przygotować dla mnie sypialnię dla gości. A, i jeszcze jedno. Cameron McGregor poprosił mnie, żebym wyjechała z nim do Szkocji. Łączy nas swego rodzaju dziwna, seksualna relacja, której naprawdę nie jestem w stanie

udźwignąć emocjonalnie, ale wiedziałam, że zainteresuje cię fakt, iż jest niesamowity w łóżku.

Słyszę huk i zastanawiam się, czy zabiłam własną matkę.

Może święta nie są wcale takie złe.

***

Problem w tym, że spędzam je zupełnie sama, jedząc zimną fasolkę z puszki, którą wygrzebałam z czeluści szafki, piję tanie wino, bezmyślnie gapiąc się przez okno w salonie, a jedynym moim towarzystwem jest głuchy, obrażony kot.

Ironia polega na tym, że nazwałam go po moim romantycznym „ideale" mężczyzny. Pan Bingley był wszystkim, czym nie był pan Darcy: uprzejmy, czarujący, popularny. Mimo tego że Darcy ostatecznie okazał się kimś więcej niż tylko zadufanym w sobie dupkiem – w rzeczywistości był mężczyzną o niesamowitym charakterze i głębi – zawsze sądziłam, że pan Bingley był lepszym wyborem, bo kto chciałby użerać się z całym tym syndromem macho, skoro można mieć nieskomplikowanego, ciapowatego mężczyznę?

Tylko taka idiotka jak ja uznałaby to za lepsze.

26 grudnia wita mnie śnieżycą, która idealnie pasuje do mojego nastroju. Postanawiam przez kilka kolejnych dni oglądać wszystkie świąteczne filmy, których nienawidzę, jako karę za a) zmarnowanie dziesięciu lat na kochanie wyobrażenia Michaela Maddoxa i b) zniszczenie wspaniałej przyjaźni z Camem przez uprawianie dzikiego, niekontrolowanego seksu, zakochanie się w nim i natychmiastowe wpadnięcie w panikę. Akurat po raz trzeci oglądam *To wspaniałe życie*, kiedy słyszę pukanie do drzwi.

Zamieram z pełną garścią popcornu z mikrofalówki.

Znowu rozlega się pukanie. To Cam, ale jakoś inaczej. Brzmi bardziej ponuro.

Odkładam miskę z popcornem, po czym ruszam do drzwi, serce łomocze mi w piersi jak szalone. Kiedy otwieram, Cam stoi tam w dżinsach i koszulce, wyglądając tak obezwładniająco seksownie jak zawsze.

Wpatrujemy się w siebie. Pierwsze, co wychodzi z jego ust, to:

– Nie mogę uwierzyć, że nawet nie złożyłaś mi życzeń świątecznych, ty małpo.

– Myślałam, że nie rozmawiamy ze sobą.

Patrzy na mnie wilkiem, a pasmo włosów opada mu na czoło. Trwa to przez chwilę, aż wzdycha, klnąc pod nosem. Wtedy sięga do przedniej kieszeni spodni i wyjmuje klucz. Rzuca mi go.

– Proszę. W razie, gdybyś chciała popełnić jeszcze jakiś błąd, zanim wyjadę.

Przepełniona niepokojem patrzę na klucz, najwyraźniej do mieszkania Kellena. *O Boże. O nie. Nie pogarszaj tego jeszcze bardziej.*

Ale oczywiście biorę go. Jestem głupia, ale nie szalona.

Patrzymy na siebie w niezręcznej ciszy jeszcze przez kilka chwil, aż Cam mówi:

– Dobra. Więc, do zobaczenia. Albo nie.

Odwraca się, a następnie wchodzi do swojego mieszkania, trzaskając drzwiami, żebym wiedziała, że chociaż zaprosił mnie, żebym przyszła, kiedy będę miała ochotę na więcej obłędnego seksu, nadal jest na mnie zły.

Wpatruję się w klucz i zastanawiam, ile czasu minie, zanim zdecyduję się go użyć.

***

Wytrzymuję cały dzień, co, według mnie, jest całkiem niezłym wynikiem. W zasadzie kilka godzin więcej niż dobę, bo kiedy otwieram drzwi mieszkania Cama, jest kwadrans po dziewiątej następnego wieczora.

Wszystkie światła są zgaszone, poza lampką do czytania, która rzuca przytłumiony blask z salonu. Przez chwilę zastanawiam się, czy jest w domu, ale wtedy wychodzi z sypialni i rusza prosto do mnie. Wygląda wściekle, przerażająco i seksownie.

Bierze mnie w ramiona, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie, po czym wraca do sypialni.

Wpatrując się w jego profil, szepczę:

– Dlaczego jesteś nagi?

– Śpię nago.

– Spałeś?

– Nie. A teraz zamknij się.

– Nadal jesteś na mnie zły?

– Tak. A teraz zamknij się.

Zamykam się. Rzuca mnie na łóżko jak bagaż. Podskakuję bez tchu, a potem próbuję usiąść, ale on ma zupełnie inne plany. Popycha mnie w dół i całuje, mocno. Wkłada kolano między moje nogi, a palce wplata mi we włosy.

Roztapiam się na materacu jak masło.

– Wykopię cię stąd po wszystkim – mówi, a jego oddech rwie się, kiedy podciąga moją spódnicę na biodra. Zsuwa mi majtki. – I ani się waż o cokolwiek pytać.

Och, ależ jest na mnie zły. Wręcz wściekły. Boże, to podniecające.

Nie zadaje sobie trudu, żeby zdjąć mi spódnicę czy stanik, ani nawet nie przygotowuje mnie żadną grą wstępną – nie, żebym tego potrzebowała, skoro przemoczyłam bieliznę w chwili, gdy go zobaczyłam – po prostu zakłada prezerwatywę i wchodzi we mnie z wściekłością.

Wyginam się w łuk, jęczę i zakochuję się w nim jeszcze bardziej.

Pieprzy mnie mocno. Jakby chciał coś udowodnić. Zaciskam palce na jego bicepsach, owijam nogi wokół talii, próbując wytrzymać tę jazdę. Kiedy jęczę, dyszę i już prawie dochodzę, zwalnia, a następnie warczy: „Jeszcze nie”. Potem całuje moją szyję.

– Proszę, Cam – skamlę, poruszając biodrami, bo desperacko pragnę spełnienia.

Wtedy przekręca mnie tak, że jestem na nim, odwraca twarzą w dół i ustawia w takiej pozycji, jak chce, a jego twardy penis zawisa kilka centymetrów od moich ust.

– Ssij – rozkazuje, zatapiając twarz między moimi nogami.

Dyszę i szarpię się, zaskoczona, kiedy jego język wchodzi głęboko we mnie. Kładzie obie dłonie na moich pośladkach, liże i ssie, aż nie mogę złapać tchu.

Dostaję ostrzegawczego klapsa, kiedy zbyt długo nie poświęcam mu uwagi.

Owijam palce wokół trzonu, ale przerywam, zanim wezmę go do ust. Nie lubię czuć w buzi lateksu, więc zwijam kondom i wyrzucam

go, po czym ujmuję nabrzmiałą główkę między wargi.

Gwałtownie wciąga powietrze, po czym wypuszcza je z jękiem, który wibruje w całym moim ciele. Oczy dosłownie uciekają mi w głąb czaszki. Liżę go od podstawy do czubka, śledząc językiem nabrzmiałe żyły, i drżę, kiedy pulsuje w mojej dłoni. Potem nabieram rytmu. Ssę i pocieram, szybciej i szybciej, podczas gdy jego język pracuje między moimi nogami, aż obawiam się, że zemdleję.

Cam łapie mnie za włosy i pociąga tak, że jego penis wyskakuje z moich ust.

– Czekaj – sapie, łapiąc powietrze. – Kurwa. Czekaj.

Zamieramy w tej pozycji na kilka chwil, aż odzyskuje kontrolę nad sobą. Wtedy delikatnie całuje moją łechtaczkę. Kiedy przechodzi mnie dreszcz, śmieje się, mrocznie, z satysfakcją, która wywołuje we mnie doznania, jakich nigdy jeszcze nie zaznałam. Ale nie zamierzam pozostać mu dłużna, więc owijam język wokół główki jego członka i w nagrodę otrzymuję jęk, który wygrałby porno Oscara.

Zaczynamy grę w „kto dojdzie pierwszy". Taką, w której każdy wygrywa.

Testujemy się na zmianę. Najpierw on liże i ssie przez chwilę, potem przestaje, a ja robię to samo z nim. Kiedy zaczynam oszukiwać i powoli pieścić jego jądra, on odpłaca, wsuwając dłoń w stanik i szczypiąc sterczący sutek. Biorę go głęboko do gardła aż do podstawy, a on wsuwa we mnie dwa palce i zaczyna kręcić kółka.

Kiedy całe moje ciało drży, zaczynam się pocić i nie widzę już wyraźnie, łamię się.

– Muszę dojść, Cam.

– Więc dojdź. – Wraca do lizania.

– Dojdź ze mną.

– Tak czy…?

Cieszę się, że zapytał, bo nagle potrzebuję kontaktu wzrokowego. Ta gra jest niesamowicie seksowna, ale pragnę czegoś więcej – pragnę jego. Chcę spaść w przepaść, patrząc mu w oczy.

Cholera. Wiedziałam, że tego pożałuję.

Schodzę z niego, wyjmuję nową prezerwatywę z szuflady i zakładam na jego członka.

Cam chwyta mnie za ręce, po czym przekręca tak, że leżę na plecach, patrząc na niego. Usadawia się między moimi udami, a następnie pyta chrapliwie:

– Tego chciałaś?

Przytakuję i przygryzam wargę z jękiem. Wsuwa się we mnie i, Boże, jest cudownie.

Ale nie zaczyna poruszać się szybko i mocno. Wchodzi boleśnie powoli, jedną ręką chwyta mnie za tyłek, a drugą przytrzymuje głowę. Opiera się na łokciu, patrząc mi głęboko w oczy.

Przytłoczona emocjami, skupiam się na oddechu. Cam uśmiecha się, ale wygląda przerażająco smutno.

– No dalej, kochanie – mruczy. – Powiedz mi, że to nie ma znaczenia. Że to wszystko błąd.

Muszę odwrócić twarz, bo nie chcę, żeby widział łzy, które napływają mi do oczu. Kiedy wreszcie spadam w otchłań, on jest tam ze mną. Jęczy moje imię, pulsując we mnie. Wykuwa swoje imię w moim sercu w sposób, w jaki nigdy nie udało się to Michaelowi.

Więc to jest miłość. Boże, jest nawet gorsza niż święta.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Mechanicy miłości robią coś takiego:
Śpiew ptaków w powietrzu i twe serce w jego pocałunku,
Spotkanie oczu, pochwycenie oddechu, przebłysk pożądania
Pulsowanie czystej radości i ból, który musisz
Przetrwać pomimo logiki; ten mały głos w twojej głowie
Ostrzega przed goblinami, pułapkami i rzeczami, które możesz znaleźć
Twój ukochany to zrobi, zaczniesz go irytować i nudzić
Jak bąki, spóźnienia i stare dobre chrapanie
Ale twe serce nalega na ten niemożliwy sen
Aż pewnego dnia budzisz się i słyszysz rozdzierający krzyk
Uwięziony w twym gardle, nie ma dokąd umknąć
I myślisz o tym czasie, który wydaje się tak odległy
Gdy twa miłość była jak ptak, lecący z wiatrem
Nie tą suchą, pokruszoną skorupą.

– Cóż, ten z pewnością trafi do Izby Pamięci Romansu – mówię głośno, z niepokojem przypatrując się mojemu najnowszemu dziełu, które właśnie skończyłam. Nie jest to nawet prawdziwy sonet, tylko kilka przygnębiających wersów, które można by rozdawać parom na kursie przedmałżeńskim jako ostrzeżenie. „Proszę, zobaczcie, co was czeka. Naprawdę się na to piszecie?”.

Kreślę wielkie X na całości, po czym z hukiem zamykam zeszyt z sonetami.

Jest 2 stycznia, dzień po Nowym Roku. Jutro wracam do pracy, żeby zostać zwolnioną za bycie biurową zdzirą, co jest naprawdę niesprawiedliwe, ponieważ kiedy przyszedł czas, w którym mogłam zasłużyć na ten tytuł, wycofałam się. Tyle że nie wyglądało, jakbym to zrobiła i w tym cały szkopuł.

Również jutro Cam wraca do Szkocji. Każdej nocy, odkąd dał mi klucz, chodziłam do niego na gorący, wściekły seks i wychodziłam, czując się trochę gorzej niż poprzedniego dnia.

Nie rozmawiamy, poza ustalaniem następnej pozycji. Nie ćwiczymy razem. Nie jemy ze sobą kolacji. Zostaliśmy zredukowani do najgorszej z możliwych opcji – kumple od seksu, z tym że bez kumplostwa.

Seks jest niesamowity, ale naprawdę tęsknię za naszą przyjaźnią. Tęsknię za wspólnym śmiechem. Za wszystkim.

To moja wina. Wiem, że tak jest. Potknęłam się, upadłam na jego magicznego penisa i zniszczyłam wszystko.

Jestem zbyt przygnębiona, żeby chociaż przejrzeć ogłoszenia „pomoc poszukiwana". I tak nikt nie znajduje nigdy takiej pracy. Spędzam mnóstwo godzin na bezskutecznym przeglądaniu stron z rekrutacją online, ale ostatecznie po prostu otwieram butelkę wina, chcąc utopić smutki. Spojler: nie działa.

O czwartej po południu jestem w trakcie trzeciego kieliszka wina, kiedy dzwoni telefon. Nie odbieram, bo to albo moja matka… albo moja matka. Michael w ogóle nie próbował się ze mną skontaktować. Żadnych przeprosin w mailu. Żadnej wiadomości w stylu „Ups, byłem pijany". Nic.

Przyznaję, to boli. To znaczy kłuje. To nie ma nic wspólnego z tym, co poczuję, kiedy Cam wyjedzie i będę musiała przyznać, że bez niego moje życie stanie się wielką, cuchnącą kupą.

Wiem, że w końcu znajdę inną pracę. Ale nie ma absolutnie żadnej możliwości, żebym kiedykolwiek znalazła kogoś takiego jak Cameron McGregor. Mam tylko nadzieję, że minie parę dobrych lat, zanim otworzę gazetę i znajdę w niej jego zdjęcie z piękną żoną i idealnymi dziećmi, bo potrzebuję trochę czasu między teraz a wtedy, żeby przekonać samą siebie, że tak naprawdę nie jestem w nim zakochana.

Tak z dziesięć, dwadzieścia lat.

Kilka chwil po tym, jak telefon przestaje dzwonić, błyskająca, czerwona lampka informuje mnie, że mam wiadomość głosową. Nie mając nic lepszego do roboty, postanawiam sprawdzić, kto to.

– Joellen, mówi Portia. – Delikatne odchrząkuje, po czym zaczyna od nowa. – Z Maddox Publishing. Chciałam zaczekać z tym telefonem do zakończenia przerwy świątecznej. Jak pewnie wiesz, wszyscy pracownicy jutro wracają do biura. – Długa, złowroga cisza. – Proszę, spotkaj się z nami w sali narad, kiedy tylko przybędziesz.

Z nami? W sali narad? Cóż, przypuszczam, że to miejsce dobre jak każde inne, żeby zostać wyrzuconym na bruk po dziesięciu latach bycia wierną jak pies. Jest tam najlepszy widok. Chociaż jestem okropnie wściekła, że zostanę zwolniona za coś, czego nie zrobiłam, dobrze wiem, jak to wszystko działa.

Za łamanie zasad mężczyźni nigdy nie zostają ukarani tak surowo jak kobiety, bo to oni wymyślili te zasady.

Jednak mam pewnego asa w rękawie. Jeśli nie dostanę solidnej odprawy i referencji, pozwę ich za bezpodstawne zwolnienie. Jasne, nikt mi nie uwierzy i nadal będę bez pracy, ale pozew sądowy może sprawić, że Michael Maddox pomyśli dwa razy, zanim znowu wepchnie łapy pod sukienkę jakiejś biednej dziewczyny, której nawet na nią nie stać.

Nie rozumiem, dlaczego Portia nie zwolniła mnie po prostu przez telefon, ale mam w biurku osobiste rzeczy, które chcę zabrać, więc i tak muszę tam wrócić.

Potem wszystko jeszcze bardziej się komplikuje, bo kiedy otwieram drzwi mieszkania Cama tego wieczora, jego już nie ma. Wiem, bo zostawił dla mnie kopertę na kuchennym stole, na której widnieje moje imię. W środku jest liścik:

Jestem beznadziejny w pożegnaniach, a przecież i tak nie rozmawiamy, więc zamierzam odpuścić tę część i na ostatnią noc zatrzymam się w hotelu.

Moja propozycja była poważna. Nadal jest. Moje drzwi zawsze będą dla ciebie otwarte.

Twój, dopóki słońce nie zgaśnie, a życie na Ziemi nie przestanie istnieć,

Pozer

Do liściku dołączył bilet pierwszej klasy do Szkocji.

Siadam na podłodze w kuchni i płaczę. Po chwili zaczynam szlochać jak dziecko, zwinięta w kłębek, z liścikiem w zaciśniętej pięści.

***

Rano czuję się jak zombie. W zasadzie mogłabym nim być. Moje wnętrzności są jak papka. Mózg mi zgnił. Nie mogę myśleć, nie mogę nic jeść i z całą pewnością nie będę w stanie sklecić żadnej sensownej wypowiedzi w swojej obronie, kiedy dotrę do pracy.

Cam odszedł. Naprawdę odszedł. Czuję się martwa, ale też tak, jakbym została wydrążona nożami, podpalona i wrzucona do kwasu. Jak ludzie mogą coś takiego przetrwać?

Na trzydzieste trzecie piętro jadę razem z Dennym, którego chyba przeraził mój wygląd, bo siedzi cicho jak mysz pod miotłą. Rzuca mi tylko przelotne dzień dobry. Odpowiada mi to, bo w moim obecnym stanie, mogłabym popełnić morderstwo, gdybym musiała wysłuchać dowcipu o bąkach.

Pomieszczenie z boksami jest dokładnie takie samo, a jednak wygląda inaczej. *Jak to możliwe, że przesiedziałam przy tym biurku dziesięć lat życia? Jak mogłam patrzeć na te niewyraźne, szare ściany? Jakim sposobem zmarnowałam tyle czasu, goniąc nie wiadomo za czym?*

Od razu ruszam do sali narad, bo nie ma sensu odkładać nieuniknionego. Kiedy otwieram ciężkie, dębowe drzwi, z zaskoczeniem odkrywam, że pokój jest pełen ludzi.

Wszyscy przerywają to, co akurat robią, a następnie spoglądają na mnie.

Oczywiście jest tutaj Ruth z działu kadr. Portia również. Wygląda niezwykle ładnie w żółto-zielonej sukience. Wiedźmy nie powinny tak błyszczeć. Obecny jest też ojciec Michaela, dyrektor operacyjny, kilku innych członków zarządu, których rozpoznaję, oraz kilku facetów w okularach z grubymi szkłami i z twarzami jak kawał mięsa, podejrzanie przypominających prawników.

– Joellen. – Portia występuje do przodu, po czym wskazuje krzesło najbliżej mnie. – Dziękuję, że przyszłaś. Proszę, usiądź.

Właśnie w tej chwili zaczynam się denerwować. Wszystkie te spojrzenia, każde takie poważne… czy zamierzają oskarżyć mnie o jakieś przestępstwo?

Nie tyle siadam, co opadam na krzesło. Następnie czekam. Ruth odzywa się pierwsza.

– Ci panowie to prawnicy naszej firmy.

Myślałam, że będę przerażona, słysząc potwierdzenie swojego przypuszczenia, ale zamiast tego wypełnia mnie nagła, paląca furia, tak gorąca, że momentalnie mnie zatyka. Ale po chwili odnajduję zdolność mowy i oświadczam, co o tym myślę.

– Więc będzie ostra taktyka i onieśmielenie od samego początku, co? Nikt nie chce nawet wysłuchać mojej wersji tej historii? Nikogo nie interesuje, co wydarzyło się naprawdę, po prostu zrzucicie wszystko na mnie i wywalicie na bruk, jak śmiecia, po dziesięciu latach oddanej pracy? – Mój głos staje się wyższy, a gniew rośnie razem z nim. – Po tym, jak siedziałam cicho, grałam według zasad i oddałam wam wszystko, co miałam, to ja zostanę ukarana?

Wstaję gwałtownie, odpychając krzesło. Moje policzki płoną. Ludzie przy stole zaczynają wyglądać na zaniepokojonych.

Ale nie obchodzi mnie to. Dzisiaj jest najgorszy dzień mojego życia. Cam odszedł, a ja nie mam ochoty pozwalać, żeby zmieszano mnie z błotem.

– Opuściłam jeden dzień pracy w ciągu ostatniej dekady. Jeden! I to tylko dlatego, że pewne fragmenty moich żeńskich organów musiały zostać pocięte i wyjęte, co nie jest przechadzką po parku, tak dla waszej informacji! Bolało jak jasna cholera i wykrwawiałam z siebie skrzepy wielkości ludzkich organów przez trzy tygodnie, ale siedziałam właśnie tu, przy tym biurku!

Jeden z prawników robi się lekko zielony, a inny kaszle w dłoń.

– Joellen – mówi łagodnie Ruth.

– Nie, jeszcze nie skończyłam! Nigdy nie zrobiłam nic z Michaelem, poza tym, że oczarowało mnie całe to jego błyszczące gówno – wymachuję rękami w powietrzu w jakimś szaleńczym, sarkastycznym geście. – Tylko kilka durnych wiadomości i jakieś głupie rozmowy telefoniczne, które nie trwały łącznie dłużej niż pięć minut! Nigdy nawet go nie pocałowałam! Pomimo tego, co myślisz,

że widziałaś, Portio… – Odwracam się i rzucam jej gniewne spojrzenie, sprawiając, że unosi swoje idealnie wymodelowane brwi. – Nie próbowałam go sprowokować na imprezie świątecznej!

Wypuszczam powietrze, drżące i gorące, czerpiąc niewielką satysfakcję z powodu wszystkich tych przerażonych spojrzeń. *Właśnie tak, dupki. Jestem kobietą, usłyszcie mój głos!*

– Wiemy – mówi Ruth.

Mrugam, przekonana, że źle usłyszałam. W ciszy, która następuje, można by usłyszeć spadającą szpilkę.

– Uch… co?

– Tej nocy byłam w jednej z kabin w damskiej toalecie, Joellen. Wszystko słyszałam.

Z jakiegoś powodu pokój się unosi. Ale zaraz zdaję sobie sprawę, że to wcale nie pokój się unosi. To ja osuwam się z powrotem na krzesło, bo moje nogi nie są już zainteresowane utrzymywaniem zszokowanej mnie w pionie.

Portia przejmuje kontrolę.

– Mieliśmy nadzwyczajne zebranie zarządu po tym, jak Ruth ujawniła, co usłyszała tamtego wieczora w toalecie, Joellen. Oczywiście nie mogę zdradzić szczegółów tego spotkania, ale mogę ci powiedzieć, że Michael został usunięty ze stanowiska dyrektora firmy. Już tu nie wróci.

– Ale… ja nic… nie rozumiem – wyduszam.

Ojciec Michaela, mężczyzna o stalowoszarych oczach i imponującej aurze, z którym miałam krótki kontakt tylko przy okazji imprez świątecznych i firmowych pikników, mówi opryskliwie:

– Mój ojciec założył tę firmę. Niech mnie piekło pochłonie, jeśli mój syn ją zniszczy.

Kiedy dwaj prawnicy rzucają mu znaczące spojrzenia, kilka rzeczy dociera do mnie jednocześnie. Myślę o Marii, która opuściła firmę nagle, zanim jej awans został ogłoszony, zostawiając dla mnie wolne miejsce, o tym, jak Portia krążyła wokół mnie przez lata, obserwując mnie i Michaela niczym jastrząb i to nie dlatego, że była w nim zakochana.

I o Sue Wong, najmłodszej redaktorce do spraw przejęć w historii Maddox Publishing. Ładnej, pełnej życia, ambitnej Sue.

– Chwila. Czyli nie jestem pierwszą, której to zrobił, tak?

Wyczuwając moment, jeden z prawników wstaje.

– Panno Bixby, mam dla pani pewne dokumenty do podpisania…

– Ha! – Mój szczekliwy śmiech sprawia, że prawnik zamiera. – Z całą pewnością masz, koleś! Życzę powodzenia!

– Twoje nowe stanowisko zastępcy redaktora naczelnego zostało zatwierdzone przez zarząd, Joellen – mówi spokojnie Portia. – Jedyne, co musisz zrobić, to podpisać dokumenty.

Rozglądam się po zebranych i muszę znowu się zaśmiać.

– Ludzie. Wiem, że może nie jestem zbyt bystra, ale nie podpiszę niczego, dopóki nie zobaczy tego mój prawnik. – Mój nieistniejący prawnik, czego zapomniałam dodać, ale to nie jest czas na ujawnianie wszystkiego. – I jeśli nie chcecie, żebym pozwała was wszystkich w cholerę – robię niepotrzebnie dramatyczny gest, pokazując na wszystkich w pomieszczeniu, budynku i większości stanu – zostawicie mnie teraz samą z Portią, żebyśmy mogły porozmawiać.

Obrzucam ją tym samym, zimnym spojrzeniem, które rzucała mi przez lata.

– Niestety, to nie jest możliwe – zaczyna prawnik numer jeden, ale Portia go powstrzymuje.

– Panowie, dajcie nam pięć minut. – Przesuwa chłodnym spojrzeniem błękitnych oczu wokół stołu. – Ruth. Wszystko w porządku. Proszę.

Sposób, w jaki ulatniają się z pokoju, sprawia, że przypominają brygadę strażacką gotową do akcji. Kiedy zostajemy same, a drzwi się zamykają, Portia i ja rozpoczynamy pojedynek na spojrzenia.

Oczywiście poddaję się pierwsza. Ta kobieta mogłaby pracować dla gestapo.

– Dlaczego zawsze byłaś dla mnie taką suką?

Nie spodziewała się tego. Poznaję po tym, że mówi:

– Nie spodziewałam się tego.

– Przejdziemy do sprawy Michaela za chwilę. Ale zawsze naprawdę mnie nurtowało, czemu byłaś taka podła. Nigdy nie mogłam tego rozgryźć.

Spuszcza wzrok na kolana, dłonią wygładza swoje i tak idealnie gładkie włosy, po czym robi tę dziwną rzecz z ustami. Potem wzdycha i patrzy na mnie.

– Bo bardzo przypominasz mi mnie i nie znoszę tego.

Szczęka mi opada i ląduje na stole.

– Ja? Przypominam ci ciebie? Oszalałaś? Jesteśmy zupełnymi przeciwieństwami!

Macha ręką po królewsku.

– Jaka byłam kiedyś, zanim postanowiłam przestać pozwalać, żeby życie kopało mnie w twarz i wyhodowałam jaja. – Cień uśmiechu wykrzywia jej usta. – Że tak powiem.

Kiedy wpatruję się w nią z otwartymi ustami, jak wariatka, ona spogląda w sufit, potrząsając głową.

– Zawsze miałam nadzieję, że pewnego dnia w końcu będziesz miała dość mojego warczenia i odszczekasz się. I w końcu to zrobiłaś. Po tym, jak wykorzystałam wszystkie imiona na J, jakie znalazłam w słowniku.

Jestem oszołomiona.

– Portio, to po prostu… diaboliczne.

Śmieje się, widząc moją przerażoną minę.

– Nie miałam pojęcia, że masz w sobie tyle cierpliwości, bo już dziesięć lat temu posadziłabym cię przed sobą i powiedziała, żebyś przestała być taka usłużna. – Jej uśmiech blednie. – Bycie miłą to najgorsze, co kobieta może zrobić. Miła musi zepchnąć na bok własne uczucia i myśleć o innych. Miła nie odzywa się, choć wie, że ktoś nie ma racji. Miła żyje po to, żeby uszczęśliwiać ludzi i zamartwiać się ich opiniami. Miła nigdy nie dostaje tego, czego naprawdę pragnie.

– Więc wszystkie powinnyśmy po prostu być wstrętnymi sukami?

Wzrusza ramieniem.

– To jeden ze sposobów. Przynajmniej zyskasz szacunek. Ale chodzi mi o to, że jeśli skupiasz się na byciu miłą, nie powiesz prawdy, która powinna zostać powiedziana, bo najgorszym, co miła dziewczyna mogłaby zrobić, jest zranienie czyichś uczuć. Lepiej skupić się na byciu prawdziwą.

– Prawdziwą – powtarzam z powątpiewaniem.

– Autentyczną. Szczerą. Żyć zgodnie z własną prawdą. Pozwolić innym robić to samo. Nie całować nikogo w tyłek, ale nie być też dupkiem. To bardzo proste.

Powietrze, które wlatuje do środka przez wywietrzniki, wydaje się głośne w nastającej ciszy.

– To było interesujące. I dziwne. Nie jestem pewna, co odpowiedzieć – mówię.

Portia uśmiecha się szeroko, czego nigdy wcześniej u niej nie widziałam.

– Dokładnie to mam na myśli!

– Dobra, teraz już zupełnie się pogubiłam.

– Stara Joellen znalazłaby jakąś miłą, nieofensywną odpowiedź. Zamiast tego powiedziałaś prawdę. Gratulacje, jest dla ciebie nadzieja. Zaimponowała mi też twoja mała przemowa, kiedy tutaj weszłaś. Bardzo prawdziwe. Mocne, gniewne, imponujące. Dobra robota.

– Czuję się, jakbym właśnie była w środku snu. Albo jakbym leżała w szpitalnym łóżku, naćpana morfiną i podpięta pod mnóstwo rurek.

Portia znowu macha w ten królewski sposób i przechodzi do rzeczy, najwidoczniej skończyła już swoją lekcję życia.

– Stanowisko zastępcy naczelnego jest twoje, jeśli chcesz. Jednak będziesz musiała podpisać umowę o poufności i dokument, który zapewni, że firma nie będzie ponosiła w przyszłości odpowiedzialności za seksualne lub emocjonalne nadużycia dotyczące incydentu z Michaelem.

Przyszpila mnie lodowatym spojrzeniem.

– Nie będziesz mogła rozmawiać o tym zdarzeniu w toalecie ani o relacji z Michaelem, nie będziesz mogła też publicznie obrażać Maddox Publishing w żaden sposób. Jeśli to zrobisz, zostaniesz zwolniona, a firma wytoczy przeciwko tobie wszelkie możliwe prawne działa.

Mrugam.

– Wow. A już myślałam, że się dogadujemy.

Portia dodaje łagodniej:

– Michael nie wróci do biura, więc nie będziesz musiała mierzyć się z nim. W kwestii prywatnej, chciałabym cię przeprosić. –

Odchrząkuje, wygląda na zmieszaną. – Przeczuwałam to. Były inne incydenty. To jeden z powodów, dla których został usunięty tak szybko. Ryzykuję konsekwencjami prawnymi, mówiąc ci to, ale uważam za istotne, żebyś wiedziała, że to, co się stało, nie jest w żadnym stopniu twoją winą.

Naprawdę czuję się wzruszona tym wyznaniem. Z jej ust to naprawdę wiele znaczy.

– Dziękuję, Portio. To naprawdę uprzejme z twojej strony.

Potem następuje chwila niezręcznej ciszy. Trwa i trwa, aż w końcu mówię:

– Dobra, teraz powiem coś prawdziwego. To sporo rzeczy do przetrawienia. Przez ostatnie dziesięć dni myślałam, że jestem bez pracy, a teraz mam awans, o którym zawsze marzyłam. Przez ostatnie dziesięć lat myślałam, że jestem zakochana w facecie, który okazał się palantem. Przez ostatni miesiąc mieszkałam po sąsiedzku z mężczyzną, który ubiera się jak na przesłuchanie do cyrku, ma ego wielkości atmosfery ziemskiej i pieprzy się po mistrzowsku.

Patrzę na nią z szeroko otwartymi oczami.

– Przepraszam, ta ostatnia część to najpewniej odrobinę za dużo prawdy.

Jej uśmiech jest spokojny.

– Mów dalej. Całkiem mi się to podoba.

– Jestem raczej pewna, że nie chcesz słuchać o wszystkich tych, no wiesz, sprawach łóżkowych.

Marszczy brwi.

– A niby czemu nie? Przypuszczam, że mówisz o tym wielkim, nieokrzesanym kolesiu, który panoszy się jak kogut i sprawia, że wszystkie dziewczyny wpadają w estrogenowy szał? Niezły z niego ogier.

– Cóż, tak, ale… – *To jest dziwne. Dobra, po prostu bądź prawdziwa. Sama tego chciała.* – To przecież raczej nie twoja działka.

Zmarszczka między jej brwiami pogłębia się.

– Mogę wydawać ci się zimna, Joellen, ale zapewniam cię, taki facet to działka każdej kobiety.

– Nawet lesbijki?

Wpatruje się we mnie przez chwilę, mrugając, po czym mówi:

– To lekka ignorancja, by zakładać, że silna, konkretna, niezamężna kobieta musi być lesbijką. To naprawdę stereotypowe myślenie.

– Nie, ja tak nie myślę… Michael powiedział mi, że jesteś lesbijką. Mówił, że twoja dziewczyna brała udział w jakiejś akcji charytatywnej z jego żoną.

Jestem zaskoczona, kiedy wybucha śmiechem.

– Michael powiedział ci, że jestem lesbijką? O, to zabawne. Nie, Joellen, nie jestem. Po prostu nie interesowałam się nim, co było dla niego nieznanym doświadczeniem. Niezły z niego kłamca. Widać, jaki jest beznadziejny, skoro myśli, że nazwanie mnie lesbijką będzie odpowiednią zemstą. Idiota.

Przytłoczona wstydem z powodu swojej naiwności, ukrywam twarz w dłoniach i jęczę.

– I pewnie wcale się nie rozwodził, co?

– Nie. Nigdy nie rozwiedzie się z tą swoją pustą żonką. Ona pozwala mu robić, co mu się podoba. Chociaż teraz, kiedy stracił pracę, to ona może rozwieść się z nim.

Po chwili wzdycha.

– Po prostu podpisz te papiery i miej to już za sobą, Joellen. Zasługujesz na awans. Ciężko pracowałaś. Nie pozwól, żeby ta okazja ci uciekła ze względu na sposób, w jaki ją otrzymałaś. To byłby błąd.

No dalej, kochanie. Powiedz mi, że to wszystko był błąd.

Słyszę w głowie słowa Cama i nagle obezwładnia mnie ból. Co ja wyprawiam? Co ja wyprawiam?

Wstaję gwałtownie. Portia spogląda na mnie, zaskoczona.

– O cholera – mówię.

– Co się dzieje?

Wszystko dociera do mnie w jednym momencie. Wspomnienia, emocje, każde słowo, które chciałam wypowiedzieć, ale tego nie zrobiłam. Serce mi łomocze, zamykam oczy, a następnie biorę głęboki wdech.

Co. Ja. Do. Cholery. Wyrabiam?

Już ty dobrze wiesz, głuptasie.

Dzięki Bogu jeden z moich wewnętrznych głosów ma rozum.

– Portia, wybacz mi. Muszę pędzić do domu i się spakować.

Wstaje, wyglądając na zdezorientowaną.
– Spakować? O czym ty mówisz? Dokąd się wybierasz?
Odwracam się i wybiegam, krzycząc przez ramię:
– Do Szkocji!

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Zanim dojeżdżam taksówką do mojego budynku, prawie dostaję ataku paniki.

Lot jest za godzinę. Godzinę! Ledwo sześćdziesiąt minut, żeby spakować walizkę, umieścić Pana Bingleya w transporterze z wszystkimi jego rzeczami i dotrzeć na lotnisko, zanim skończy się odprawa i nie wpuszczą nikogo więcej do samolotu. To dzieje się zwykle jakieś piętnaście minut przed odlotem, więc tak naprawdę mam tylko czterdzieści pięć minut.

A to oznacza, że będę zmuszona do wystąpienia w jednym z tych tandetnych zakończeń z romansów, w którym bohater w końcu uświadamia sobie, że kocha bohaterkę i pędzi na lotnisko samochodem z wszystkimi przyjaciółmi, mijając korki uliczne i różne przeszkody na drodze, aż dociera w ostatniej sekundzie przed odlotem i oznajmia, że ją kocha, a wszyscy przyjaciele wiwatują i szlochają. Na koniec pojawia się ładny montaż różnych romantycznych pojednań na lotnisku. Tyle że u mnie, zamiast samochodu pełnego przyjaciół, będzie Pan Bingley.

Jazda windą trwa tysiąc lat. Kiedy dociera na moje piętro, wybiegam i wpadam wprost na panią Dinwiddle. Zderzamy się z głośnym „Uff", po czym zataczamy w przeciwnych kierunkach. Nawet po osiemdziesiątce ma lepszą koordynację na szpilkach ode mnie. Dlatego też ona z gracją podpiera się o ścianę, a ja ląduję na tyłku na dywanie.

Skaczę na równe nogi, krzycząc:

– Pani Dinwiddle, przepraszam. Mam nadzieję, że nic pani nie jest. Muszę się spakować, lecę zaraz do Szkocji, nie mogę pozwolić Camowi odejść!

Odwracam się, a następnie pędzę korytarzem, nie czekając na odpowiedź. Dłonie mam tak spocone i drżące, że potrzebuję z

dziesięciu prób, żeby trafić kluczem do zamka, ale w końcu mi się udaje. Otwieram drzwi i wpadam do środka, klnąc jak szewc.

Pędzę do sypialni, wyjmuję z szafy jedyną walizkę, jaką mam, rzucam ją na łóżko, a potem zaczynam zrywać ubrania z wieszaków i upychać je, nie zważając, co to za rzecz i czy do siebie pasują. Brzydki, zielony płaszcz, który matka dała mi, kiedy przeprowadzałam się do Nowego Jorku, trafia do środka, ale zaraz go wyrzucam, bo naprawdę go nie znoszę.

Pan Bingley drzemie spokojnie między poduszkami, nieświadomy tornada, które właśnie przechodzi obok niego.

Od strony drzwi słyszę głos pani Dinwiddle.

– Kaczuszko? Ju-huu!

– Naprawdę nie mogę teraz rozmawiać, pani Dinwiddle. Właśnie przeżywam załamanie nerwowe i muszę zjawić się na lotnisku za jakieś dziesięć sekund, bo ucieknie mi lot Cama. Może pani odbierać moją pocztę, kiedy mnie nie będzie?

Wyrzucam z siebie wszystko na jednym wydechu, kiedy pędzę w tę i z powrotem od szafy do łazienki i znowu do walizki, rzucając tampony, pastę do zębów, buty i bieliznę na jedną kupę na łóżku. Pani Dinwiddle pojawia się w drzwiach sypialni i wygląda na rozbawioną.

– Więc wreszcie cię przekonał, co?

Coś w wyrazie jej twarzy, a może tonie, każe mi zatrzymać się i spojrzeć na nią.

– Przekonał mnie do czego?

– Żebyś się w nim zakochała.

Kiedy gapię się na nią tępo, wywraca oczami.

– A myślisz, że *co* on robił przez cały ten czas, Kaczuszko? Paradowanie bez *koszuli*, propozycja nauczenia cię jak się *całować* i skłonienie cię, żebyś gotowała mu *kolacje*, by miał pretekst do spędzania z tobą czasu?

Wydaję z siebie bardzo nieatrakcyjne chrząknięcie, a oczy wychodzą mi z orbit.

– Och *tak*, wiem o *wszystkim* – mówi, bardzo zadowolona siebie. – *Zadurzył* się w tobie od *pierwszego wejrzenia*. To było takie romantyczne. Po prostu *musiałam* mu pomóc, moja droga!

– Pomóc? – powtarzam zdławionym głosem.

– Cóż – mówi ze smutkiem – naprawdę jesteś dość *beznadziejna* w kwestii mężczyzn, Kaczuszko.

Postanawiam, że zamorduję ją później. W tej chwili muszę zawlec swój beznadziejny tyłek na lotnisko. Wracam do szału pakowania.

– Och! Zanim *zapomnę*. – Pani Dinwiddle wyjmuje małe pudełko ze swojej obszernej szaty, a następnie umieszcza je na samym szczycie sterty ubrań.

Wpatruję się w nie, jakby było pełne wąglika.

– Co to?

– Prezent świąteczny.

– Och, to takie słodkie, pani Dinwiddle. Nie musiała pani.

– To *nie* ja, moja droga.

Kiedy mrugam ze zdziwieniem, wzdycha, a dźwięk ten zawiera w sobie jednocześnie czułość, odrazę i teatralność.

– Jest od *Camerona*. Dał mi to, zanim *wyjechał*, żebym ci *przekazała*.

Przykładam dłoń do piersi, bo teraz nie tylko łomocze, ale skręca się boleśnie jak wściekła wiewiórka zamknięta w klatce moich żeber. Drżącymi dłońmi otwieram pudełko.

To para kunsztownych kolczyków ze szmaragdem ułożona na czarnym jedwabiu.

– Powiedział, że mają dokładnie taki sam kolor jak twoje oczy. – Pani Dinwiddle wpatruje się w kolczyki zamglonym wzrokiem. – Kupił je tego dnia, kiedy ty nabyłaś swoją sukienkę na imprezę.

– Menedżer – szepczę, a oczy zachodzą mi łzami. – Chciał rozmawiać z menedżerem. Myślałam, że zamierzał złożyć zażalenie na paparazzi, który zrobił nam zdjęcie, ale on… kupił… te…

Łapię powietrze, tonę w emocjach, nie mogąc mówić dalej, bo to, co czuję, zdecydowanie mnie przerasta. W jakiś sposób to uczucie zmienia się i puchnie, aż zaczyna brzmieć jak muzyka. Głośna, dziwnie irytująca muzyka.

Rap?

Szeroko otwartymi oczami wpatruję się w panią Dinwiddle.

– Słyszy to pani?

Wydaje się urażona.

– Nie jestem *głucha*, moja droga! Oczywiście, że słyszę!

Z pudełkiem ściśniętym w dłoni mijam panią Dinwiddle, po czym wychodzę do salonu. Drzwi mojego mieszkania wciąż są otwarte, tak jak je zostawiłam, a z korytarza dobiega odległe dudnienie basów, wraz z naprawdę wstrętnym tekstem wyśpiewywanym przez mężczyznę, który brzmi, jakby palenie cracku i połykanie żyletek było jego ulubionym hobby.

Mam cię znowu, sukinsynu
Będę z tobą, sukinsynu
Jesteśmy gangsterami, kurwa, do śmierci*!*

Oszołomiona, przechodzę przez korytarz, a następnie próbuję otworzyć drzwi mieszkania Kellena. Zamknięte. Pukam, ale nie ma żadnej odpowiedzi, więc wracam do siebie po klucz, który dał mi Cam. Trzymam go w małym naczyniu na kuchennym stole.

Przekręcam go w zamku, naciskam klamkę, a drzwi się otwierają. I oto on. Stoi tam tak, jakby na mnie czekał. Jakby czekał na mnie przez cały ten czas.

Jest boso i bez koszulki, oczywiście. Ma na sobie tylko kilt i swój firmowy uśmiech. Mówi:

– W czym mogę ci pomóc, dziołcha?

I znowu ten jego akcent.

Właśnie tak odezwał się do mnie po raz pierwszy. Pamiętam, co sobie pomyślałam, stojąc dokładnie w tym samym miejscu, wpatrując się w tego pięknego, ogromnego mężczyznę. Mój Góra. Mój pozer. Mężczyzna, który sprawił, że uwierzyłam w cuda i w samą siebie.

Dobry Boże, to Szkot. Ogromny, półnagi Szkot w kilcie. Uśmiecha się do mnie, jakby znał wszystkie moje sekrety, wiedział, jakiego koloru mam majtki i że zastanawiam się, jak by to było, gdyby mężczyzna ciągnął mnie za włosy podczas seksu.

Głosem ochrypniętym i drżącym od emocji mówię:

– Właśnie zastanawiałam się, jaka jest różnica między kiltem a spódniczką.

Z błyskiem w piwnych oczach postępuje krok do przodu, chwyta mnie za nadgarstek i przyciąga do siebie. Szepcze mi do ucha:

– Co nosi się pod spodem. Zapytaj mnie, co mam pod spodem.

Zarzucam ręce na jego ramiona, po czym przytulam go tak mocno, jak mogę, a następnie się uśmiecham.

– Przeczuwam w tym podstęp, żebym spojrzała na twój interes.

– Tak – mówi. Unosi mnie w ramionach. – Dokładnie. – Kieruje podbródek ponad moim ramieniem w stronę pani Dinwiddle, która obserwuje nas od drzwi, energicznie wachlując się swoim jedwabnym, chińskim wachlarzem.

Cam zamyka drzwi kopnięciem, a następnie rusza w stronę sypialni. Obcałowuję całą jego twarz i szyję, podekscytowana nie mogę uwierzyć, że on tu jest. On tu jest.

– Powinieneś siedzieć teraz w samolocie do Szkocji, pozerze.

– My powinniśmy siedzieć teraz w samolocie do Szkocji, dziołcha.

Kładzie nas na łóżku, a ja wciąż go całuję, trzymając w dłoniach jego twarz. Ignoruję łzy, które płyną mi z oczu, bo czuję się, jakbym latała.

– Właśnie się pakowałam, chciałam do ciebie jechać, poszłam do pracy i zdałam sobie sprawę, że jestem idiotką i nie chcę zostać tu bez ciebie, więc popędziłam do domu i pani Dinwiddle powiedziała mi wszystko… jesteś w zmowie z panią Dinwiddle! Ale już miałam dalej się pakować, kiedy usłyszałam tę głupią muzykę i och…

Przerywa moje ciągłe nawijanie pocałunkiem… głębokim, gorącym i wygłodniałym. Kiedy wreszcie odrywamy się od siebie, oboje ciężko oddychamy.

Jego głos jest niski i ochrypły, kiedy mówi:

– Powiedziałem trenerowi, że potrzebuję jeszcze tygodnia, żeby kobieta, którą kocham, zakochała się we mnie.

– Och. – „Kobieta, którą kocham”. Czuję bicie serca w każdej części ciała. – I co odpowiedział?

– Że jestem cholernym kretynem i jeśli nie wrócę w ciągu dwóch dni, wylatuję z drużyny.

Znowu mnie całuje, a ja się rozpływam, ale też zaczynam panikować, bo Cam nie może wylecieć z drużyny przeze mnie.

– Czekaj! – Odpycham go. Wpatrujemy się w siebie, nos w nos. – Dostałam awans. Zwolnili Michaela. Portia nie jest lesbijką. – Marszczy czoło. – Nieważne. Słuchaj… mam bardzo poważne pytanie. Przyszłość naszego związku może zależeć od twojej odpowiedzi.

Marszczy czoło jeszcze bardziej.

– Czyli zero presji. Strzelaj.

Patrząc głęboko w jego piękne, piwne oczy, pytam poważnie:

– Jakie smaki lodów masz w domu?

Jego oczy nabierają dziwnego wyrazu – łagodnieją, a jednocześnie stają się jeszcze gorętsze – i właśnie teraz wypalają we mnie wszystkie jego uczucia, całą miłość.

– Mam wszystkie smaki, dziołcha – odpowiada, śmiejąc się. – Przecież mówimy tu o Cameronie McGregorze. Mam każdy cholerny smak, jaki sobie wymarzysz. – Całuje mnie, żeby to udowodnić, jego usta wyznają miłość bez słów, jego ciało jest gorące i twarde. – Przegapimy lot – szepczę, wyginając się w łuk, kiedy zaczyna całować moją szyję.

– A co z twoją pracą? – Jego palce odpinają guziczki mojej bluzki, a usta podążają za nimi.

– Jestem na dobrej pozycji negocjacyjnej, żeby przekonać ich do pozwolenia mi na pracę zdalną. – Kiedy podnosi głowę i patrzy na mnie, unosząc brew, uśmiecham się szeroko. – Opowiem ci później. A teraz, zamierzamy złapać ten samolot czy nie?

Jego uśmiech jest leniwy i seksowny.

– Nie, dziołcha. Polecimy następnym. Teraz mamy ważniejsze rzeczy do roboty.

I rzeczywiście mamy. Mamy o wiele ważniejsze sprawy i udaje nam się złapać lot dopiero późnym popołudniem następnego dnia.

EPILOG

Sześć tygodni później

DZIESIĘĆ NAJWAŻNIEJSZYCH POWODÓW,
DLA KTÓRYCH RUGBY NIE JEST DO KITU

1. Niesamowicie wysportowani mężczyźni w ekstremalnie krótkich spodenkach i równie ciasnych koszulkach, którzy ciągle na siebie wpadają, przy okazji pokrywając się błotem i wyglądając seksownie jak cholera.
2. Niesamowicie wysportowani mężczyźni w ciasnym odzieniu, którzy przy każdej okazji łapią się nawzajem za tyłki i ściskają. Mimo bezwstydnych, bliskich kontaktów, gracze są uroczo nieświadomi swoich skłonności do kolegów z drużyny. Ich wyjątkowa męskość wyraźnie pozostawia miejsce dla spontanicznych demonstracji heteroseksualnych uczuć i braterskiej miłości, a wszystko to, gdy mają na sobie tak maleńkie i nieukrywające niczego szorty, że równie dobrze mogłyby być bokserkami. Coś pięknego.
3. Brody.
4. Tatuaże.
5. Mięśnie. Mięśnie bez koooońca.
6. Ten taniec wojenny w stylu macho, nazywany haka, który prezentowany jest na początku każdego meczu przez niektóre drużyny. To coś szalonego i plemiennego. Wypełnione pomrukami, śpiewami i dużą ilością rytmicznych tupnięć, które wprawiają tłum w istne szaleństwo, ponieważ niesamowicie wysportowani mężczyźni w obcisłych ubraniach tańczą.
7. Żadnych cheerleaderek.
8. Fani. Fani rugby są najbardziej przyjaznymi i pełnymi pasji ludźmi na świecie. I z najlepszymi manierami. Nigdy nie byłam na

stadionie z wielkim tłumem ludzi, którzy zachowują się tak uprzejmie i formalnie, jakby oczekiwali osobistej audiencji u Królowej. Cam ciągle powtarza, że rugby to gra dżentelmenów i ma rację. (Może poza wielkimi, brutalnymi orgiami).

9. Cameron McGregor, kapitan ukochanej drużyny Szkocji, Czerwonych Diabłów, najbardziej krzepki, przystojny, uzdolniony, seksowny, mądry, uprzejmy i utalentowany mężczyzna w ciele bestii, jaki kiedykolwiek chodził po świecie.
10. Patrz punkt dziewiąty.

– Co tam kombinujesz, panno Snufflebottom?

Ten niski, seksowny głos dobiega z łóżka za mną, gdzie zostawiłam śpiącego Cama, żeby sporządzić moją listę. Zerkam przez ramię i znajduję go opartego na zgiętym łokciu, z prześcieradłem owiniętym wokół bioder. Włosy ma rozczochrane, jest bez koszulki, dzięki czemu mogę podziwiać tatuaże na jego klatce piersiowej, piwne oczy błyszczą od pożądania i bezsprzecznej miłości.

Uszczypnijcie mnie. To jest o wiele lepsze niż jakakolwiek bajka.

– Sporządzam listę. Chociaż miałam zabrać się za twój prezent na walentynki.

– Tak? – Głodnym wzrokiem mierzy moją koszulkę nocną, czarny kawałek materiału, który kupił mi w pierwszym tygodniu po mojej przeprowadzce do Szkocji. Po niej otrzymałam kolejną i kolejną, aż zrobiło się ich tak dużo, że musiałam przejąć część jego szafy, żeby wszystkie pomieścić.

Nie, żeby narzekał. Myślę, że z chęcią oddałby mi całą, gdybym miała w niej trzymać bieliznę.

– Czy ten prezent ma coś wspólnego ze striptizem i bitą śmietaną umieszczoną w strategicznych miejscach?

Myślałam raczej o sonecie, ale wydaje się zbyt rozochocony, żebym mogła go zawieść. Posyłam mu więc uśmiech Mona Lisy, podnoszę się z krzesła, a następnie przeciągam ramiona nad głową. Cam śledzi każdy mój ruch.

– Możliwe. To zależy od tego, jak szybko zabierzesz mnie znowu do babuni O'Shea. Uwielbiam tę kobietę.

– Kiedy tylko zechcesz – oznajmia natychmiast.

Śmieję się, jak zwykle zachwycona tym, z jaką łatwością zgadza się na wszystko, jeśli w zamian otrzyma nieco uwagi. Ten facet to gąbka miłości. Nie jest w stanie się nią nasycić.

Ruszam w stronę łóżka. Podchodzę powoli, ciesząc się jego wzrokiem pełnym uwielbienia, aż staję na tyle blisko, że może złapać mnie za nadgarstek. Wtedy wciąga mnie na siebie, przerzuca na plecy, zakłada na mnie ciężką nogę, po czym całuje z taką pasją, że zapiera mi dech.

Odrywa się na krótką chwilę, by powiedzieć:

– Dzień dobry, skarbie.

Potem znowu mnie całuje, tym razem delikatniej, obejmując dłonią mój policzek. Jego włosy łaskoczą moją twarz.

Przesuwam dłońmi po jego umięśnionych plecach, czując, jak zatapiam się w materacu, rozpływam jak czekolada pozostawiona na słońcu.

– Dzień dobry, pozerze – mówię bez tchu, kiedy pocałunek dobiega końca. – Chociaż właściwie to już nie ranek, jest popołudnie. Nie mogę uwierzyć, że nie spaliśmy do czwartej rano.

– To ty musiałaś obejrzeć „jeszcze tylko jeden" odcinek *Peaky Blinders*.

– Przepraszam. Netflix ma na mnie zgubny wpływ. Jak ci się spało?

Trąca nosem moją szyję, co sprawia, że na ramiona występuje mi gęsia skórka, po czym bierze głęboki wdech. Ochrypłym głosem mówi:

– Najlepsza noc w moim życiu.

Uśmiecham się, a potem ciasno oplatam go ramionami.

– Mówisz tak od mojej pierwszej nocy tutaj.

– Dlatego, że każdego ranka to prawda. – Podnosi głowę, spogląda na mnie, po czym uśmiecha się, widząc moją szczęśliwą twarz. – Skąd ten szeroki uśmiech?

– To dla najpiękniejszego mężczyzny na świecie, z sercem prawie tak wielkim jak jego ego.

Śmieje się. Jego niski głos przetacza się przeze mnie, a ciepło ogrzewa moją pierś.

– Mam coś większego i od serca, i od ego, kochanie. – Porusza biodrami, żeby udowodnić swoje słowa, więc tym razem to ja się

śmieję.

– Widzę, że Godzilla też się obudził.

– W rzeczy samej. Rozbudzony i głodny.

– A kiedy on nie jest rozbudzony i głodny? Skubaniec jest na sterydach!

– Skubaniec? – powtarza Cam, urażony.

Wywracam oczami.

– Och, wybacz. Zapomniałam, że powinnam okazywać należny szacunek klejnotom rodowym.

Uśmiech Cama staje się leniwy i seksowny.

– I przez większość czasu bardzo dobrze idzie ci okazywanie im szacunku.

Teraz to ja jestem urażona.

– Przez większość czasu? Co dokładnie sugerujesz?

Uśmiecha się, widząc moją kwaśną minę, po czym szczypie mnie w tyłek.

– No i kto tu ma większe ego?

– Zaraziłam się od ciebie – jęczę, udając, że jestem zła.

– Czekaj, dopiero cię zarażę – sapie. Wbija palce w mój tyłek, następnie przyciąga bliżej siebie tak, że jego penis wbija się między moje nogi. Kiedy wzdycham, przerywa mi pocałunkiem – głębokim, gorącym i wymagającym.

– Mam telekonferencję za niecałe dziesięć minut. – Próbuję powstrzymać jęk, przygryzając wargę, kiedy Cam przesuwa usta na moją szyję i zaczyna całować obojczyk. Jest tak przyjemnie. Zawsze jest tak cholernie przyjemnie.

Nosem pociera miejsce między moimi piersiami, potem delikatnie przygryza sutek przez materiał koszulki.

Tym razem nie udaje mi się powstrzymać jęknięcia. Wyginam się w łuk, wciągam powietrze, kiedy obejmuje moje piersi i muska językiem twarde sutki.

– Cam.

– Mmm.

Podgryza. *O Boże, podgryza*.

– Mam rozmowę z firmy za…

– Będę się streszczał – szepcze, przesuwając dłoń z mojej piersi w dół brzucha, a potem wsuwa między nogi. Pociera mnie wierzchem dłoni, bo wie, jak to uwielbiam. Jak to doprowadza mnie do szaleństwa.

– Poczekajmy, aż się skończy – mówię. A w zasadzie dyszę. – Dziś rano nie chcę się spieszyć. Pragnę cię mieć powoli. Długo, powoli, głęboko i mocno, och…

Nie mogę już mówić, bo Cam robi teraz swoją dłonią coś, co wymaga całego mojego skupienia.

W drugim pokoju słyszę dzwonek telefonu.

Cam jęczy.

– Jasna cholera. Pospieszyła się.

Próbuję go odepchnąć, ale nie współpracuje.

– Skarbie, muszę odebrać.

Rzuca się na plecy z dramatycznym westchnieniem, po czym kładzie rękę na twarzy. Zwlekam się z łóżka, szybko całuję go w policzek i ruszam po telefon, rzucając przez ramię:

– Odebrałbyś pani Dinwiddle cały splendor tym teatralnym dramatyzmem, kochanie.

Kiedy wychodzę z pokoju, nadal mamrocze pod nosem coś o przerywaniu. Podnoszę telefon ze stolika kawowego w salonie, gdzie go zostawiłam, zanim Cam podniósł mnie z kanapy, przerzucił sobie przez ramię, po czym zaniósł do sypialni, psiocząc, że ma już dość telewizji i musi się mną nacieszyć.

Nadal czekam, aż rzeczywiście się nacieszy, ale jak dotąd jakoś do tego nie doszło.

– Joellen Bixby przy telefonie.

– Wesołego poniedziałku, Joellen. Tu Portia. Jak się masz?

Jej głos jest ciepły. Przez ostatnie półtora miesiąca wypracowałyśmy coś, co można by nazwać przyjaźnią: rozmawiamy przez telefon kilka razy w tygodniu, nie zawsze o pracy. Jak się okazuje, królowa lodu ma naprawdę nikczemne poczucie humoru.

Siadam na kanapie, po czym opieram stopy na stoliku kawowym, patrząc przez ogromne okna edynburskiego mieszkania Cama, które wychodzą na Zamek, Meadows – miniaturową wersję Central Parku – oraz centrum miasta.

– Świetnie, Portio. Jak się sprawy mają w biurze?

– Nic ciekawego nie wydarzyło się od naszej ostatniej rozmowy, poza tym, że Denny wprowadził do repertuaru nowe, sezonowe żarty o bąkach.

– O Boże. Walentynkowe żarty o bąkach? Nawet nie mogę sobie tego wyobrazić.

Portia śmieje się.

– Tak. Najwidoczniej bąki to krzyk uwięzionych…

– Przestań! – krzyczę, machając ręką. – Opuściłam kraj, żeby uciec od tych żartów. Nie ma mowy, żebyś opowiadała mi je przez telefon!

– Bardzo dobrze wiem, że wyjechałaś z zupełnie innego powodu, Joellen. A jak tam twoja szkocka balerina?

Muszę się zaśmiać, słysząc to określenie i ton, jakim je wypowiada.

– Nie pozwól, żeby Ruth cię usłyszała, bo otrzymasz naganę i wpis w dokumentacji pracowniczej. A Cam ma się świetnie, dzięki, że pytasz. – Wzdycham zadowolona i rozmarzona, okręcając pasmo włosów wokół palca. – Jest niesamowity.

Portia odzywa się ostro:

– Jeśli zamierzasz powiedzieć mi, że potrzebujesz czasu na wasz miesiąc miodowy, to od razu odpowiadam, że na świecie istnieje bardzo niewiele miejsc bez wi-fi…

– Nikt tu nie bierze ślubu! Nawet jeszcze o tym nie rozmawialiśmy! – Po moim wybuchu następuje krótka cisza, a potem Portia przyjmuje praktyczną perspektywę.

– Wybacz bezpośredniość, ale masz prawie czterdzieści lat. Pewnie zostało ci ledwo pół tuzina dobrych jajeczek.

– Hej! Przeszłyśmy od małżeństwa prosto do zapłodnienia! Rozmawiałaś z moją matką?

– Nie – odpowiada – ale uważam, że byłabyś cudowną matką. Nie ma lepszego momentu. A jak tam książka Beth Addison? Nie mogę się doczekać, kiedy wypuścimy ją na rynek. To fantastyczna pisarka.

– Skaczesz po tematach z zawrotną prędkością, Portio.

– Nadążaj, Joellen. Tylko dlatego, że nie mieszkasz już na Manhattanie, nie zamierzam tolerować wolnego kojarzenia. – Przerywa. – Czy wszystkie te haggis uderzyły ci do głowy?

Patrzę, jak Cam wkracza do pokoju. Wygląda cudownie w samych bokserkach. Podchodzi do mnie, pochyla się nad kanapą, odgarnia mi włosy, a następnie całuje w szyję.

– Nie zjadłabym haggis nawet, gdybyś zapłaciła mi miliard dolarów. Wróćmy do Beth Addison, zanim ta rozmowa zupełnie zejdzie na boczne tory.

Cam mruczy przy moim karku:

– Powinniśmy porozmawiać o ślubie, zwłaszcza że już poruszyłem ten temat z twoimi rodzicami.

Podnosi się, po czym swobodnie rusza w stronę kuchni, jakby wcale nie spuścił mi właśnie bomby na kolana.

Rozmawiał już z moimi rodzicami o naszym ślubie? Czy właśnie mam zawał serca? Tak właśnie to wygląda? O Boże, nie czuję twarzy.

– … w programie do edycji?

– Co? Hmm? Co mówiłaś? – Odwracam się na kanapie, żeby móc patrzeć na Cama. Szuka czegoś w szafce, stoi plecami do mnie.

Westchnienie Portii wskazuje, że jest urażona.

– Cieszę się, że nie zwołałam reszty zespołu… jesteś dziś beznadziejna.

– Portio, tak mi przykro… czy mogę oddzwonić za pięć minut? Mam problemy z połączeniem. Zadzwonię ze stacjonarnego. – Nie czekając na jej odpowiedź, rozłączam się. Potem siedzę, wpatrując się w szerokie plecy Cama, aż w końcu odwraca się i spogląda na mnie.

Kiedy widzi wyraz mojej twarzy, uśmiecha się szeroko.

– O nie. Ona myśli. Czuję zapach dymu aż stąd.

Pytam stłumionym głosem:

– Rozmawiałeś z moimi rodzicami o naszym ślubie?

– Tak – odpowiada, nagle poważniejąc. – Wiem, to trochę niedorzeczne, zważywszy na twój wiek, ale kiedy będziemy opowiadać dzieciom, jak zakochaliśmy się w sobie, wzięliśmy ślub i żyliśmy długo i szczęśliwie, chcę móc powiedzieć, że poprosiłem twojego ojca o zgodę. Chociaż w rzeczywistości po prostu powiedziałem mu, że ożenię się z jego córką, a nie zapytałem, ale to może być nasza mała tajemnica.

Dzieci. Moje serce pędzi jak koń pełnej krwi przed metą. Oddycham głośno przez usta, jakbym miała katar.

– Ale ja… jestem tu dopiero od sześciu tygodni.

Trzyma w ręku dwie torebki herbaty, z którymi podchodzi do kuchenki.

– Tak. A ile razy w tym czasie powiedziałaś mi, jak bardzo uwielbiasz to miejsce?

Kiedy nie odpowiadam, bo jestem zbyt zajęta łapaniem oddechu i zastanawianiem się, czy zamiast zawału nie dostałam wylewu, on kontynuuje tę rozmowę beze mnie.

– Kochasz moje mieszkanie. Kochasz to miasto. Kochasz pracować z domu. Kochasz babunię O'Shea. Kochasz jedzenie – poza haggis – i ludzi, pogodę oraz moich kolegów z drużyny, a także kochasz patrzeć, jak gram. Kochasz to, że Pan Bingley ma dziewczynę.

Wskazuje posłanie pod stołem, w którym Pan Bingley z zadowoleniem przytula się do czarnej kotki, o połowę mniejszej od niego, o imieniu Cleo. Cam wziął ją ze schroniska, kiedy przyjechaliśmy, bo uznał, że czas, by Pan Bingley porzucił stan kawalerski. Od tej pory koty stały się nierozłączne. Nawet kiedy śpią, owijają się wokół siebie, jeden ciemny, drugi jasny, yin i yang.

– W zasadzie – udaje, że myśli, stukając torebką herbaty w podbródek – myślę, że nie powiedziałaś jeszcze tylko, że kochasz… mnie.

Przytrzymuje moje spojrzenie przez chwilę, potem włącza palnik pod czajnikiem, wyjmuje dwa kubki z innej szafki, ustawia je na blacie, a następnie wrzuca do nich torebki. Potem zakłada ręce na piersi, opiera się o blat i patrzy na mnie.

Na mnie, siedzącą na kanapie, gdzie koncentruję całą swoją energię, żeby nie upaść.

– Ja… ja…

Cam unosi brew. Przykłada dłoń do ucha.

– Przepraszam, co to było? Chciałaś coś powiedzieć, dziołcha?

Wstaję niepewnie, czując pulsowanie w całym ciele. Potem powoli przemierzam odległość dzielącą mnie od Cama. Wydaje mi się, że płynę do niego, moje stopy ledwo dotykają podłogi. Kiedy

podchodzę, bierze mnie w ramiona, patrząc z tajemniczym uśmieszkiem, oczy ma półprzymknięte i pełne żaru.

– No dalej – ponagla. – Powiedz, jak to zakochałaś się we mnie od samego początku, ale brałaś to dziwne uczucie w brzuchu za gazy. Powiedz, jak zwaliłem cię z nóg od pierwszej chwili, gdy otworzyłem usta i usłyszałaś mój niesamowicie seksowny głos. Powiedz, że żaden inny mężczyzna nie wygląda tak dobrze w kilcie jak ja i nikt nie potrafi tak cię rozbawić. – Jego głos staje się niższy. – Ani sprawić, że tak głośno krzyczysz. No dalej, dziołcha. Powiedz.

Cała drżę, serce łomocze, jakby w mojej piersi uwiązł koliber.

– Tak – szepczę, patrząc mu w oczy. – Tak we wszystkich tych kwestiach.

Jego tajemniczy uśmiech robi się szerszy. Wplata palce w moje włosy i przeczesuje je, patrząc, jak pasma przepływają przez jego dłonie. Potem delikatnie ciągnie za jedno z nich, żeby przyciągnąć mnie do siebie.

– A teraz powiedz, jak bardzo cię uszczęśliwiam.

– Szaleńczo. Niezwykle. Tak.

Pochyla się, a następnie przesuwa ustami po moim policzku.

– I że chcesz spędzić resztę życia właśnie tak. – Ściska mnie szybko i mocno. – W moich ramionach.

Gardło mi się zaciska, głos się łamie, kiedy mówię:

– Tak.

Cam delikatnie przyciska usta do mojej szyi, a potem patrzy mi głęboko w oczy. Ochrypłym głosem szepcze:

– A teraz powiedz, że mnie kochasz, dziołcha. I lepiej zrób to dobrze, bo kazałaś mi czekać o wiele za długo.

Wypuszczam drżący oddech, zbieram się w sobie i wykonuję polecenie.

– Kocham cię tak, jak kocham zapach starych książek. Kocham cię tak, jak kocham gorącą kąpiel w zimny dzień. Kocham cię tak, jak kocham sonety, lody i stroje kąpielowe, które sprawiają, że nie wyglądam, jakbym była zrobiona z burraty. Kocham cię tak, jak kocham promienie słońca na mojej twarzy zimą. Tak, jak kocham ulubioną piosenkę płynącą z radia, kiedy wracam do domu z plaży w słoneczny dzień.

Przełyka ślinę, jego oczy lśnią z emocji. Wspinam się na palce, a następnie całuję go delikatnie.

Przy jego ustach mruczę:

– Kocham cię tak, jak kocham gwieździste noce, bardzo chrupiące pikle, odkrycie wspaniałego, nowego autora i niedzielne poranki w łóżku z gazetą i czekoladowym croissantem. Tak, jak kocham zapach powietrza po deszczu. Tak, jak kocham się śmiać.

Opuszcza twarz na moją szyję i przyciska ją, obejmując mnie jeszcze ciaśniej tak, że ostatnią część szepczę mu prosto do ucha.

– Ale tak naprawdę kocham cię bardziej niż wszystkie te rzeczy razem wzięte, Cameronie McGregor. Kocham cię tak, jak nie przypuszczałam, że kiedyś pokocham cokolwiek i kogokolwiek. Jesteś dla mnie ważniejszy niż powietrze i nigdy nie chcę spędzić bez ciebie nawet jednego dnia. Ponieważ uwierzyłeś we mnie, to brzydkie kaczątko w końcu przeistoczyło się w łabędzia.

Delikatny dreszcz przebiega przez jego pierś. Głośno wzdycha, po czym przyciska mnie do siebie tak mocno, że czuję każde uderzenie jego serca.

– Zawsze byłaś łabędziem, ty cholerna kretynko – mówi zduszonym głosem.

Odrzucam głowę w tył i śmieję się, choć moje oczy wypełniają łzy. Jednak to łzy radości. Łzy oznaczające: „I żyli długo i szczęśliwie”.

– Czymkolwiek jestem, pozerze, należę do ciebie. A teraz pocałuj mnie, zanim powiesz coś głupiego i zepsujesz ten moment.

– Boże, ale się rządzisz – burczy, ale kiedy podnosi głowę, uśmiecha się od ucha do ucha. Jego oczy też wypełnione są łzami szczęścia. Pochyla się do mnie i nagle zamiera. – Czekaj.

Marszczę brwi.

– Co?

– Nie powiedziałaś, że za mnie wyjdziesz.

– Cóż… technicznie rzecz biorąc, nie zapytałeś.

Udaje, że zastanawia się nad tym.

– Masz rację. Nie spytałem.

Kiedy nie mówi nic więcej, ponaglam.

– Więc?

– Więc myślę, że powinienem zaczekać, aż zjemy lunch. Jestem strasznie głodny.

– Cam! – Rozgniewana, uderzam go w ramię.

Śmieje się, zadowolony z mojej reakcji, bo widocznie właśnie na taką liczył.

– Dobrze, wyluzuj, panno Snufflebottom. Daj mi minutkę na zebranie myśli, zanim wypowiem to ważne pytanie!

Wpatruję się w niego ze ściągniętymi wargami, kiedy odchrząkuje, po czym robi poważną minę. Kiedy na mnie patrzy, zdaję sobie sprawę, że wstrzymuję oddech.

– Bierzemy ślub – oznajmia.

– Uch! To nie było pytanie!

Ściąga wargi, żeby powstrzymać śmiech.

– Bierzesz ślub?

Warczę jak niedźwiedź, gotowy urwać mu głowę. To moje pierwsze oświadczyny, a on stroi sobie żarty! Patrzę na jego pewną siebie, uśmiechniętą twarz, uznając, że muszę wziąć sprawy w swoje ręce.

– W porządku. Widzę, że będę musiała przejąć kontrolę nad tą sytuacją. – Prostuję ramiona, unoszę podbródek, a następnie patrzę mu prosto w oczy. – Cameronie McGregor, ożenisz się ze mną?

Jego twarz łagodnieje, jakby walczył ze łzami. Ujmuje moją twarz w dłonie, a potem szepcze gwałtownie:

– Myślałem, że nigdy nie zapytasz. – I całuje mnie tak, jakby głodował.

Kiedy czajnik zaczyna gwizdać, żadne z nas nie poświęca mu ani odrobiny uwagi.

***

Pewnego razu, w nie tak odległej krainie,
Kaczątko urodzone w rodzinie łabędzi
Zostało wyprowadzone w pole.
Poprosiło księcia pięknego i powabnego
W pantoflach barwy brązowego cukru
By wskazał mu drogę do domu
Gdzie stanie się większe, lepsze i pewniejsze siebie

Nie musząc więcej wałęsać się
Po mrocznym lesie zagubionych serc.
Jednak po drodze poddało się czarowi
Księcia, z którym nigdy nie zechce się rozstać
W jego ramionach pragnie pozostać.
Więc kacząteczko rzekło do swego lubego
„On będzie na zawsze mój, a ja na zawsze jego”.

PODZIĘKOWANIA

To najfajniejsza część pisania książki, po tym, jak skończę już z przekleństwami i płaczem, a krwawienie prawie całkowicie ustanie. Pisanie powieści ma kilka wspólnych elementów z rodzeniem, jednym z których jest obezwładniająca ulga z udanego porodu po wielu miesiącach dyskomfortu. (Nie mam dzieci, ale to porównanie wydawało się nieuniknione).

Zanim przejdę do podziękowań, chcę opowiedzieć wam o bliskiej przyjaciółce z czasów, kiedy byłam nastolatką. Będziemy nazywać ją Eva (to nie jej prawdziwe imię). Eva była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałam, nawet do dziś, jakieś trzydzieści lat później. Miała irlandzkie korzenie, długie, ciemne włosy, niesamowite, kryształowo-niebieskie oczy i tak idealną skórę, że wręcz błyszczała. Wysoka, pełna gracji, zawsze najpopularniejsza, przez całe gimnazjum i szkołę średnią. Wszyscy ją kochali.

Przepełniała ją również intensywna nienawiść do samej siebie.

Była przekonana, że jej idealne ciało jest grube, ciągle była na diecie, jadła tylko słone krakersy, wafle ryżowe i seler. Schudła tak, że zatrzymała się jej miesiączka. Ćwiczyła jak maszyna, codziennie przed lekcjami biegała wiele kilometrów. Miała obsesję na punkcie swojego wyglądu, aż do najdrobniejszego szczegółu. Spędzała całe godziny przed lustrem, przymierzała nowe ubrania, wyszukiwała wyimaginowane skazy, uczyła się nowych technik makijażu, by jeszcze lepiej konturować swoje, i tak zapadnięte, policzki.

Jej matka niczego nie zauważyła. Była zbyt zajęta piciem chardonnay. Jej ojciec – rodzice byli rozwiedzeni – lubił powtarzać Evie, żeby jak najszybciej wyszła za mąż, bo jest za głupia na college.

Eva zdobyła 1510 punktów na egzaminie SAT, w dziewięćdziesiątym dziewiątym percentylu. Kiedy powiedziałam jej, że z takim wynikiem mogłaby dostać się do prawie każdego

college'u, że mogłaby pójść na Harvard, gdyby chciała, zaśmiała się tylko.

Powiedziała, że jest za głupia na college. Wszyscy to wiedzieli. To był błąd.

W dniu osiemnastych urodzin Eva zrobiła sobie implanty piersi. Kilka miesięcy później, po skończeniu szkoły, poznała mężczyznę o dwadzieścia pięć lat starszego od siebie, bogatego biznesmena, który zauważył ją na parkingu. Olśniła go jej uroda i podążył za nią do jej samochodu, żeby się przedstawić. Po kilku tygodniach wynieśli się do Europy. Nigdy więcej nie miałam od niej wieści.

Kilka lat później odebrałam telefon od jej matki. Usiądź, powiedziała. Mam okropne wieści.

Eva została zamordowana. Jej o wiele starszy mąż otruł ją przy pomocy leków na receptę, które przyjmowała w zawyżonej dawce przez wiele miesięcy. Pochował ją, zanim powiadomił jej rodziców o jej śmierci.

Tragedia Evy jest jednym z przykładów utraty ogromnego potencjału na rzecz zaniedbania i negacji. Ludzie potrafią wpoić sobie nawet najbardziej oczywiste kłamstwo, jeśli powtarzają je sobie wystarczająco często. Kiedy otaczają cię negatywne emocje, to zaczynasz je absorbować. Stajesz się tym, co najczęściej słyszysz.

Żałuję, że nie mogę cofnąć się w czasie, żeby powiedzieć Evie, jak bardzo ją kochałam, jaka była mądra, ile miała do zaoferowania światu. Niestety nie mogę. Jednak zawsze, kiedy spotykam młodą dziewczynę, mam ochotę ją przytulić i powiedzieć, że jest dużo bardziej wyjątkowa, niż myśli. Że jej wartość jako człowieka oraz jej wygląd to dwie zupełnie różne rzeczy.

Jeśli macie w domu młode córki, mam nadzieję, że zrobicie to samo. One słuchają każdego waszego słowa… i wszystkiego, czego nie mówicie.

Dziękuję mojemu zespołowi z Montlake Romance, który wspiera moją karierę od 2011 roku. Uwielbiam naszą współpracę i mam nadzieję, że będzie trwała, aż stracę ochotę do pisania, czyli nigdy. Dziękuję Marii Gomez, mojej redaktorce, która rozśmiesza mnie przy każdej rozmowie. Dziękuję Melody Guy, mojej redaktor ds. rozwoju,

która jest geniuszem i potrafi mówić miłe rzeczy o mojej pracy, a jednocześnie pokazuje, ile muszę jeszcze poprawić. Dziękuję też adiustatorom, korektorom tekstu, ekipie od PR–u i marketingu w Amazon Publishing. Jesteście najlepsi.

Moim „starym" czytelnikom dziękuję za to, że tkwią ze mną przez prawie piętnaście lat. Ja też nie miałam pojęcia, że nadal tu będę. Do moich nowych czytelników: mam nadzieję, że zostaniecie na następne piętnaście lat. Biorąc pod uwagę moje obecne tempo pracy, miną pewnie jakieś cztery lata od momentu wydania tej książki do kolejnej, więc trzymajcie się. Obiecuję, że będzie interesująco.

Mojej matce, która w tym roku skończyła dziewięćdziesiąt lat, dziękuję za to, że skupiła się na budowaniu mojego charakteru i wewnętrznej siły, oraz za to, że uzmysłowiła mi różnicę między wartością istoty ludzkiej a jej wyglądem i opinią innych ludzi.

I w końcu, mojemu najlepszemu przyjacielowi, Jayowi Geissingerowi, który jest też najlepszym człowiekiem, jakiego poznałam w życiu, dziękuję za to, że kocha wszystkie części mnie, na zewnątrz i w środku, nawet te brzydkie.

O AUTORCE

J. T. Geissinger, była headhunterka, jest autorką ponad tuzina powieści: romansów fantastycznych, kryminalnych i współczesnych, w tym serii *„Slow Burn”*. Otrzymała Prism Award za najlepszy debiut oraz Golden Quill Award za najlepszą książkę z gatunku Paranormal/Urban Fantasy. Dwukrotnie była finalistką RITA Award dla autorów romansów. Jej prace weszły do finału Booksellers’ Best, National Readers’ Choice i Daphne du Maurier Award. Więcej informacji na stronie: www.jtgeissinger.com.

[1] Cameron używa w stosunku do Joellen określenia *lass/lassie,* które kojarzy jej się z psem Lassie, bohaterem ekranizacji powieści Erica Knighta *Lassie, wróć!* (przyp. tłum.).

[2] Szkarłatna litera A – symbol hańby. W powieści Nathaniela Hawthorne'a *Szkarłatna litera* główna bohaterka ma wyszyty ten znak na ubraniu ku przestrodze społeczeństwa. „A" pochodzi od angielskiego słowa *adultery*, czyli „cudzołóstwo" (przyp. red.).

[3] ESPN – amerykańska telewizyjna stacja sportowa (przyp. tłum).

[4] TMZ – amerykański tabloid internetowy (przyp. tłum.).

[5] *Seppuku* – japońskie rytualne samobójstwo polegające na rozcięciu brzucha mieczem lub sztyletem (przyp. red.).

[6] *Gums* (z ang.) – dziąsła (przyp. red.).

[7] Grumpy Cat – amerykańska kotka, która stała się osobowością internetu i której wizerunek wykorzystano w internetowych memach (przyp. red.).